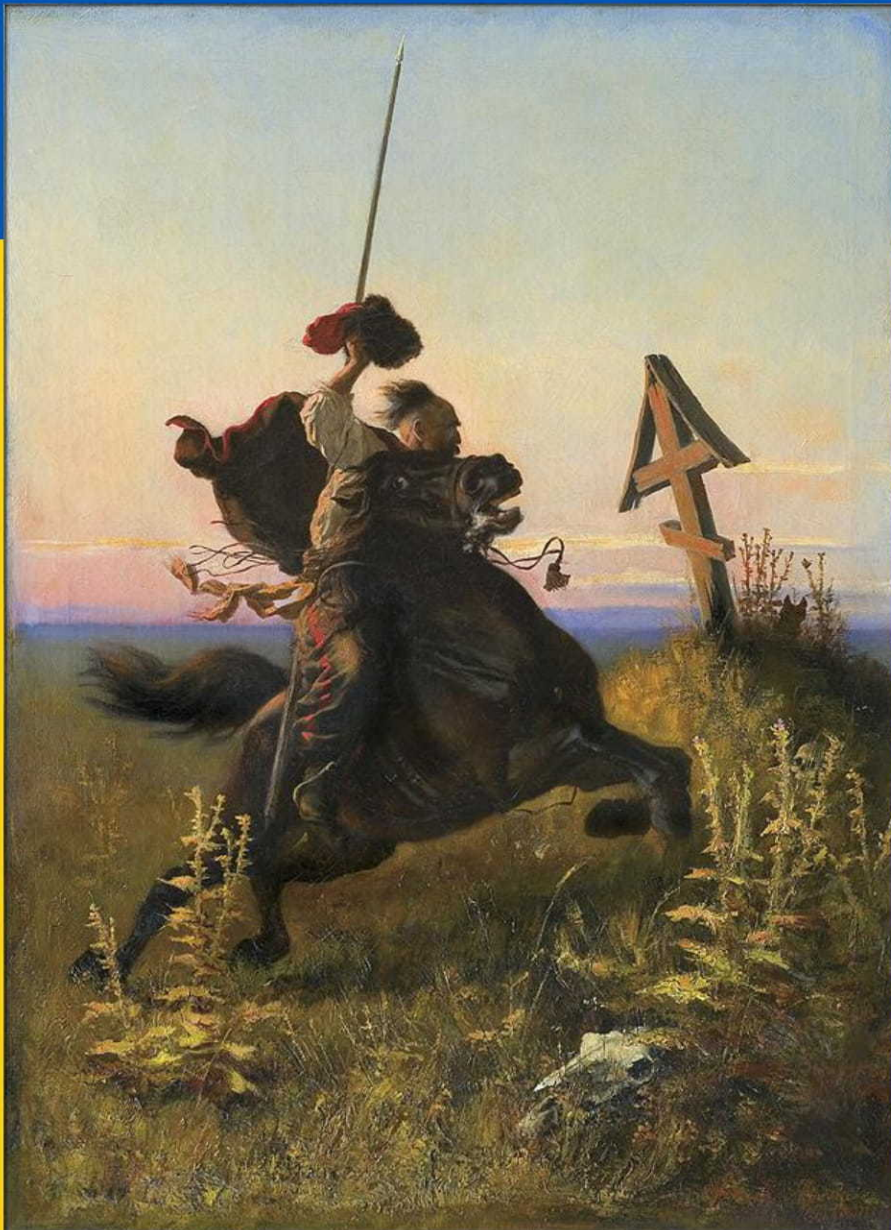


ALMANAX

UKRAINA

2022 VOL. 2

ZESZYT SPECJALNY NR 3.





W sobotę 26 lutego 2022 r. na kijowskiej ulicy mordercy działający pod flagą Federacji Rosyjskiej zastrzelili z zimną krwią uczennicę podstawówki, Polinę i jej rodziców Antona i Swietlanę. Raniony kulami pięcioletni Siemion zmarł niedługo potem w szpitalu.

Ten numer „AlmanaXu” dedykujemy wszystkim ofiarom bestialskiej agresji Rosji na Ukrainę.

Слава Україні! Героям слава!



Stopka

AlmanaX Studencki

Almanach Twórczości Artystycznej Studentów Uniwersytetu Gdańskiego

2022 Vol. 2 Zeszyt Specjalny Nr 3. Ukraina

Koło Naukowe Teoretyków Literatury UG

Patronat:

Wydział Filologiczny UG

Instytut Filologii Polskiej UG

Redakcja: Michał Bolek (Dział Przekładu), Joanna Danowska (Działy Fotografii i Grafiki), Patryk Dzikiewicz, Szymon Kamiński, Alicja Smaruj, Paulina Sokólska (Inicjatorka numeru i Redaktorka Prowadząca, Dział Prozy), Dominika Plaskota, Marysia Wrzeszcz (Dział Poezji), Aleksandra Zdanowicz (Węzły Gordyjskie), Maciej Dajnowski (zamieszanie i komunikacja)

Adiustacja, korekta, redakcja: Zespół

Typografia i skład: *Sophrosyne DIY*

Concept art i oprawa graficzna: *Yōkai DIY*

Okładka:

Alfons Dunin-Borkowski, *Kozak w stepie* (1881–1886)

Gdańsk MMXXII

© Юрій Андрухович (Jurij Andruchowycz), Beata Budzkowska, Bartosz Dłubała, Riccardo Duranti, Марко Гейко (Marko Gejko), Joanna Ginter, Šiniša Glavašević, Aleksandra Hallmann, Міра Гаврилюк (Mira Hawryliuk), Marta Kaczmarczyk, Tadeusz Karabowicz (Тадей Карабович), Kuba Kapral, Γεωργία Καρβουνάκη (Giorgia Karvunaki), Aleksandra Kasprzak, Julia Kończak, Krystyna Kotyńska, Микола Кривенко (Mykoła Krywenko), Анатолій Криволап (Anatolij Krywołap), Валерія Лесик (Walerija Lesyk), Марина Лопушін (Maryna Lopuszin), Zbigniew Milewski, Аляксандра Мурашка (Aliaksandra Muraszka), Artur Nowaczewski, Станіслав Новицький (Stanisław Nowycki), Остап Ножак (Ostap Nożak), Michał Petryk, Anna Płotka, Janusz Radwański, Małgorzata Rocławska-Daniluk, Gianni Rodari, Eustachy Rylski, Przemek Saktura, Каспер Сєк, Тіберій Сільваши (Tyberiusz Silwasz), Paulina Sokólska, Dominika Starego, Kasia Szurko, Grażyna Świętochowska, ТОКА, Olga Tokarczuk, Przemysław Tomanek, Анастасія Вакарчук (Anastazja Wakarczuk), Radosław Wiśniewski, Marek Włodkowski, Marysia Wrzeszcz, Оксана Забужко (Oksana Zabuzko), Mariusz Zarecki, Michał Zarecki, Юрій Завадський (Jurij Zawadski), Weronika Zyskowska (Włochy), Сергій Жадан (Serhij Żadan), Олександр Животков (Oleksandr Żywotkow)

© Wydawnictwo Czarne, Wydawnictwo Literackie, Wydawnictwo WAB

Podziękowania za pomoc w przygotowaniu numeru i nawiązywaniu kontaktów zechcą w pierwszym rzędzie przyjąć Bartosz Dłubała, Łukasz Lipiński, Tadeusz Karabowicz, Katarzyna Kręglewska, Марина Лопушін (Maryna Lopuszin), Artur Nowaczewski, Станіслав Новицький (Stanisław Nowycki), Janusz Radwański, Radosław Wiśniewski, Marek Włodkowski, Michał Zarecki, Юрій Завадський (Jurij Zawadski).

Wszelkie reprodukcje rysunków, malarstwa, grafik, fotografii zostały użyte w celach wyłącznie edukacyjnych i jedynymi dysponentami praw autorskich są ich właściciele.

W składzie wykorzystano darmowe fonty Fisherman.

Numer zamknięto 20 marca 2022 r.

Kontakt:

e-mail: almanax.redakcja@gmail.com

FB: <https://www.facebook.com/AlmanaX-100172365560354>

Messenger: m.me/100172365560354

Instagram: [@almanax.almanach](https://www.instagram.com/almanax.almanach)

WWW: https://fil.ug.edu.pl/wydzial_filologiczny/instituty/institut_filologii_polskiej/dzialalnosc_institutu/kola_naukowe/kolo_naukowe_teoretykow_literatury_ug

Слава Україні!



SPIS TREŚCI

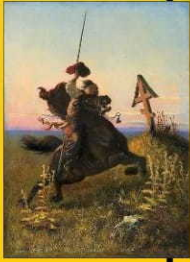
Spis treści	4
Wstępniak	8
POEZJA.....	11
<i>Ще не вмерла Україна / Hymn Ukrainy</i> (przeł. Michał Zarecki)	12
Przemek Saktura, <i>Roszczeniowcy</i>	14
Julia Kończak, <i>Dzień siódmy</i>	16
Юрій Завадський (Jurij Zawadski), <i>Schron</i> (przeł. Janusz Radwański)	19
Radosław Wiśniewski (Радослав Вішневський), <i>ГІМН 2022</i> (przeł. Ostap Nożak)	22
Radosław Wiśniewski, <i>HYMN 2022</i>	23
Marysia Wrzeszcz, <i>Nie ma czasu</i>	24
Kuba Kapral, <i>URAZ GŁOWY PAŃSTWA</i>	26
Kuba Kapral, <i>Wojenny portret Siergieja Ławrowa</i>	27
Aleksandra Kasprzak, <i>Zatarg</i>	28
Aleksandra Hallman, <i>Niebo otwarte</i>	29
Bartosz Dłubała, <i>Znaczenia</i>	30
Bartosz Dłubała, <i>Ukraina</i>	31
Bartosz Dłubała, * * * (Stanisławowi Nowyckiemu)	32
Бартош Длубала (Bartosz Dłubała), * * * (Станіславові Новицькому), пер. Тадей Карабови	33
Станіслав Новицький (Stanisław Nowycki), * * *	34
Станіслав Новицький (Stanisław Nowycki), * * * (przeł. Tadeusz Karabowicz)	35
Grażyna Świętochowska, * * *	37
Grażyna Świętochowska, * * *	38
Kasia Szurko, <i>WIOSNA 2022</i>	39
Weronika Zyskowska, <i>Wiersz na zamówienie</i>	41
Zbigniew Milewski, <i>Pożegnanie z córeczką</i>	43
Zbigniew Milewski, <i>8 marca w czasach wojny</i>	43

Zbigniew Milewski, <i>Matka Płacząca za Wszystkich</i>	44
Zbigniew Milewski, <i>Haiku – notatki związane z wojną na Ukrainie</i>	45
Małgorzata Ročławska-Daniluk, <i>Dla ukraińskich przyjaciół</i>	47
Małgorzata Ročławska-Daniluk, * * *	47
Joanna Ginter, <i>Pòrcelana. Dialodzi z pòezją</i>	49
ТОКА, * * *	51
FOTOGRAFIA.....	54
Аляксандра Мурашка (Aliaksandra Muraszka), <i>Fotografie</i>	55
Валерія Лесик (Walerija Lesyk), <i>Fotografie</i>	63
Валерія Лесик (Walerija Lesyk), <i>Ilustracje do książki Geo Szkurupija Drzwi do dnia</i>	81
PROZA INTYMNA.....	88
<u>Siniša Glavašević</u> , <i>Opowieść o mieście</i> , przeł. Marek Włodkowski	89
Artur Nowaczewski, <i>Opowieść o mieście</i>	89
Beata Budzkowska, <i>Wirtualny spacer. Remont na schodach Odeskich</i>	91
Dominika Starego, <i>Na przełomie</i>	93
Paulina Sokólska, <i>Ten tekst miał być o Marii</i>	96
FOTOREPORTAŻ.....	105
Anna Płotka, <i>Charków. Lament</i>	106
Mariusz Zarecki, <i>Kijów</i>	111
Mariusz Zarecki, <i>Barykady Euromajdanu (2014)</i>	116
Michał Zarecki, <i>Ukraina 2015-2020</i>	119
Анастасія Вакарчук (Anastazja Wakarczuk), <i>Odessa</i>	173
Міра Гаврилук (Mira Hawryliuk), <i>Odessa</i>	180
Марина Лопушін (Maryna Lopuszin), <i>Odessa</i>	182
ESEJ.....	185
Michał Zarecki, <i>Ziemia Ołeksandra Dowżenki (1930)</i>	185
LISTY.....	194
Listy wsparcia dla walczącej Ukrainy (przeł. Marta Kaczmarczyk i Kacper Sęk)	194
Gianni Rodari, <i>Księżyc w Kijowie</i> (przeł. Riccardo Duranti i Giorgia Karvunaki)	197

UKRAINA W (KILKU) OBRAZACH.....	198
ANTOLOGIE.....	241
Współczesna literatura ukraińska	241
Oksana Zabuzko (Oksana Zabuzko), <i>Badania terenowe nad ukraińskim seksem</i> (przeł. Katarzyna Kotyńska) [fragmenty]	242
Сергій Жадан (Serhij Żadan), <i>Big Mac</i> , (przeł. Michał Petryk) [fragmenty]	249
Юрій Андрухович (Jurij Andruchowycz), <i>Moscowiada. Powieść grozy</i> , (przeł. Przemysław Tomanek) [fragmenty]	252
Ukraina poetów polskich	255
Antoni Malczewski, <i>Maria. Powieść ukraińska</i> [fragmenty]	255
Adam Mickiewicz, <i>Sonety krymski</i> [wybór]	261
Seweryn Goszczyński, <i>Zamek kaniowski</i> [fragmenty]	263
Józef Bohdan Zalewski, <i>Poezye</i> [wybór]	271
Aleksander Groza, <i>Poezye</i> [wybór]	281
Juliusz Słowacki, <i>Beniowski. Poema</i> [fragmenty]	285
Тимко Падура / Tomasz Padura, <i>Pienia</i> [wybór]	293
Bolesław Leśmian, <i>Sad rozstajny</i> [wybór]	314
Jarosław Iwaszkiewicz, <i>Oktostychy</i> [wybór]	323
Ukraina w oczach pisarzy polskich	328
Jędrzej Kitowicz, <i>Opis obyczajów za panowania Augusta III</i> [fragmenty]	328
Michał Czątkowski, <i>Wernyhora, wieszcz ukraiński.</i> <i>Powieść historyczna z roku 1768</i> [fragmenty]	333
Henryk Rzewuski, <i>Pamiętki JPana Seweryna Soplicy,</i> <i>cześnika parnawskiego</i> [fragmenty]	343
Michał Grabowski, <i>Pan starosta Kaniowski</i> [fragmenty]	351
Henryk Sienkiewicz, <i>Ogniem i mieczem</i> [fragmenty]	365
Józef Wittlin, <i>Sól ziemi</i> [fragmenty]	376
Stanisław Vincenz, <i>Na wysokiej połoninie.</i> t. 1 <i>Prawda starowieku</i> [fragmenty]	384
Włodzimierz Odojewski, <i>Zasypie wszystko, zawieje...</i> [fragmenty]	387
Jarosław Iwaszkiewicz, <i>Ogrody</i> [fragmenty]	403

Andrzej Kuśniewicz, <i>Lekcja martwego języka</i> [fragmenty]	406
Eustachy Rylski, <i>Stankiewicz. Powrót</i> [fragmenty]	411
Olga Tokarczuk, <i>Księgi Jakubowe</i> [fragment]	416
Noty biograficzne.....	424





WSTĘPNIAK TO JEST EDYTORIAŁ

Będzie krótko i będzie poważnie.

To jest trzeci specjalny zeszyt „AlmanaXu”, jego wyłącznym tematem jest Ukraina, jej „róża i cierni”. Powstał z potrzeby serca i powstał szybko. Od chwili rzucenia pomysłu do momentu ukazania się numeru minęły mniej więcej dwa tygodnie. Kontekst jest zbyt oczywisty, żeby się rozwodzić. Wszyscy płaczemy i nikt nie wstydzi się tych łez. Wszyscy angażujemy się w pomoc dla krwawiącej Ukrainy i ten numer nie powstał „zamiast”. Słów pada dużo, ale ważne jest realne zaangażowanie. Każde z nas w jakiś sposób włączało się w tym czasie w rozmaite akcje pomocowe, „AlmanaX” rodził się w międzyczasie. Mamy jednak nadzieję, że i on się do czegoś przyda. Chcemy na swój skromny sposób okazać wsparcie Ukraińcom; Polakom zaś chcemy przypomnieć, jak ważna od setek lat jest dla nas Ukraina i jej mieszkańcy – nasze Siostry, nasi Bracia. Nasza wspólna historia widziała również momenty złe i bardzo złe, ale w tej chwili przeżywamy czas wielkiego oczyszczenia, dlatego to dobry moment, by przypomnieć, jak bliscy sobie jesteśmy i jak bardzo ważni dla siebie wzajem.

Numer w pewnym stopniu jest antologią tekstów (i obrazów) historycznych, powstałych w wieku XIX i XX. Zawiera jednak również poetyckie i prozatorskie dokumenty dnia dzisiejszego – powstałe na przełomie lutego i marca 2022 roku w reakcji na bestialską napaść Federacji Rosyjskiej na Ukrainę oraz zbrodnie wojenne i akty ludobójstwa mające miejsce w tych dniach. Te teksty szczególnie są dla nas ważne, stanowią bowiem świadectwo tego strasznego, ale także wzniosłego momentu, w którym przeżywamy organiczną więź ze znów krwawiącą Ukrainę.

Numer powstawał szybko, akcyjnie, „na kolanie” i z pewnością łatwo to dostrzec. Fragmenty tekstu tłumaczyliśmy na ukraiński – czasem przy pomocy translatorów cyfrowych. Wiadomo, co to oznacza – Ukrainki i Ukraińców prosimy o wybaczenie za kaleczenie Ich rodzimego języka. Mamy nadzieję, że widzicie, że to wszystko pisane jest przez łzy, w gorączce, w niepokoju, ale – z miłością, współczuciem, podziwem dla Was.

Слава Україні!

Це буде коротко і буде серйозно.

Це третій спецвипуск «АлманаХ»; його єдиною темою є Україна. Він виник із потреби серця і піднявся швидко. Від моменту появи ідеї до випуску пройшло приблизно два тижні. Контекст занадто очевидний, щоб про нього говорити. Ми всі плачемо і ніхто не соромиться цих сліз. Ми всі намагаємося допомогти стражденній Україні, і цей номер журналу створений не «замість». Сказано багато слів, але важлива справжня відданість, важливі реальні дії. Кожен із нас так чи інакше брав участь у різноманітних акціях допомоги в той час, «АлманаХ» тим часом народився. Втім, сподіваємося, що це теж буде чимось корисним. Ми хочемо показати підтримку Українцям у свій скромний спосіб. Про це хочемо нагадати Полякам наскільки важливими були для нас протягом сотень років Україна та її мешканці – наші Сестри, наші Брати. Наша спільна історія бачила кілька поганих і дуже поганих моментів, але зараз ми переживаємо час великого очищення, тож настав хороший час згадати, наскільки ми близькі і наскільки ми важливі один для одного.

Певною мірою випуск являє собою антологію історичних текстів (і образів) написаних у XIX-XX століттях. Однак у ньому також є поетичні та прозові документи сучасності, створені на рубежі лютого та березня 2022 року у відповідь на жорстокий напад Російської Федерації на Україну, а також воєнні злочини та акти геноциду, які відбувалися в ті дні. Ці тексти для нас особливо важливі, адже вони свідчать про цей жахливий, але водночас і піднесений момент, коли ми переживаємо органічний зв'язок із кровоточивою Україною.

Номер журналу був створений швидко, і це, безумовно, легко помітити. Ми перекладали фрагменти тексту українською мовою – переважно за допомогою цифрових перекладачів. Ми всі знаємо, що це означає – Українки та Українці, будь ласка, вибачте нам, якщо ми понівечили вашу рідну мову. Сподіваємося, ви бачите, що все це написано в слезах, в гарячці і страху, але – з любов'ю, співчуттям, захопленням Вамі.

Слава Україні!



Kontakt z redakcją:

Mail: almanax.redakcja@gmail.com

FB: <https://www.facebook.com/AlmanaX-100172365560354>

Messenger: m.me/100172365560354

Instagram: [@almanax.almanach](https://www.instagram.com/almanax.almanach)

WWW: https://fil.ug.edu.pl/wydzial_filologiczny/instituty/institut_filologii_polskiej/dzialalnosc_institutu/kola_naukowe/kolo_naukowe_teoretykow_literatury_ug



ПОЕЗЈА



Јан Матејко, *Вернигора* / Jan Matejko, *Wernyhora* (1883—1884)

Ще не вмерла Україна

Державний Гімн України

Jeszcze Ukraina nie umarła

Hymn Ukrainy [fragment]

Słowa: Pawło Czubynski

Muzyka: Mychajło Werbycki

Spolszczył: Michał Zarecki

Nie umarły Ukrainy chwała ani wola.

Jeszcze do nas, bracia młodzi, uśmiechnie się dola.

Jak na słońcu pierzcha rosa, nieprzyjaciel zginie,

Zapanujem i my, bracia, na swojej krainie.

Duszę, ciało poświęcimy za naszą swobodę,

I pokażem, żeśmy – bracia – są z Kozaków rodem.

Duszę, ciało poświęcimy za naszą swobodę,

I pokażem, żeśmy – bracia – są z Kozaków rodem.

ДЕРЖАВНИЙ ГІМН УКРАЇНИ

Слова П. ЧУБИНСЬКОГО

Музика М. ВЕРБИЦЬКОГО

Музична редакція М. СКОРИКА та Є. СТАНКОВИЧА

Урочисто $\text{♩} = 78$

С.
А.
Т.
Б.

Ф-но

5

8

f
Ще не вмер - ла У - кра - ї - ни і сла - ва, і

во - - - ля, ще нам, брат - тя мо - ло - ді - ї,

у - сміх - неть - ся до - ля. *tr* Зги - нуть на - ші *tr* во - рі - жень - ки,

Державний символ України
Не є об'єктом авторського права

Przemek Saktura

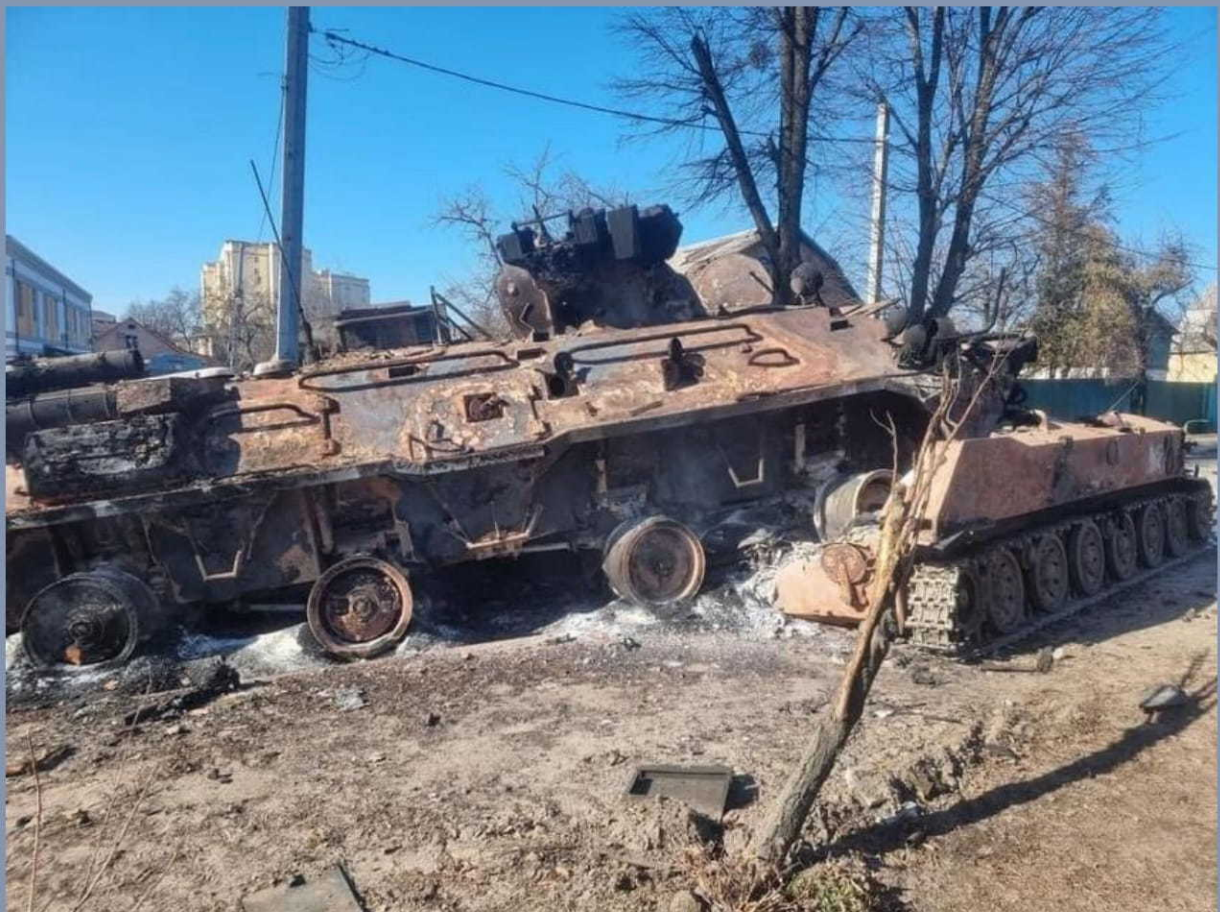
Roszczeniowcy

Mieliśmy coraz większe oczekiwania
Chcieliśmy mieć dobrą pracę i żeby
Było nas stać na mieszkanie

Dziś wystarczy żeby wojny nie było



27 лютого 2022 року, Буча, Київська область / 27 lutego 2022 r., Bucza, obwód kijowski



Julia Kończak

Dzień siódmy

ja to wiem, nie musisz mi o tym przypominać
wiem, że szympansy też tak robią
obserwowała to Jane i wprawiło ją to w takie samo zdumienie
jak teraz my jesteśmy zdumieni tym, co się dzieje
w kraju z flagą w kolorach dojrzałego zboża i bezchmurnego nieba

natomiast z rozważań Tove wynika
że chęć do dawania życia zabili w niej mężczyźni
i tego nigdy im nie wybaczy
i jeszcze, że nie chciała dawać życia istotom
które wyrosną na żołnierzy i zginą w kolejnych bitwach
podczas lektury podkreśliłam to grubą kreską
i dopisałam wykrzyknik

wczoraj ekspert w radiu mówił
że trauma wojenna znika
dopiero
w trzecim
pokoleniu
a trzecie pokolenie właśnie rośnie
i znów nie daliśmy rady
znów zaczynamy odliczanie od początku

a ty mówisz o szympansach
i że nic się nie zmieniliśmy
choć czasami niby inne
żołnierz zamiast listu wysyła do matki

krótką wiadomość tekstową
i o tym, że zginął wie nie tylko ona
ale cały świat

Irina napisała na kartce, że
ma 98 lat, przeżyła Hołodomor, Hitlera i Niemców
przeżyje i liliputa Putina z jego bandą
i ja jej wierzę

tymczasem w schronie, w ostrzeliwanym mieście
urodziło się dziecko
i ptaki z południa lecą, żeby założyć gniazda
w tej części świata
jakby faktycznie nie zmieniło się nic

2.03.2022



3 березня 2022 року, Бородянка, Київська область / 3 marca 2022 r., Borodzianka, obwód kijowski



Яцек Мальчевський, *Вернигора* / Jacek Malczewski, *Wernyhora* (ok. 1900)

Юрій Завадський (Jurij Zawadski)

Schron

Nie ma co tak siedzieć, trzeba coś robić
sprzątać albo wyrzucić z piwnicy zbędne rzeczy,
wreszcie te pustaki komuś oddać, te skamieniałe
gładzie, zaschnięte farby, zagrać w coś
możemy, nie ma co tak siedzieć. –

W „Krokodyla”? – To coś jak „kalambury”? – No,
ty zadajesz, ja pokazuję, reszta
zgaduje, trzeba coś robić! –

W szkole proponowałem założenie
kółka brydża sportowego
dyrektor powiedział, że pomysł wspaniały,
ale nikt nie zrozumie. –

Skojarzenia? – Tak, żeby się odprężyć
po prostu mówisz, co pierwsze
przyjdzie na myśl, kiedy usłyszysz słowo:
pomidor – czerwony, czerwony – ogień
ogień – drewno i tak dalej. –

Nie wiem, wszystkie słowa z głowy
wyleciały, trzeba śpiwór
z kurzu otrzepać – No,
no weź, nie ma co tak siedzieć –
Dobra, niech będzie. Kto zaczyna? – No, ja.
Zmywarka! – Co? Słowo: zmywarka –
Aha! –

Zmywarka? Nie wiem. – Tak po prostu
nie wymyślaj, trzeba powiedzieć pierwsze,
co przyjdzie na myśl, w tym cały sens. –
Dobra, no to to od początku, od zera.
Nie spinaj się. –

Zmywarka?

Tabletka! – Tabletka? – No tak,
tabletka do zmywarki! – Hm, karetka!–
Karetka? – Słowo podobne. – Szpital!–
Rower! – Rower? A czemu rower? – Ja dorastałem
przy szpitalu, koło szpitala jeździłem. Nie zatrzymuj się! –
Rower... Asphalt! – Asphalt? – Przez kierownicę
nosem zaryłem w asphalt... – Cha-cha! Dziura! –
Dziura? Cha-cha: nie ma już dziur. Droga! –
Droga? Remont! – Remont? Rozbiórka! –
Majdan! – Wybuch – Wojna! – Śmierć!
Krzyk!– Grad! – Front! – Noc! – Strach! –
Krew! – Opór! – Siła! – Ukraina! –
Nie bać się! – Ukraina! – Nie bać się! –
Ukraina! – Nie bać się! –

Przełożył Janusz Radwański

Bardzo serdecznie dziękujemy Panu Jurijowi Zawadskiemu za udzielenie zgody na publikację wiersza
Schron. Panu Januszowi Radwańskiemu dziękujemy za zgodę na wykorzystanie jego tłumaczenia oraz
za pomoc w uzyskaniu zgody Autora, z którym w tej chwili – jak i z całą Ukrainą – łączymy się sercem!

Слава Україні!



Luty-marzec 2022 r., metro w Kijowie; fot. PAP/EPA/Сергій Козлов

Luty-marzec 2022 r., metro w Kijowie; fot. Emilio Morenatti / AP Photo



Radosław Wiśniewski (Радослав Вішневський)

ГІМН 2022

Щоранку перевіряю, чи вони живі
Ярина, Віта, Олаф, Борис

Віта пише, що спокійно, першого дня
три вибухи, але потім спокій

Борис підіймає великий палець
пише, що незручно
на задньому сидінні
зі скорострілом дулом униз

Олаф пише, що знадобиться
щось на колесах, чотири на чотири
для швидкої

щоранку перевіряю

ми ще не вмерли

поки вони живі

пер. Остап Ножак

3.03.2022



HYMN 2022

Co rano sprawdzam czy żyją,
Jaryna, Wita, Olaf, Borys

Vita pisze, że spokojnie, pierwszego dnia
trzy wybuchy, ale potem spokój

Borys daje kciuk do góry,
pisze, że niewygodnie
na tylnym siedzeniu
z erkeemem lufą w dół,

Olaf pisze, że przydałby się
jakiś grat, cztery na cztery
na karetkę



co rano sprawdzam.

jeszcze myśmy nie umarli

póki oni żyją

Na poprzedniej stronie wiersz Radka w przekładzie Ostapa Nożaka.



Marysia Wrzeszcz

Nie ma czasu

Z nieba spadają gwiazdy
jak za dziecięcych lat,
lecz nie ma czasu,
by wymyślić życzenie.

Nie ma czasu.

Krwawe bombki płoną
na leśnych choinkach,
ojciec żegna się w drzwiach
i nie mówi, że wróci.

Nie ma czasu.

Z piaskownicy piach wdarł się do domu.
Zasypał nam pamięć, usta, lustra.
Każdy już taki sam.
Mamo, czy wojna już się skończyła?

Nie ma czasu.

Synku, przyślemy ci paczkę.
Synku, gdzie jesteś?
Synku, co się dziś stało?
Tak bardzo chcę cię przytulić.

Mamo, rozerwało nas z ludzkości.

Nie ma czasu.



Stanisław Wyspiański, *Macierzyństwo*, pastel (1903)



28 lutego 2022 r., bliźnięta urodzone w kijowskim schronie, fot. Chris McGrath / Getty Images

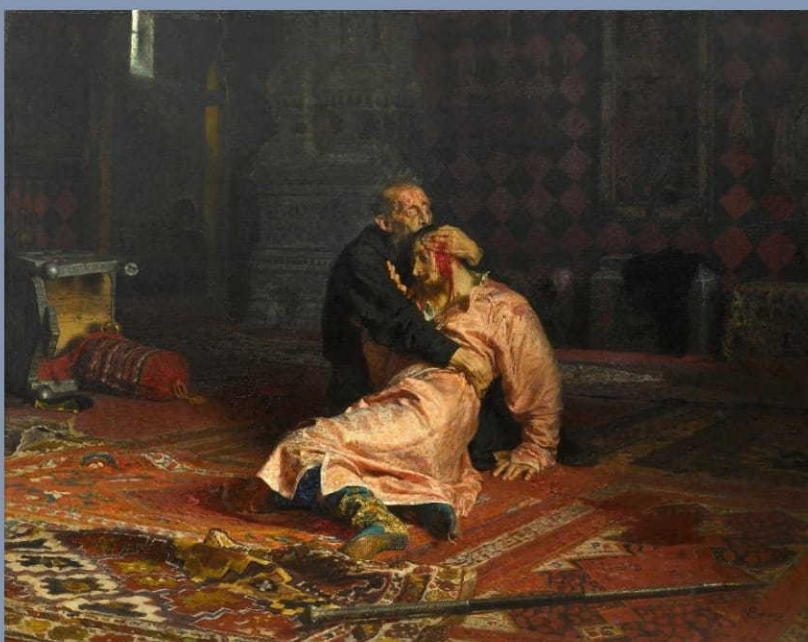
Kuba Kapral

URAZ GŁOWY PAŃSTWA

oto głowa
głowa państwa
głowa państwa ma uraz
uraz głowy państwa
ręce głowy państwa
mówiące o urazie
głowy państwa w rękach
głowy państwa bezpieczeństwo
narodu głowa państwa mówiąca
o bezpieczeństwie głowy
państwo pozbawione głowy
to naród w niebezpieczeństwie
zagrożone istnienie
narodu w rękach głowy państwa
jak pisklak głowa pisklaka
w głowie państwa

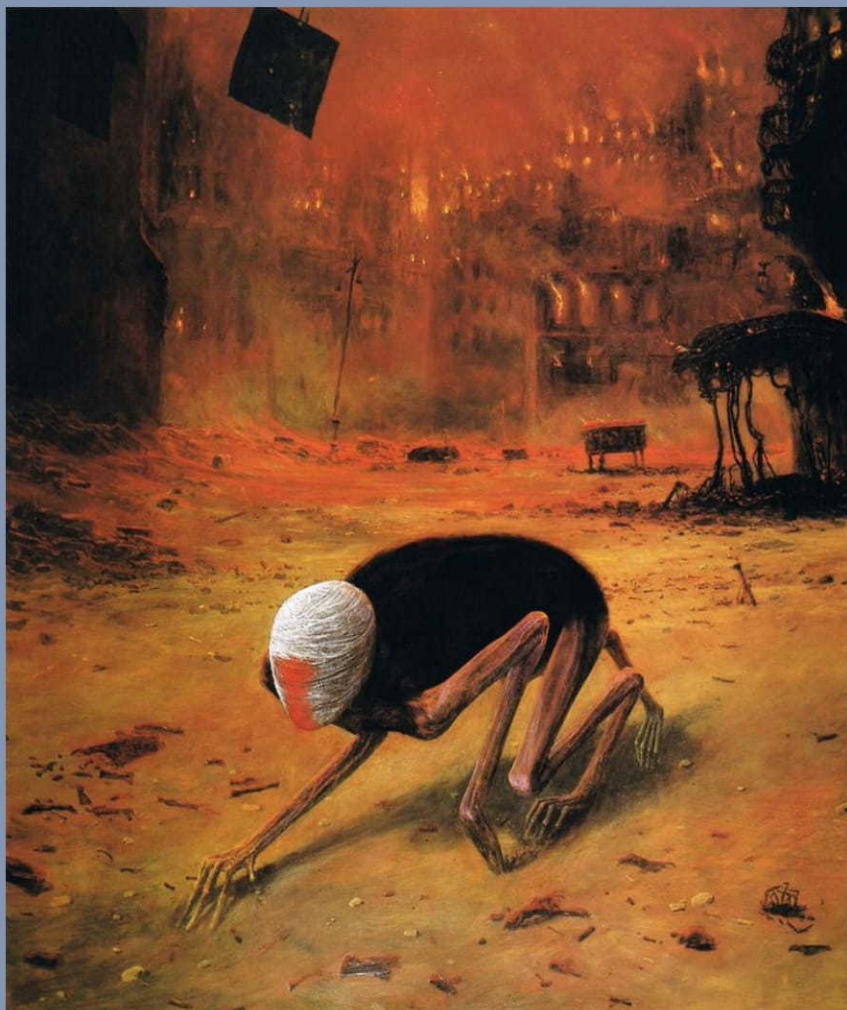
głowa państwa
oddana w ręce narodu
jak pisklak
bez głowy

Ilja Repin, *Car Iwan Groźny i jego syn Iwan 16 listopada 1581 roku* /
Репін Ілля, Іван Грозний і син його
Іван 16 листопада 1581 року
1883–1885



Wojenny portret Siergieja Ławrowa

Pogięte stalowe wsporniki, elementy konstrukcyjne mostów, budynków, pokryte sadzą, pyłem oprószone, odgarnięte z drogi, potem rozległa pustynia, przedpola, widać plamy oleju, może krwi, pierwsza linia okopów, potem druga, oczy miast, ciemne, bez prądu, otoczone zasiekami, zakleszczane ciężkimi powiekami oblężenia, przesłaniają je ekrany, prawie niewidoczne, prostym rurociągiem połączone z radarem w kształcie prężącego się ramienia, na środku masowy grób, naszych, tamtych, cała góra trupów przysypana piachem, wyrzusza się i grzęźnie, dwie, cztery smugi rakiet stanowią oprawę oficjalnego otworu w kształcie otwartej rany, w której bieleją bezimienne nagrobki. Pod tym wszystkim worek, może pełen kości, a może mamony.



Zdzisław Beksiński, *Bez tytułu („Pęłzająca śmierć”)* /
Здзіслав Бексинський, *Без назви («Повзуча смерть»)*
1970

Aleksandra Kasprzak

Zatarg

boli mnie pani w żabce
pisze pod ladą smsy do syna z frontu
kasując sześć heinekenów
pluje skacowanym chłopcom
w otłuszczone kiełbasy ich hotdogów
które trafią do spokojnych żołądków
ululanych żołądeczków co piwko fajeczka
i za dużo snu u niej w uchu
dygot race brzdęk szyb rozerwane pieski
przemykają przed oczami gdy na ladę
ktoś wykłada stos krzyżówek panoramicznych
pięć liter bawią się w nią chłopcy
nie powiedziano jeszcze wszystkiego
telefony spod lady trzymają języki na uwięzi
pani wylizuje ekran gdy nikt nie patrzy
nic nawet że pogoda ładna w takiej aż lżej
ani mru mru
promocje nie łączą się



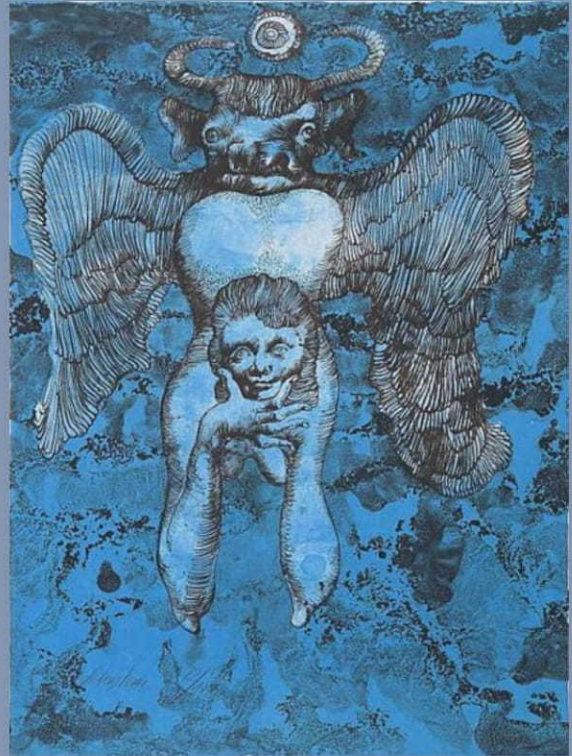
Ilustracja:
Franciszek Starowieyski,
Plakat do opery Albana Berga Lulu
Францішек Старовейський,
Афіша до опери Альбана Берга «Лулу».
1983

Aleksandra Hallmann

Niebo otwarte

Układam głowę na poduszkę
Dziś w nocy niebo nie otworzy się nade mną
A jednak mi cięży cięży mi brak gwiazd
Ciało duszno i skręca się w pościeli
Czy mogę mogę się nazwać człowiekiem?
Spokój ulatnia się a dusza puka w mrok
Gdy opadam w sen myślę o tym
jak w sercu wrzask wybucha wrzask
Jak ogień z nieba ale niebo nie otworzy się
dzisiaj nade mną
Jutro obudzi mnie inny brzask
Czasem nie wiem kim jestem lecz mój smutek
zmienił smak

Może nagle nagle znajdziemy miłość
Od jutra nie puścimy już nic z rąk
Niebo otwarte nad Tobą
Nie wypuszczę Cię już z rąk



Ilustracja:
Jan Lebenstein, *Apogeu*
Ян Лебенштейн, *Апогей*
1972

Bartosz Dłubała

Znaczenia

słowa rozstrzelają się

(01.03.2022)



Andrzej Wróblewski, *Rozstrzelanie VIII (surrealistyczne)*
Андрей Врублевський, *Стража VIII (сюрреалістична)*
1949

Ukraina

Wczoraj skończył się świat kiedy neutralność stała się zbrodnią
Przeciwko ludzkości wysłała się nie wiem nie wiedziałem że to moja sprawa
Nie będę miał dzieci pod skórą w zakamarkach bo się już nie zmieszczą
Między czasem wolnym a czasem wojny w pracy

Jak już się wrzuciło dyszkę do puszki to mniej kamieni wpadanie do serca
Tak mówi mój sąsiad morderca z czwartego piętra

(06.03.2022)



Жюльєн Маллан і Олексій Кислов, *Відродження*, Київ
Julien Malland i Ołeksij Kysłow, *Odrodzenie*, Kijów (2014)

* * *

Stanisławowi Nowyckiemu

Idę na wojnę bronić mojego kraju
To nie będzie counter-strike albo medal of honor
Zostawię first-person shooter w tyle w temacie rozmowy
Dla moich przyjaciół z terenów unii europejskiej

(06.03.2022)

Stanisław Nowycki

Ukraiński poeta urodzony w 2000 roku. Student Narodowej Akademii Gwardii Narodowej Ukrainy w Charkowie. Obecnie na froncie. Na następnych stronach publikujemy jego wiersz napisany 6 marca w bombardowanym Charkowie.



Іван Марчук, *Чари місячної ночі* / Iwan Marczuk, *Magia księżycowej nocy* (2005)

Бартош Длубала (Bartosz Dłubała)

* * *

Станіславіві Новицькому

Я йду на війну, щоб захищати свою країну
Це не буде counter-strike чи medal of honor
Я залишу first-person shooter в темі розмови
Для моїх друзів з Європейського Союзу

(03.06.2022)

Переклад українською мовою Тадей Карабови

Przetłumaczył na język ukraiński Tadeusz Karabowicz

Станіслав Новицький – український поет 2000 року народження. Студент Національної академії Національної гвардії України в Харкові. В даний час на фронті.



Микола Кривенко,
картина із серії *Туман і дим*

Mykola Krywenko,
praca z cyklu Mgła i dym
2007

Станіслав Новицький

* * *

Воскресни із полум'я
і нехай біля цього
вогнища
виросте калина
нехай вона буде
високою
нехай вона щовесни
сниться мені своїм
білим цвітом

Нехай я згадаю про
тебе
як про мить мого
життя
поміж садом і
терновими
гіллями

Пробач мені
цей білий цвіт на
каліні
пробач мені ту забуту
мить
літнього вечора
на берегах річки
Сіверський
Донець

6 березня 2022
м. Харків

Stanisław Nowycki

* * *

Zmartwychwstań z płomienia
i niech obok tego
ogniska
wyrośnie kalina
niech będzie
wysoka
niech każdej wiosny
śni się dla mnie
białym kwiatem

Niech wspomnę
o tobie
jak mgnienie w moim
życiu
między sadem i
cierniem
gałęzi

Wybacz mi
ten biały kwiat
kaliny
wybacz mi tę zapomnianą
chwilę
letniego wieczoru
nad brzegiem rzeki
Siewierski
Doniec

6 marca 2022
Charków

Переклад на польську мову Тадей Карабович
Przetłumaczył na język polski Tadeusz Karabowicz



Jan Stanislawski, *Lato*
Ян Станіславський, Літо
1902

Grażyna Świętochowska

* * *

Pełzająca umościła się pod naszą skórą
Larwa wszystkich prywatnych kryzysów
Pies przy obcym zawodzi
Lampa, ten domowy księżyc w pełni
Łasi się do nocnego zwierzęcia
uczy je przeciągać front kliknięciem ekranu

Анатолій Криволап, *Стадо* / Anatolij Krywolap, *Stado* (2012)



* * *

Wiersz ze stycznia przyjmą
I wydrukują może.
A po tym terminie
Google Street view
Odklei się od siatkówki
Na straży dna oka
Nasączona benzyną szmata
Trzecia światowa od tłustego czwartku
Leniwego grubego kota kulka szuka
Byle tylko „dym rzedniał, opadał deszcz piasku”
Byle żołnierz spieszy z plastikową siatką
Między alejkami mięsa
Bo ogłoszono cennik na ósmy dzień tygodnia
Błysk światła grzmot błysk światła grzmot
Trzeba ograniczyć zakupy
Problemy z płatnością
I przydatnością do życia



Олександр Животков, Робота No1 серії Дороги. Направлення Северо-Восток
Olexandr Zhyvotkov, Praca No 1 z cyklu Drogi. Kierunek północny wschód
2013

Kasia Szurko

WIOSNA 2022

Kolejna gorzka wiosna,
która zamiast odrodzeniem
spowija obłokiem umierania
i stawia pod znakiem zapytania
następne pory roku.
Bo jak tutaj witać krokusy,
kiedy wiadomo, że kawałek dalej
tuż za płotem
krokusy zdychają pod gruzami,
pączki zielone nigdy nie rozkwitną,
a zmrożone łzy leżą pośród przebiśniegów.
Jak tutaj witać coraz śmielsze słońce,
które dla kogoś wstaje po raz ostatni,
jak słuchać porannych ptaków,
kiedy się nie wie, co zwiastują
i jak żyć,
kiedy inni nie mogą.

Chciałabym powiedzieć,
że mam tutaj jakąś ładną puentę,
ale jak spuentować wiersz
pisany w dzisiejszych czasach.



Ilustracja:
Edvard Munch, *To kvinner i landskap*
Едвард Мунк, *Дві жінки на тлі пейзажу*
1897–1899

Тіберій Сільваші, *Без назви*
Tyberiusz Silwaszi, *Bez tytułu*
2005



Weronika Zyskowska

Wiersz na zamówienie

Słowa wyhodowano jak tuczniaki na ruinach
Zamku rodziny Kapusiowatych. Są jak plastelina,
Przylegają do sytuacji, by nadać im znaczenie.

Dziś nie liczą się intencje, tylko to, jak
jest.

Jest taka gra, że wystawia się pionki na planszy.
Jest takie przekonanie, że to taka zabawa.

I są takie role, które nie nam przypadły
I słowa Homo Artifex, co chcą być orderem
Na dziurawym mundurze oficera.

Coś Ci powiem: tu nigdy nikogo nie było
Nie ma żadnych ofiar, prócz kilku ludzi

Wstrzymaj oddech.

Nikt nie nadchodzi.



Тіберій Сільваші, *Без назви*
Tyberiusz Silwaszi, *Bez tytułu*
2013

Zbigniew Milewski

Pożegnanie z córeczką

Obudziłaś się, córeczko od wybuchu bomb,
zobaczyłaś w tle córeczko, jak się ściany tłą,
jak się na nich cienie ludzi w szale wiją, nikną,
wypalane jak graffiti farbą agoniczną.

Nie urośniesz już, córeczko bez lęku o dom,
kiedy z nieba może padać śmiercionośny złom,
kiedy modlisz się, by w nocy nie spadały gwiazdy,
choć w dzieciństwie ich spadanie chciał zobaczyć każdy.

I ubrali cię córeczko i wywieźli w noc,
i poczułem jak się w sercach narodziła złość.
Wyjechałaś ja musiałem zostać bronić ziemi,
czy spotkamy się córeczko tego już nie wiemy.

8 marca w czasach wojny

Życzę w postach Kobietom
Szczególnie z Ukrainy
S-pokoju - nie bomb
Żeby bez traumy kwitły
I zwyciężały



Matka Płacząca za Wszystkich

Już nie mają wina
– powiedziała Maria-
Na weselu w Kanie
I na Ukrainie
W Polsce i w Europie
W Rosji i na świecie

Wszędzie głoszą wojnę
Ona chce pokoju

Dzisiaj Matka Boska
Płacze bez objawień
Chociaż w Ewangeliach
Nie ma żadnej wzmianki
O łzach ze zmartwienia
Nawet na Golgocie

Święci są zajęci
W niebie posługami
Którym patronują
Tylko Ona Płacze
Nad ziemskimi dziećmi



Ilustracja: Giovanni Bellini, *Pietà* (ok 1505)
Na poprzedniej stronie: Stanisław Wyspiański,
Helenka z wazonem (1902)

Haiku – notatki związane z wojną na Ukrainie

I

kobiety wojny
karabin lub uciezka
z płonących domów

wózki dla dzieci
czekają na peronie
małych uchodźców

darmowy przejazd
pociągiem dla uchodźców
z Polski do Niemiec

Kijowa broni
Rasputica – roztopy
na Ukrainie



Bronisław Wojciech Linke,
Absorbpcja rzeczywistości
1958

II

snajperzy z Rosji
uwięzieni przez stróża
nie strzelą z dachu

wciąż na pancerze
koktajle mołotowa
najskuteczniejsze

cygan nie kradnie
czołgów chłopci też nie kradną
tylko wywożą

zdziczały krowy
bezdome psy koty i
zwierzęta z zoo

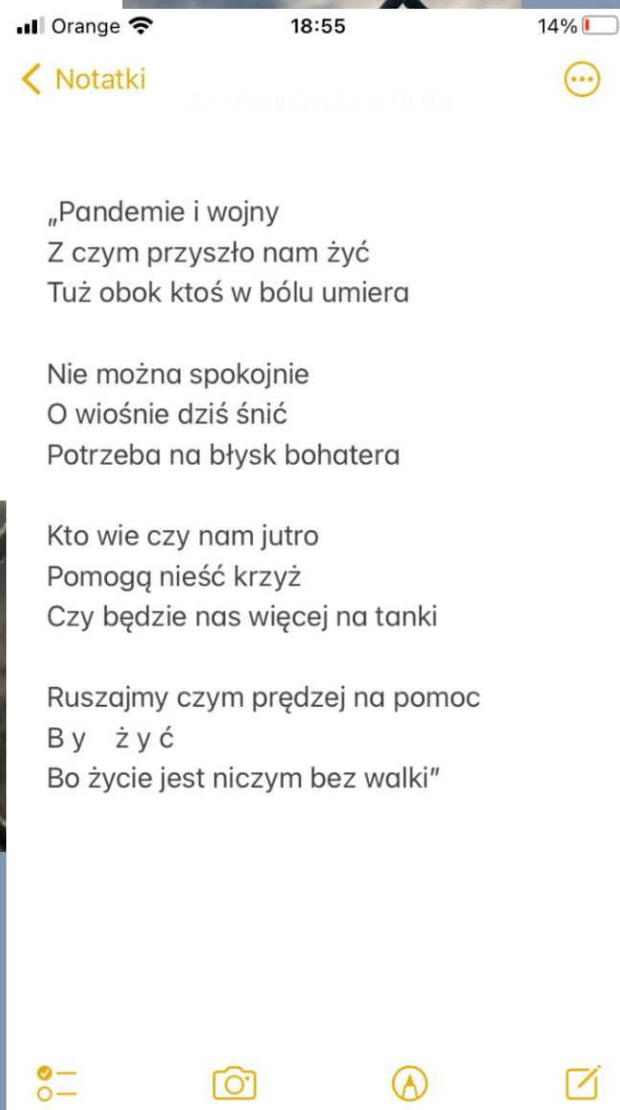
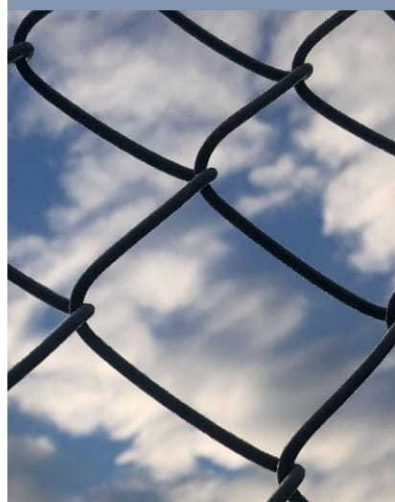
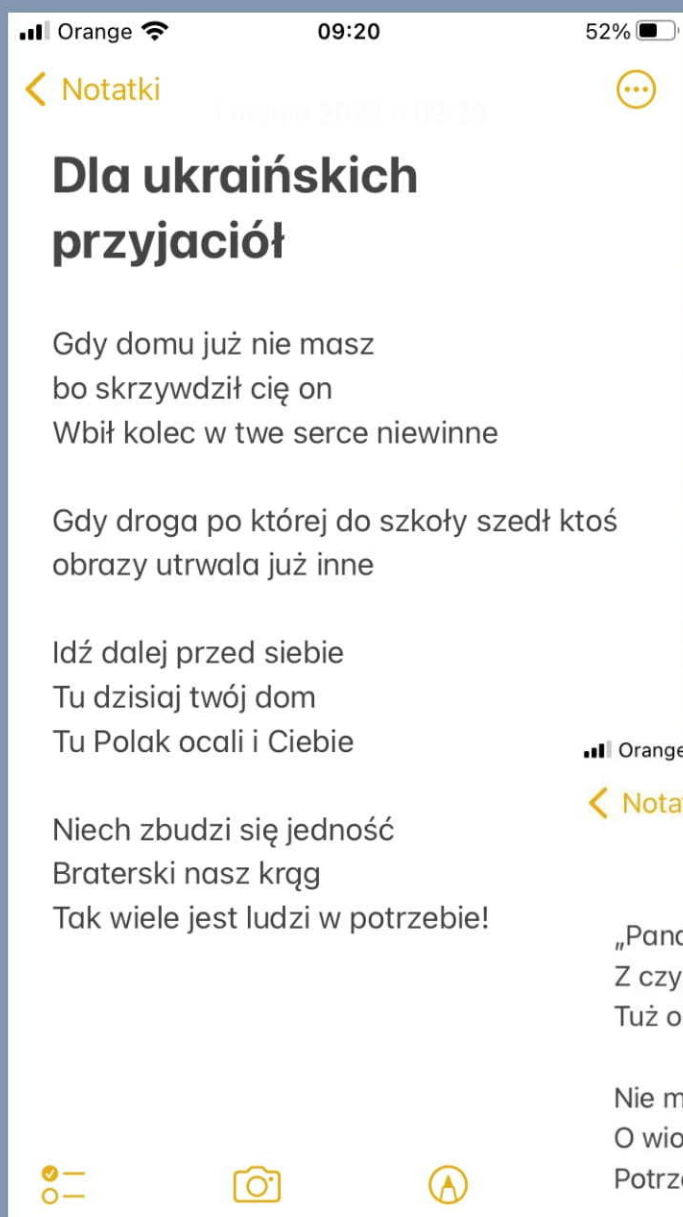
III

na Ukrainie
dziś wojna i Popielec
popiół czy diament

Jan Lebenstein,
Kompozycja ze zwierzętami
l. 70. XX w.



Malgorzata Rocławska-Daniluk





Joana Ginter

Pòrcelana. Dialodzi z pòezją

*Różowe moje spodeczki,
Kwieciste filiżanki,
Leżące na brzegu rzeczki
Tam kędy przeszły tanki.
[...]
Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany.*

(C. Miłosz)

Nie czas je nad krëchima taskama sã żólëc,
czej palą sã téż jinszé statczy w całi chëczë.
Na różewim tępichù widzec szlachë pancra;
plóchtą z gardinë w kwiatë môrtwą chëcz òbleczë.
Rozkradlé kòsztownoscë, bizuteriô, fùtra —
le nôbarzi to, proszã wastë, żól mie stòrégò kòmpùtra.

Żól òdjimków, co na nim pòzebróné,
przëbòczywałë ò piãknëch sztótach,
wiòldżich rézach i mółëch redotach,
jak gebùrstach czë szpacëra z òmą.

Żól tëch wszëtczich projektów, planów
i pòrtfòlio fùl nôlepszich dejów,
pierszich wiérztów, artiklów, esejów,
co sã wzałë z mëslów bałaganu.

I chòc wszëtkò, co mómë, wierã nie doždô jutra —
nôbarzi to, proszã wastë, żól mie stòrégò kòmpùtra.

*Jeżeli porcelana, to wyłącznie taka,
której nie żal pod butem tragarza
lub gąsienicą czołgu [...]*

(S. Barańczak)

Żelë pòrcelana, to wiedno z Ikeji,
cobë w cëzym kraju bez jiwrow kùpic zestòwk
jistny jak nen, co òstòł doma.
Żelë «doma», to blós jakno najimca;
żelë drëszë, to le pòza grańcama,
abë bëło dze przëjachac, czej na chëcz zwali sã bómba.
Żelë dokùmentë, to zapisónë w blónie,
żelë ksążczy, to leno e-bùczy —
do òdczitu w pamiãcë mòbilczy.
Żelë dëtczi, to w bankù w Szwajcarie.

Nicht nie rzeknął, że twój plac je na wiedno —
leno zmiana nie slëchò zmianóm.



Pablo Picasso, *Nature morte au crane*
Пабло Пікассо, *Натюрморт з черепом*
1960

TOKA

* * *

Dziś usłyszałem w nocy krzyk
Nie wiem, czy ptaka czy człowieka
Znów w nocy miałem dziwne sny
Choć przecież wiem, że na mnie czekasz

Że czeka dom i ciepła sierść
Twój głos i stukot łąp na schodach
To wszystko ciągle gdzieś tam jest
Wciąż czekasz na mnie, moja droga

Widziałem krew zmieszaną z błotem
I jasne twarze poranione
Tych, co nie chcieli przed nalotem
Przejsć na bezpieczną rzeki stronę

Myśmy zdążyli z przyjacielem
Którego imię znam, nic więcej
Bo nie mówiliśmy za wiele
Przy ogniu grzejąc zimne ręce

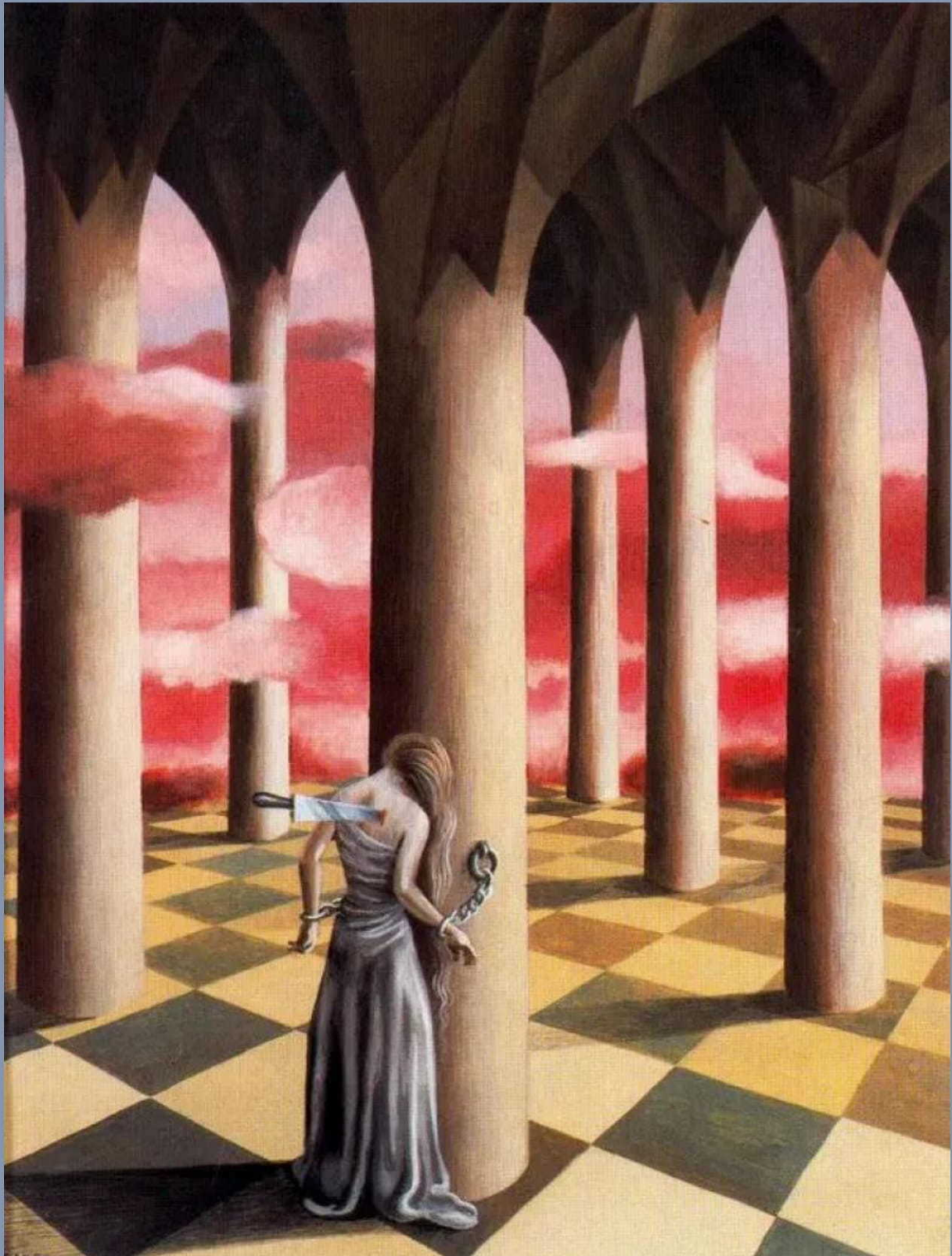
Pod jednym niebem las i my
Ty w jasnym domu i krew w błocie
Znów w nocy miałem dziwne sny
Choć ponoć tamci są w odwrocie

Może się uda, ukochana
Może ochroni mnie modlitwa
I znowu będę śnił do rana
Że po kryjomu do mnie przysłaś

Jedno nie daje mi spokoju
I wybacz, jeśli Cię zasmucę
Wystarczy chwila, świst naboju
Wystarczy chwila – i nie wrócę

Ty wtedy sprzedaj dom i ziemię
Weź smycz i psa i kosztowności
Gdy będę tylko już wspomnieniem
To w nowej znajdziesz mnie miłości

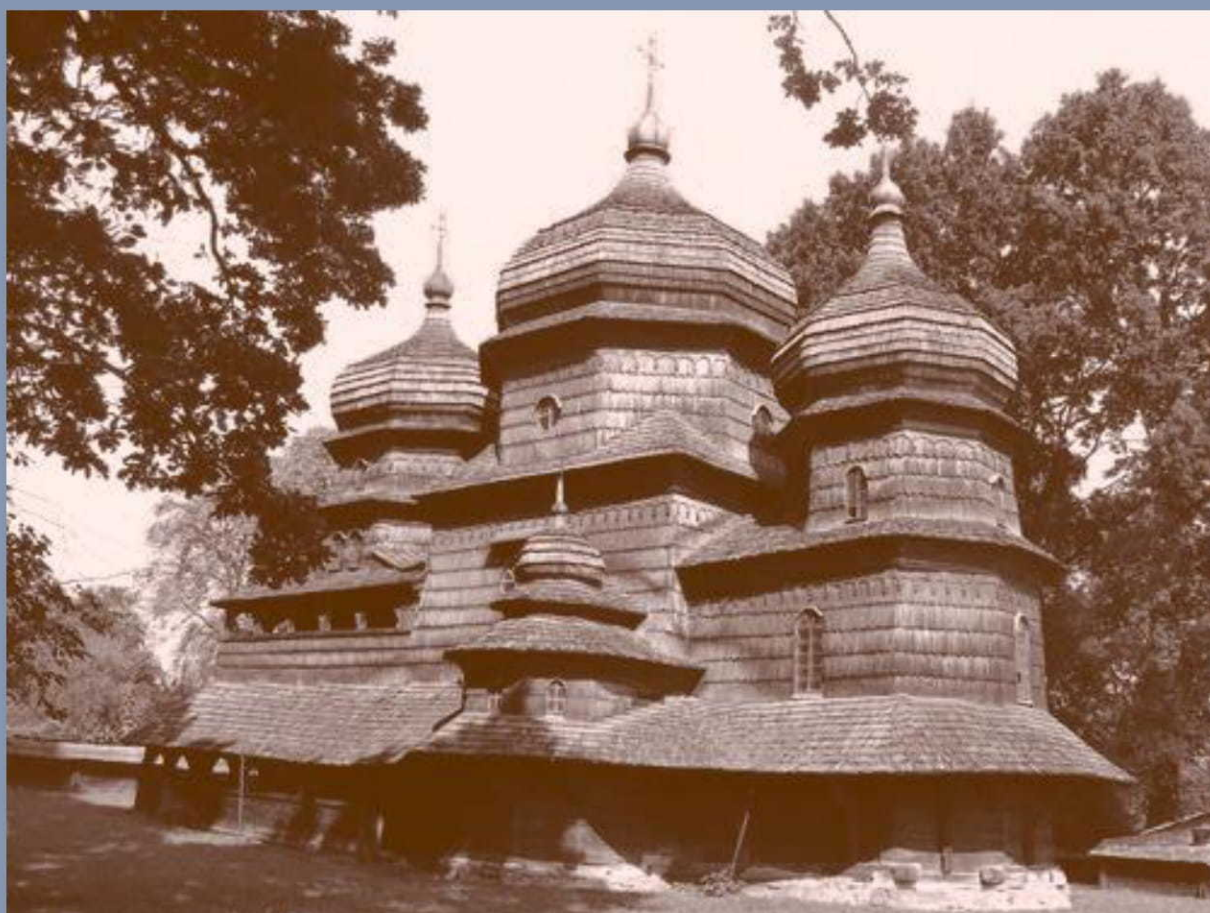
Chcę, byś szukała w innej twarzy
Tego, co w mojej już nie błysnie
I tylko czasem niech się zdarzy
I tylko czasem – Ci się przyśnię



Remedios Varo, *Dolor reumático I*
Ремедіос Варо, *Ревматичний біль I*
1948



ΦΟΤΟΓΡΑΦΙΑ



Аляксандра Мурашка (Aliaksandra Muraszka)



Житачів, Київська область, вид на Дніпро, квітень 2021 року.
Żytaczów, obwód kijowski, widok na Dniepr, kwiecień 2021 r.



Київ, літо 2021 року
Kijów, lato 2021

Чернігів, липень 2021 року
Czernihów, lipiec 2021





Чернігів, Спасо-Преображенський собор побудований в 11 столітті, липень 2021 року
Czernihów, Sobór Przemienienia Pańskiego zbudowany w XI wieku, lipiec 2021 r.



Одеса, травень 2021 року
Odessa, maj 2021

Одеса, липень 2021 року
Odessa, lipiec 2021 r.





Дніпро, серпень 2021 року
Dniepr, sierpień 2021



Чернівецький університет
Uniwersytet w Czerniowcach

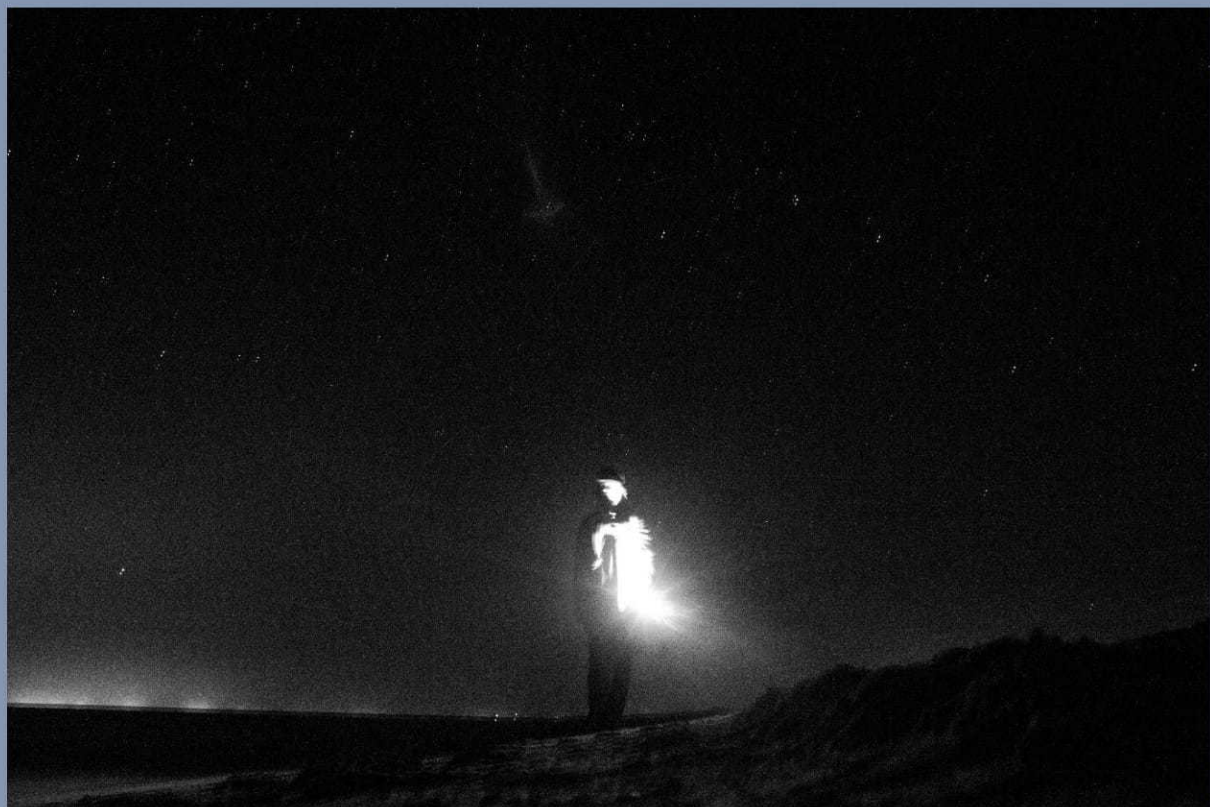
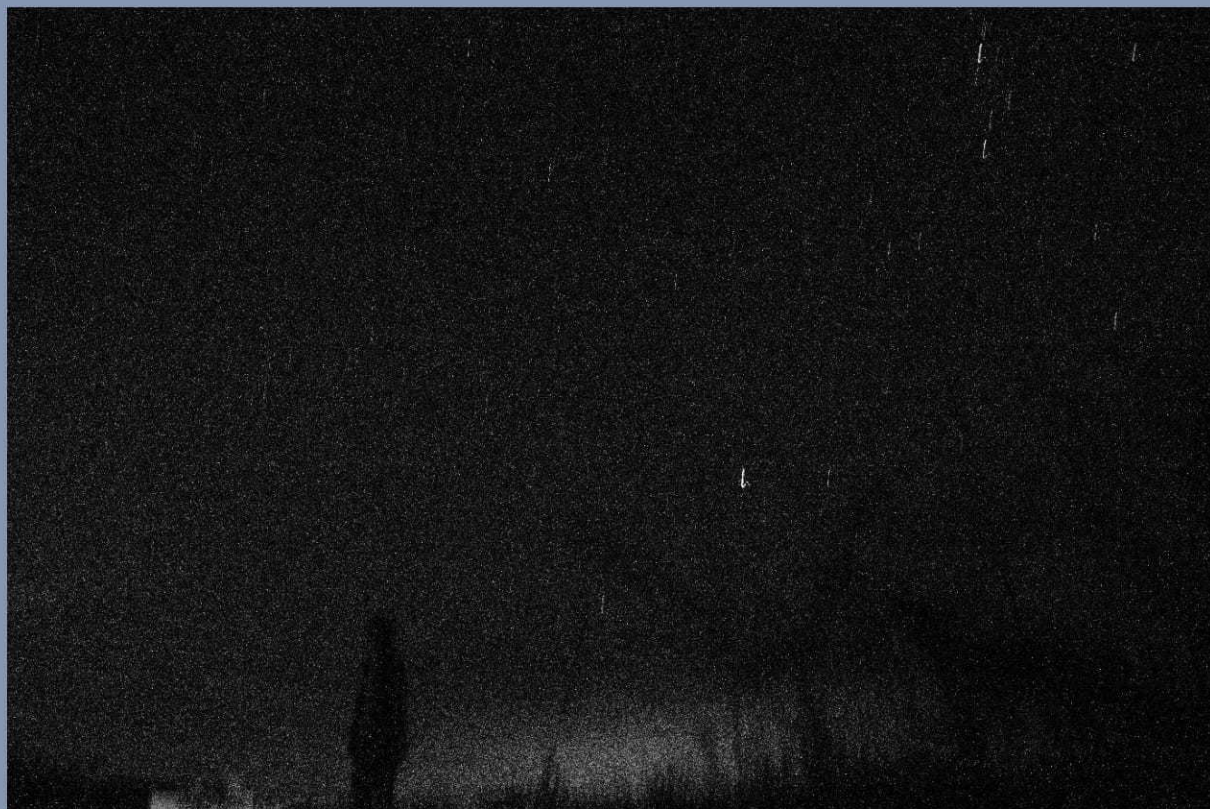


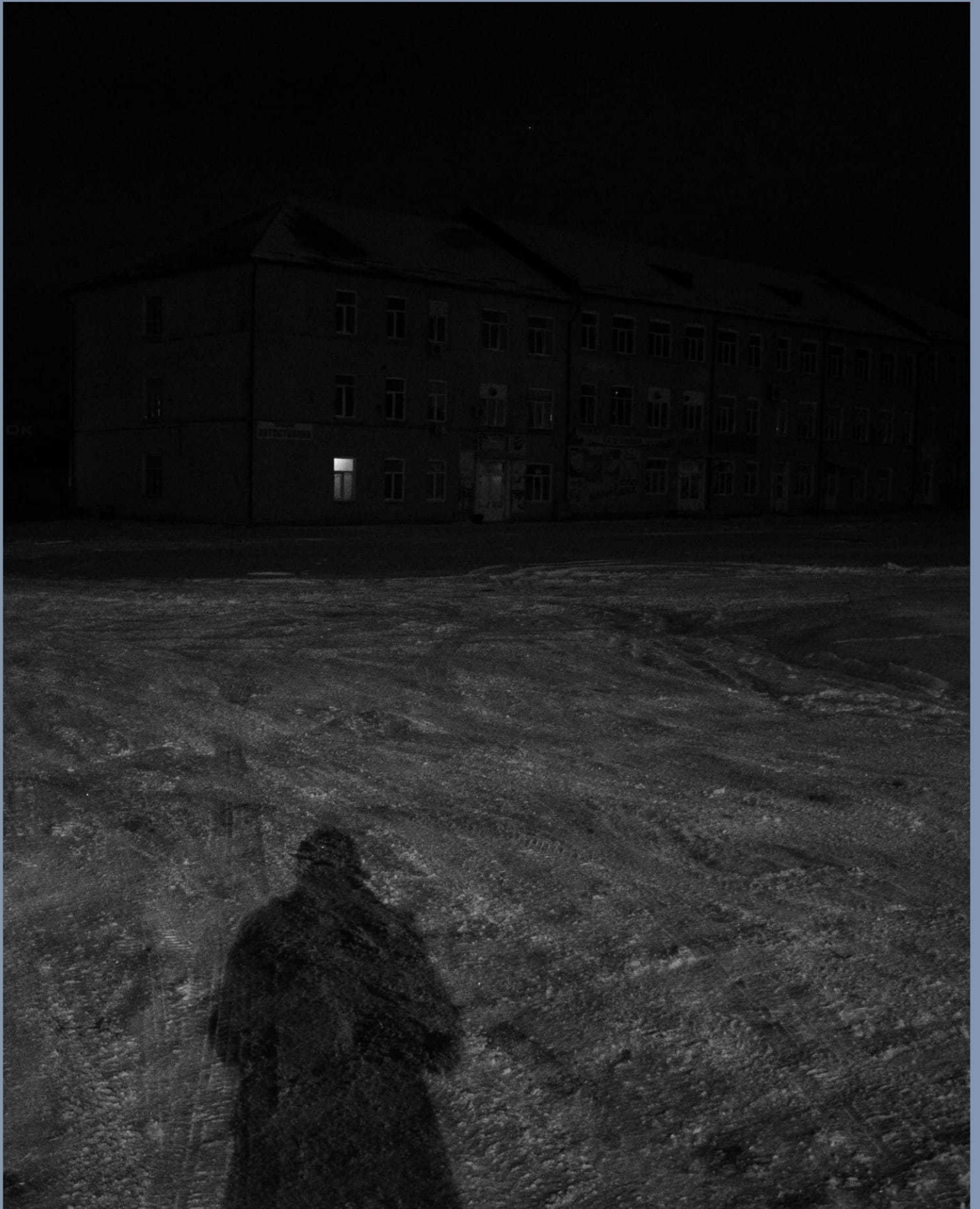
Івано-Франківськ, травень 2021 року
Ivano-Frankivsk, maj 2021

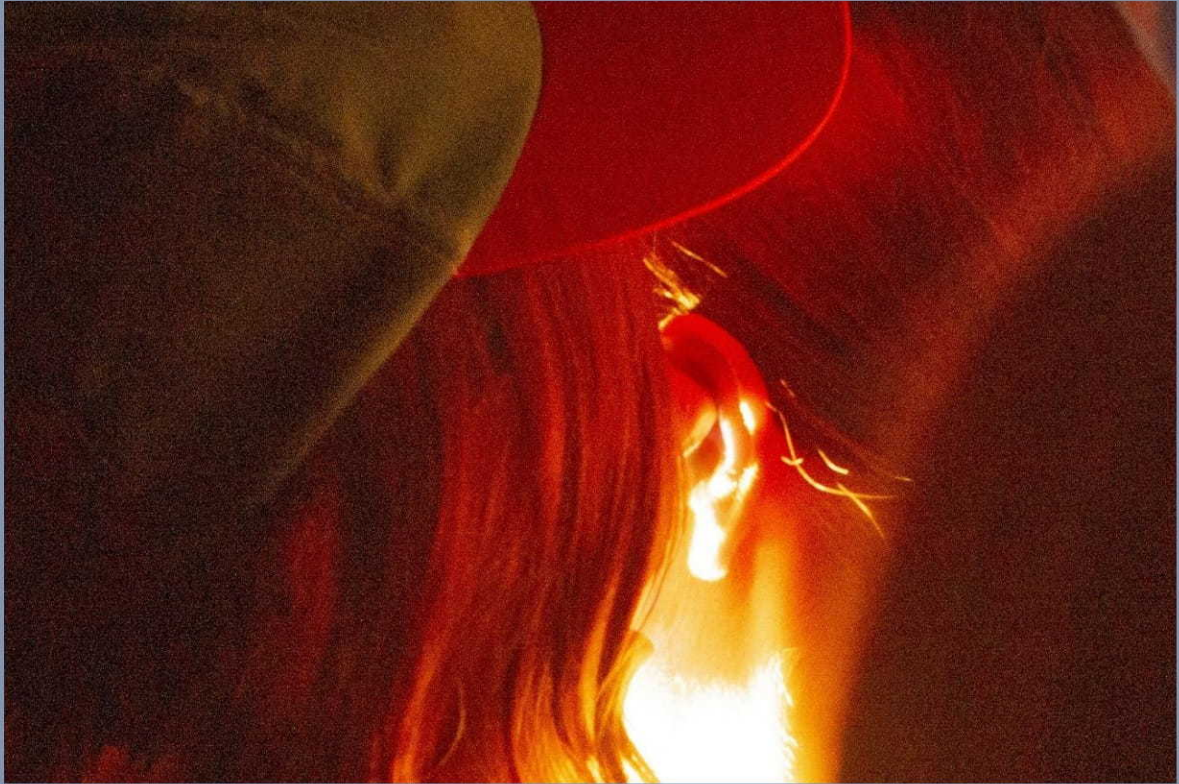


Замок у Подгорцах, травень 2021 року
Zamek w Podhorcach, maj 2021

Валерія Лесик (Walerija Lesyk)

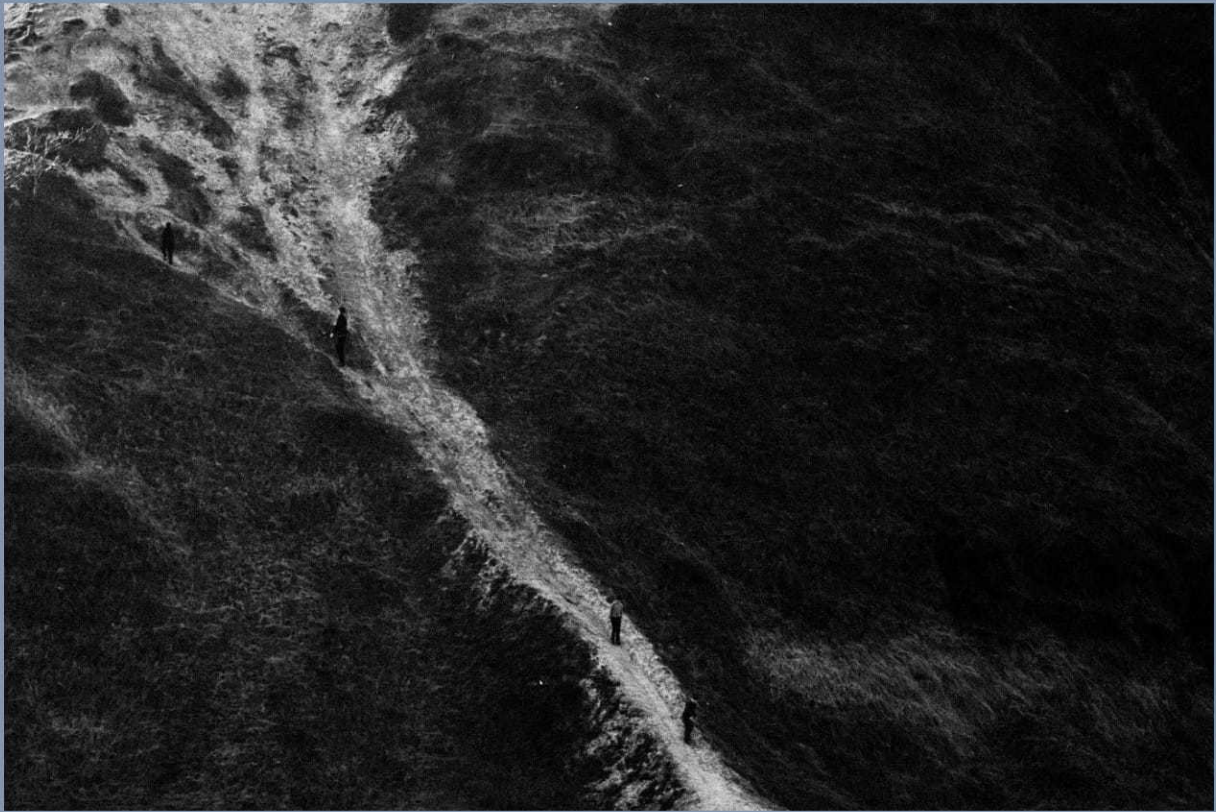
























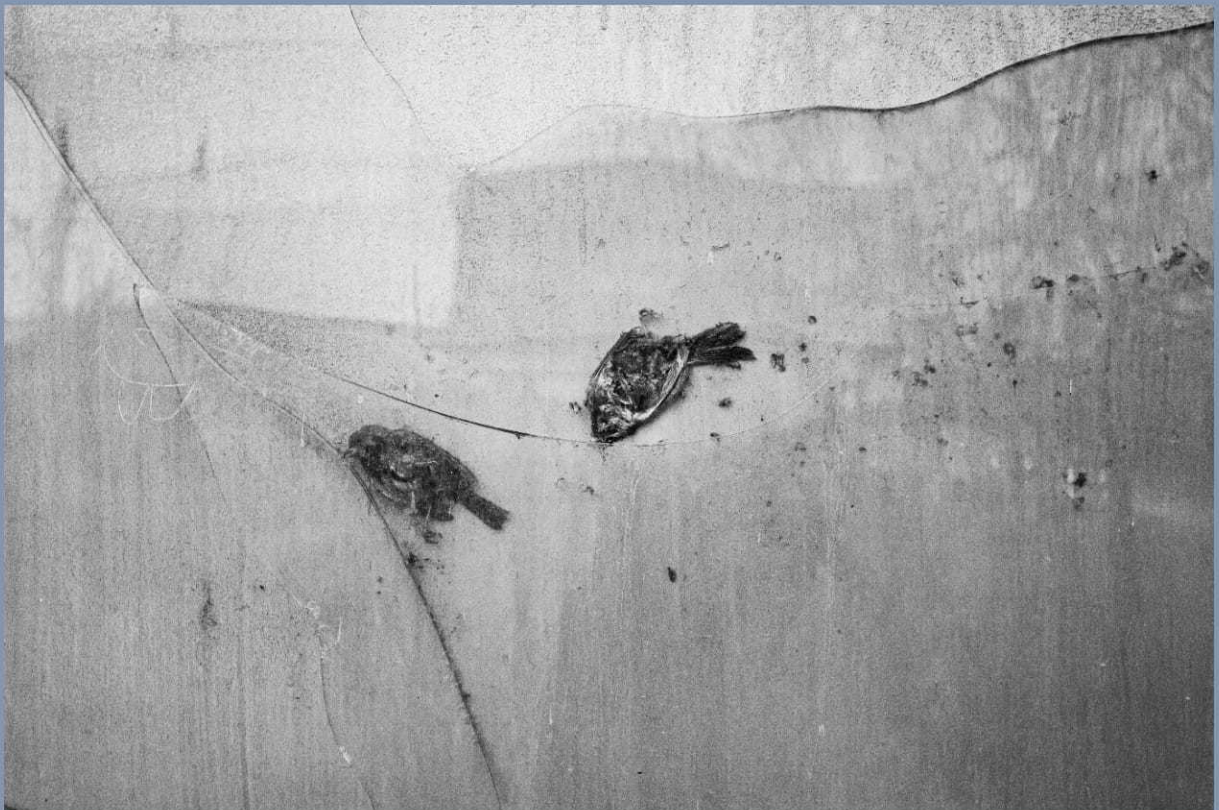








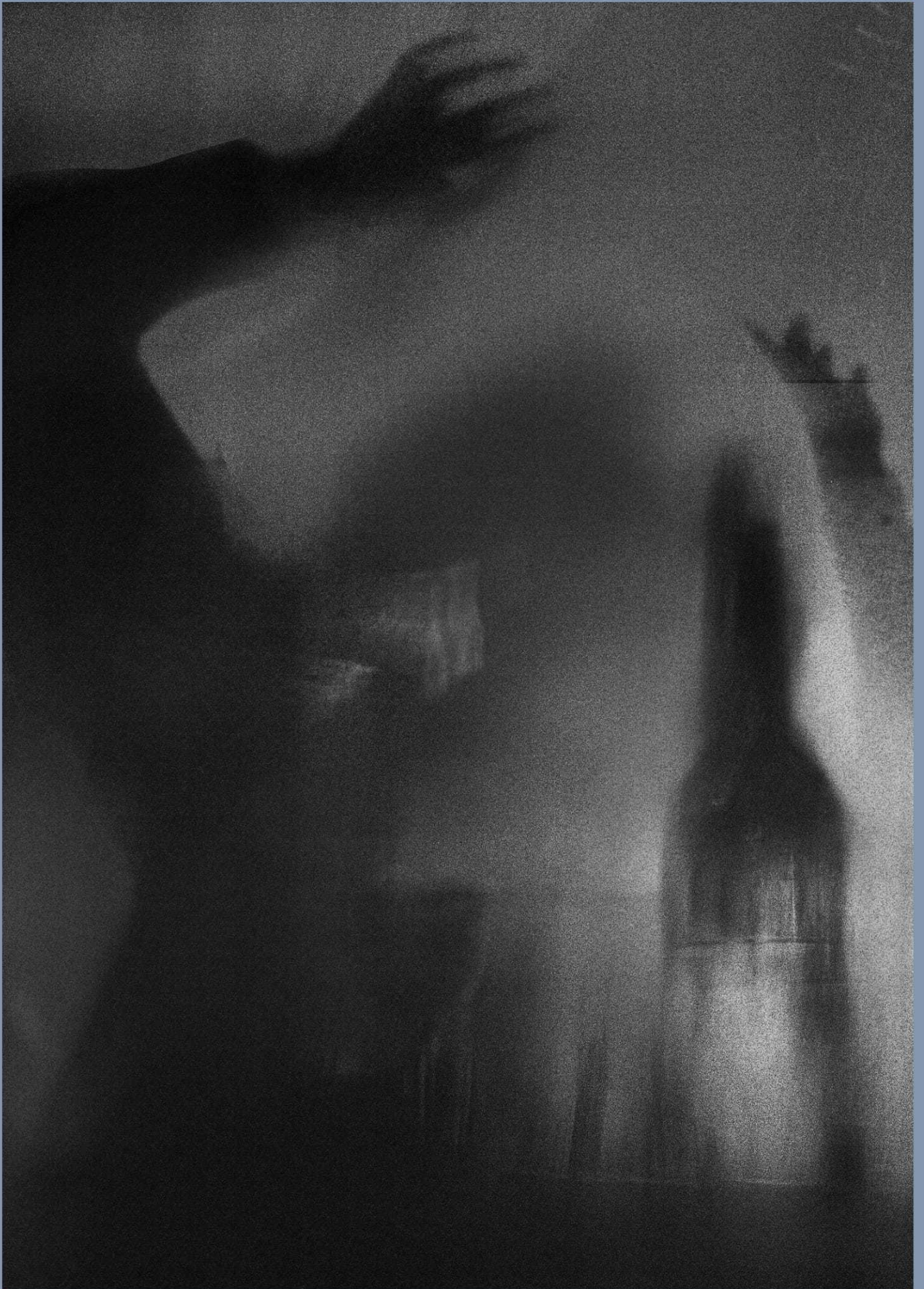




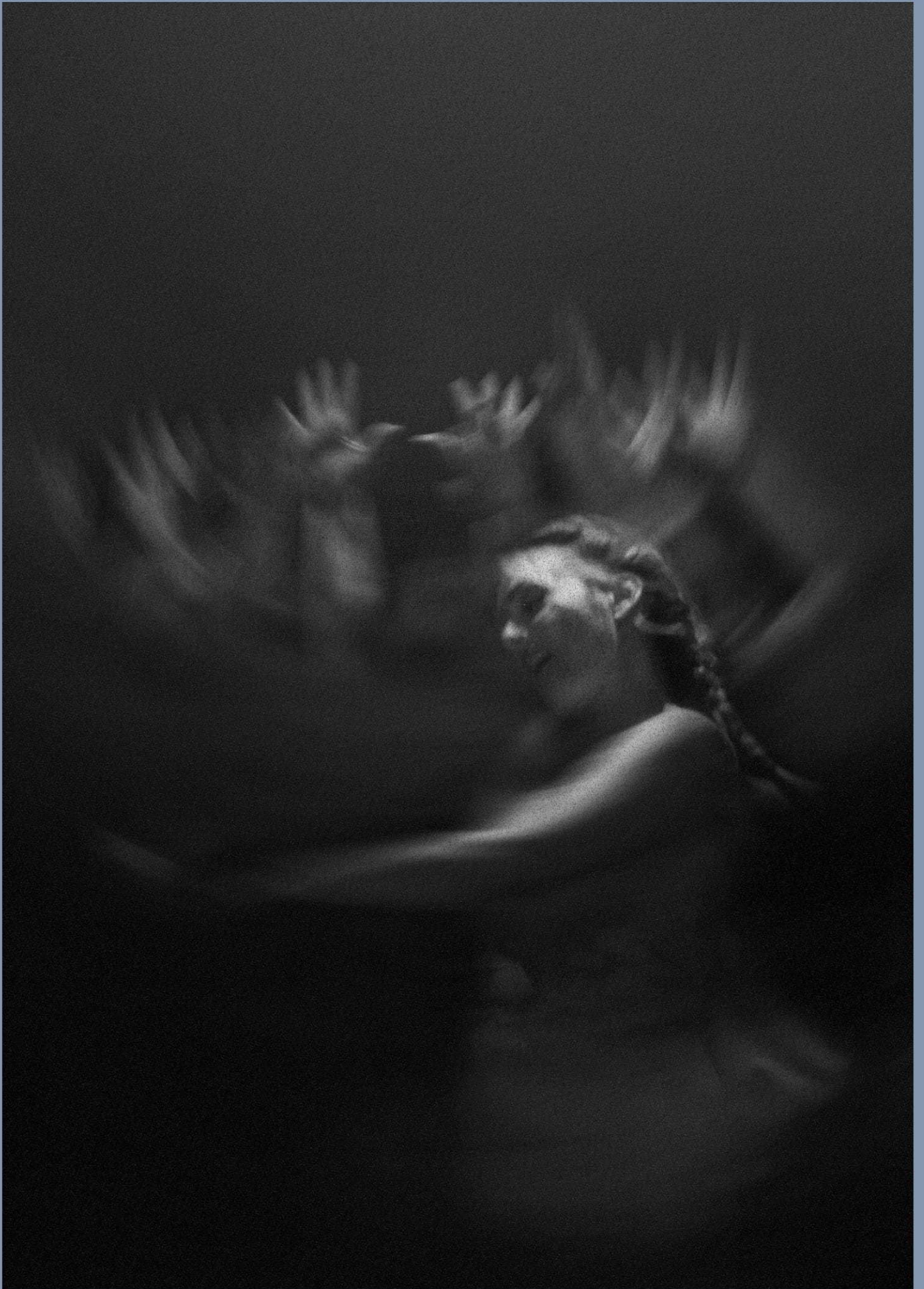
Валерія Лесик (Walerija Lesyk)

Ilustracje do książki Geo Szkurupija *Drzwi do dnia*

















PROZA INTYMNA



Julian Fałat, *Śnieg* / Юліан Фалат, *Сніг* (przed / раніше 1929)

Artur Nowaczewski

Opowieść o mieście¹

„Rezygnuję ze wszystkich żądań: sprawiedliwości, prawdy, rezygnuję z prób podporządkowania ideałów własnemu życiu, rezygnuję ze wszystkiego, co jeszcze wczoraj uważałem za konieczne by dobrze zacząć albo dobrze skończyć. Prawdopodobnie z siebie samego też bym zrezygnował, ale nie mogę. Bo kto zostanie, jeśli wszyscy wyrzekniemy się siebie i uciekniemy w swój strach? Komu zostawić miasto?

Kto mi go będzie strzegł, kiedy mnie nie będzie, kiedy będę szukał siebie po śmietniskach ludzkich dusz, kiedy będę się tak błąkał, bezbronny i zmęczony, w gorączce, kiedy będę dziwił się rozmiarowi mojej osobistej klęski? Kto będzie strzegł mojego miasta, moich przyjaciół, kto wyprowadzi Vukovar z ciemności? Nie ma barków silniejszych niż moje i wasze, i dlatego, jeśli to nie jest dla was zbyt trudne, jeśli zostało w was coś z młodzieńczej iskry, przyłączcie się.

Ktoś dotykał moich parków, ławek, na których wryte są wciąż wasze imiona; cienia, w którym jednocześnie pierwszy raz pocałowaliście i zostaliście pocałowani – ktoś po prostu ukradł to wszystko, bo jak wytłumaczyć, że nawet cienia nie ma?

Nie ma witryny, w której podziwialiście swoje szczęście, nie ma kina, w którym obejrzelście najsmutniejszy film. Wasza przeszłość została po prostu zburzona i nie macie już nic. Musicie od nowa budować. Najpierw swoją przeszłość, szukać swoich korzeni, następnie swoją teraźniejszość, a potem, jeśli zostanie wam siła, włóżcie je w przyszłość. I nie bądźcie w przyszłości sami.

A miasto, o nie się nie martwcie, ono było w was przez cały ten czas. Tyle że ukryte. By kat go nie odnalazł. Miasto – to wy”.

(Siniša Glavašević, *Opowieść o mieście* w przekładzie Marka Włodkowskiego)

Autorem tej krótkiej prozy jest Siniša Glavašević, chorwacki dziennikarz i prozaik z Vukovaru, który pracował w tutejszym radiu. Miasto było przez kilka miesięcy obleżone przez wojska serbskie. W początkach listopada 1991 roku Glavašević został ranny i znajdował się w szpitalu. 12 listopada z tamtejszej piwnicy wysłał faksem 24 krótkie opowiadania, które potem prezentowano w zagrzebskim radiu. Zaledwie tydzień później Serbowie zdobyli Vukovar, a ponad

¹ Tytuł eseju Artura Nowaczewskiego to jednocześnie tytuł mikroprozy Sinišy Glavaševicia, z której również pochodzi cytat w tekście.

250 żołnierzy i cywilów rozstrzelano, większość z nich stanowili pacjenci szpitala, wśród nich znalazł się również 31-letni Glavašević.

W ostatnich dniach stykamy się z ukraińskimi uchodźcami, których przyjmujemy w Polsce, tymi którzy z Ukrainy wyjeżdżać nie chcieli, ale zostali do tego zmuszeni, nie wiedząc, czy kiedykolwiek wrócą, czy będzie do czego (a przede wszystkim do kogo) wracać. Nie wszyscy mogli z Ukrainy wyjechać. Zostali też ci, którzy wybrali trwanie u siebie z wewnętrznej potrzeby. We wszystkich ukraińskich miastach zostali ludzie, „którzy są miasto”, którzy chcą je zachować w sobie, chcą o nie walczyć, nie chcąc podążać „ścieżką wygnania”.

Opis Glavaševića jest delikatny, unika naturalizmu, właściwie poetycki. Gdy widzi się w mediach zbombardowane miasta, oczywistym się staje dlaczego chorwacki autor pisał o parkach, o braku cienia, który dawały jego ulubione drzewa. Gdy w bezpośredniej bliskości drzew spada pocisk, pozostają po nich skrawki pni, postrzępione kikuty. Gdy pisarz pisze o witrynach



sklepowych, to znaczy, że widział jamy okien, w których nie ma szyb, zmielony z meblami gruz, gdy pisze o rozbiciu kina, myśli być może o tym, że brakuje mu filmów, które dawałyby choć godzinną możliwość ucieczki. Taką ucieczką mógłby być także najsmutniejszy film, na który z własnej woli jako nastolatek przyszedł, żeby się smucić bezpiecznym smutkiem, bo taki smutek ma zawsze swoje

granice. W ukraińskich miastach zostali też pisarze, którzy nie mogli, nie chcieli uciec. Którzy „są miastami” i którzy je przechowują, nawet gdy zamienia się w kupę gruzu, przechowują nienaruszone. Do tych miast będzie można wrócić, z tych miast nigdy nie będzie można wyjechać.

Вуковар після 1991 року

Vukovar po 1991 r.

Васильків, обwód kijовський.

12 marca 2022 r.

Васильків Київської області.

12 березня 2022 р.



Beata Budzkowska

Wirtualny spacer. Remont na schodach Odeskich

Dziś postanowiłam wybrać się na spacer. Dopóki niebo czyste i powietrze przejrzyste. Dopóki dom stoi i z sufitu nie leci tynk, i dopóki można spokojnie iść ulicą, tą rzeczywistą i tą wirtualną.

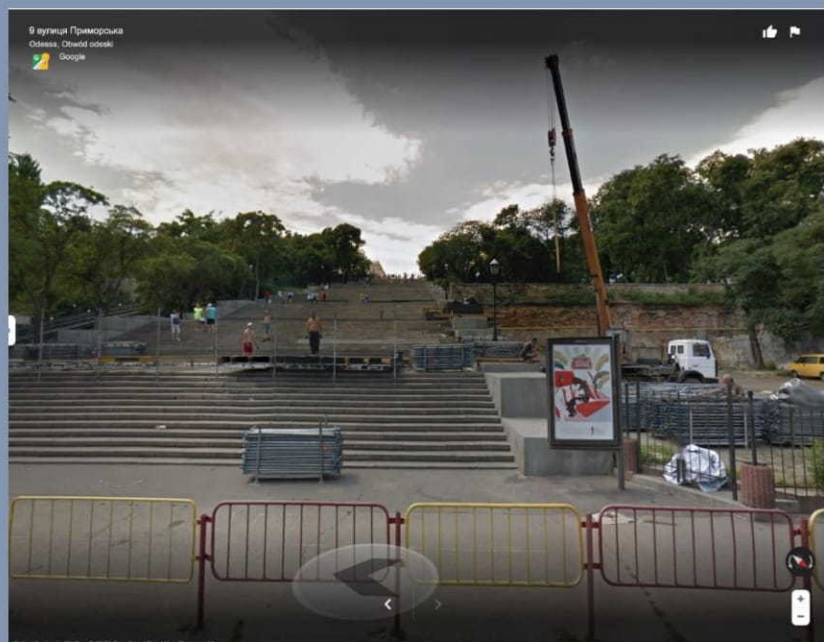
Czasami idę na spacer online. Wiecie, że w Mapach Google możecie obejrzeć praktycznie każdy zakątek świata? Dziś byłam w Odessie.

Byłam tam, gdzie zaczyna się Odessa. Tam, gdzie Eisenstein pozostawił swoją artystyczną pieczęć, o której do dziś rozmawiamy i podziwiamy, nie tylko na moich studiach filmoznawczych.

Czy to nie paradoks dziejów, Eisenstein rosyjski filmowiec, wślawił schody odeskie...? Tu, gdzie zaczyna się Odessa, dziś zaczyna się Ukraina. I nie kończy. My dziś wiemy, że Ukraina będzie już ZAWSZE.

Odpalam więc mapy i wpisuję schody odeskie. Widzę dworzec. Morski wokzał. Dostoprimieczatielnosti, pamiątki. Całkiem ładny, nowoczesny. Jest lipiec 2015 roku. Baner na dworcu głosi, że wtedy w Odessie miał miejsce festiwal filmowy. No, taka ciekawostka. 10-18 lipca 2015. Zobaczcie sami, było pięknie:

<https://oiff.com.ua/en>



Obok dworca przechodzą ludzie, jest lato, kupują lody, jakieś stargany, kto myśli o 2022 roku? Nikt.

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko dworca schody. Jakiś remont. Ten remont – jeszcze do niego wrócę.

Na schodach dużo ludzi, robią sobie zdjęcia pamiątkowe, spacerują. Młodzi mężczyźni. Nasuwa się pytanie, co z nimi teraz...

Schody niedługo będą mieć dwieście lat. Jak głosi Wikipedia, zaprojektował je w 1825 roku włoski architekt Francesco Boffo. Potem je powiększono, stały się gigantyczne, nawet tak na nie mówiono, mówiono też „bulwarowe”, „przymorskie”, „ryszelewskie”, aż w końcu dostały nazwę „potiomkinowskich”, na pamiątkę słynnego buntu na Pancerniku Potiomkin.

Ten remont, to takie dziwne, odpalam mój spacer, jest marzec 2022, i na schodach odeskich widzę remont. Może to zbyt nierzeczywiste, ten spacer ma ponad pięć lat, to rok 2015, wiemy zbyt dobrze, co się wtedy wydarzyło, ale ten remont ma dla mnie wymiar symboliczny, Ukraina potrzebuje przemian, potrzebuje zmienić się tak, aby była sobą, aby Ukraińcom żyło się lepiej w ich własnym domu. I Ukraina ten remont zaczęła, wprowadza zmiany, których potrzebowała. Remont schodów odeskich w 2015 roku widoczny w Mapach Google jest aż niemożliwy. Ale jest prawdziwy, zobaczcie sami.

Kiedyś, jak już Ukraina będzie mogła być sobą, wybiorę się na spacer do Odessy i przejdę się schodami odeskimi, stanę na każdym ze 192 stopni i opowiem wam, czy z góry widać wolny Krym.



Na przełomie

Gdzie ja jestem? Mój wzrok przesuwają się rejestrując obrazy. Przede mną jest przestrzeń wypełniona przedmiotami. Widzę krzesło i szafę, a w niej swoje odbicie i lustro, zwisającą z sufitu lampę rozjarzoną żółtym światłem. Jeszcze półka z książkami, szafka zastawiona kosmetykami i obraz na ścianie, a na nim staw, bagna i bociany. Widzę, jak odlatują, chociaż tkwią nieruchomo. Szarawo-białe i czarne upierzenie odbija się w lustrze wody. Stąpają dumnie lub stoją z powagą. Wzdrygam się, a obraz na powrót jest tylko obrazem- płaski, o lekko chropawej powierzchni. Pomalowana kremową farbą ściana zamyka mi pole widzenia, ale jest przecież lustro, a w nim to co za moimi plecami. W jego głębokiej płaszczyźnie przez okno wpada światło, chłodne promienie słońca.

Jestem tu, gdzie jestem, widzę i nie widzę, czuję, ale nie doświadczam; opisuję. Poprzez drogę z krwi, kości, wolności i bieli. Wypowiedzenie słowa zaczyna się od bodźca, drogą sygnalizacji nerwowej, która porusza serce i umysł dociera do języka. To my nim operujemy.

Mózg organ pokryty pofałdowaną tkanką wydaje krzyk słyszalny tylko dla ciebie. Tworzące istotę szarą ciała komórki nerwowe zanurzone na powierzchni sięgają wypustkami do wewnątrz wypełniając przestrzeń skupiskami włókien, istotę białą. Przez neocortex, isocortex, później obszary limbiczne oraz węchowe kory starej i tak, aż do hipokampu struktura burzy się, a destrukcyjna bierność wzmacnia emocje. Wrażenie się powtarza, ale słowa zamknięte w zdaniach są uniwersalne.

Mózg jest tym, co cię ogranicza, co zakute na kończynach, jest także narzędziem, które może cię uwolnić, zakotwiczony w tym, co stanowi punkt odniesienia, jest światem; tym, co widzi i czuje, odbiera. On jest tobą, tym co dzieje się, wydarza i trwa. Jest akcją, splotem wątków pochodzących ze środka, z zewnątrz, a język jest jego bramą.

Mięśnie, które legły nieruchomo, powalone i pokonane, z zewnątrz pokryte śluzówką. Tkanka, która mając swoje miejsce wewnątrz ciała, w jego ciemnych niewidocznych zakamarkach, ukryta pod warstwami skóry, tutaj może stanąć naprzeciw baczności wzroku.

Fala elektromagnetyczna dociera przez źrenicę do soczewki i tam załamuje się, a potem pada na siatkówkę, która wywraca obraz rzeczywistości do góry nogami. Ten, odwrócony jest tymczasową nieskończonością, osadzone w równoległym świecie chwile są powielane w obrazie, by mogły nabrać nowego znaczenia. Okoliczności w których to ty interpretujesz, tworzysz,

działasz. W narządach wzrokowych widzów i uczestników chwile są odtwarzane, by zapisać się w zawiłych ścieżkach wewnątrz mózgu. U dołu ścięgna napinają się i wdzięczą, gdy oglądasz je w lustrze. Żyły, ciemne i wypukłe strumyki, zamknięte w obłej ścianie naczyń krwionośnych podążają w głąb, okiełznany, złapany w pułapkę najwyższej organizacji chaos. W pulsującym rytmie krąży jedną drogą przez sekundy, minuty, dni, lata. Spod błony śluzowej na powierzchnię wypływają brodawki. Otwórz usta i spójrz, jak wystawiony na światło dzienne spełnia swoją funkcję.

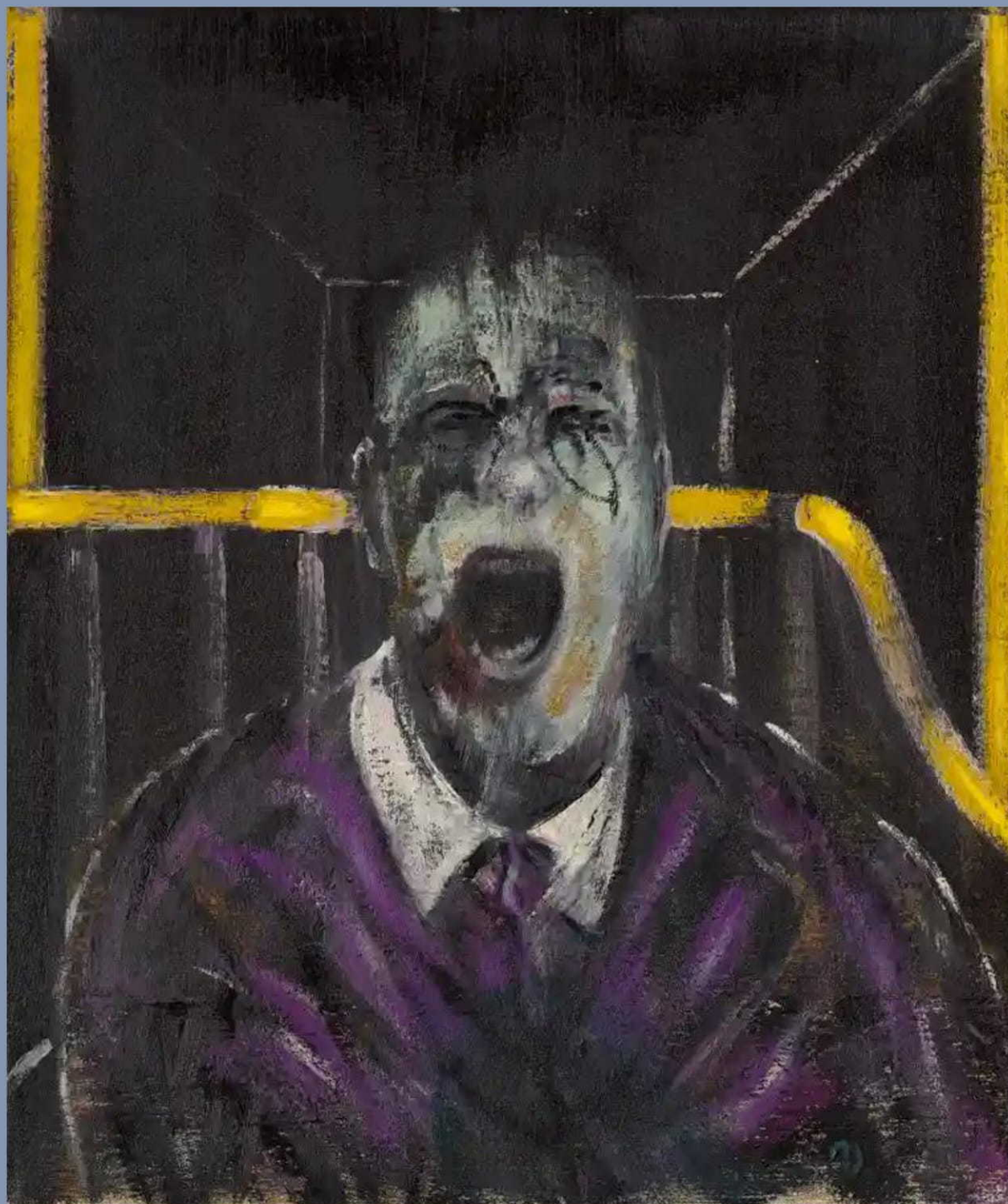
To jest język, co zaklina świat, czyni słowa, rzuca na wiatr i perwersyjnymi ruchami wiąże je pętami zobowiązań. W filamentach grubych miozyna i w cienkich aktyna. Ich struktura, przekłada się na działanie; skurcz i rozkurcz. Czysta akcja, która nie kończy się, gdy emocje opadną. Wypływa dźwięki, składające się na wyrazy, skrojone na miarę wagi słów. Logika w namiętności, znaczenie w ruchu, człowiek.

Nadzieja jest bielą, z kolei krew ma różne odcienie. Spójrz na czerwień erytrocytu. Możesz przyjrzeć się jednemu z nich, spłaszczony obustronnie dysk. Skąd bierze się jego barwa?

Protoporfiryna koordynuje kation żelaza. To jest hem wewnątrz hemoglobiny, w czerwonym ciałku, w osoczu, w żyłach, tętnicach, tkankach i organach. Mechanizm, który w organizmie pracuje na życie, na oddech i wymianę gazową; wiąże tlen i dostarcza go do komórek. Proces, który działa we wszystkich przestrzeniach ciała, sekunda po sekundzie i przez całe życie, dzień po dniu, latami. Spójrz na ten erytrocyt, czerwone ciałko krwi, jest ich więcej; więcej i więcej. Krew przybiera tonacje od jasnej, utlenowanej, po ciemną, biegnącą żyłami do serca, do źródła. Ono motywuje na poziomie myśli, idei i działania; słowa. Karminowy, szkarłatny, rubinowy, amarantowy i burgund są odcieniami czerwieni. Kolor głęboki, żywy i gwałtowny bierze się z wrażliwości, fizyki i fizjologii. On wyraża i budzi emocje. Dzięki nim odbieramy rzeczywistość subiektywnie, z kolei to w jaki sposób patrzymy na świat wytycza drogę przeżywanym emocjom. Trzy słowa składają się na jedno. Barwa jest uczuciem, uczucie jest intensywnością. Możesz je wyrazić na różne sposoby. Ja oddaję je w słowach. Zapisuję w literach, wyrazach i zdaniach, które otwierają na język delikatności, ognistej czerwieni, umiłowania wolności.

Dla Was słowa, język, łagodność i empatia. To tylko sklejek wyrazów, zdań, metafor zapisany na białym tle dokumentu tekstowego, ale słowo jest iskrą. Rozmowa jest nadzieją nie do ugaszenia.

16 marca 2022 roku



Francis Bacon,
Study for a Head

Френсіс Бекон,
Голова

1952

Paulina Sokólska

Ten tekst miał być o *Marii*

Krach symboliczny

A więc robimy zeszyt ukraiński. Zaczęłam żałować tej decyzji, gdy tylko ogłosiliśmy ją światu. Ziarno wątpliwości – co za bzdurna metafora – zostało we mnie zasiane już wcześniej, lecz nawet gdyby nie weszło samo, od czego ma się przyjaciół?

K.: „Nie chcecie na przykład dołożyć tam zakładki z możliwością wpłacenia czegoś? Wiesz, żeby to nie była tylko taka pusta inicjatywa”, Z.: „W jakim języku będą te teksty? Po polsku? Aa... To jakby wtedy... dla kogo to będzie?”.

Dla kogo, właśnie? W tym problem, że nie umiem odpowiedzieć. Kiedy pisałam *call for papers*, ręka mi nie drgnęła: „Zachęcamy każdego, kto chciałby w mniej lub bardziej literacki sposób wyrazić swoje wsparcie”. Zamysł szlachetny, tylko teraz, szczerze: co przyjdzie walczącym i uchodźcom z tego, że wywnętrzymy tutaj: „wszelkie refleksje i komentarze dotyczące obecnej sytuacji, minieseje i wiersze Ukrainą w tle”, których oni nawet nie przeczytają? Nie przepuścimy przecież wszystkich tekstów przez tłumacz Google; dlaczego, nie trzeba wyjaśniać.

Przepraszam drogą Redakcję i wszystkich autorów za gorycz, (pewnie i hipokryzję), jaka się leje z tych słów. Strzelałabym (Boże, powinnam ugryźć się w język – nawet i on się broni (broni!) przed pacyfizmem), że nie jestem dziś jedyna w tym kryzysie symbolicznym, który ostatnio przechodzę.

Zwłaszcza mój cały gatunek, któremu nawet w czasach spokoju nieobce bywa poczucie bezużyteczności, może dziś łatwiej niż kiedykolwiek zatracić wiarę w moc słowa. Bo co obecnie jest warta kolejna wymyślna konferencja o pretensjonalnym tytule (koniecznie z nawiasem lub chociaż myślnikiem) albo, dajmy na to, siódma monografia o Juliuszu Słowackim? Podczas negocjacji nie doszło do zawieszenia broni. Głosy protestujących zdają się rozbijać o szklaną ścianę, podczas gdy (ech, antyteza) pociski rakiet rozbijają się skutecznie o mury bloków, szkół, szpitali. Jak na to odpowiemy?

Zbombardowane osiedle i wierszyk Do broni!, setki dzieci śpiących na dworcach i Hej, sokoły, mural na ścianie, matka płacząca za synem, nakładka z niebiesko-żółtą flagą na zdjęciu profilowym. Ja: „Oczywiście, nie ma z tego realnej pomocy, ale chodzi o symboliczny gest”, także ja: „Oczywiście, chodzi o symboliczny gest, ale nie ma z tego realnej pomocy”.

W obliczu militarnego konfliktu warczę na własne przywiązanie do idealizmu. 24 lutego świat rąbnął we mnie jak wielka kula do kręgli, wprawiając w drżenie każdą kosteczkę. Brutalnie zwały się na mnie wszystkie naraz: geopolityka, gospodarka i wojna. Jasne, nieco naciągam fakty, koloryzuję, przesadzam, (układam triady – tani chwyt retoryczny, ale zarazem wymijam go nieco przez to dopowiedzenie) bo tak na co dzień odczuwam.

W uczelnianym periodyku opiekuję się działem prozy poetyckiej, która oznacza mniej więcej pisanie sobie a muzom, częstokroć w oderwaniu od czasu historycznego. Z rzeczywistością nigdy nie było mi jakoś po drodze, dopiero teraz powoli ucę się w niej poruszać.

Jednocześnie zadziwia i przeraża mnie to, jak niezwykle rozwinięta jest u niektórych ludzi zdolność adaptacji do nowych warunków. Z jednej strony to naturalny proces, z drugiej dręczy pytanie, czy aby nie ciut za szybko postawa „na baczność” w narodzie przechodzi w rozprężone, permissywne „spocznij”.

Jeszcze kilka dni temu oczy całej Polski były zwrócone na wschód. W radiowych wiadomościach referowano wyłącznie doniesienia z Ukrainy. Dziś, gdy myję zęby, dolatuje do mnie końcówka serwisu informacyjnego: ktoś przebąkuje nieśmiało o wyniku zawodów sportowych. Wczoraj Ukraina, dziś Ukraina i sport. Co usłyszymy jutro? Ukraina i sport plus festyn osiedlowy? Napięcie i zaaferowanie będą opadać, to pewne, bo droga do spokoju zawsze wiedzie po równi pochyłej. Pytanie tylko: jak stroma jest ta, na której obecnie się znajdujemy?

Inny autentyk z wczoraj, spiker w radiu: „Pamiętajmy, pomaganie jest fajne, pomaganie jest modne i pomaganie sprawia, że czujemy się lepiej!”. Nie mogę wyjść z podziwu; ktoś zdołał w jednym zdaniu powołać się aż na trzy niewłaściwe pobudki do niesienia pomocy.

W przypadku tej mierzanej realnymi efektami łatwo jeszcze rozgrzeszać z niestosownych intencji – puszka konserwy to puszka konserwy. Ale przy tej symbolicznej jest znacznie trudniej ocenić. Kto zgadnie, czy te linijki piszę dla Ukrainy, czy celem detoksykacji? Wygadać się i zrzuciwszy z ramion ciężący balast, przejść do porządku dziennego, jak po spowiedzi – o to tu chodzi?

A może, co najgorsze, piszę, by móc błysnąć tekstem i oprószone brokatem, ekskrementy rozmyślań, podetknąć pod nos komukolwiek, skoro się taki traf trafił? Nie chcę, żeby to było o mnie, a jest o mnie, psia mać, bo piszę zawsze w pierwszej osobie, nie umiem inaczej.

Klamka zapadła, tak czy siak. Robimy numer, więc ekhm, coś wypada napisać. Siedzę przed komputerem, w Wordzie otwarty pusty dokument. Jedna godzina, druga, trzecia. Tytuł, kasuje, kilka zdań, cofnij, nie tak, nie w porządku. Krtań zaciśnięta. Po raz pierwszy w życiu na własnej skórze poczułam, dlaczego „pisanie poezji po Auschwitz jest barbarzyństwem”.

Ten tekst miał dotyczyć Marii – powieści poetyckiej Antoniego Malczewskiego, którą kocham całym sercem i która, na dobrą sprawę, jest moim jedynym realnym (ha, czy w ogóle można powiedzieć w ten sposób o fikcji?) łącznikiem z Ukrainą. „Ej! Ty na szybkim koniu gdzie pędzisz, kozacze?” – ów okrzyk i tętent kopyt dudnią mi w głowie głośniejszy niż trzask walących się domów i grzmienie bomb, których, szczęśliwie, na własne uszy nie słyszałam. Niedobrze, bardzo niedobrze.

Nigdy nie byłam w Ukrainie. Nie mieszka tam nikt z mojej rodziny ani przyjaciół. Myślę, że dziś za Bugiem „pusto – smutno – tęskno – jak gdy szczęście minie” i serce mi pęka, płaczę, ale głównie za stepem, smętnym, dzikim kurhanem i za Kozakiem w stepie (vide okładka). Żałoba za mój mit, za Ukrainę – jedyną, jaką znałam.

„Choć przymnożenie smutku to być może ostatnie, czego dzisiaj potrzeba, opowiem moją Marię” – o, tak, to chwyci, dam może na początek... Albo tak: „Choć teraz Ukraińcom potrzebne są nade wszystko energia i otucha, pisanie w tyrtejskim duchu pozostawię innym, sama zaś opowiem Marię – moją bezbrzeżnie smutną, magiczną, piękną Ukrainę”.

Wymyśliłam sobie esej, kwiecisty, pełen żalu. Ale by się napisało taki esej, Jezule! Że ściśnie wzruszenie za gardło, że kwiaty i owacje, i jeszcze łza otarta dyskretnie rąbkiem swetra. „Powieść ukraińska” – wypisała na ekranie przed moimi oczami jakaś cudza ręka. Przy ostatnim „a” miga postawiony na baczność cursor, a za nim dalej pustka, niebieska biel ekranu. Backspace, nie, nic z tego. Nic nie napiszę.

Strategie nieradzenia sobie

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że znaleźliśmy się w sytuacji bardzo dwuznacznej moralnie. Wyjąwszy plakaty informujące o zbiórkach i powiewające gdzieś tam ukraińskie flagi, na pierwszy rzut oka nie można powiedzieć, żeby zbyt wiele zmieniło się w przestrzeni publicznej. Dzień jak co dzień – dojeżdżam na wydział tramwajem, na wyświetlaczu którego, prócz destynacji pojazdu, znajduje się teraz hasło: „Solidarni z Ukrainą!”, a z przodu trzepoczą chorągiewki: jedna niebiesko-żółta, druga biało-czerwona.

Szybko przeliczam w głowie. Ile mogły kosztować? Hmm... pewnie zostały kupione hurtowo, więc nie tak drogo, lecz nadal... A ile jest w samym Gdańsku tramwajów i autobusów? Czy nie lepiej by było za te pieniądze kupić chociażby dwie, trzy apteczki i posłać je na granicę? Tym podobne pytania cisną mi się do głowy, gdy, oparta o szybę, słucham cichego stukotu

Tramwaje kursują, dorośli chodzą do pracy, młodzież i dzieci do szkół. Muszę co jakiś czas przypominać sobie i w myślach powtarzać, że to nie u nas ta wojna, zwłaszcza, gdy tak, jak teraz, mam przemożną ochotę sarknąć na to, że świat nie znieruchomiał całkiem.

L. na e-lekcji: „Trochę teraz będziecie mieli jak na tajnych kompletach podczas wojny. Jak była okupacja, młodzi ludzie normalnie studiowali, zdawali egzaminy i bronili dyplomy! Teraz, wiadomo, aż tak źle nie jest, ale Wy też moglibyście w ten sposób...”. Mam do tych słów pewne obiekcje: padły one (słowa, nie obiekcje) zaledwie pięć dni po wtargnięciu wojsk rosyjskich na Ukrainę, a zatem wtedy, gdy szok nie zdążył jeszcze osłabnąć. Nie jestem pewna, czy kurczowe trzymanie się dyscypliny w tak przytłaczających okolicznościach jest najlepszym rozwiązaniem.

Siedząc na zajęciach, odczuwam coś niestosownego w tym, że rozprawiamy tu sobie uczenie o literaturze, gdy w tej samej sekundzie, tuż za naszą granicą dzieje się piekło. Jeżeli skalę priorytetów określa wojna, wszystko w stosunku do niej wydaje się mało ważne. Ale czy to oznacza, że powinniśmy rzucić 1) wszystko, czym zajmowaliśmy się na co dzień 2) się w wir pomocy? Cóż, niektórzy rzucają.

Teraz bez grama cynizmu. Nie potrafię wyrazić, jak wielki szacunek mam dla tych, którzy niezmordowanie pakują paczki, krzątają się, segregują, koordynują prace, rozładowują i załadowują tiry na zbiórkach. W całym tym źle dookoła, wydarza się jakiś festiwal dobra, i to na wielką skalę.

Warto mieć na uwadze, że owa wielka skala także może przytłaczać. Sytuacja z przedwczoraj: w tramwaju znienacka dopada do mnie dziewczynka owinięta niebiesko-żółtą flagą. W rękach trzyma przezroczyste pudło-skarbonkę. Nerwowo wysupłuję z kieszeni kurtki kilka monet. Koleś w słuchawkach naprzeciwko mnie macha przecząco ręką, nie odrywając oczu od telefonu. Patrzę, co wygrzebałam. Matko, prawie same miedziaki. Trochę wstyd, że tak mało, ale wrzucam, kuląc po sobie uszy. Tłumaczę się samej sobie, że przecież wcześniej już zasiliłam zrzutkę, ile mogłam, zrobiłam. Ale to ciągle mało. Mam poczucie, że wszystkie działania, jakie zostały podjęte, pozostają i pozostaną rażąco niewystarczające.

Można wpaść w paranoję. Tu potrzeba noclegu – matka z trójką dzieci, ktoś coś, jakiś transport? Dwie kobiety z Ukrainy pilnie szukają mieszkania. Kotki, pieski, konserwy, leki, bandaże, koce, latarki, pieluchy, buty, duże rozmiary – wszystko, wszystko potrzebne na gwałt!

Chaos, słowem, trudno by nie zwariować. Zu.: „ciągle czytam newsy i się boję. Spirale strachu trochę nakręca moja mama, która mocno panikuje. I tak nie jestem w stanie się od tego odciąć, bo tata non stop ogląda info w telewizji i ilekroć zejść na dół, w kółko to samo”.

Nie oglądam wiadomości, nie sprawdzam newsów co chwilę. I nie, nie jestem z tego dumna ani nie uważam tego za lepszą lub rozsądniejszą strategię. Obserwuję znajomych, jak każdy z nich wypracowuje własną metodę przetrwania. Niektórzy pomagają czynnie jako wolontariusze w punktach zbiórek, świetlicach albo we własnych domach. Inni rzucają się w wir codzienności, kupują karnety na siłownię i zaczynają pisać dyplomy, o dziwo, nie na ostatnią chwilę. Jeszcze inni – co przykre – sprawiają wrażenie, jakby przeszli już do porządku dziennego nad całą sytuacją.

Szacowałabym jednak, że tych, których ona przytłacza, jest znacznie więcej. Parę dni temu natknęłam się w Internecie na krótki wpis komentujący różnorodność zachowań, jakie możemy obserwować od niedawna w społeczeństwie. Wydał mi się istotny, dlatego chciałam przytoczyć go w charakterze friendly reminder, a zarazem note to self, ale, niestety, gdy próbowałam dotrzeć do niego po raz drugi, nie mogłam namierzyć źródła. Będzie zatem z pamięci.

Autor podkreślał kluczową rolę empatii, której potrzebujemy teraz nie tylko, co oczywiste, dla uchodźców, ale także dla siebie nawzajem. (Jeśli powiewa dydaktyzmem, przypomnę: ja tylko referuję) Nie powinniśmy zapominać, że dla wielu z nas, którzy zmagali się na co dzień z prywatnymi dramatami, wiadomość o wybuchu wojny w Ukrainie mogła okazać się kroplą, która przeleje czarę.

Jeśli, czując się zbyt przytłoczonym, by wykonywać podstawowe czynności, nie udzielałeś się jako wolontariusz, choć miałeś trochę czasu, nie udostępniłeś swojego mieszkania, choć masz wolne łóżko, nie zaoferowałeś nikomu podwózki spod granicy, choć masz samochód i prawo jazdy, nie powinieneś z tego powodu czuć się ze sobą źle. Żeby móc pomagać innym – może to oczywistość, ale niech padnie wprost – jest koniecznym najpierw zadbać o siebie.

Wszyscy robimy coś, żeby przetrwać ten czas, mówi, a nie ma dobrych ani złych strategii i sposobów na zachowanie się wobec równie wielkiego nieszczęścia, bo nikt nie był przygotowany na taką tragedię. Tak to szło mniej więcej.

Nie wiadomo, faktycznie, co się powinno robić, co zmienić, a co zachować i najważniejsze: jak się zachować? O.: „Robię domówkę w czwartek, wpadniesz?”. No nie wiem, chyba średnio byłoby imprezować, gdy obok ludzie umierają i uciekają ze swoich zbombardowanych domów. A spotkać się z koleżanką na kawę można? Idźmy dalej.

Czy zachowam się egoistycznie, jeśli kupię teraz nowe spodnie, zamiast przelać ich równowartość na zbiórkę? A jeśli książkę? A drożdżówkę? M.: „Z takim myśleniem od razu możesz zaszyć się gdzieś w puszczy i do końca życia uprawiać ascezę, bo i tak zawsze był i będzie ktoś bardziej potrzebujący niż Ty”.

I ten osądający głos, własny: „Właśnie, skąd nagle taki wybuch altruizmu? Dlaczego dopiero teraz? Wojny trwają od lat w Afryce, na Bliskim Wschodzie... Tfu, europocentryczne klapki na oczach!”.

Sąsiady

B.: „Zamknijcie Państwo okno, bo świst taki, jakby do nas rakietą leciała”, S.: „Postawili nas w gotowości bojowej i nie możemy wyjeżdżać z Łodzi.”, Zu.: „Zastanawiam się, jak by się

zabezpieczyć na wypadek ewentualnej wojny u nas. Może otworzyć konto w dolarach?”. Tata, entuzjastycznie: „Kupiłem taką rurkę filtrującą, będzie można pić wodę nawet z kałuży!”.

Jestem pewna, że w ostatnich dniach wielu Polakom przemknęła przez głowę myśl, po której ci przyzwoitsi spłonęli rumieńcem: „Jak to dobrze, że nie urodziłem się nieco bardziej na wschód”. Nie mówię, że mi się to nie zdarzyło. Momentami zastanawiam się, czy w istocie nie przejeśliśmy się do żywego tą wojną tylko dlatego, bo toczy się niebezpiecznie blisko naszych granic, co oznacza, że mogłoby nam, Polakom, oberwać się rykoszetem?

Minęły nieco ponad dwa tygodnie od dnia, gdy rosyjskie siły wkroczyły na terytorium Ukrainy, tymczasem niektórzy już powoli zapominają, kto jest winnym, a kto poszkodowanym w tej wojnie. Z przerażeniem obserwuję, jak w mediach zewsząd zaczęły wypływać obrzydliwe głosy moich, niestety, rodaków, którzy za złe mają Ukraińcom, że ci ściągają na nas nieszczęścia.

Mało co napawa mnie większym wstrętem od tej nagłej klęski urodzaju samozwańczych socjologów, politologów i historyków, którzy straszą nas dziećmi uciekającymi przed wojną: „Zaraz naszym zabiorą 500 + i nie będzie dla nich miejsc w szpitalach, szkołach, żłobkach!”. Absurd goni absurd. „Zniżki i przywileje dla Ukraińców? A kto za to zapłaci? Jak wszystko dostaną na tacy, to nie będą chcieli pracować i wyjeżdżać – w końcu Polska, w porównaniu z ich krajem, to raj gospodarczy!”. Zgroza.

Ręce opadają – to mało powiedziane, gdy czyta się takie rzeczy. A jest ich więcej. Co zjadliwsi już wzięli się do wertowania zakurzonych kart historii. I dawaj! Jeśli wnet odkopywać Wołyń, Bandere, Humań, jeżeli trzeba. Na brak idiotów (a jest to najłżejsza inwektywa, jaka przychodzi mi na myśl) nie można narzekać. Mam dla nich dużo współczucia, bo wierzę, że ksenofobia rodzi się z lęku. A atmosfera nerwowa, więc i obawy mogą czyhać za każdym rogiem.

Na głównej YouTube „How to survive a nuclear apocalypse?”. Nie chcę, ale klikam, kto wie? Dwanaście minut później wiem, że I'd rather not survive the nuclear apocalypse. Sama uspokajam przyjaciół, ale nie oszukujmy się, dopóki istnieje cień prawdopodobieństwa, w jakimś stopniu boimy się niemal wszyscy, niezależnie, czy przyznajemy się do tego głośno, czy nie.

Obecnie dziewięć krajów jest w posiadaniu broni atomowej. Bomby, które zostały zrzucone na Hiroszimę czy Nagasaki, były niczym w porównaniu do tych, którymi świat dysponuje obecnie. Po co w ogóle trzymać coś tak niebezpiecznego? Jest na to w angielskim dobre słowo: „overpowered”. Ekspertki oceniają na szczęście, że ryzyko wystąpienia ataku jądrowego jest bardzo niskie. To dobre wieści, ale czy same dobre wieści wystarczą, by rozładować rosnące niepokoje?

Wśród osób, z którymi rozmawiałam, gdy atak na Ukrainę wciąż jeszcze jawił się jako możliwa, nie zaś nieunikniona katastrofa, mało kto wierzył, że wojna naprawdę dojdzie do skutku. Zdawałoby się nie do pomyślenia, żeby coś podobnego mogło zdarzyć się we współczesnej

Europie. Snuliśmy domysły, optymistycznie wierząc, że nieco ponad ćwierćwiecze od ostatniej wojny, nie wystarczyło, żeby zagoić rany i choćby z tego powodu nikt nie powinien próbować wracać do dawnych metod.

Nie mogliśmy bardziej się mylić. Są na ulicach czołgi, żołnierze z karabinami. Są zabijani cywile. Czuję wściekłość na to, że w XXI wieku bomby wciąż lecą z nieba i że w ogóle istnieją. Można się było spodziewać, że po ostatnim razie wyciągniemy lepszą naukę. Z dnia na dzień życie uczy, ile są warte prognozy – nie ma nic pewnego.

Słyszy się, że już dawno ta inwazja wymknęła się spod kontroli i w desperacji Rosjanie nie zawahają się sięgać po coraz silniejsze środki, także te „overpowered”. Sama jestem przeciwna podsycaniu paniki, a jeżeli uznać, że tym są właśnie powyższe dywagacje... Cóż, przyjmę razy, dziś wyjątkowo piszę szybciej niż myślę.

Bez ofiar nie ma wojny

M. w punkt, jak zwykle: „Wiesz, co my mamy, a czego nie mają zwykle inne narody? Silne poczucie martyrologicznego obowiązku”. Poświęcić się, oddać się, umartwić, zginąć, ale za ideę – tak, w tym jesteśmy całkiem niezli. Nie powiedziałabym jednak, że to cecha wyłącznie Polaków.

Jest we mnie duża niechęć do jakiegokolwiek wojennego heroizmu, jeśli płacą za niego przypadkowi ludzie. Czy to znaczy, że nie cieszę się, gdy słyszę o sukcesach w odpieraniu rosyjskich wojsk? Jasne, że się cieszę! Nie zmienia to jednak faktu, że czuję bolesny zgrzyt. To samo uczucie poznałam w liceum, gdy moi koledzy w przeddzień matury musieli stawić się na obowiązkowe badanie przed komisją wojskową. Do dziś oburzam się na to w duszy, jak bobas wściekle tupiąc nogami, zaciskam pulchnawe piąstki: „Jak to? Jakim prawem w ogóle mogą wam kazać iść walczyć?!”.
Typ z Instagrama: „A ciekawe, kto tobie będzie bronił kraju, jak ci go ruskie zaatakują?!”. Mam nadzieję, że nikt, jeśli nie z własnej woli musiałby robić to z bronią w ręku. Nie powiem tego na głos, bo wnet mnie zakrzyczą głosy, że łatwo mi tak oceniać, gdy siedzę w bezpiecznym domu, że wszyscy w Ukrainie, którzy się bronią, będą niedługo bohaterami. Być może dziś i John Lennon dostałby w pysk za Imagine.

Nie tak dawno przeprowadzaliśmy wraz z przyjacielem wywiad z Panią A., która jako dziecko przeżyła powstanie warszawskie. Myślę, o jej słowach, gdy w Internecie trafiam na fotografie dzielnych kobiet i mężczyzn w żółtych opaskami na kurtkach i z karabinami na ramionach – zwykłych cywili, którzy walczą o swoje domy i pewnie też o coś jeszcze – bardziej nieuchwytnego. Słodko-gorzki ucisk za mostkiem. Podczas rozmowy z nami Pani A. przyznaje, że jej synowie nigdy nie dostali od niej zabawkowych pistoletów, nawet takich na wodę. Sama w liceum

odmówiła strzelania na ćwiczeniach z przysposobienia obronnego, co przypłaciła wydaleniem ze szkoły. „Nie i koniec, pistoletów nie bierze się do ręki”.

I ja jej wierzę. Nie umiem uciec od marzeń: ach, Boże, gdyby tak wszyscy złożyli broń... Mówi się, że nie ma wojny bez ofiar. Może gdyby nie było ofiar, nie byłoby więc także... M.: „Żal też tych chłopaków z Rosji. Nie ma nic szlachetnego w byciu mięsem armatnim”. Słyszysz się, że istotnie, w szeregach rosyjskiej armii znajdują się przerażeni dziewiętnasto-, dwudziestolatkowie, którym wmówiono, że jadą na ćwiczenia, po czym kazano strzelać.

Z. na spacerze: „Wiesz, ja nie wiem już, czy nie lepiej byłoby, żeby to się jak najszybciej skończyło, nawet, gdyby Ukraina miała przegrać... Przynajmniej mniej ludzi umrze”. Kiwam głową na znak, że rozumiem, ale nie przytakuję. Chociaż nie winię go za to, (mam, widać, wpisane w rodowód silne poczucie martyrologicznego obowiązku) wiem, że romantyzm mocno nas skrzywdził. Pewnie dlatego nie jestem w stanie wykrzesać z siebie więcej podziwu lub entuzjazmu.

Chcę demilitaryzacji – wszystkich i wszędzie, natychmiast. Jestem jeszcze w tym wieku, któremu wybacza się podobne naiwne roszczenia. Dla mnie samej fenomen: nie czułam złości bodajże od przedszkola, a teraz od kilku dni odkrywam, że chodzę wkurwiona jak diabli (mogę chodzić w ten sposób, droga Redakcyo?) i czuję złość na wszystkich, którzy doprowadzili do tej niepotrzebnej, bezsensownej wojny.

Bełkot

G.: „Dziewczyny, mama przygarnia uchodźców. Przyjeżdżają jutro, praktycznie nic o nich nie wiemy, tylko, że matka z czteroletnią córką z Charkowa. Ich dom został zniszczony”. Zniszczony dom – abstrakcja. Spróbujmy na mniejszą skalę: zniszczony pokój. Właśnie przebywam w swoim, kiedy piszę te słowa. Nade mną fluorescencyjne gwiazdki przyklejone na suficie. Obok, w cieniu olbrzymiej paproci, szerokie seledynowe biurko z opadającą szufladą.

Myślę, jak mógł wyglądać pokój tej małej. Jaki był kolor ścian i jakie ukochane zabawki musiała tam zostawić. Ile zapamięta z tego, do czego nigdy nie wróci? Nawet gdyby wojna skończyła się w tej sekundzie, pokój tamtej dziewczynki już nie istnieje. A to wciąż tylko pokój. Pukam się w głowę, miałam tego nie robić. Dramat układasz myślę, ale to przecież także jest wyjęte z dramatu.

Nie chcę wyciskać słowami łez z oczu Także z tego powodu nie powstał esej o Marii. Nie jestem przyzwyczajona, by twardo stąpać po ziemi, a od kilkunastu dni ucę się po niej chodzić z pokorą i w ramach pokuty prowadzę kruczatę przeciw wzniosłości.

W wojnie nie ma nic wzniosłego, dopiero to wiersze na jej temat czynią ją wzniosłą. Co by zostało, gdyby obedrzeć słowa ze wszystkich tych sentymentów, patosów i romantyzmów,

aż do surowości? Zostałby bełkot, nic więcej – strach i gniew w czystej formie. Smutek pewnie nie, przynajmniej w moim przeczuciu, czysty smutek musi być głuchoniemy.

Może zatem lepiej się zamknąć, jeśli to ma być lament. Ma być? Nie wiem, mówiłam już, nie wiem, po co ani do kogo kieruję te słowa – na tym mi nie zależało. Więc na czym? Też nie wiem. Nie mam pojęcia, po co ta garść rozsypanych myśli, słowotok, który nie zmierza donikąd. Czuję się bezsilna, jak niemal wszyscy. Ósma strona, czas kończyć. Nie mam żadnego przesłania, żadnej przewodniej myśli. Jeżeli już to może jedną, że...

O mały włos a napisałabym: „Zanim wylana krew stanie się szlachetna, jest po prostu czerwona”. Heca,omalże wpadłam we własne sidła: wymowie treści (precz z romantyzmem!) przeczyłoby brzmienie (hajda, romantyzm!). Problem z pisaniem o wojnie polega na tym, że podczas jej trwania wszystko dookoła pcha się w wysoki rejestr. Nawet zwyczajne zdania o informacyjnym charakterze, chcąc, nie chcąc, obrastają jakimś nimbem wzniosłości tak, że bez trudu umiemy sprawozdania z pól bitwy czytać jak wiersze wolne. Może nas skrzywił Różewicz.

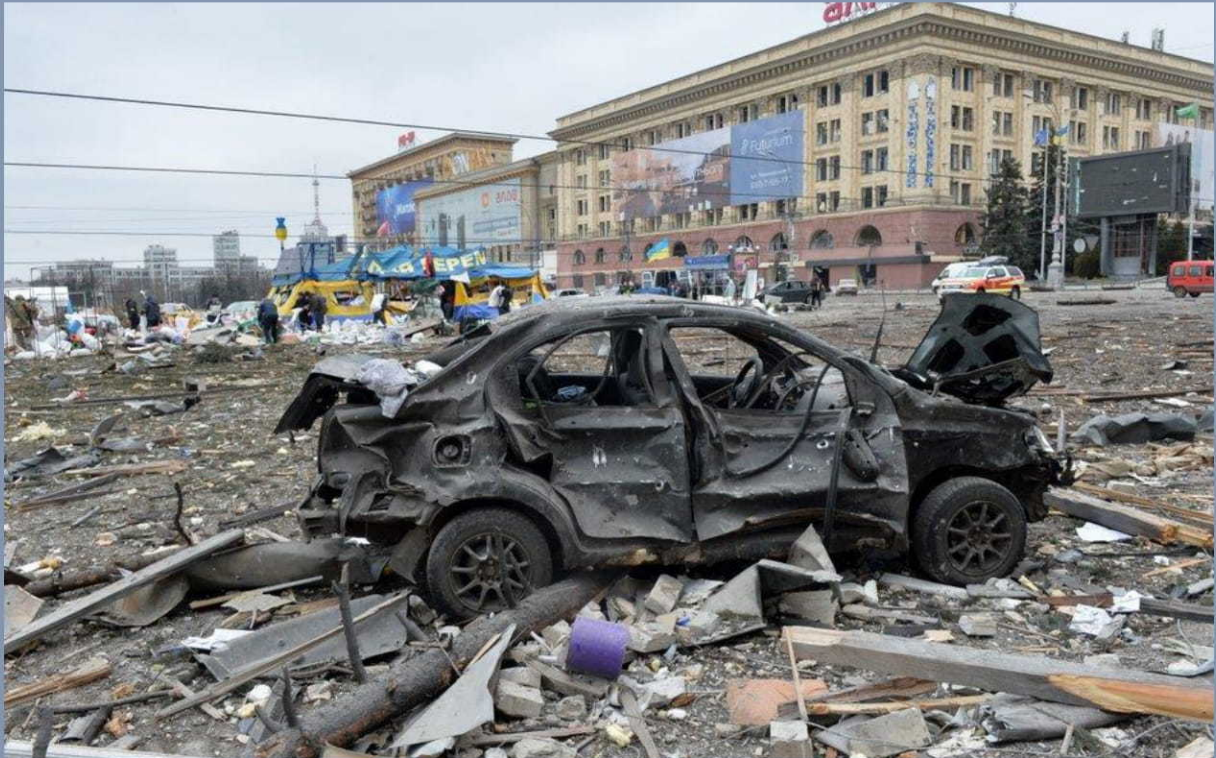
Mamy trzy typy zdań do wyboru, ale opcje w zasadzie są tylko dwie: linia intonacyjna układa się w zgrabny daszek lub wznosi lekko do góry. Oto pułapka ostatniego zdania: choćbyś na głowie stawał, nie zdołasz pozbawić go uroczystego charakteru. Koszmar. W obu przypadkach wzniosłość. Będę skazana na pointę ostrą i celną jak szpilka, idealne domknięcie, kłamrę albo przeciwnie: otwarcie, aż w nieskończoność, wielkie zdziwienie światem i myśl puszczoną jak strzała – już grzeszę, już sprzeniewierzam się własnej misji. Nie da się uciec od tego. Chyba, że urw



Edvard Munch, *Under stjernerne* / Эдвард Мунк, *Під зірками* (1900-1905)



ΦΟΤΟΡΕΠΟΡΤΑΖ



Fot. AFP

Fot. PAP/EPA/ Сергій Козлов

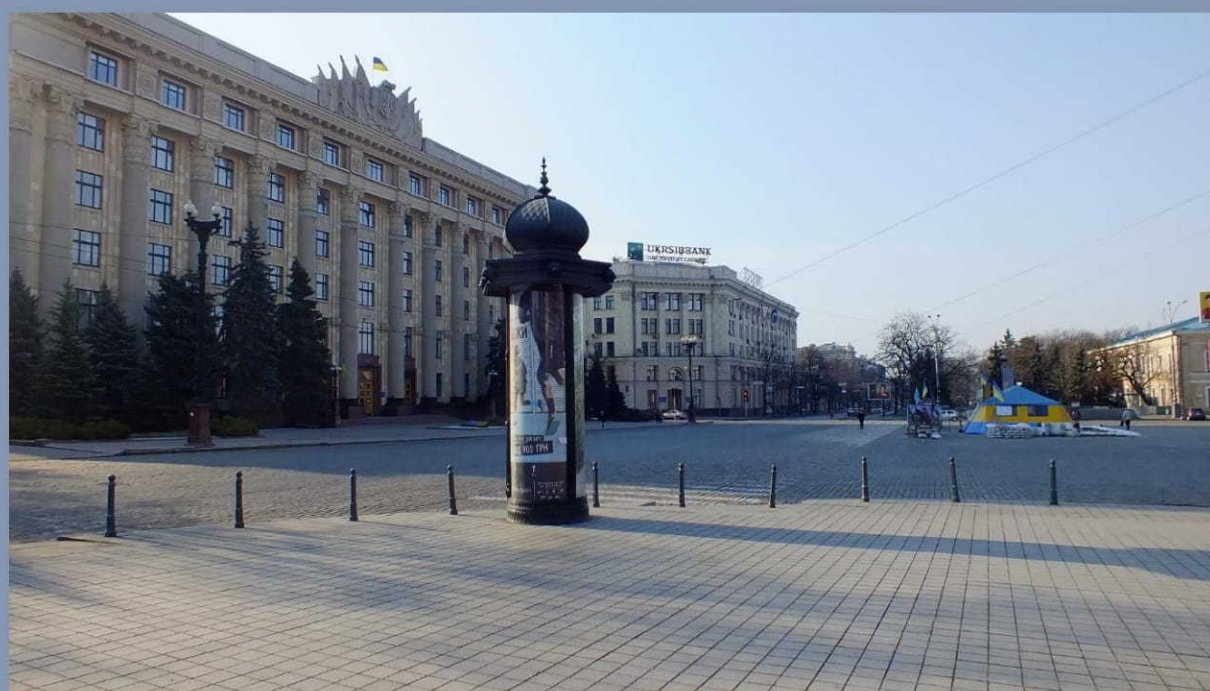


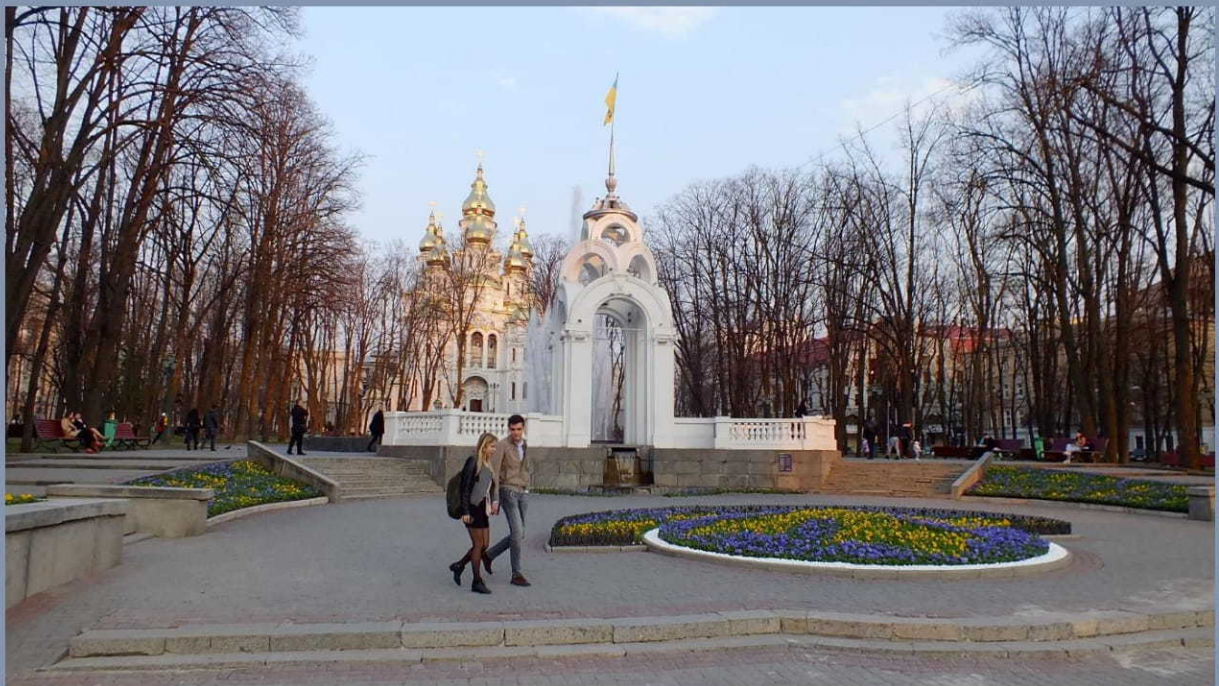
Anna Płotka / Анна Плотка

Charków. Lament / Харків. Елегія

Anna Płotka odwiedziła Charków kilkakrotnie i pokochała od pierwszego wejrzenia. Wciąż pozostaje w kontakcie z charkowskimi przyjaciółmi z Ukrainian Bat Rehabilitation Center & Feldman Ecopark. Fotografie są hołdem dla miasta i swoistym lamentem nad gwałtem, jaki zadaje mu rosyjski agresor. Niektóre z nich przedstawiają Plac Wolności, dziś zniszczony.

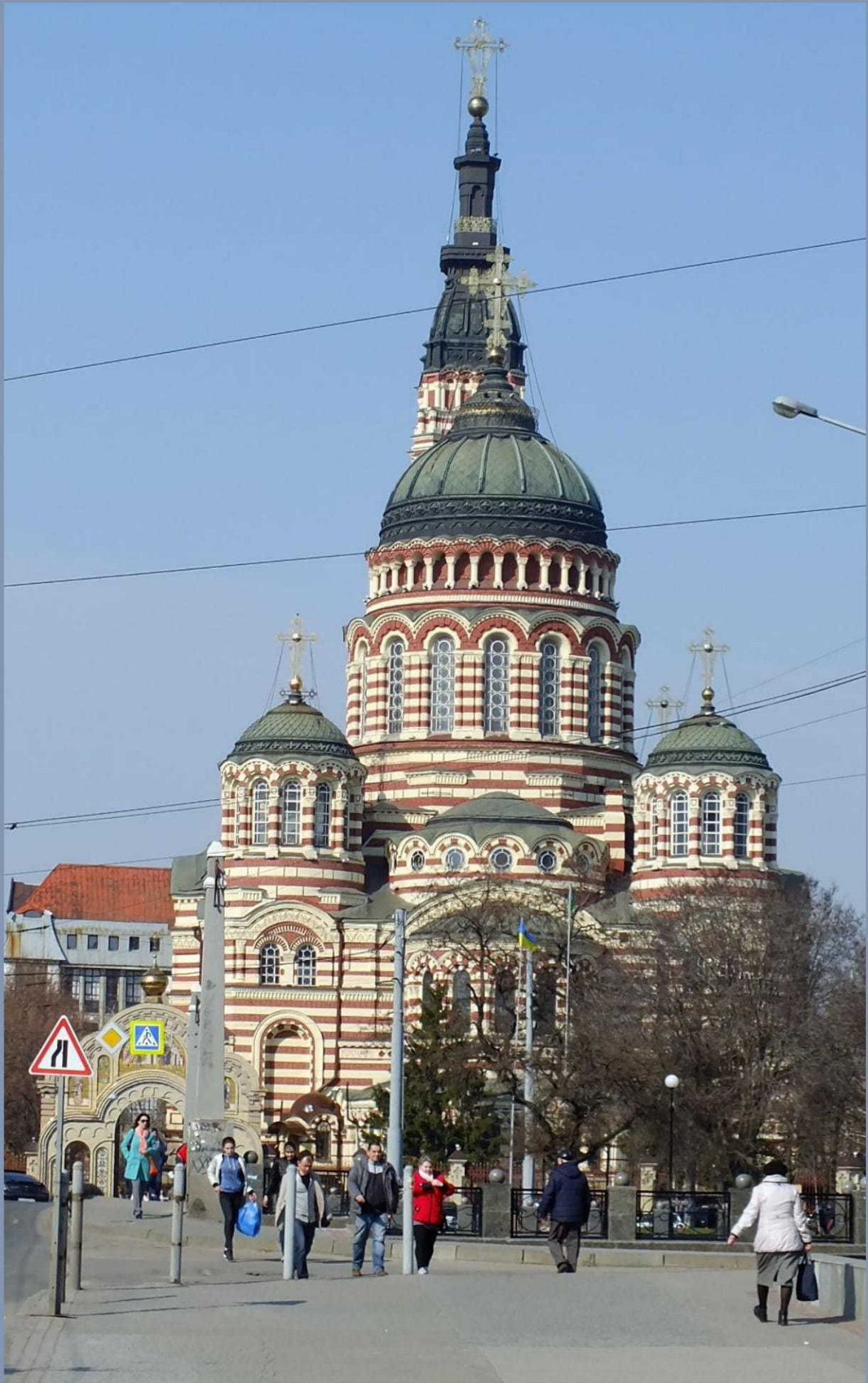
Анна Плотка кілька разів відвідувала Харків і закохалася з першого погляду. Він досі підтримує зв'язок із харківськими друзями з Українського Реабілітаційного Центру Кажанів та Фельдман Екопарку. Фотографії – це данина місту та своєрідний лемент з приводу згвалтування, яке його завдав російський агресор. На деяких з них зображено Майдан Свободи, зруйновану сьогодні.







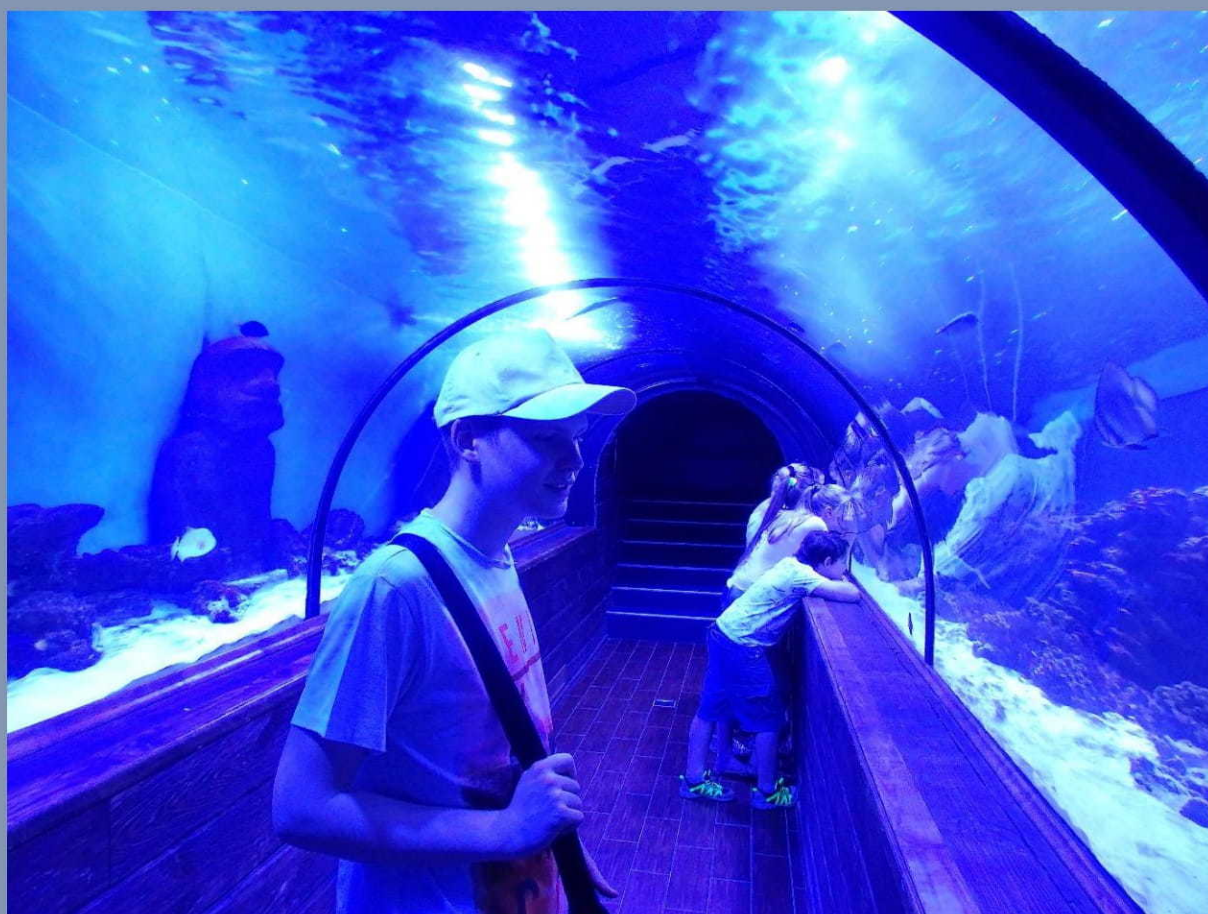




Mariusz Zarecki / Маріуш Зарецький

Kijów / Київ

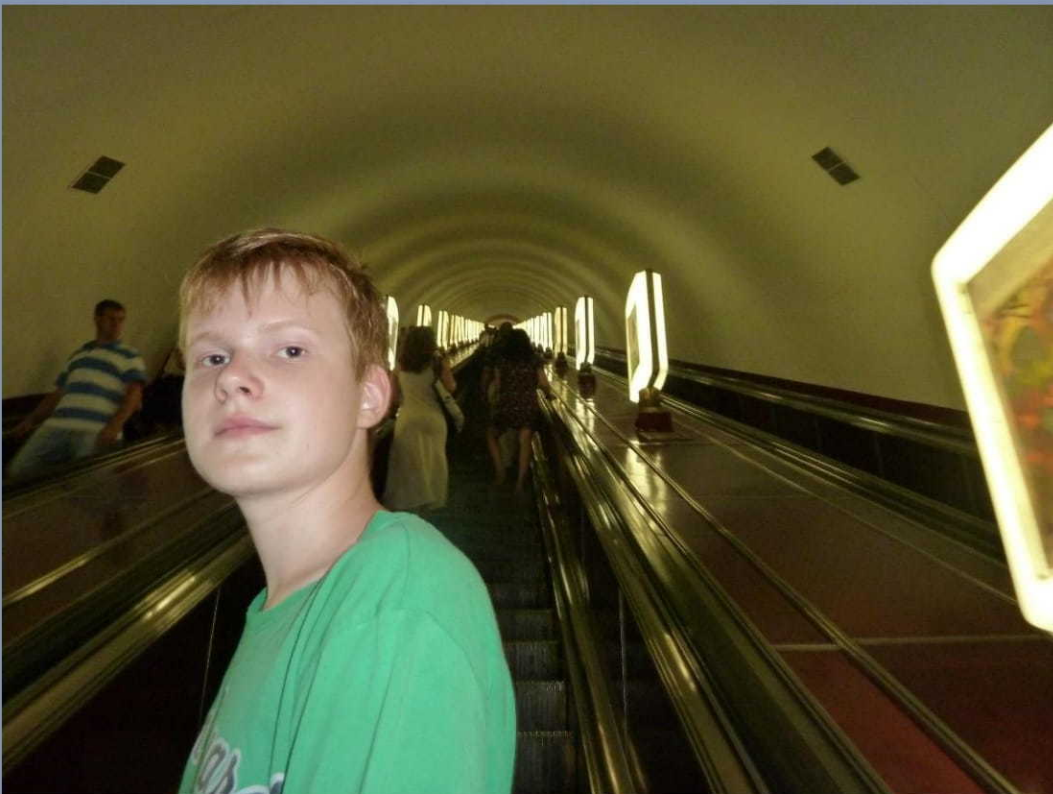
Dzięki uprzejmości Michała Zareckiego dostaliśmy pakiet fotografii robionych w Kijowie jeszcze w roku 2014 przez jego ojca, Mariusza. Na niektórych z nich widać jeszcze wciąż nierozbrane barykady Euromajdanu. Na wielu figuruje, bardzo wówczas młody, Michał, późniejszy autor cykli, które zamieszczamy na dalszych stronach.



Oceanarium w Kijowie

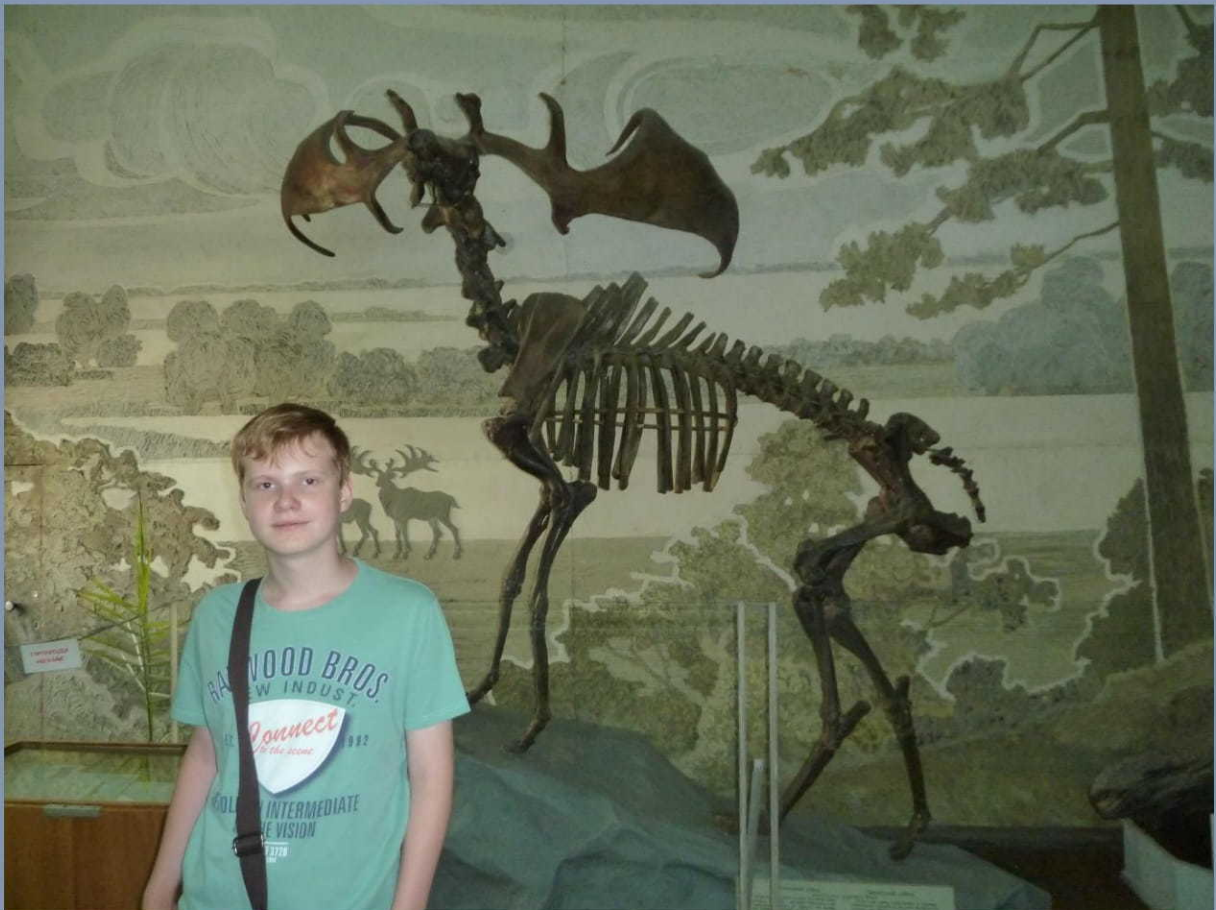


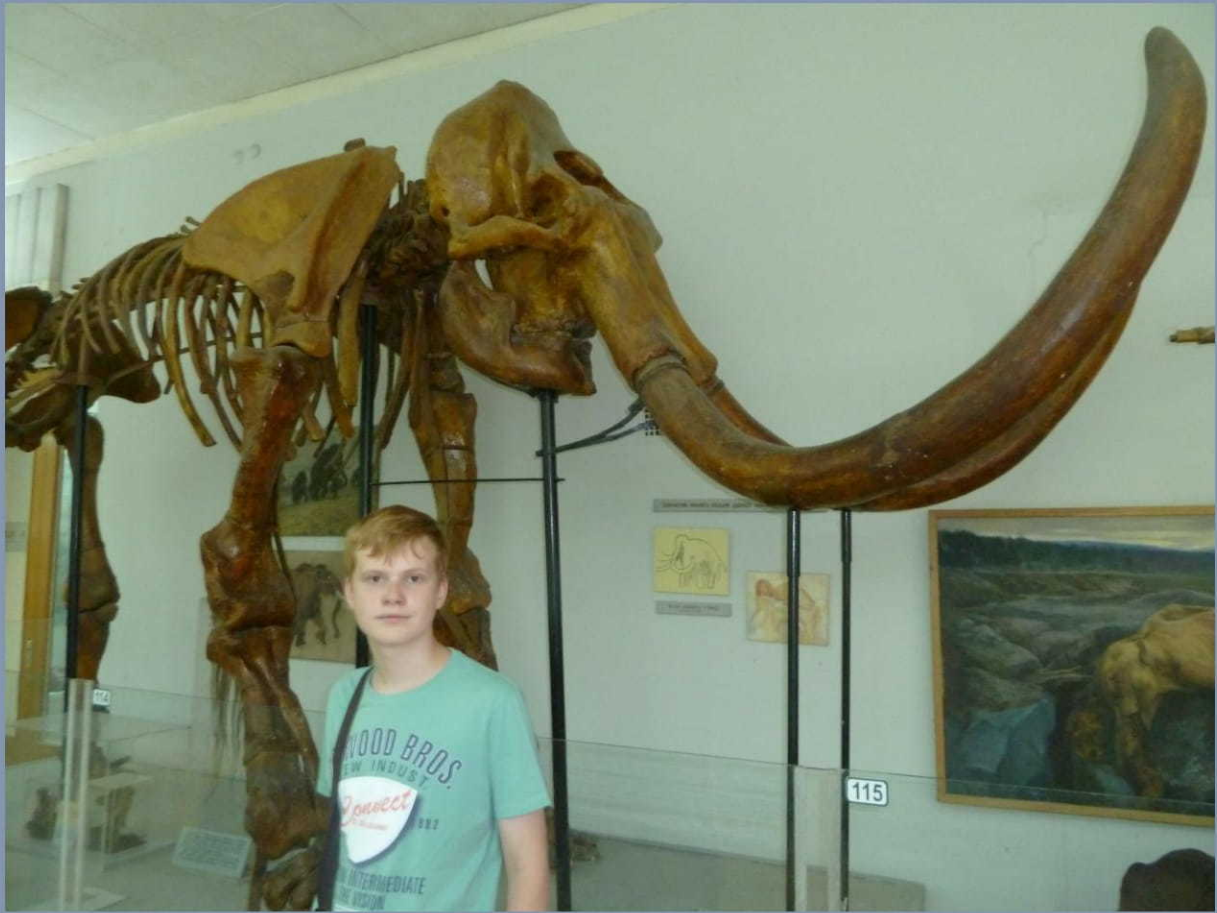
Kijowskie metro



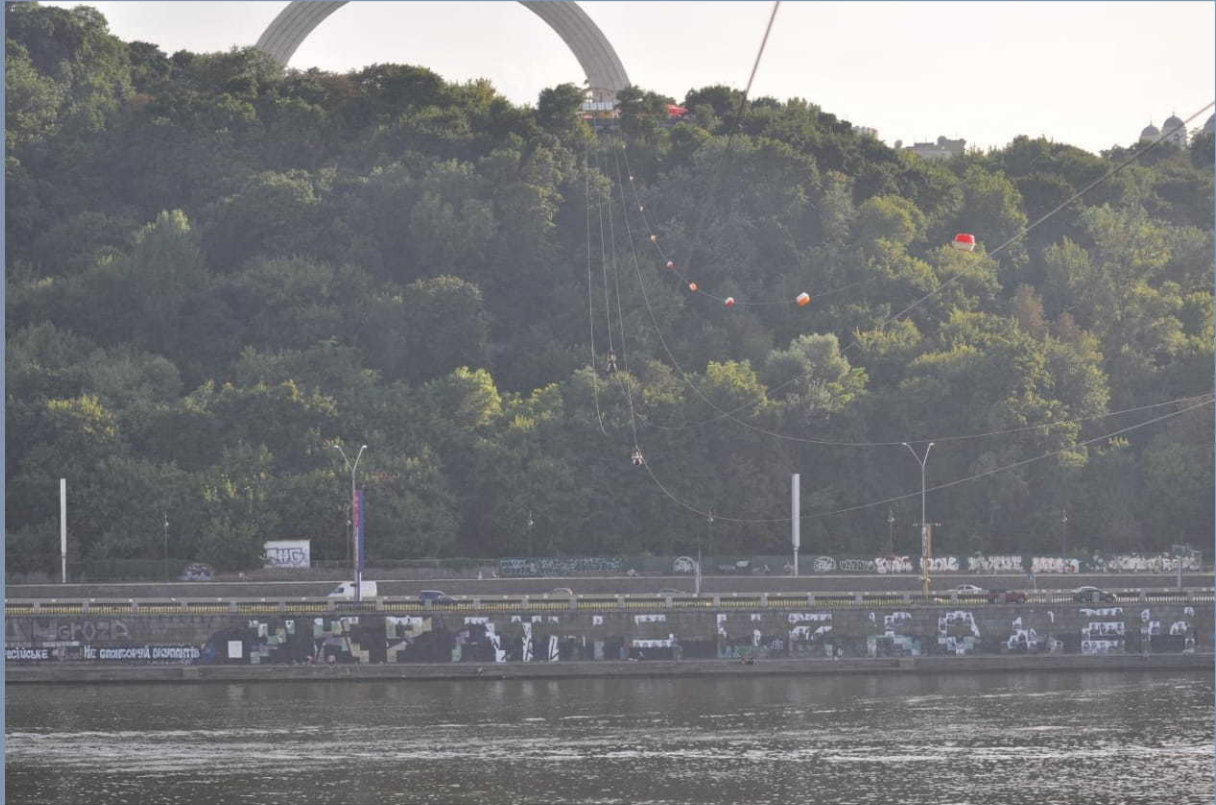


Muzeum Historii Naturalnej Ukrainy





Muzeum
Historii
Naturalnej
Ukrainy



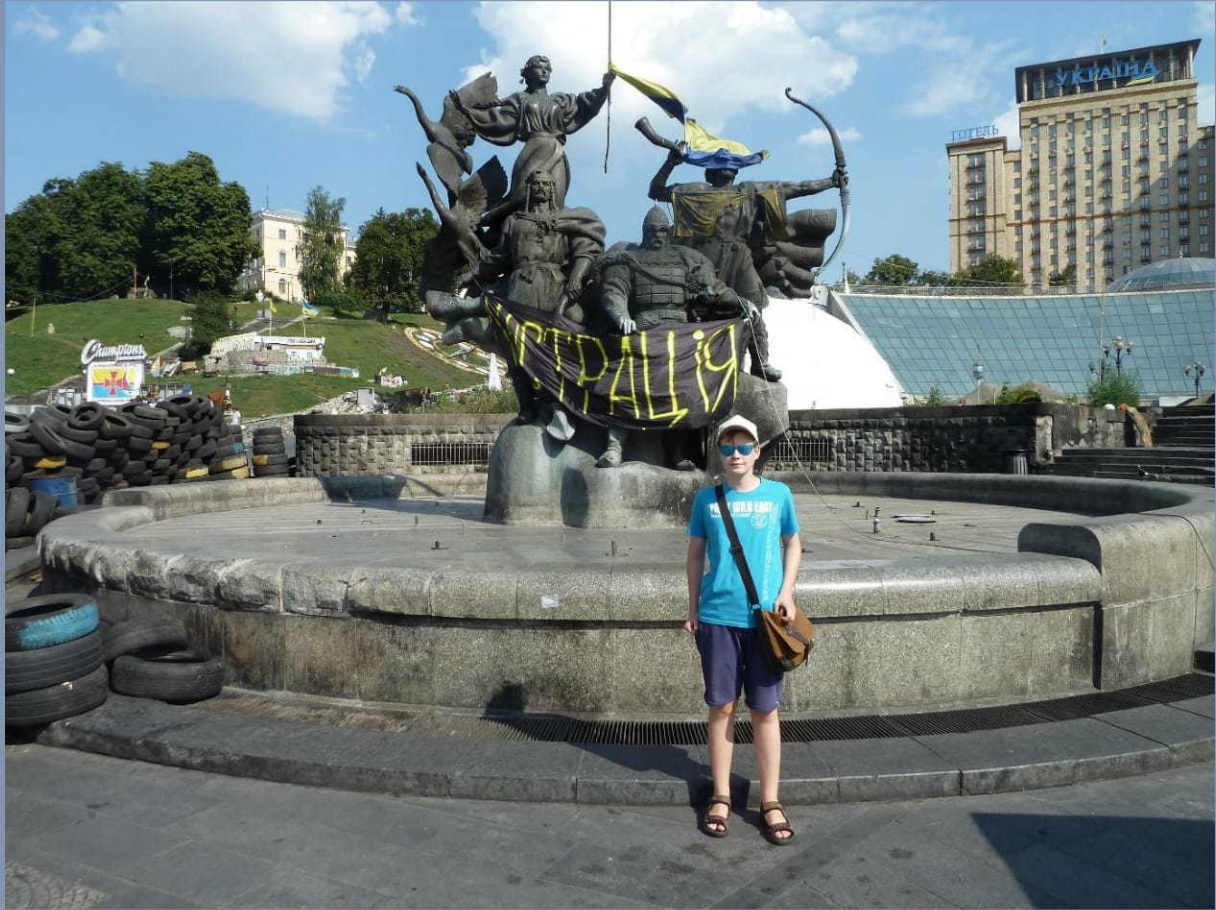
Zjazd tyrolką spod łuku Przyjaźni Narodów na wyspę położoną na Dnieprze



Barykady Euromajdanu (Kijów 2014) / Барикади Євромайдану (Київ 2014)





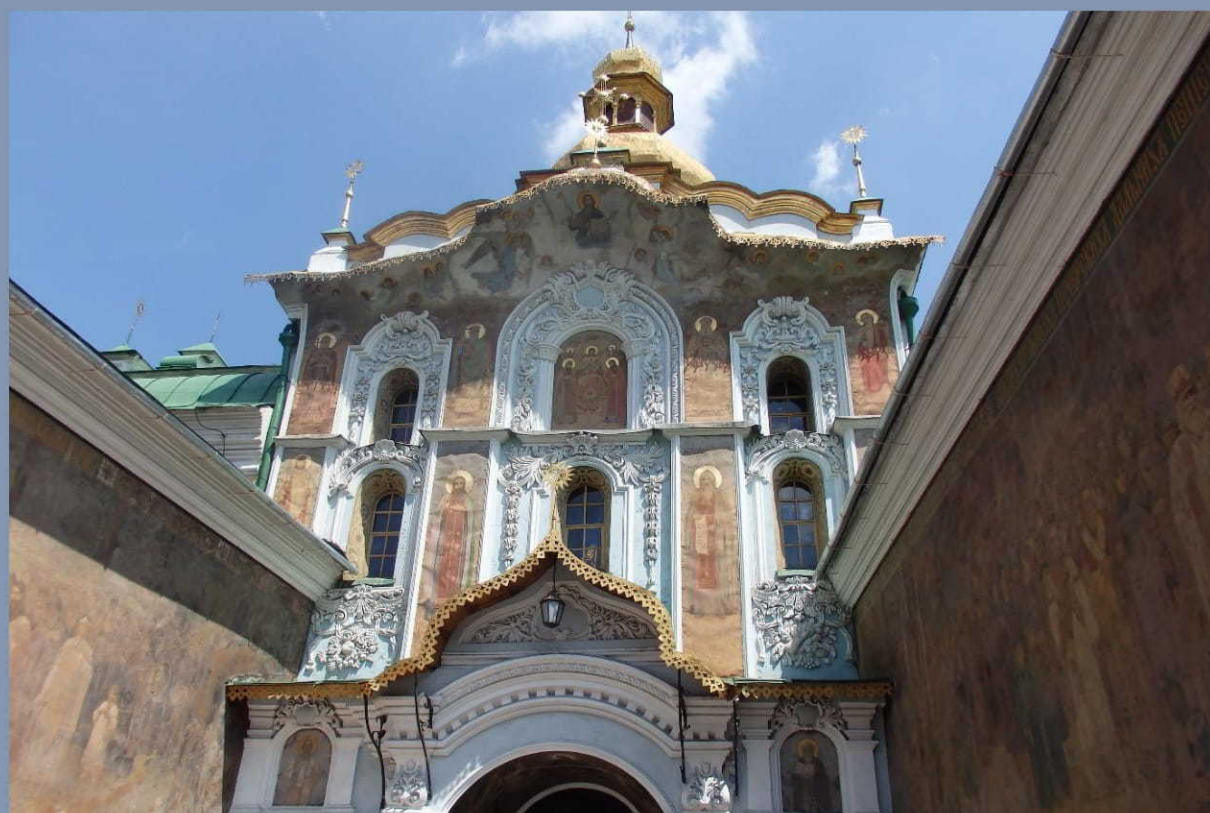


Michał Zarecki / Міхал Зарецький

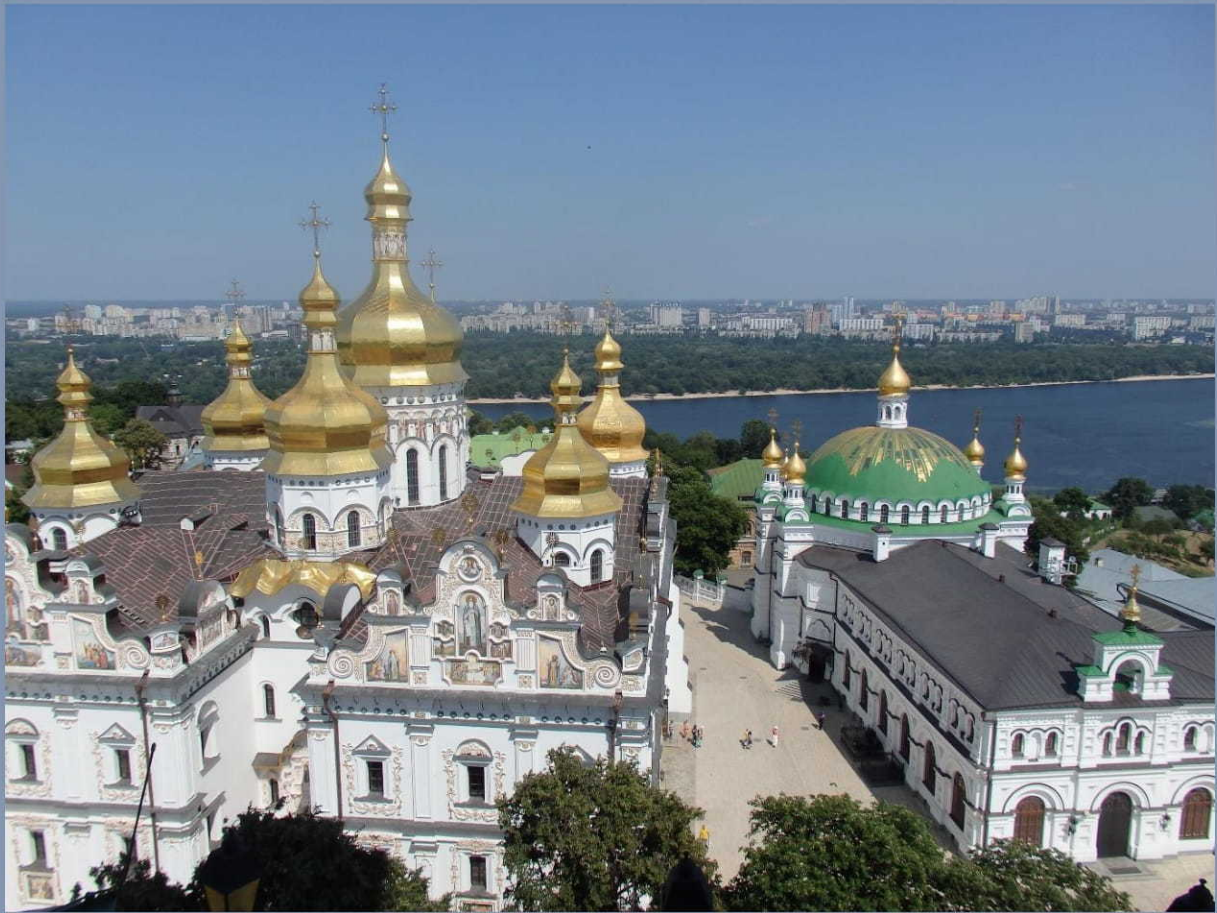
Zdjęcia Michała Zareckiego stanowią mimochodem narastający cykl prywatnych wspomnień z wycieczek do różnych miast w Ukrainie w latach 2015-2020. Prezentujemy w układzie chronologicznym i w porządku odwiedzanych miejscowości. Podpisy Autora.

Rok 2015

Kijów



Wejście do ławy Peczerskiej w Kijowie



Ławra Peczerska

Kijów z perspektywy Ławry Peczerskiej - w tle – pomnik Matki Ojczyzny

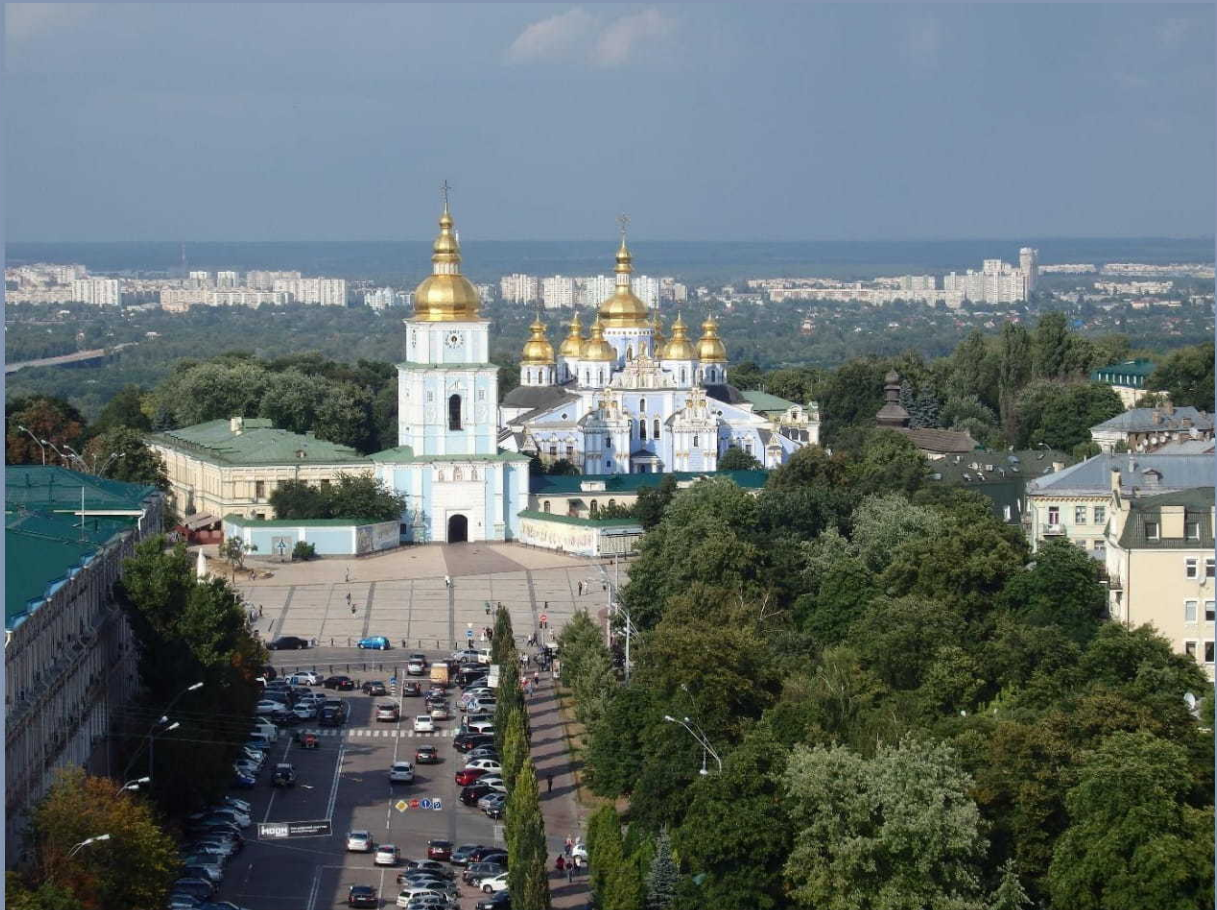




Ikona Matki Bożej
wykonana
z wyduszek
– wystawa
wewnątrz Soboru
Mądrości Bożej
w Kijowie

Detal





Monaster św. Michała Archanioła o Złotych Kopułach – XII w.

Funikular – kolejka, za pomocą której można dostać się do części Kijowa zwanej Padołem (widok z góry)

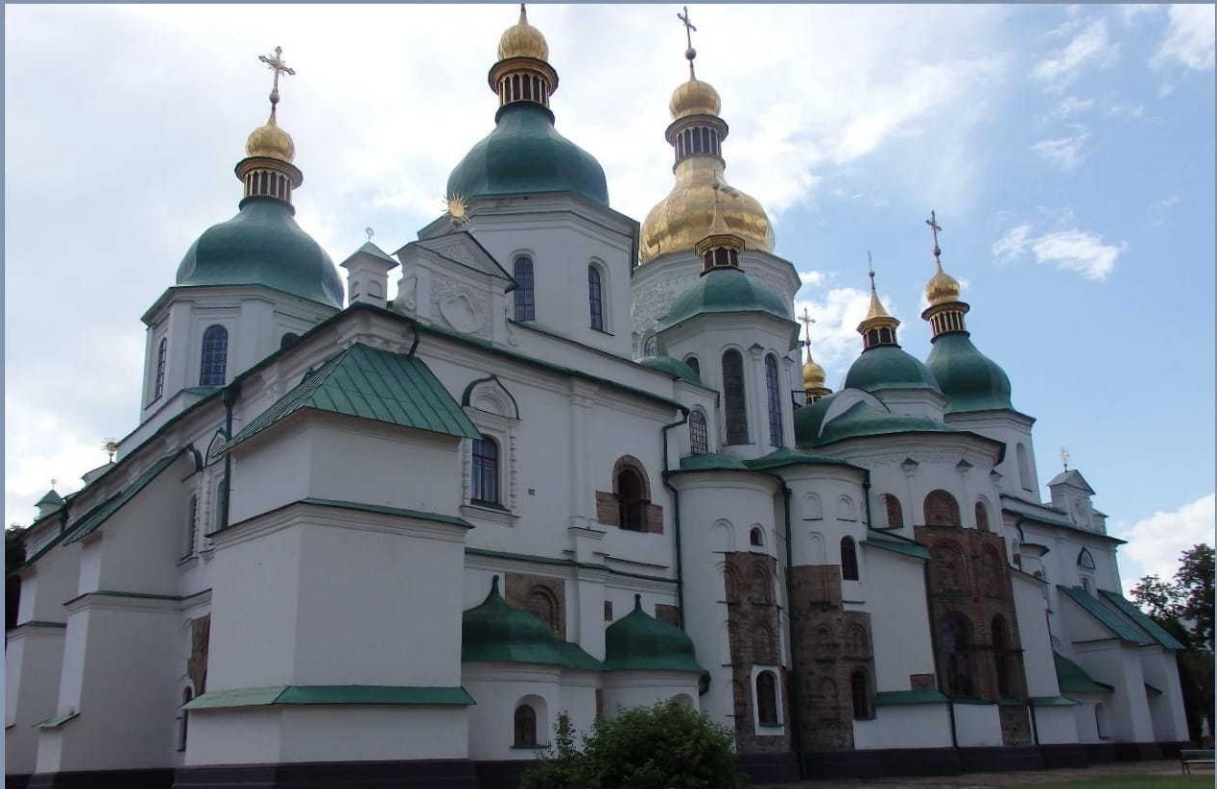




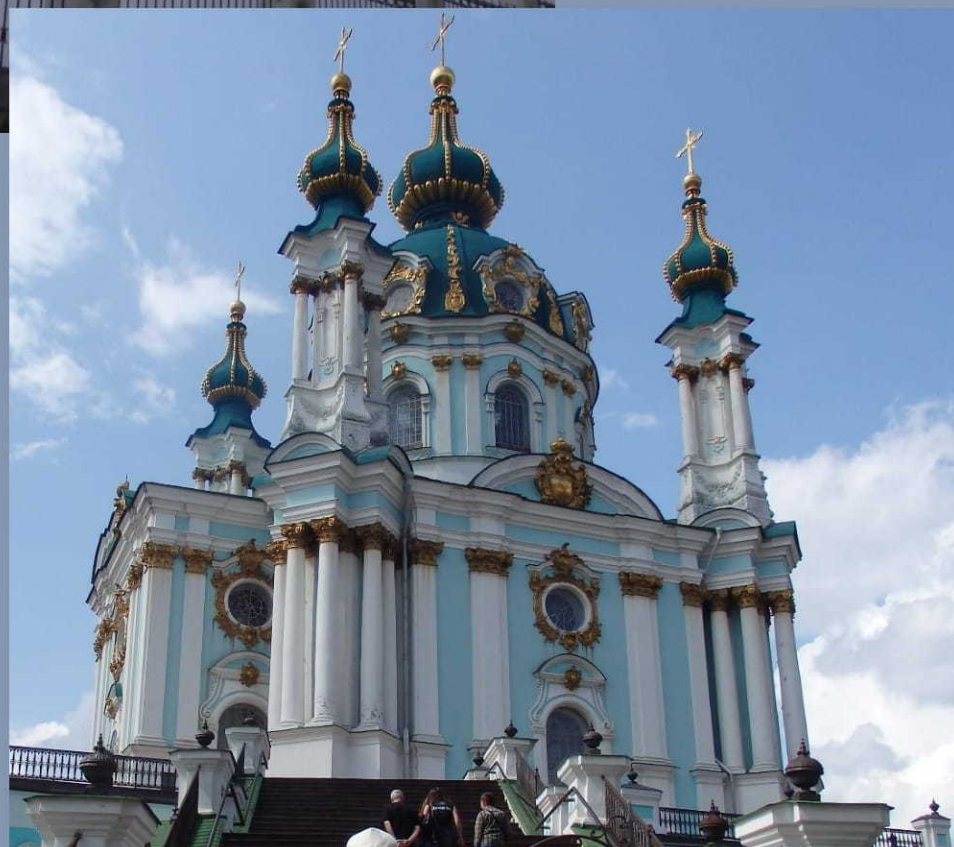
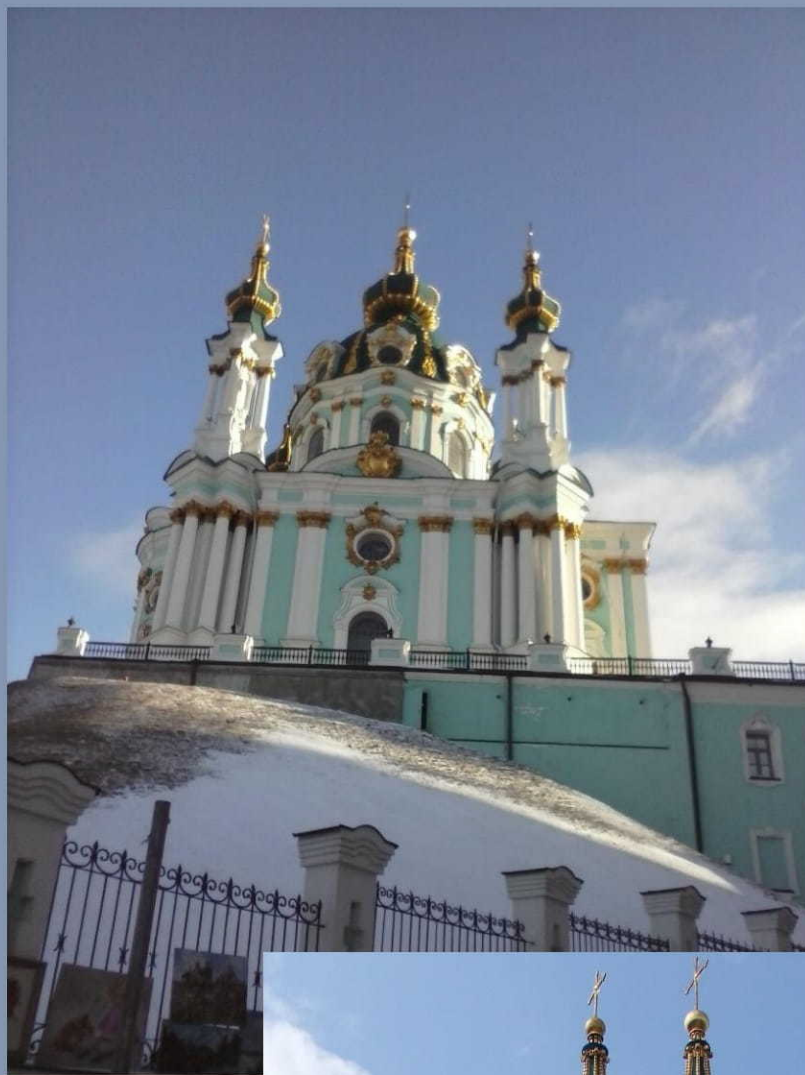
Dzwonnica Soboru Mądrości Bożej w Kijowie – XVIII w.

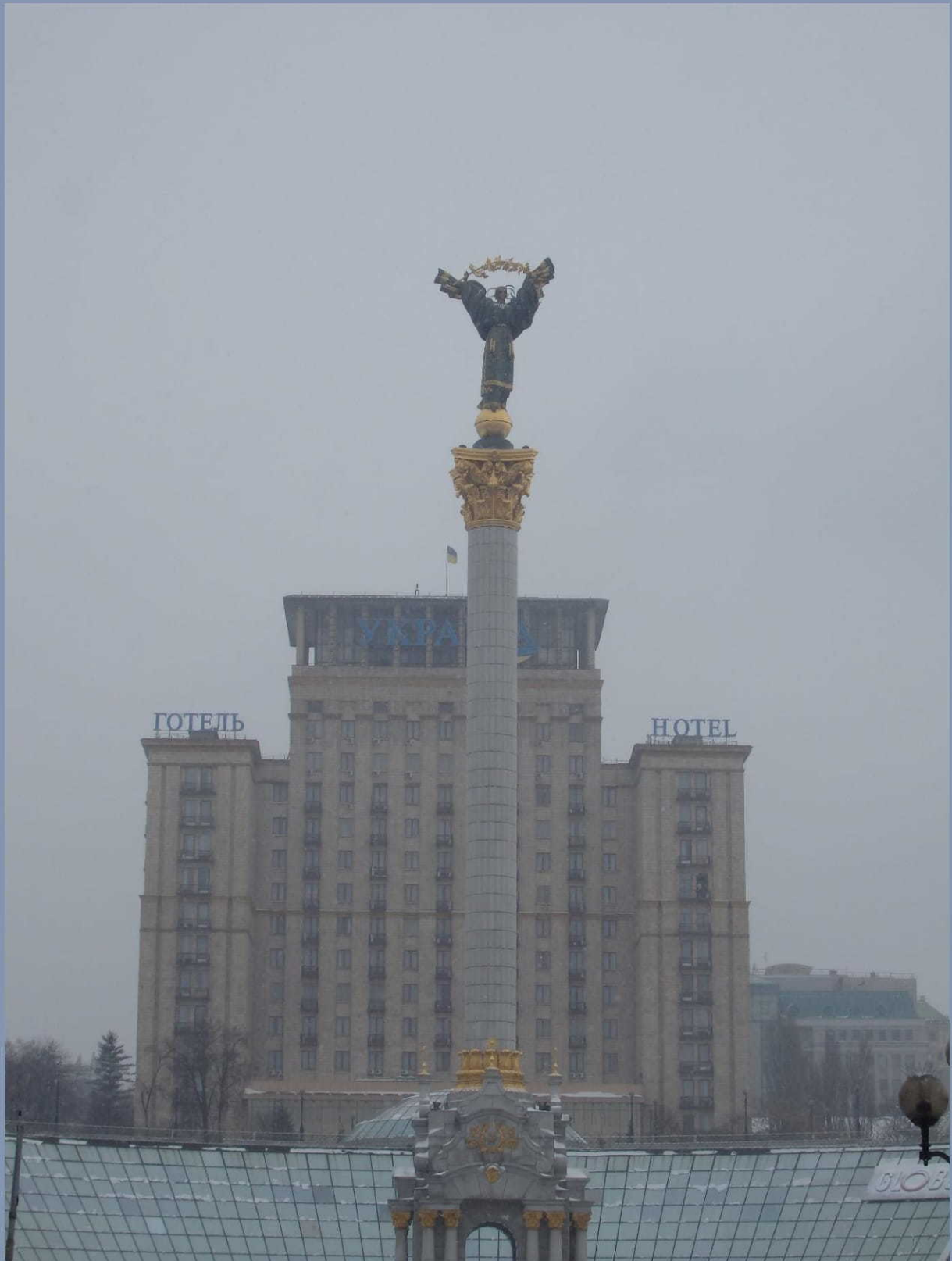


Sobór Mądrości Bożej w Kijowie – XI w. – jeden z siedmiu cudów Ukrainy; znajduje się na liście dziedzictwa kulturalnego UNESCO. (U góry – widok z dzwonnicy)



Cerkiew św. Andrzeja
na Andrijewskim Spusku
– XVIII w.





Kijowska Statua Wolności (w tle hotel Ukraina)



Majdan Niepodległości w Kijowie – w tle – Statua Wolności

Pomnik Bohdana Chmielnickiego w Kijowie – 1888 r.





Dawna siedziba Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Ukraińskiej SRR, obecnie siedziba ukraińskiego MSZ-u

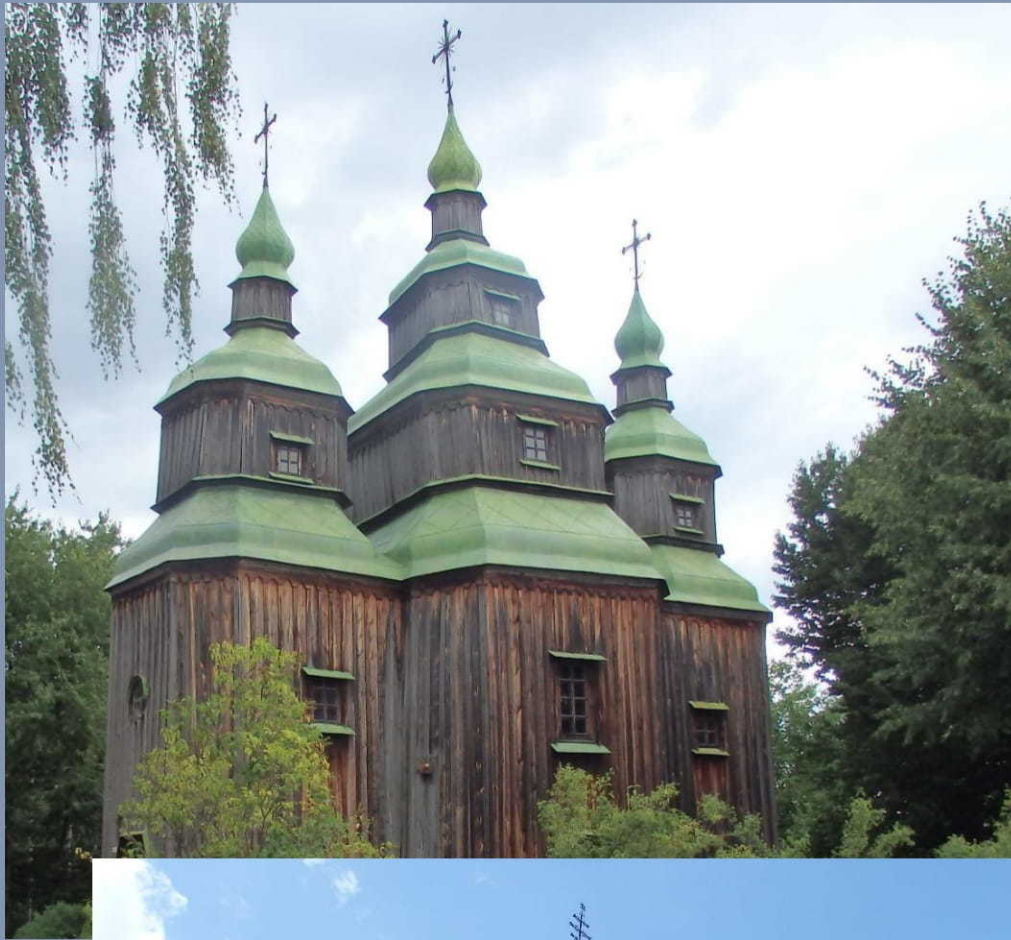
Centrum miasteczka wybudowanego w Kijowie z myślą o oligarchach.
Ostatecznie wprowadziło się tam niewiele osób i zaludnione pozostają jedynie pomieszczenia usługowe





Dom, w którym mieszkał Michaił Bułhakow – Andrijewski Spusk, Kijów

Piorogowo. Skansen pod Kijowem



Cerkwie
wiejskie





Chata z przełomu XIX i XX w.

Wnętrze wiejskiej chaty z przełomu XIX i XX w.



Lwów



Czarna Kamienica we Lwowie – XVI w.
Kaplica Boimów we Lwowie – XVII w.





Pałac Potockich we Lwowie – XIX w.

Tort wykonany przez jedną z lwowskich cukierni





Lwowskie pomniki:

Tarasa Szewczenki...

...Adama Mickiewicza....



...i Nikifora Krynickiego



Rok 2016

Odessa



Hotel Bristol w Odessie – to m.in. tutaj Juliusz Machulski realizował zdjęcia do filmu *Déjà Vu*

Pasaż handlowy w Odessie





Schody Potiomkinowskie w Odessie





Port w Odessie

W jednym z odeskich parków



Rok 2017

Kijów



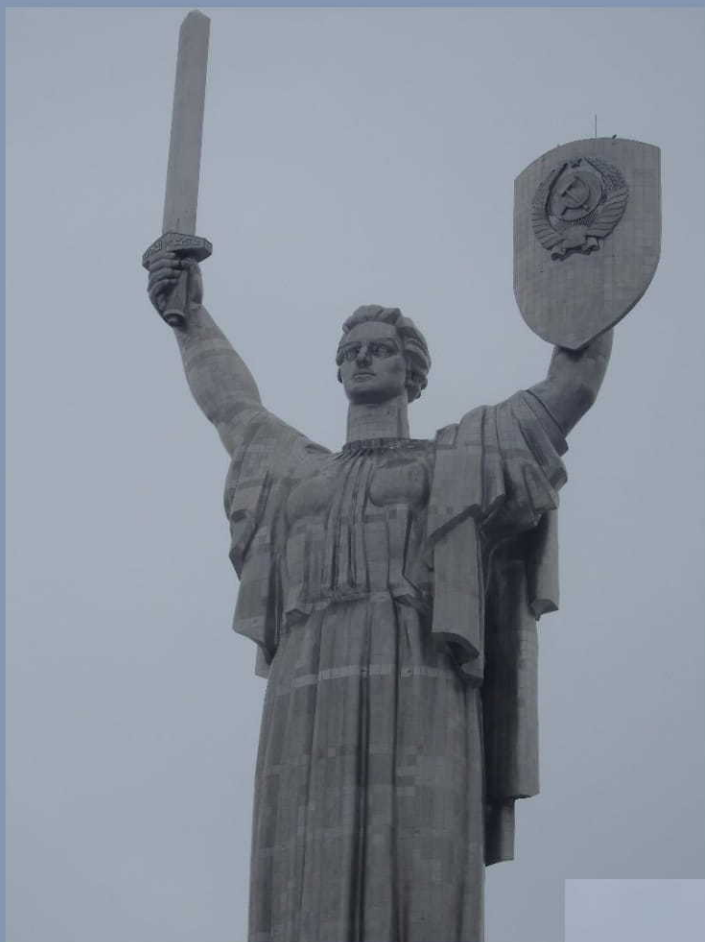
Jeden z kijowskich murali – słonecznik stanowi symbol narodowy Ukrainy



Stadion klubu piłkarskiego Dynamo Kijów



Polska Brama z wizerunkiem św. Michała (patrona Kijowa) na kijowskim Majdanie

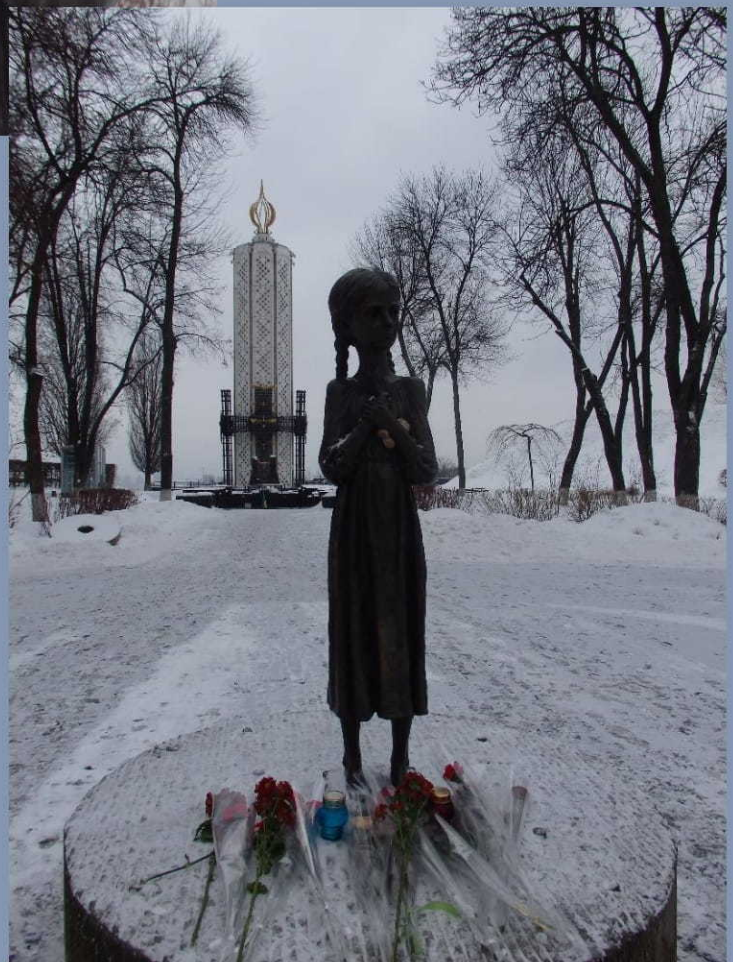


Pomnik Matki Ojczyzny
w Kijowie





Pomnik Wielkiego Głodu na Ukrainie oraz zejście do muzeum Wielkiego Głodu, znajdującego się poniżej



Pomnik dziewczynki jako symbolu ofiar
Wielkiego Głodu na Ukrainie,
w tle pomnik Wielkiego Głodu



Posąg ukraińskiego i rosyjskiego robotnika spod łuku Przyjaźni Narodów w Kijowie

Stela granitowa przedstawiająca uczestników ugody perejaślawskiej z 1654 r.,
pod łukiem Przyjaźni Narodów w Kijowie



Rok 2018

Kijów



Kijów. Panorama



Łuk Przyjaźni Narodów w Kijowie



Pomnik Włodzimierza Wielkiego w Kijowie

Jeden z kijowskich murali





Pałac prezydencki w Kijowie





Tzw. Petriwka – największy bazar w Kijowie

Tzw. Petriwka – największy bazar w Kijowie – stragany na czynnych torach kolejowych!





Tzw. Petriwka – największy bazar w Kijowie – stragany na czynnych torach kolejowych!



Tablica upamiętniająca żołnierzy poległych podczas wojny na wschodniej Ukrainie



Na planie serialu *Zniewolona*





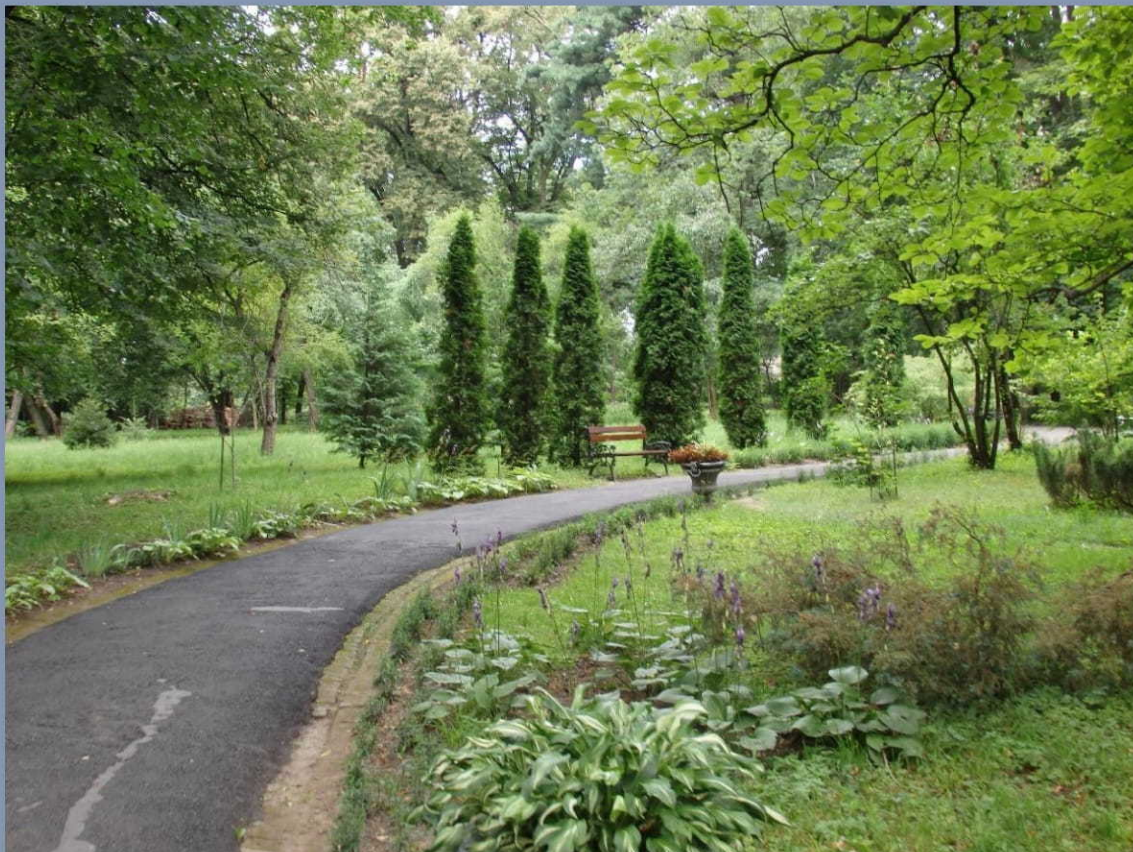
Pomnik Juliusza Słowackiego w Kijowie

Czerniowce



Stare Miasto w Czerniowcach – jednym z najpiękniejszych miast Ukrainy

Park uniwersytetu w Czerniowcach





Uniwersytet w Czerniowcach – nazywany ukraińskim Hogwartem

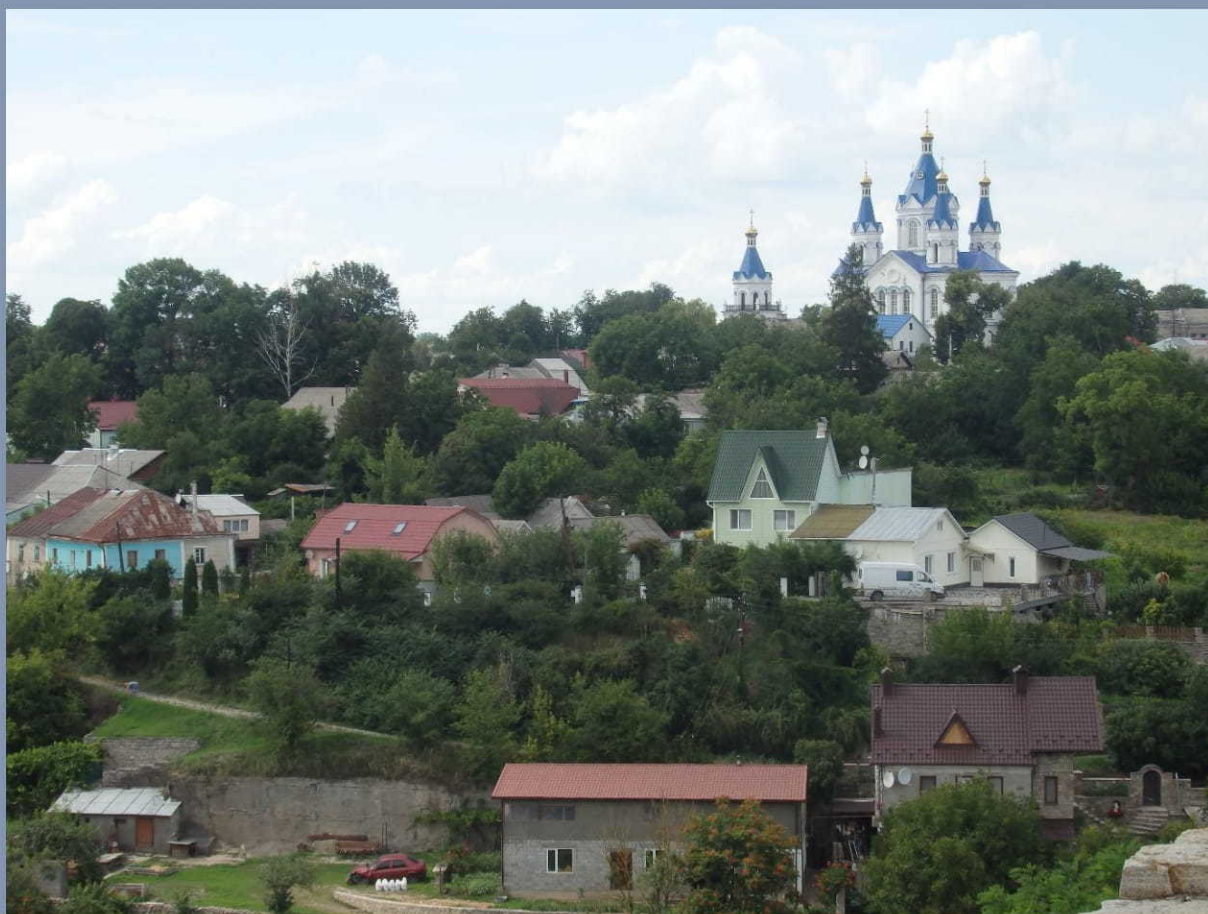
Brama uniwersytetu w Czerniowcach





Lody Black Hawaii – robione przez jedną z cukierni w Czerniowcach. W 2018 roku otrzymały I nagrodę na międzynarodowym konkursie w Rimini

Kamieniec Podolski



Kamieniec Podolski. U góry – w tle cerkiew św. Grzegorza





XVI-wieczna baszta w Kamieńcu Podolskim, ufundowana przez Stefana Batorego. Na dole – tabliczka





Zamek w Kamieńcu Podolskim





Zamek w Kamieńcu Podolskim





Pomnik pamięci pułkownika Jerzego Wołodyjowskiego na polskim cmentarzu w Kamieńcu Podolskim



Chocim

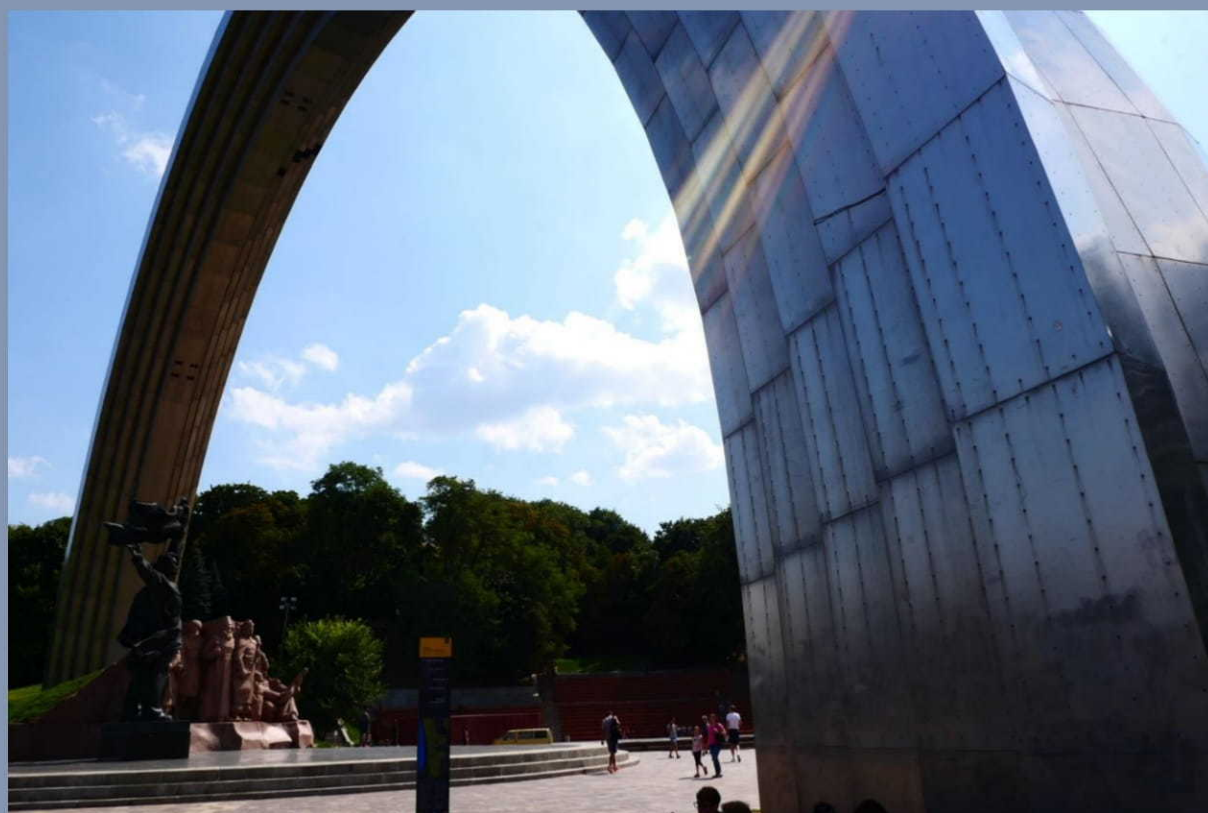


Zamek w Chocimiu



Rok 2019

Kijów



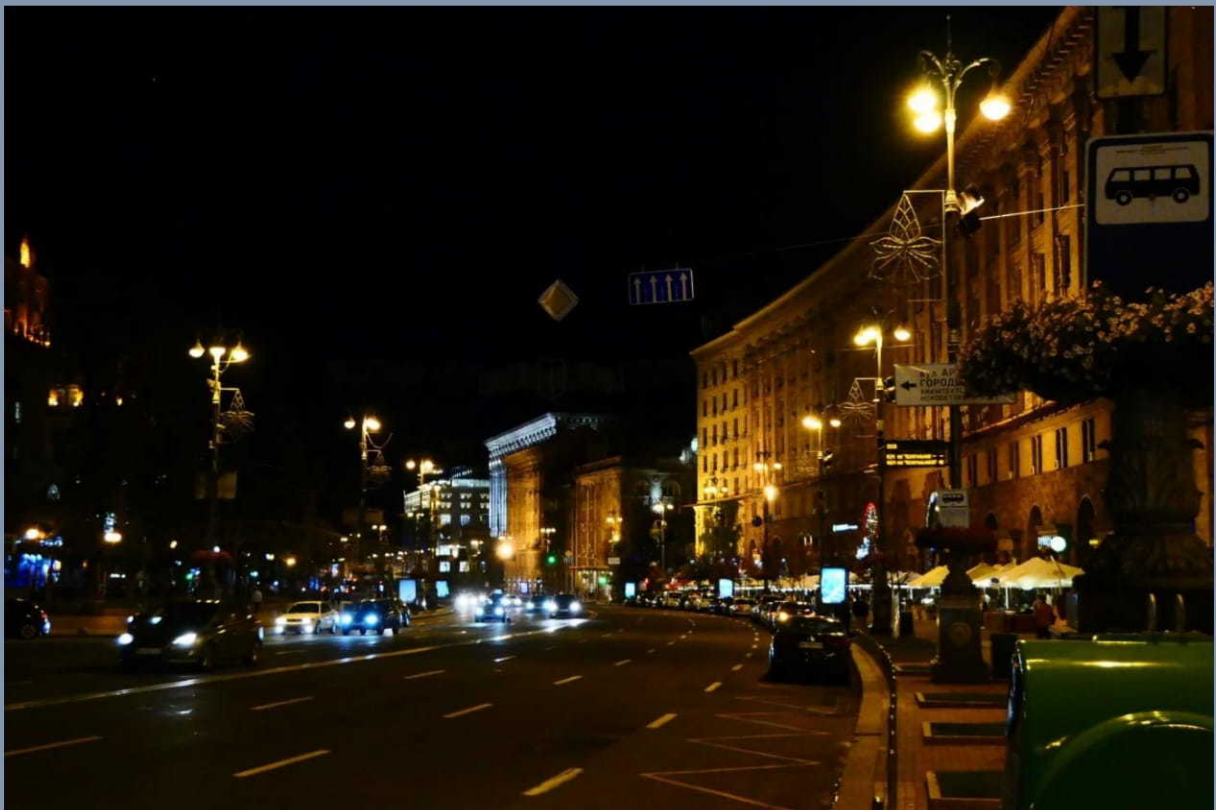
Łuk Przyjaźni Narodów w Kijowie

Podświetlony nocą Łuk Przyjaźni Narodów – z perspektywy Chreszcchatyku





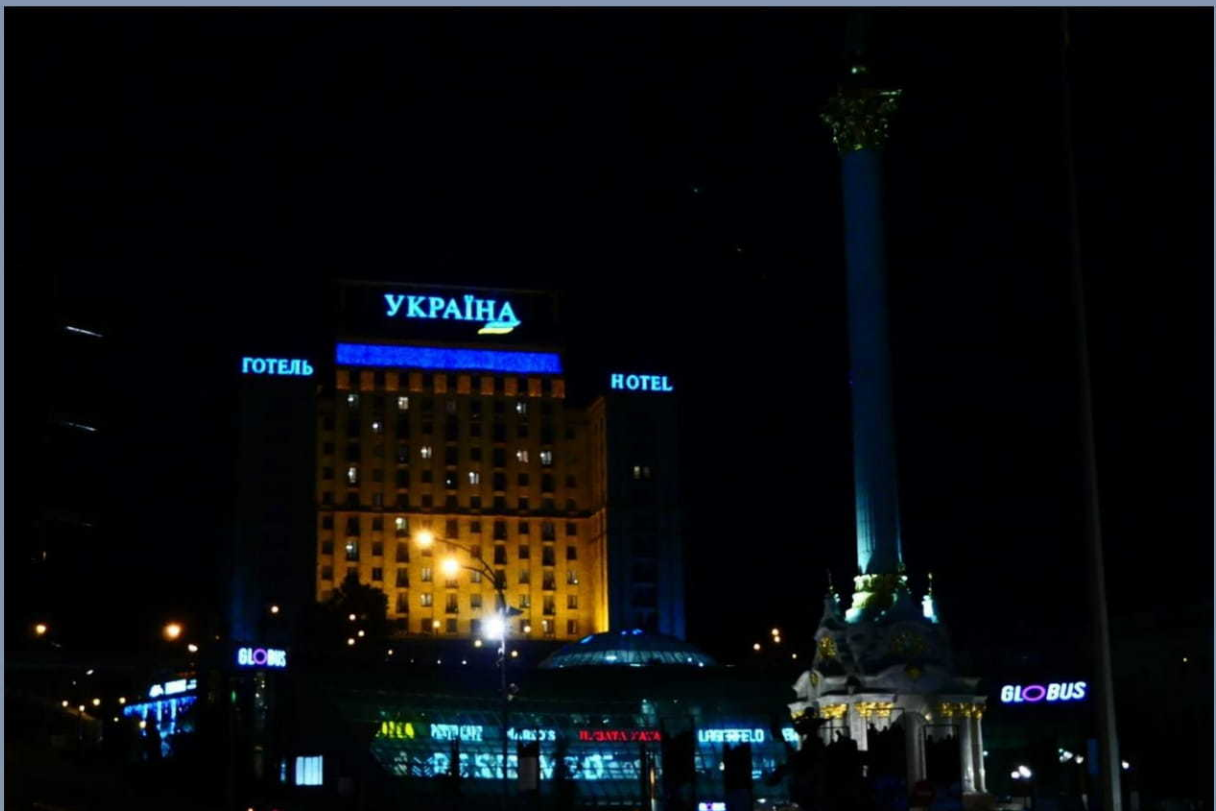
Chreschatyk – główna ulica Kijowa – nocą





Majdan Niepodległości w Kijowie nocą

Hotel Ukraina oraz Statua Wolności w Kijowie nocą





Pomnik św. Michała – patrona Kijowa – nocą

Koncert muzyki filmowej w Kijowie





Kijowska filharmonia – widziana od tyłu



Szklany Most w Kijowie



Funikular – kolejka, za pomocą której można dostać się do części Kijowa zwanej Padolem (widok z dołu)



Giełda obrazów przy Andrijewskim Spusku w Kijowie



Kijów 2019





Z konkursu łucznictwa w zrekonstruowanym średniowiecznym grodzie, zwanym Rusią Kijowską.
Zawodnik o pseudonimie Kojot

Rok 2020

Kijów



Andrijevski Spusk w Kijowie



Giełda obrazów przy Andrijevskim Spusku



Arena Narodowego Cyrku w Kijowie

Przejście podziemne w centrum Kijowa





Kolumny i sufit Dworca Centralnego w Kijowie

Wnętrze Dworca Centralnego w Kijowie





Złota Brama w Kijowie – XI w.

Pomnik Włodzimierza Wielkiego w Kijowie



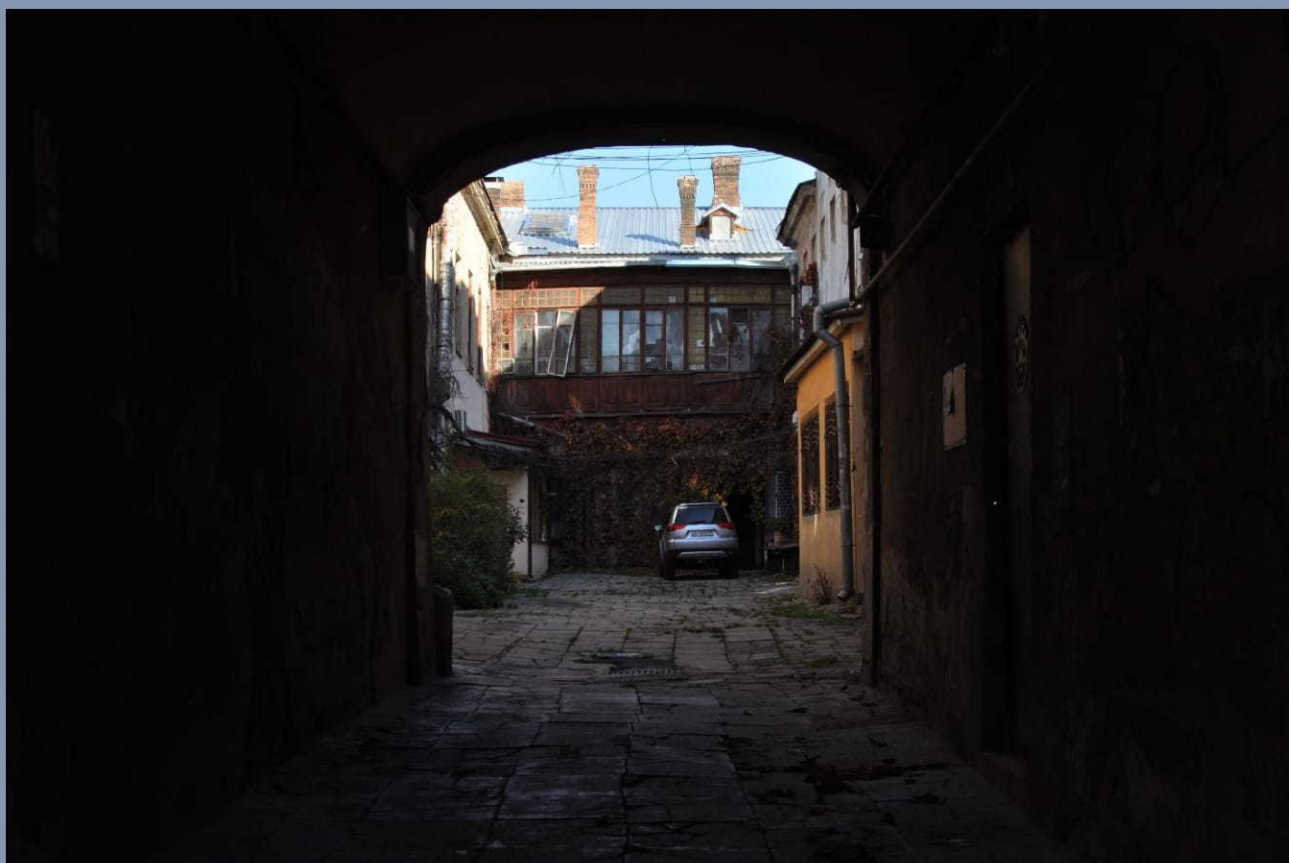


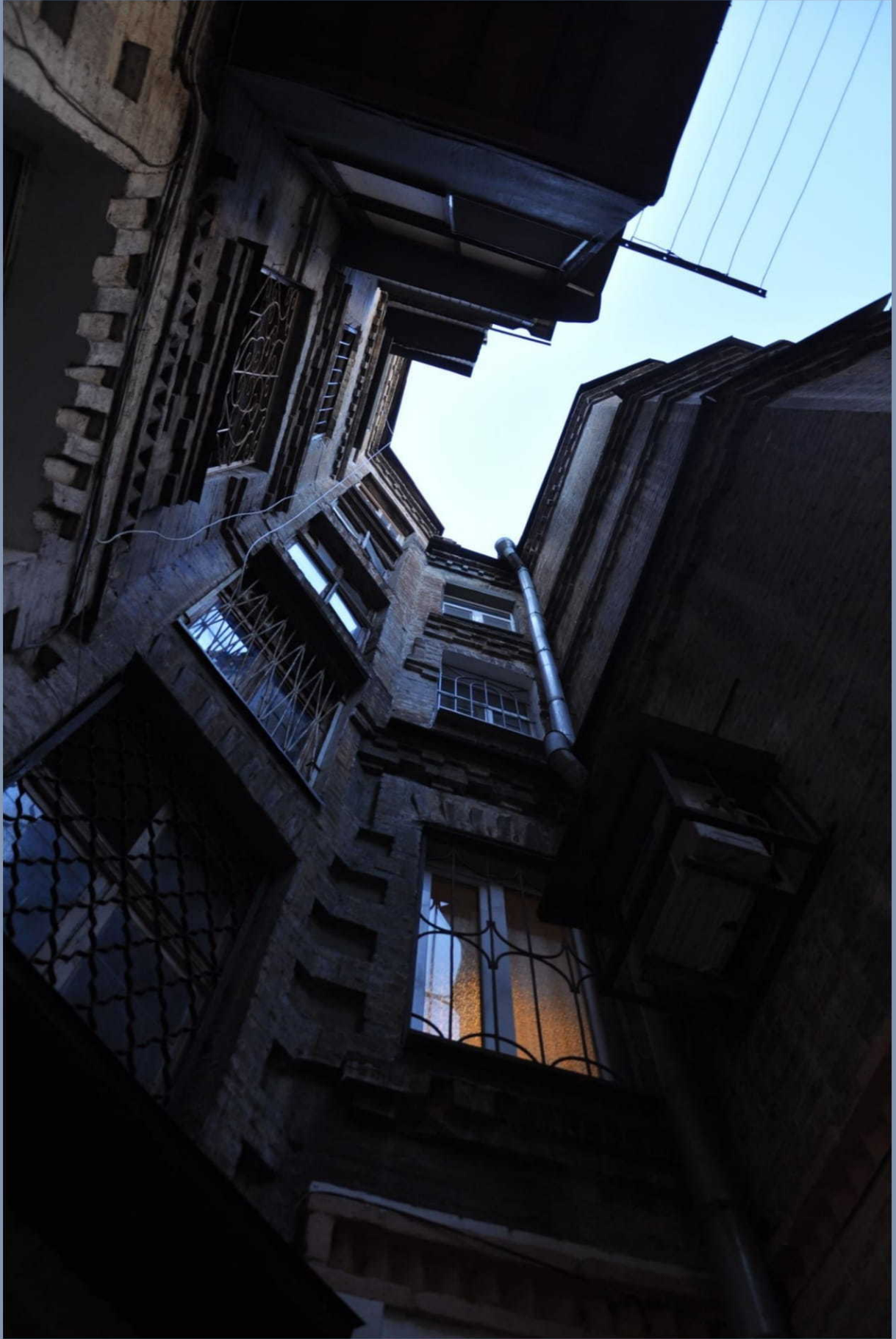
Majdan Niepodległości

Odessa / Одеса

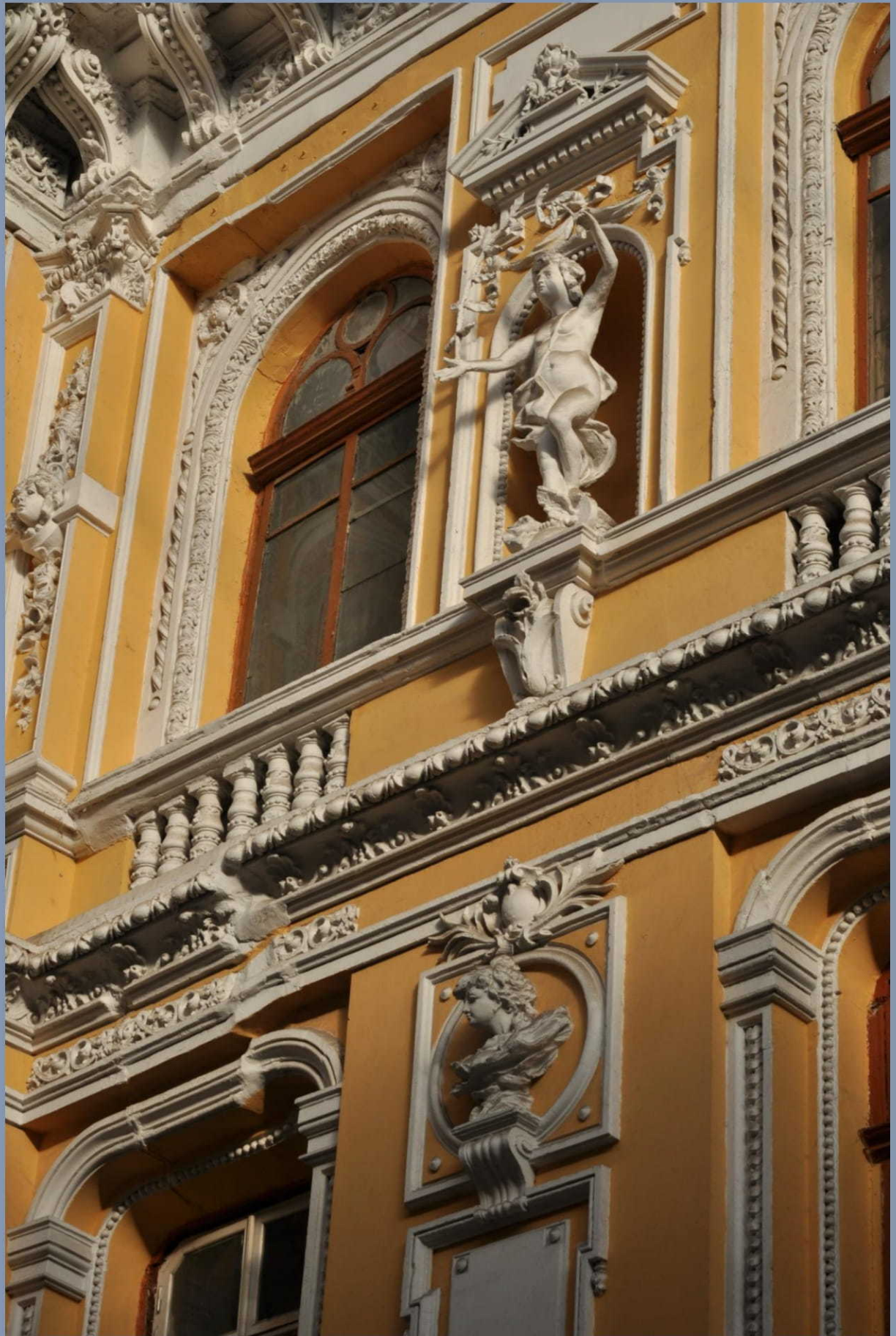
Dzięki zaangażowaniu Michała Zareckiego i Maryny Lopuszin (Марини Лопушін) zamieszczamy potrójny cykl zdjęć współczesnej Odessy. Anastazja Wakarczuk (Анастасія Вакарчук) i Joy de Wision (pseudonim) to jej mieszkanki/mieszkańcy. Maryna Lopuszin to absolwentka reżyserii filmowej na Kijowskim Uniwersytecie Teatru Kina i Telewizji im. Iwana Karpenki-Karego i mieszkanka Kijowa.

Анастасія Вакарчук (Anastazja Wakarczuk)











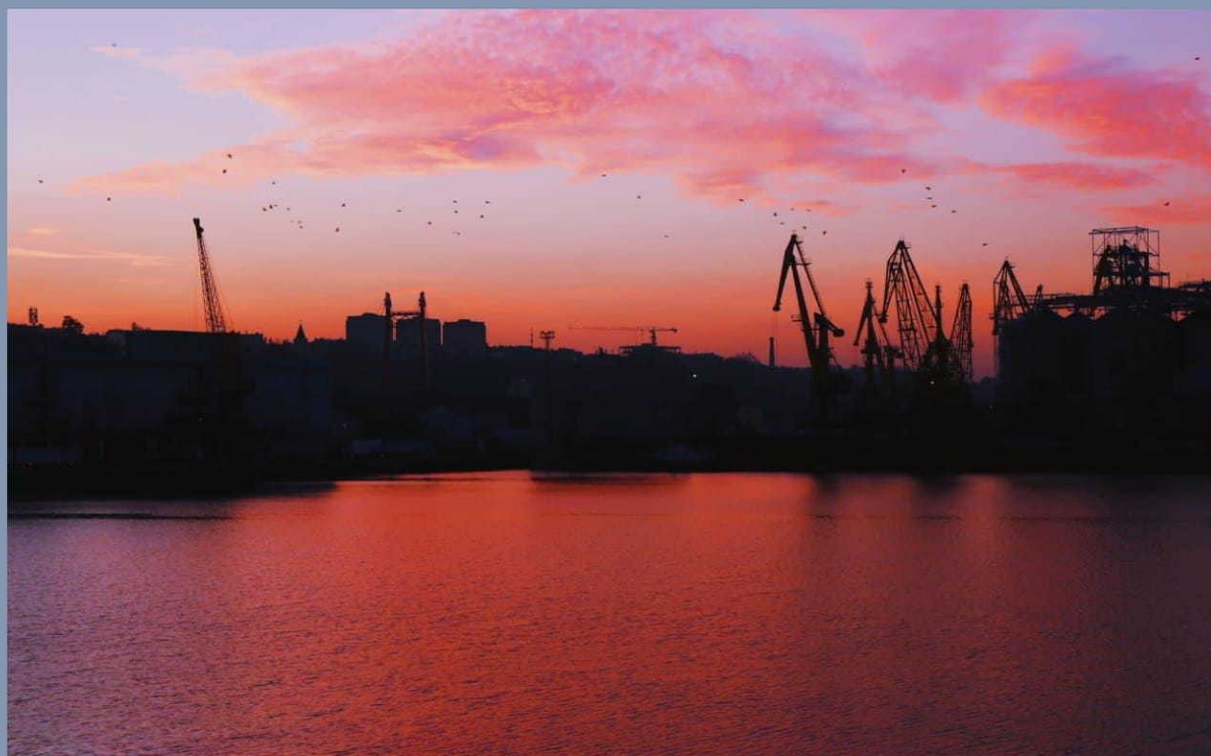
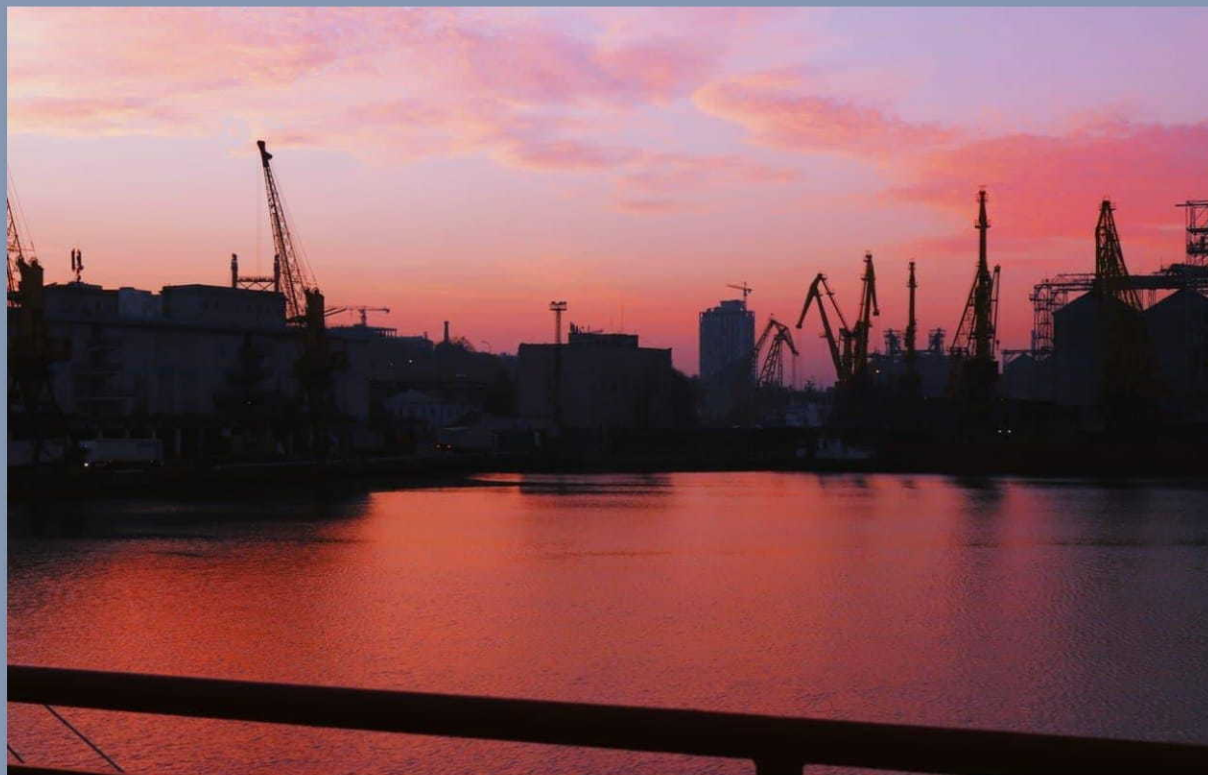


Muzeum Sztuki w Odessie



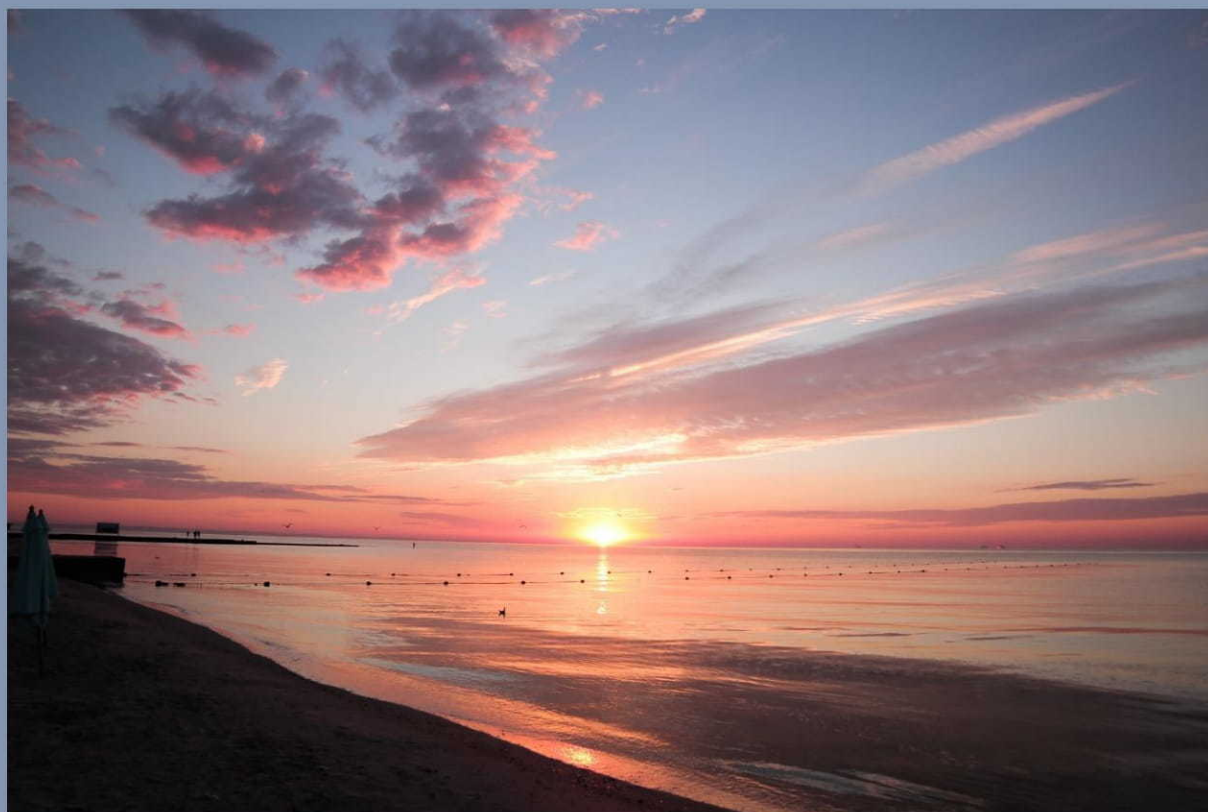


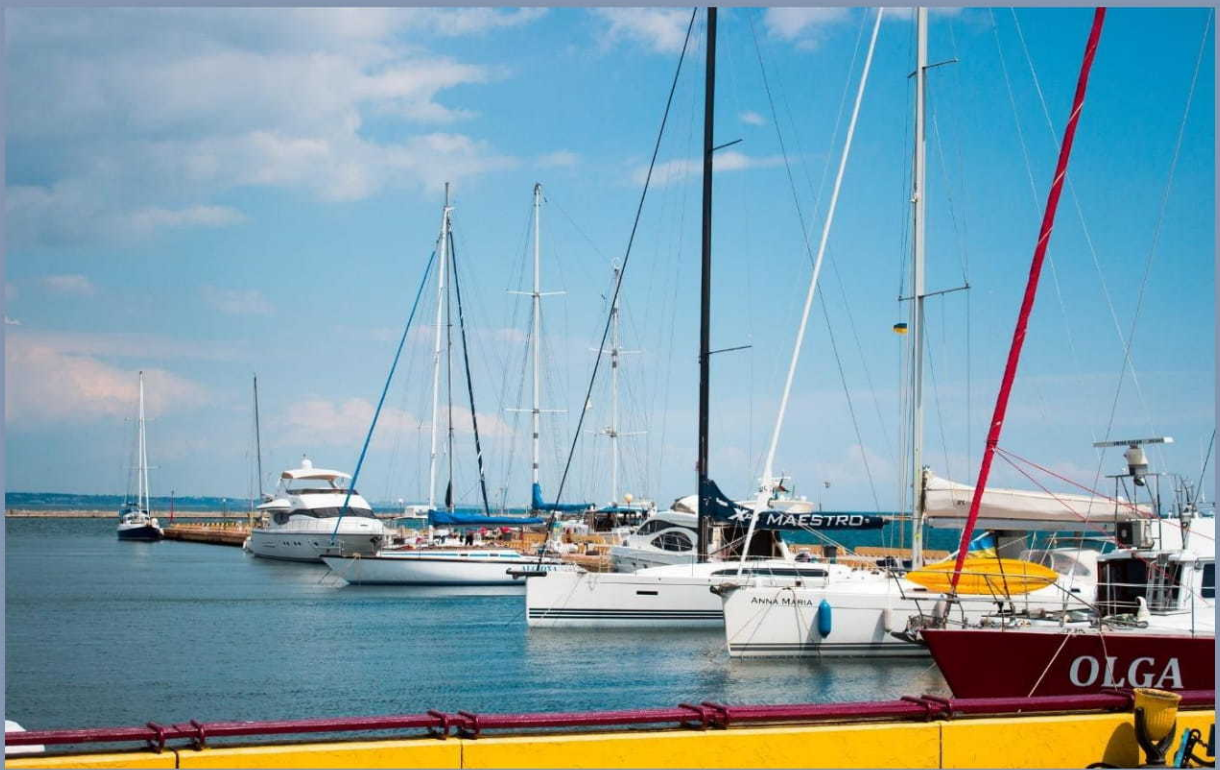
Міра Гаврилюк (Mira Hawryliuk)





Марина Лопушін (Maryna Lopuszin)







Opera w Odessie



ESEJ

Michał Zarecki

Ziemia Ołeksandra Dowżenki (1930)

– ukraińskość ideałem tworzywa filmowego

Земля Олександра Довженка (1930)

– українськість – це ідеал кіноматеріалу

Kinematografia ukraińska pozostaje – jeśli prześledzić jej dzieje – zjawiskiem niezwykle, unikalnym pod względem artystycznym, jeśli chodzi o samo podejście jej twórców do filmowego tworzywa, a przy tym w skali światowej wielce niedocenionym. Nie tylko zresztą w kręgu światowym, bowiem i wśród widza rodzimego świadomość o chwalebnej przeszłości swego narodowego filmu pozostaje raczej niewielka. Tymczasem jestem w stanie stwierdzić, iż w swych najwspanialszych dziełach osiągnął on poziom najwyższych światowych kinowych ruchów, a przy tym penetrował jedyne w swoim rodzaju możliwości kreowania świata przedstawionego przy pomocy silnie eksponowanych środków formalnych. Wpływało to w zasadzie z głębi samego ducha tego narodu, jego filozofii życia, pokornej postawy wobec zjawisk naturalnych i wrażliwości, aby uchwycić ich ulotność na taśmie filmowej. Można powiedzieć, że sama kultura ukraińska stanowiła metaforycznie żyzny grunt pod możliwość uprawy wysokoartystycznej sztuki filmowej, tak jak dosłownie bogata w czarnoziemy gleba stanowi tam podporę wielce wydajnej uprawy rolnej. I to wszystko działo się przede wszystkim w czasach, gdy Ukraina nie stanowiła niepodległego państwa, lecz jedną z radzieckich republik.

W swojej przyszłej działalności filmoznawczej chciałbym skupić się na penetrowaniu dziejów ukraińskiego kina, w tym jednak artykule poprzestanę na omówieniu jednego z najwybitniejszych i najbardziej reprezentatywnych utworów ukraińskiej kinematografii, czyli niemego filmu z roku 1930 – *Ziemia* – w reżyserii Ołeksandra Dowżenki.

Dowżenko urodził się w 1894 roku we wsi Sońnica w chłopskiej rodzinie. Ukończył seminarium nauczycielskie i pracował jako nauczyciel w Żytomirze. Nauczał od przyrody,

przez historię i malarstwo, aż po gimnastykę. Po rewolucji październikowej opowiedział się po stronie armii Ukraińskiej Republiki Ludowej (nie miała ona nic wspólnego z ZSRR, lecz była niepodległym państwem, istniejącym do 1921 roku), dla której walczył. Dopiero w roku 1920 zapisał się do partii bolszewickiej. W tamtym okresie wyjechał również na jakiś czas do Berlina, gdzie pobierał lekcje malarstwa. Później został również karykaturzystą. Jego debiutem reżyserskim była krótka komedia Wasia – reformator z 1925 roku i początkowo uważał on, iż jako filmowiec będzie rozwijał się w tym właśnie gatunku. Taką perspektywę całkowicie wywróciło podjęcie się przez niego realizacji swojej tzw. „trylogii”, w skład której wchodzi jego trzy najwybitniejsze dzieła – *Zwenigora* (1927), *Arsenał* (1928) oraz właśnie *Ziemia*.

Czasy socrealizmu to dla Dowżenki okres upadku możliwości rozwoju swego stylu (oskarżanego przecież jako formalizm), a także trwającej kilkanaście lat szczerzej wiary w ideologię stalinizmu. Niemniej i w tym czasie pokaże on wysoką klasę, reżyserując epopeję rewolucyjną *Szczęros* (1939), w swym temacie zbliżoną do *Czapajewa* (1934) Wasiljewów, jednak moim zdaniem znacznie go swymi walorami artystycznymi przewyższająca.

Po II wojnie światowej i rozczarowaniu hasłami propagandowymi Stalina, Dowżenko – oskarżony zresztą o nacjonalizm – zakończył swoją karierę filmowca i zajął się pisaniem powieści. Jedną z nich, *Zaczarowaną Desnę* przeniosła w roku 1964 na duży ekran jego żona oraz asystentka, Julija Sołncewa – już po śmierci męża w roku 1956.

Powróćmy teraz do samej *Ziemi*. Jest to jeden z tych nielicznych (choć nielicznych niesłusznie) ukraińskich filmów, o których mówi się w szerokim świecie. W roku 2021 Narodowe Centrum im. Ołeksandra Dowżenki w Kijowie sporządziło ranking krytyków filmowych stu najwybitniejszych ukraińskich filmów. Omawiane tu dzieło zajęło drugą pozycję, po *Cieniach zapomnianych przodków* (1964) Siergieja Paradżanowa.

Mogę nazwać siebie szczęśliwym posiadaczem wydania na DVD filmu *Ziemia* w wersji zrekonstruowanej przez wyżej wspomniane centrum. Muzykę do niego skomponował i wykonał znany ukraiński folklorystyczny zespół DachaBracha i trzeba powiedzieć, że robi ona rzecz ogromną dla emocjonalnego doświadczenia seansu filmu. Choć niewątpliwie równie znamienita powinna okazać się kompozycja Wiaczesława Owczinnikowa (twórcy muzyki do filmów Tarkowskiego), zawarta w bardziej dostępnej rekonstrukcji filmu, wykonanej przez Mosfilm w latach 70. Choć nie mogę stwierdzić tego na pewno, gdyż z tą wersją zaznajomiony jestem jedynie fragmentarycznie.

Poddano tam również rekonstrukcji oryginalne ukraińskojęzyczne śródtytuły (napisy na planszach), gdyż dotychczasowe wersje rekonstruowane w Rosji zawierały je w wersji rosyjskojęzycznej. A trzeba tu powiedzieć, iż w okresie przed stalinowskim terrorem, ukraińska

Partia prowadziła silną politykę nacjonalizacji swojej republiki, więc język ukraiński w filmach i literaturze stanowił wówczas rzecz oczywistą.

Wielka szkoda, że wersja ta nie została wydana poza Ukrainą, ani udostępniona oficjalnie na żadnym portalu streamingowym i nie może przez to uzyskać szerszego zasięgu odbiorców.

Zanim przejdę do omówienia samego filmu, chciałbym jeszcze podkreślić, że jak najbardziej znajduje się dużo sensu w mówieniu o kinematografii ukraińskiej czasów radzieckich jako o narodowej, ponieważ, mimo iż Ukraina nie posiadała swej niepodległości, to jednak administracyjnie stanowiła oddzielną republikę, posiadającą swoją własną flagę, godło oraz hymn, a przede wszystkim – własne filmowe wytwórnie oraz administrację, kontrolującą tam produkcję oraz dystrybucję, choć oczywiście podległą na wyższych szczeblach Moskwie.

Samego Dowżenkę mam w zwyczaju określać mianem „ukraińskiego Murnaua”, bowiem jak dla mnie obydwaj ci twórcy – działający w podobnym okresie – w zbliżony do siebie sposób, jak mało którzy potrafili zrozumieć możliwości samego tworzywa filmowego oraz drzemiący w nim wizualny potencjał uprawianej przez nich sztuki. Robili to oczywiście w dwóch odmiennych politycznie warunkach i przy pomocy nieco innych poetyk, jednak u twórcy niemieckiego – tak samo jak u Ukraińca – istotną rolę stanowiło oddanie hołdu światu natury oraz poszukiwanie pewnej harmonii życia.

Z perspektywy historycznej *Ziemia to komentarz* do bieżących przemian, jakie następowały w ZSRR w czasach, gdy pełnię władzy zaczynał przejmować w nim Stalin, związanych z polityką kolektywizacji wsi. Stanowiła ona również po części odpowiedź na rok starszy film *Stare i nowe*, zrealizowany w Rosji przez innego mistrza – Siergieja Eisensteina.

Choć obydwu twórcom zależało generalnie na poetyckim i bardzo wyrazistym formalnie uchwyceniu owych przemian przy pomocy języka filmu, o tyle zupełnie inaczej doszło do jego rozwiązań w szczegółach. Eisenstein patrzył bowiem na wieś radziecką poprzez pryzmat konstruktywizmu. Zależało mu na pokazaniu formułowania się nowego świata, tworzenia wśród chłopów nowej myśli socjalistycznego podejścia do niego, jak i natury, polegającego na jej podboju i przekształcaniu przez technologię i siłę człowieka – tworzeniu ją sobie poddaną. W celu ukazania tego dobierał więc on odpowiednio swoje środki formalne, Dowżenko zaś, pozostający zawsze poza „radziecką szkołą montażu”... no właśnie...

W przeciwieństwie do intelektualisty Eisensteina, twórca ukraiński wychowywał się w atmosferze ludowej poezji i baśni. Na to wpływ miało nie tylko jego chłopskie pochodzenie, bowiem już od czasów romantyzmu duch ludowości, nie tylko jako ciekawostki etnograficznej lecz źródeł bogactwa tożsamości Narodu, przeniknął do ukraińskiej sztuki. Stąd też i silne wpływy u Dowżenki dwóch wybitnych ukraińskich pisarzy, także związanych z folklorem – Tarasa Szewczenki oraz Nikołaja Gogola. Z kolei u samych fundamentów rozumienia sztuki ukraińskiej

z początków XX wieku leżą poglądy tamtejszego XVIII-wiecznego filozofa, Hryhorija Skoworody. W swej wizji, ujawniającej tendencje panteistyczne, zakładał on, iż świat przyrody stanowi ucieleśnienie Boga. W centrum systemu filozoficznego Skoworody znajdują się symbole ziarna i kręgu. Ziarno to wieczność materii, a koło to zmieniająca się przyroda, która tworzy zamknięty krąg. Stąd też kadry *Ziemi*, choć stanowiącej film laickiego kraju Rad, przepełnione są duchowością, nieustanną obecnością siły, spajającej prezentowaną wieś w nieustanną harmonię. W pierwszych ujęciach tego utworu widzimy powiewające na silnym wietrze kłosa zboża, następnie słoneczniki w pełnym rozkwicie oraz jabłoni, dająca już swe owoce. Pod jedną z takich jabłoni oczekuje na swą śmierć dziad Semen.

Człowiek w tym filmie stanowi część żywego organizmu ziemi. Semen umiera, leżąc na ziemi, a następnie zostaje w niej pogrzebany. Istota świata – jak u Skoworody – pozostaje niezmienna, jednak człowiek musi pogodzić się z kręgiem przyrody, która sprawia, iż jedni ludzie umierają, zaś następni – rodzą się (pod koniec filmu ukazana zostaje scena porodu). To jednak przede wszystkim przepojony pięknem i zadumą poemat o ukraińskiej wsi, związanej od niepamiętnych czasów ślubem miłości i pracy z życiodajną ziemią. Jakże wiele zależy w ludzkim życiu od zmian pór roku, jaką kluczową rolę odgrywa rytuał siewu i zbierania plonów.

Nawet jeśli chodzi o sam wątek kolektywizacji, to i tutaj nie znajdziemy charakterystycznego dla sposobu myślenia Rosjan czasów radzieckich i obecnego u Eisensteina motywu ujarzmiania przyrody przez człowieka. Choć syn kułaka Białokona, Wasyl, przeciwstawia się swemu ojcu i staje na czele nowego ruchu, któremu udaje się zdobyć dla wsi traktor, dzięki czemu praca zaczyna posuwać się naprzód szybciej, i choć stary porządek kułactwa i prawosławnej bogobojności zostaje ostatecznie zburzony przez nową ideę socjalizmu, to jednak nadal dzieje się to jedynie po to, aby człowiek – przy pomocy tylko innych środków i innej organizacji – mógł dalej współzyskować w pokornej postawie wobec życiodajnej natury, od której zależy przecież jego los. Po wszystkich dramatycznych wydarzeniach filmu, z nieba spada deszcz i obmywa ukazywane w zbliżeniach dojrzewające jabłka.

Propagandowa wymowa filmu – zapewne w zgodzie z wolą twórcy – rozmywa się w obrazach piękna, spokoju i harmonii. Przekaz ideologiczny zawiera się nie w jasno sformułowanych tezach, lecz w formie wyrafinowanych metafor obrazowych. Zresztą odnieść można wrażenie, iż wymowa propagandowa stanowiła tu dla Dowżenki niejako konieczność narzucaną przez sztukę swojego czasu, gdyż w rzeczywistości na pierwszy plan wysuwa się właśnie pieśń życia wsi – pieśń ducha narodu ukraińskiego, skrywającego się w postawie pokornej współzyskowności z naturą jako elementem życia nie tylko doczesnego, lecz jako bytem o wymiarze dłań symbolicznym.

Tym, co jednak decyduje w moim odczuciu o wybitności Ziemi jako dzieła sztuki filmowej jest nie po prostu poruszenie tematów charakterystycznych dla podglebia myślowego sztuki i ludności Ukrainy, lecz sposób, w jaki zostały one wyrażone za pomocą filmowych środków wyrazu. Wspomniałem już o metaforach obrazowych oraz silnej wyrazistości formalnej. Doprawdy robią wrażenie sekwencje: powolne i nastrojowe – śmierci Semena w otoczeniu bujnej i kwitnącej przyrody czy tańca Wasyla, ukazanego w zwolnionym tempie, kiedy na jednej z wiejskich drózek podskakuje, wzbijając wokół siebie pył; oraz dynamiczne, składające się z krótkich ujęć obrazu zbierania zboża przy pomocy traktora, co ostatecznie – jak zostaje pokazane – owocuje powstaniem chleba, a także finału, w którym wszystko, włącznie z galopującym stadem koni, zdaje się poddawać bezwładnej orgii jakiegoś rytuału przeistoczenia. Siła tych obrazów zawiera się w przepojonej przyrodą kompozycji kadrów oraz montażu – jego rytmie oraz sposobie zestawiania ze sobą poszczególnych ujęć. Jednak wyjątkowość dowżenkowskiej poezji polega na zdolności reżysera oraz jego operatora Danyły Demuckiego do uchwycenia takiej wrażliwości wibrującej wokół nich siły natury, aby dali się oni jej ponieść: poprowadzić całą narrację wobec jej prawideł, stworzyć sugestywne wizualnie przestrzenie, poddając się jej tajemniczości i urodzie. Jak napisał w II tomie *Historii sztuki filmowej* Jerzy Toeplitz: „Gdyby zabrać filmowi Dowżenki elementy piękna, spokoju, harmonii, osłabiony by został nurt dramatyczny (...)”. Sama dramaturgia w filmie jest (choć oparta na prostej fabule), jednak zostaje w pełni podporządkowana światu mistycznej natury i ludzkiej z nią współegzystencji. To właśnie cechować będzie najwybitniejsze filmy twórców ukraińskich i stanowić o ich wyjątkowości w skali światowej. I z opowiadania w taki właśnie sposób korzystać można, jak sądzę, nie tylko mówiąc o dawnej chłopskiej Ukrainie, lecz również o jej współczesnym, rozwiniętym technologicznie obrazie.

Szkoda, że w chwili premiery krytykom zabrakło wyraźnie agitacyjnej wymowy, oskarżono *Ziemię* o biologizm i naturalizm, a film wycofano z kin po dziewięciu dniach, co sprawiło, iż Dowżenko popadł w depresję. Dopiero w czasach odwilży to arcydzieło odzyskało należne mu uznanie i pociągnęło za sobą szereg młodych twórców tzw. „ukraińskiego kina poetyckiego”, jak Siergieja Paradżanowa (tworzącego na Ukrainie Ormianina), Jurija Illienkę, Leonida Osykę czy Borysa Iwczenkę, którzy stworzą jedne z najwybitniejszych pozycji ukraińskiej kinematografii.

Jeszcze drobna uwaga na koniec. Chętnym zagłębienia się w kinie ukraińskim chciałbym polecić dwie platformy streamingowe, gdzie można zapoznać się zarówno z klasyką tamtejszego filmu jak i pozycjami współczesnymi. Pierwszą z nich jest Takflix – o tyle ciekawy, że większość z dostępnych tam materiałów posiada angielskie napisy – oraz Megogo – choć strona ta obsługiwana jest głównie w językach ukraińskim i rosyjskim, a angielski pojawia się rzadko.

Lektury:

Garbicz A., Klinowski J., *Kino. Webikul magiczny. Przewodnik osiągnięć filmu fabularnego. Podróż pierwsza: 1913-1949*, Kraków 2007.

Toeplitz J., *Historia sztuki filmowej*, t. 2, 1918-1928, Warszawa 1956.

Ukrainian Re-Vision, National Oleksandr Dovzhenko Centre, 2011,

https://issuu.com/dovzhenkocentre/docs/ukrainian_silent [dostęp: 13.03.2022]



Олександр Довженко, *Земля*, плакат
Oleksandr Dowzhenko, *Ziemia*, poster
1930



Олександр Довженко, *Земля*. Обкладинка відреставрованого DVD-видання фільму білоруської художниці Василіси Плянїної-Календи

Ołeksandr Dowżenko, *Ziemia*. Okładka odrestaurowanego wydania filmu na DVD autorstwa białoruskiej artystki Wasilisy Pljaniny-Kalendy



Кадр. Кадри





Кадры. Кадри





LISTY

3 marca 2022 r. o godzinie 18.00 w Sali Teatralnej Wydziału Filologicznego UG pod nazwą „Głos wsparcia dla Ukrainy” odbyło się czytanie performatywne połączone ze zbiórką pieniędzy na rzecz osób dotkniętych wojną. Inicjatorkami wydarzenia były Paulina Eryka Masa i Katarzyna Kręglewska. Trójmiejscy aktorzy prezentowali fragmenty prozy i dramatów ukraińskich.

Odczytano przy tej okazji także wiersze oraz krótkie reakcje z różnych części świata – z Irlandii, Wielkiej Brytanii, Grecji, Włoch, Francji, Nowej Zelandii oraz Brazylii i Stanów Zjednoczonych, które do organizatorek i organizatorów napłynęły po angielsku, grecku, włosku. Ich wybór prezentujemy poniżej. Przekładu wyboru dokonali Marta Kaczmarczyk i Kacper Sęk.



3 березня 2022 року о 18.00 в Театральному залі філологічного факультету Гданського університету, під назвою «Голос підтримки України» відбулося перформативне читання, поєднане зі збором коштів для постраждалих від війни. Ініціаторами заходу були Пауліна Еріка Маса та Катажина Кренглевська. Актори Триміста презентували фрагменти української прози та драми.

З цієї нагоди вони також читали вірші та короткі слова підтримки з різних куточків світу - з Ірландії, Великобританії, Греції, Італії, Франції, Нової Зеландії, а також Бразилії та США, які були надіслані організаторам. Вони були написані англійською, грецькою та італійською мовами. Добірку переклали Марта Качмарчик і Каспер Сенк.



Jako osoba, która przez wiele lat pracowała oraz prowadziła badania w Europie Wschodniej, kilkakrotnie odwiedziła Kijów, Charków, Odessę, Połtawę i Besarabię, podziwiając i zachwycając się pięknymi krajobrazami, kulturą i ludźmi Ukrainy, jestem absolutnie przerażony tym atakiem. [...] Zwracam się do was wszystkich i życzę ogromnej odwagi w obliczu tych przeciwności.

Profesor Paul Allain, Uniwersytet w Kent, Canterbury, Wielka Brytania

[...] Jestem daleko, po drugiej stronie Europy, na wyspie zwanej Irlandią, na wyspie, która także doświadczyła ucisku i rozlewu krwi w swojej historii. Mogę Was zapewnić, że sytuacja w Ukrainie jest dla nas bardzo prawdziwa i żywa. Mamy [w Irlandii] ogromną liczbę ludności ukraińskiej oraz polskiej, a w ostatnim tygodniu, od kiedy Rosjanie przeszli do ofensywy, regularnie otrzymujemy relacje od ich krewnych przebywających w oblężonych miastach. Słyszymy świadectwa tych, którzy zostali złapani w kajdany wojny, słyszymy o dorosłych i dzieciach chowających się w piwnicach, a także o tych, którzy są w drodze do przejść granicznych i bezpieczeństwa. Mamy nadzieję, że uda się wynegocjować zasłużony pokój, a Rosjanie wrócą do domu i zbudują sobie demokrację. Wiedźcie, że nasi poeci i pisarze, poprzez International Pen Club, poprzez nasze związki zawodowe, poprzez organizacje pozarządowe i aktywistów, są oddani Wam, naszym rodakom z Europy w tej mrocznej dla was godzinie.

Paula Meehan, poetka, Dublin, Irlandia

Ojczyzna to nie tylko punkt na mapie świata. Ojczyzna to wszystkie miejsca, za którymi płakaliśmy. Ojczyzna to ludzie, których kochaliśmy. Miejsca, w których staliśmy, podziwiając zachód słońca. Miejsca, gdzie nasze serce biło mocno – tam, gdzie nasze serce czuło, że każde miejsce to cały świat. Jako obywatel takiego świata idę obok Ciebie, trzymając Cię za rękę. Jako Ukrainiec, choć jestem Grekiem.

Tsimaras Tzanatos, grecki poeta

Wszyscy jesteśmy, zawsze, pomiędzy. Pomiedzy młotem a kowadłem. Pomiedzy nieruchomym przedmiotem a siłą nie do zatrzymania. [...] Rozmowa kosztuje, kosztuje czyjeś życie, a większość tego, co nadawane jest na falach radiowych, to właśnie tego rodzaju rozmowy prowadzone po każdej ze stron. I to jest jedyny powód, dla którego powinniśmy mówić i pisać, angażując się

we wszystko, co tylko możemy zrobić – przeciwko temu marnowaniu słów oraz fizycznym i śmiertelnym konsekwencjom języka, których jesteśmy świadkami na dobre i na złe. To właśnie sprawia, że rozlew krwi jest bliski, a my wszyscy jesteśmy współwinni – przez słowa. Używamy ich lepiej niż większość – taką mam nadzieję – ostrożniej i z większym poczuciem szacunku dla tego, czym są, niż ci ludzie, których nazywa się przywódcami, często nazywanymi tak jedynie ze względu na szybkie i widoczne efekty, które są skutkiem ich decyzji i służą tylko im samym, a nie dla poprawy sytuacji. Wystarczy. Nie poddawajcie się. Ten nieruchomy przedmiot zostanie wprawiony w ruch. Ta siła nie do zatrzymania zostanie zatrzymana. Napędzają nas słowa. Utrzymują nas na prawidłowym torze.

Profesor Alan Riach, poeta, Uniwersytet w Glasgow, Szkocja

Cały świat obserwuje sytuację ze złamanym sercem i potępia bezduszne działania przeciwko narodowi ukraińskiemu. Życzymy i modlimy się o szybkie zakończenie tego oblędu, który musicie znosić. Moja wiadomość do Was płynie z drugiej strony świata, z Nowej Zelandii.

Znajdźcie pocieszenie w tym, że trafiliście w ramiona najserdeczniejszych i najszlachetniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek moglibyście spotkać na swojej drodze.

Widzę twarze moich przyjaciół, którzy witają Was w swoich progach. Wszyscy życzymy Wam bezpiecznego powrotu do domu. Do tego czasu zbierzcie w sobie odwagę i zaufajcie, że wylądowaliście w bezpiecznym miejscu. Wszyscy modlimy się za Was.

Debra Mulholland, aktorka, Nowa Zelandia

Wczoraj wracaliśmy z lotniska w Bostonie i wzdłuż autostrady międzystanowej widzieliśmy duże billboardy z ukraińską flagą, na których widniał napis: „Jednoczymy się z Ukrainą”. I owszem, w takich czasach możemy z dumą powiedzieć: Wszyscy jesteśmy Ukraińcami!

Profesor Mark S. Burrows

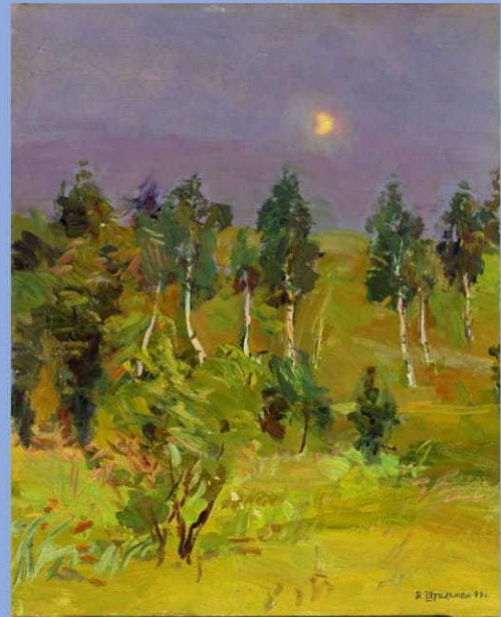
Redaktor poezji w czasopiśmie Spiritus and ARTS



Gianni Rodari

Księżyc w Kijowie

Kto wie, czy księżyc
w Kijowie
jest tak samo piękny
jak ten w Rzymie,
kto wie, czy to ten sam księżyc
czy może tylko jego brat...
„Ale to wciąż jestem ja!”
– wzbrania się z całego serca.
„Nie jestem
nocnym czepkiem
na twojej głowie!
I podróżując
rzucam światło na wszystkich i każdego z osobna,
od Indii po Peru,
od Tybru po Morze Martwe,
a moje promienie podróżują swobodnie
bez paszportu”.



Riccardo Duranti (Włochy): poeta, tłumacz

Giorgia Karvunaki (Grecja): tłumaczka, promotor kultury

Ilustracja: Ілля Штілман, *Сутінки* / Ilja Sztilman, *Zmierzch* (1949)

Wyrazy wsparcia przesłali również:

Profesor Derek Attridge, Uniwersytet w Yorku, Wielka Brytania

Profesor Michael Edwards, Akademia Francuska

Profesor Robson Corrêa de Camargo, Federalny Uniwersytet w Goiás, Brazylia

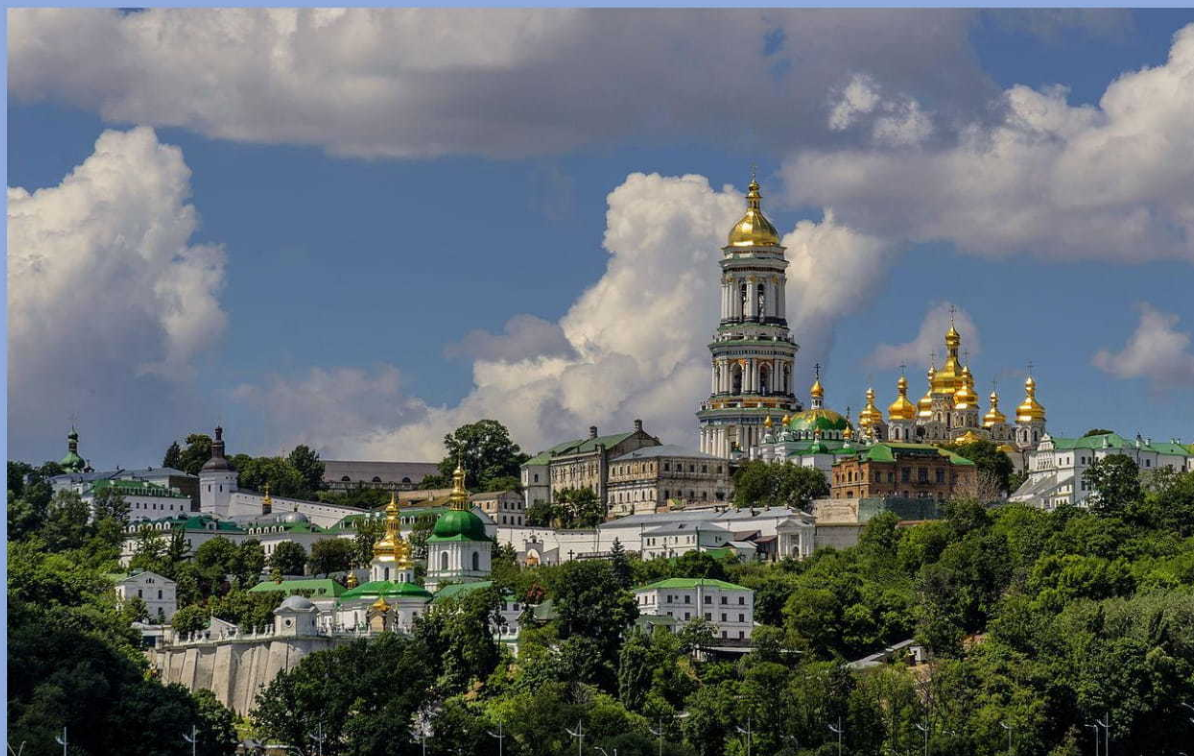
Profesor S.E. Gontarski, Uniwersytet Stanu Floryda, USA

David i Helen Constantine, Uniwersytet w Oksfordzie, Wielka Brytania

Jon McKenna, nauczyciel, pisarz, aktor, reżyser, twórca filmowy z Londynu



UKRAINA W OBRAZACH



Киево-Печерська лавра / Ławra Peczerska w Kijowie nosi imię od pieczar, w których rodził się ukraiński ruch monastyczny w połowie wieku XI. Najstarszy monaster powstał tu w roku 1051 z inicjatyw dwóch mnichów, czczonych dziś jako święci (zarówno w cerkwi prawosławnej, jak i w kościołach katolickich – greckim i rzymskim). Byli to **Antoni Peczerski (Антоній Печерський)** i **Teodozjusz Peczerski (Феодосій Печерський)**.

Wielokrotnie niszczona i odbudowywana (ostatnio w 1991 roku) reprezentuje obecnie styl baroku ukraińskiego (zwanego też barokiem kozackim), charakterystycznego dla przełomu XVII i XVIII wieku. Na listę światowego dziedzictwa UNESCO wpisana została w roku 1990.

Obecnie jest siedzibą zwierzchnika Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnego Patriarchatu Moskiewskiego, archimandryty Onufrego.

Na razie wciąż jeszcze jej kopuły lśnią wysoko nad brzegami Dniepru.



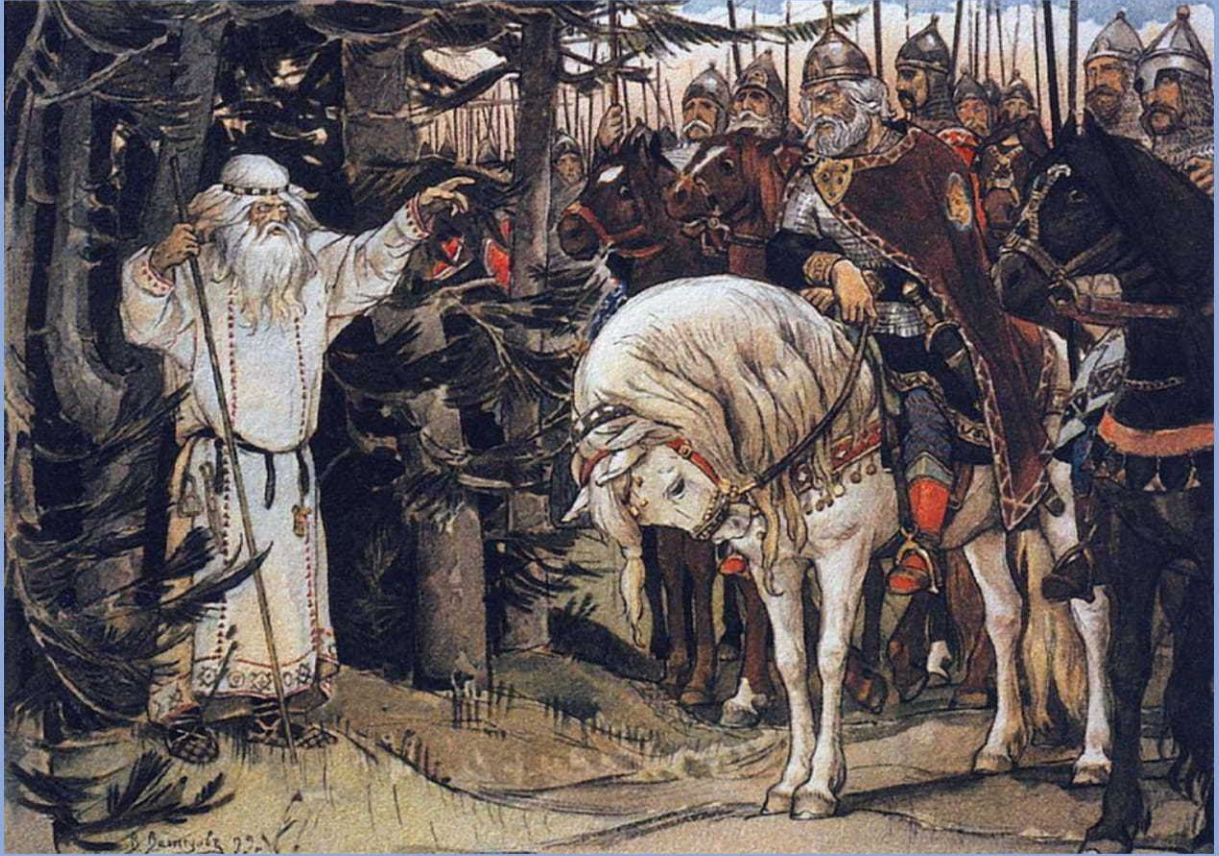
Артур Орльоноу, *Кий, Щек, Хорив і Либідь засновують місто Київ* /
 Artur Orlionow, *Kij, Szczek i Choryw zakładają Kijów*

Autor *Powieści minionych lat* (*Повісті минулих літ, Kroniki Nestora*; ok. 1113 r.) podaje legendę o założycielach Kijowa. Mieli to być trzej bracia, wschodniosłowiańscy wodzowie plemienia Polan (ale nie tych z Wielkopolski, a z dzisiejszej Ukrainy): **Кий (Кий)**, **Щек (Щек)** i **Хорив (Хорив)**. Wedle tego samego podania mieli potem działać w służbie cesarza bizantyjskiego. Niektórzy historycy wierzą, że chodzi o Justyniana, założenie Kijowa miałyby więc miejsce w VI wieku. W istocie powstał prawdopodobnie już w stuleciu poprzedzającym.

Микола Фещенко, Василь Бородай,
*Пам'ятний знак на честь
 заснування міста Києва, Київ 1982.*

Mykoła Feszczenko
 (architekt) i Wasyl Borodaj (rzeźbiarz),
Pomnik założycieli Kijowa, 1982.





Олег Віщий / Oleg Mądry (ok. 845–912). Jego imię w brzmieniu staroruskim to ОЛЬГЪ, ШЛЬГЪ (вѣщій), a w staronordyckim – Helgi. Był krewnym wareskiego wodza Rusi Nowogrodzkiej, Ruryka i po nim księciem zwierzchnim Rusi w latach 879–912.

Powieść minionych lat (Повість минулих літ / *Kronika Nestora*) wspomina, że w 882 roku zdobył Smoleńsk, następnie Kijów, dokąd przeniósł swą siedzibę, dając tym samym początek Rusi Kijowskiej. W wielkim stopniu przyczynił się do zjednoczenia wschodnich Słowian. W roku 911 podpisał pierwszą w dziejach umowę handlową Rusi z Konstantynopolem.

Zapisana w *Kronice Nestora* legenda o jego śmierci stała się inspiracją dla ważnych dzieł literackich (w tym Puszkina i Lermontowa), a także licznych obrazów i ilustracji. Słowiański wołchw (ВОЛХВ; kapłan, guślarz, „czarownik”, „szaman”, „druid”) przepowiedział mu, że poniesie śmierć za sprawą ukochanego konia. Oleg trzymał się od konia z daleka, ale kiedy był pewien jego śmierci, wyruszył, aby podumać nad jego szczątkami. Wówczas z czaszki rumaka wypełził wąż i śmiertelnie ukąsił księcia.

Na poprzedniej stronie akwarelowe ilustracje Wiktora Wasniecowa (Віктора Васнецова), malarza rosyjskiego. Pierwsza przedstawia spotkanie Olega z wołchwem (*Зустріч Олега с чарівником*), druga – moment śmierci Olega (*Олег біля костей коня*). To ilustracje do wydanie *Pieśni o wieszczym Olegu* Aleksandra Puszkina z roku 1899.



Київ, Золоті ворота / Kijów, Złota Brama, fot. Іра Смирнова (Flickr)

Слово о полку Игоревім / Słowo o wyprawie Igora (Słowo o pułku Igora) / w języku oryginalnym – staroruskim – Слово о пльку Игоревѣ

Jest to, najprawdopodobniej powstały pod koniec XII w. na Rusi Kijowskiej, zabytek piśmiennictwa ruskiego, poemat epicki opowiadający o klęsce, jaką odniósł Igor Światosławowicz, książę Nowogrodu Siewierskiego, w wyprawie przeciwko Połowcom (w roku 1186). Jest zarówno zabytkiem wczesnej fazy rozwoju języka ukraińskiego, ale też (najpewniej) unikatowym dokumentem poetyckiej tradycji oralnej.

To na jego kartach pojawia się **Војан (Боян)**, legendarny poeta, gęślarz, wieszcz, wołchw ukraiński, drużynnik księcia Jarosław Mądrego.



Василь Лопат, Слово про похід Ігоря / Wasyl Łopata, Słowo o wyprawie Igora (1986)



Олексій Кулаков, *Кумири* / Ołeksy Kułakow, *Wafwany* (2000)

Chrzest Rusi. Za datę symboliczną uznaje się chrzest księcia kijowskiego **Włodzimierza Wielkiego** (Володимира Святославича / Włodzimierza Światosławowicza) i kijowian, w roku 988. Włodzimierz, syn Światosława, wnuk Igora, prawnuk wareskiego wodza Ruryka, uznawany jest za świętego w kościele prawosławnym i greckokatolickim. Zanim doszło do chrztu, próbował zjednoczyć plemiona słowiańskie, tworząc w Kijowie sanktuarium wielu bóstw słowiańskich. Po przyjęciu chrześcijaństwa w obrządku bizantyjskim w Chersonesie na Krymie i po ślubie z Anną, siostrą cesarza Bazylego Bułgarobójcy, zniszczył świątynie słowiańskie, a posąg Peruna podobno własnoręcznie wrzucił w fale Dniepru.

Петро Андрусів, *Хрещення Русі-України* / Petro Andrusiw, *Chrzest Rusi-Ukrainy* (1980)

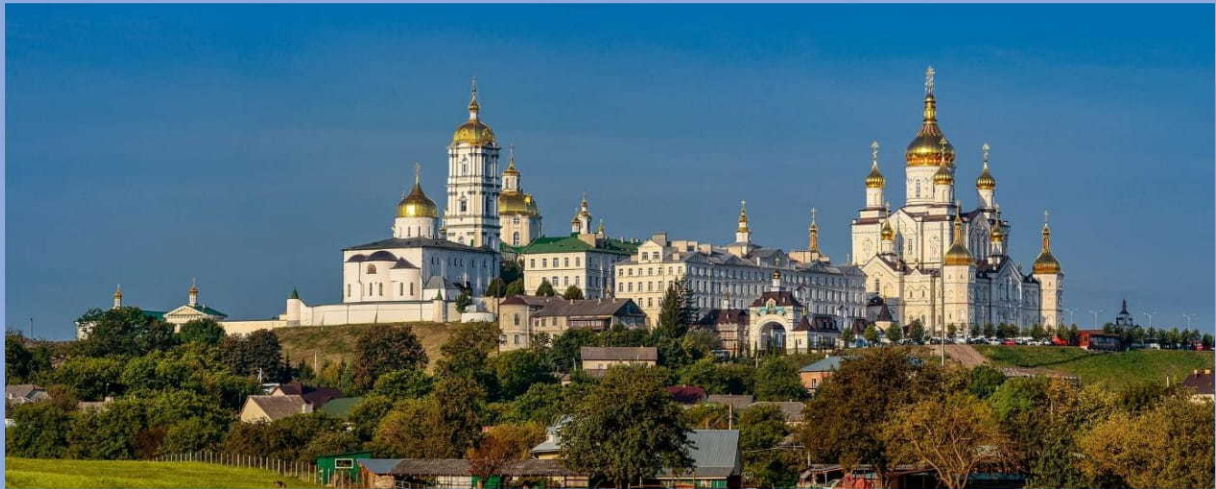




Повість минутих літ / Powieść minionych lat (w staroruskim *Повѣсть времѣньныхъ лѣтъ*, po białorusku *Аповесць мінулых гадоў*; funkcjonują także alternatywne nazwy polskie: *Powieść doroczna*, ***Kronika Nestora***). Latopis staroruski, opisujący dzieje państwa ruskiego od czasów najdawniejszych do początku XII wieku. Odpowiednik polskiej *Kroniki Galla Anonima*, podstawowe źródło do poznania historii wczesnej Rusi Kijowskiej, zawiera także sporo wzmianek o ówczesnym państwie Piastów. Powstała najprawdopodobniej w roku 1113. Za jej autora długo uznawano mnicha Ławry Peczerskiej w Kijowie, Nestora. Obecnie uchodzi on raczej za kompilatora najstarszej z redakcji tekstu.

Nastor (lub inny autor) rozpoczyna opis tradycyjnie od początku świata. Dzieje Rusi odnotowuje od przybycia do Nowogrodu Wielkiego kniazia wareskiego Ruryka.

Ilustracja pochodzi z *Latopisu Radziwiłłowskiego* (*Радзівіллівський літопис*), odpisu kroniki powstałego na Litwie w XV lub na początku XVI wieku, a przez Rosję skradzionego już w 1761 roku z biblioteki w Królewcu.

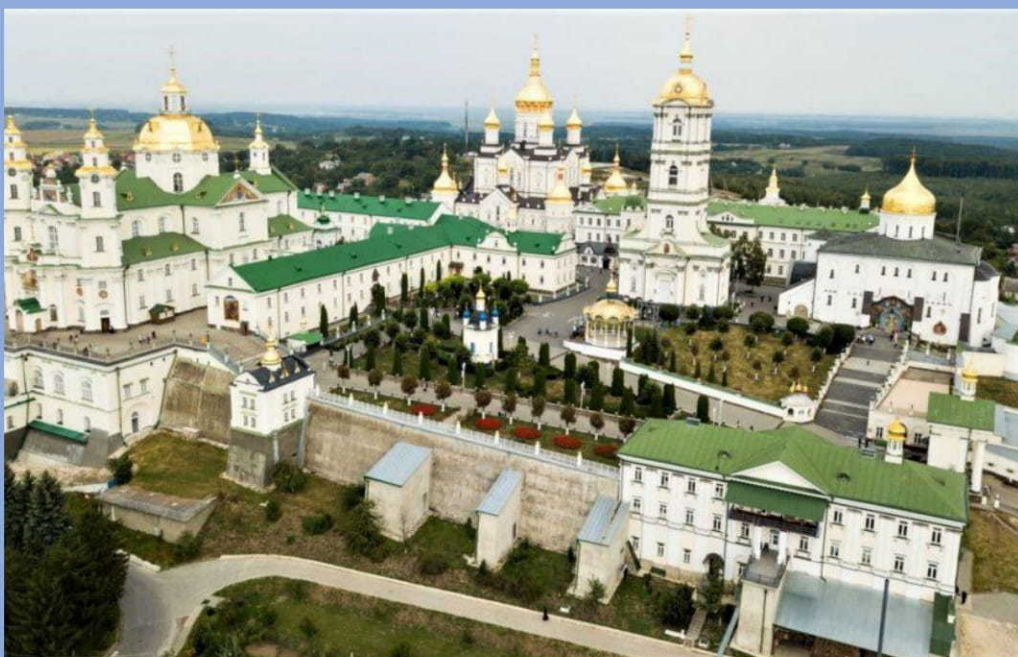


Почаївська Свято-Успенська Лавра / Ławra Poczajowska. Drugi co do ważności ośrodek życia monastycznego na Ukrainie, podległy jurysdykcji Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Moskiewskiego. Znajduje się w wołyńskim **Poczajowie** (Почаїв, obwód tarnopolski, rejon krzemieniecki).

Pierwsi pustelnicy osiedlali się tu już w wieku XII. Klasztor cenobityczny fundowany był w roku 1597. Był długo ośrodkiem silnego oporu przeciwko Unii Brzeskiej, lecz na początku XVIII w. sam przyjął unię. Aż do roku 1833 należał do grekokatolickiego zakonu bazylianów, następnie za sprawą cara Mikołaja został oddany Cerkwi rosyjskiej.

Ławra Poczajowska uważana jest za największe osiągnięcie architektury barokowej na Wołyniu.

Z klasztorem związana jest głośna legenda o tym, jak podczas oblężenia przez Tatarów w roku 1675 Matka Boska ukazała się nad ławrą i ocaliła ją z rąk najeźdźców.



Kozacy, kozacy zaporoscy, Zaporozcy/ Козакі, Запорожці. Społeczność wojskowa zorganizowana w wieku XV na południowych kresach Ukrainy, za Porohami (skalnymi progami) Dniepru, czyli na Zaporozżu. Kozacy rekrutowali się z mężczyzn wielu narodowości, ale dominował wśród nich pierwiastek południoworuski (Ukraiński). Zróżnicowane były też stany społeczne, spośród których wywodzili się kozacy: od zbiegłych chłopów pańszczyźnianych, po drobną i większą szlachtę, a nawet magnatów. Kozaczyzna była żywiołem awanturniczym, nieuznającym innej zwierzchności niż własna, rządzącym się swoimi, zwyczajowymi prawami. Stanowili z jednej strony rodzaj straży ziem Rzeczypospolitej na pograniczu turecko-tatarskim, z drugiej – czynnik zapalny, ponieważ kozacy parali się wojną i grabieżą, napadając często na sąsiadujących z nimi Tatarów Krymskich, a na łódkach zwanych „czajkami” dokonując bardzo dalekich rajdów – aż do portów Morza Czarnego (Perekopu, Kaffy Warny, Synopy) i samego Konstantynopola (co prowadziło do konfliktów z Imperium Osmańskim).

Zaporozcy słynęli z szaleńczej odwagi i bitności, szczególnie ceniona była kozacka piechota. W czasach spokojniejszych relacji z Litwą i Koroną jako tak zwany rejestr wojska zaporoskiego stawali u boku wojsk Rzeczypospolitej (działało się tak w zasadzie zawsze aż do momentu, kiedy napięcia społeczne i religijne na Ukrainie osiągnęły zenit w postaci powstania Chmielnickiego – w 1648 r.). Hetman **Piotr Konaszewicz-Sahajdaczny (Петро Конашевич-Сагайдачний)** wstąpił się wraz ze swymi kozakami zaciętymi walkami pod Chocimiem w 1621 r., u boku Jana Karola Chodkiewicza.

Z czasem Zaporozcy stali się potężną siłą polityczną rzucającą wyzwania Turcji, Chanatowi Krymskiemu, Moskwie i Rzeczypospolitej, której do XVII wieku formalnie podlegali. Wiek XVII to też szczyt potęgi kozaczyzny zaporoskiej uniezależniającej się od Rzeczypospolitej (powstanie Chmielnickiego i próby utworzenia samodzielnego państwa). Koniec kozaczyzny wiąże się z rządami carycy Katarzyny, która mniej więcej w tym samym czasie zlikwidowała Sicz Zaporoską (1775-1780), Chanata Krymski (1783) i Rzeczpospolitą (1772-1795).

Микола Івасюк, В'їзд Богдана Хмельницького до Києва 1649 року
Mikołaj Iwasjuk, Wjazd Bohdana

Chmielnickiego do Kijowa
w roku 1649

(кінець 19 ст. / koniec XIX w.)





Józef Brandt, *Powrót zwycięzców* / Юзеф Брандт, *Повернення переможців* (ca. 1890)

Запорізька Січ /Sicz Zaporoska. Położonych na Zaporozżu warownych obozów kozackich, otoczonych wałami z palisadą, wyposażonych w bramy i artylerię, takich, które pełniły rolę głównego ośrodka politycznego i wojskowego kozaczyny zaporoskiej, było w ciągu stuleci osiem lub nawet dziewięć. Co jakiś czas niszczone lub porzucane, stanowiły wzór dla kolejnych, zakładanych w ich miejsce. Miano Sicy przysługiwało kolejno obozom-twierdzom na różnych wyspach dniewprowych. Z czasem termin zaczął oznaczać również terytorium, którym władała zaporoska wspólnota kozacka oraz ustroju i praw Wojska Zaporoskiego.

W Sicy znajdowały się kurenie – koszarowe budynki, w których mieszkali kozacy poszczególnych pułków – domy starszyny pełniące funkcje administracyjne, cerkiew, bazar. Załogę stanowiło jednorazowo nawet do dziesięciu tysięcy kozaków. Była miejscem prowadzenia handlu, schronienia dla powracających z wypraw, głównym ośrodkiem politycznym, a więc – stolicą – Kozaczyny Zaporoskiej.

Najwyższa władza należała do rady kozackiej – wiecu wszystkich kozaków. Na co dzień wspólnotą władała starszyna, w której skład wchodziłi obierani przez radę kozacy cieszący się szczególnym szacunkiem. W czas pokoju Siczą rządził ataman koszowy. Na czas wojny obierano atamana, czyli hetmana. Do starszyny należeli też między innymi sędzia wojskowy, pisarz, wojskowy esaul, atamani poszczególnych kurenii.

Pierwsza Sicz, według niektórych, powstała pod koniec wieku XV. Ostatnia – „Nowa Sicz” – to ta zniszczona przez Rosję w roku 1775.



Чортмлицька Січ / Stara Sicz (Sicz czertomlicka)



Петро Могила (Piotr Mołyła,

po rumuńsku **Petru Movilă).**

1596-1646/1647.

Był synem hospodara Mołdawii, Szymona Mołyły, dorastał pod skrzydłami hetmana Stanisława Żółkiewskiego, kształcił się na żołnierza i dworzanina. Zdobył doskonałe wykształcenie humanistyczne i teologiczne w szkołach lwowskich (prawosławnych i jezuickich), studiował być może na Sorbonie. Walczył pod Cecorą i Chocimiem, następnie wstąpił do zakonu i przyjął święcenia. Był archimandrytą Ławry Peczerskiej, następnie metropolitą kijowskim. W 1632 stworzył Kolegium Kijowskie, późniejszą Akademię

Mohylańską (w 1658 roku zrównaną w prawach z Akademią Krakowską). Działał na rzecz zbliżenia unitów i prawosławia, ponawiał wysiłki o uczynienie prawosławia czynnikiem kulturowym równym znaczeniem i prawami łacińsko-katolickiemu. Odbudował liczne, pozostające w ruinie cerkwie w Kijowie, kilka z nich na terenie Ławry Peczerskiej, a także **Sobór Mądrości Bożej (Софійський Собор)**. Zarówno kompleks Ławry, jak i Sobór Sofijski figurują na liście światowego dziedzictwa kulturowego UNESCO od roku 1990.

W roku 1996 kościół prawosławny wyniósł go na ołtarze. Kanonizowany został w Ławrze Peczerskiej, czczony jest zarówno przez Ukraiński Kościół Prawosławny Patriarchatu Kijowskiego, jak i Ukraiński Kościół Prawosławny Patriarchatu Moskiewskiego.





BOHDAN CHMELNICKY EXERCITUS
S. R. M. ZAPOROZHSCENSIS PRAEFECTUS.

Guill^o Hondius sculpsit. Gedani An^o cbbcli.

Вільгельм Гондіус, Богдан Зиновій Хмельницький
Wilhelm Hondius, Bohdan Zenobi Chmielnicki
1651

Богдан Зиновій Хмельницький / Bohdan Zenobi Chmielnicki (w staroruskim: Зѣновій Богдан Хмельницькій; 1595–1657) jest bohaterem narodowym Ukrainy. Był hetmanem zaporoskim, przywódcą powstania kozackiego przeciwko Rzeczypospolitej w latach 1648–1657. Polakom znany głównie za sprawą nieprzychylnego portretu nakreślonego przez Sienkiewicza w *Ogniem i mieczem* (1884-1888) oraz genialnej roli Bohdan Stupki w ekranizacji powieści w reżyserii Jerzego Hoffmana (1999).

Szlachcic, pieczętujący się herbem Abdank, syn podstarościego czechryńskiego. Absolwent kolegium jezuickiego we Lwowie (mimo tego pozostał przy prawosławiu). Walczył pod Cecorą, gdzie zginął jego ojciec, a on sam wraz z hetmanem Stanisławem Koniecpolskim dostał się do dwuletniej niewoli, po której powrócił na Ukrainę.

W 1637 roku został pisarzem wojska zaporoskiego, niedługo potem – setnikiem kurenia czechryńskiego. W 1648 roku, jako hetman, stanął na czele powstania kozackiego skierowanego przeciwko Rzeczypospolitej. Zaporozcy pod jego komendą zadali ciężkie straty wojskom koronnym nad Żółtymi Wodami, pod Korsuniem i Piławcami (wszystkie w 1648 roku). Około roku 1649 podjął ideę stworzenia niezależnego od Rzeczypospolitej państwa kozackiego ze stolicą w Czechryniu. Paktował z Chanatem Krymskim, Turcją, Moskwą i Republiką Wenecką. Ostatecznie plany utworzenia samodzielnego państwa kozaków zaporoskich nie powiodły się. Chmielnicki zmarł na wylew w Czechryniu w roku 1657.

Bohdan Stupka jako Chmielnicki w *Ogniem i mieczem*,
reż. Jerzy Hofmann

Богдан Ступка в ролі Хмельницького у фільмі *Вогнем і мечем*,
реж. Єжи Гофман

1999



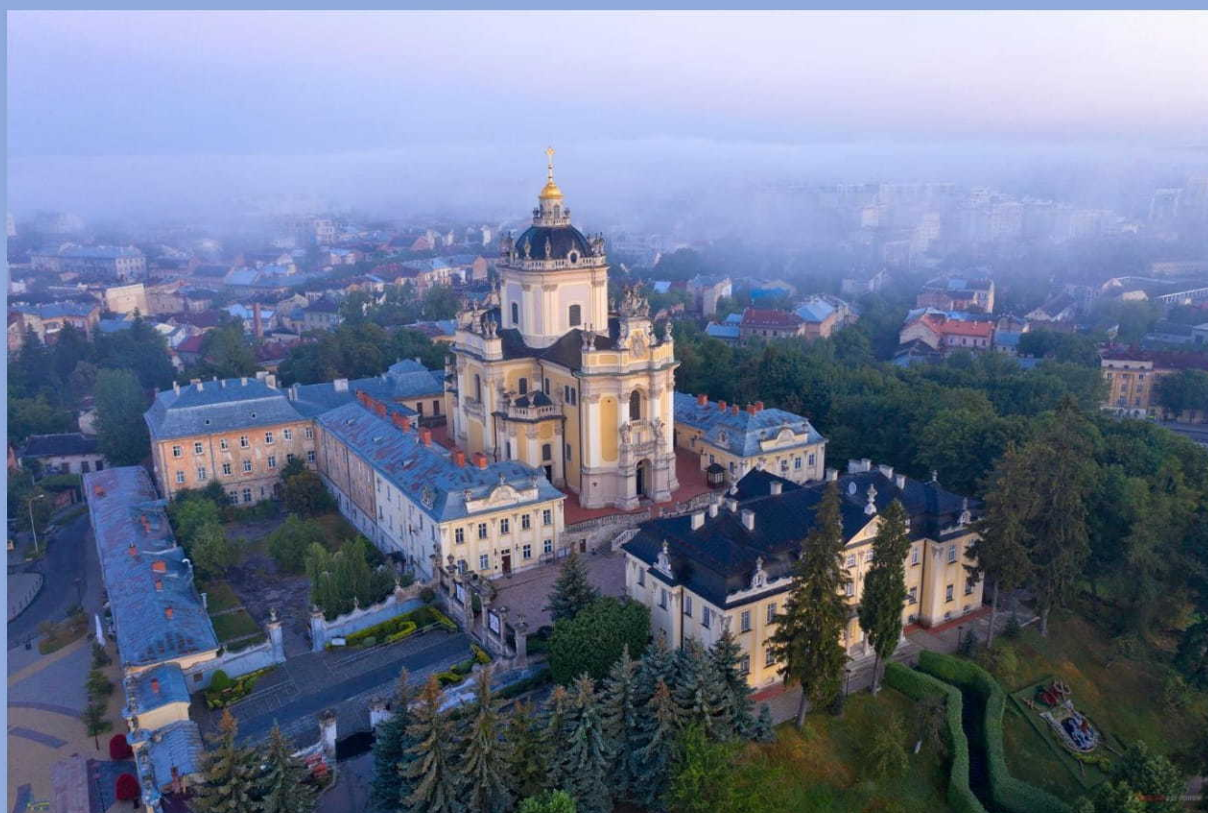
Архикатедральний собор Святого Юра у Львові / Sobór św. Jura we Lwowie. Pierwsza kaplica i pustelnie stały w miejscu dzisiejszego soboru już w XIII w., pierwsza cerkiew ufundowana została przez księcia Lwa Halickiego w roku 1280.

Obecny kształt katedra uzyskała w latach 1744–1772. Reprezentuje styl rokokowy, choć zbudowana jest na planie kościoła typu wschodniego. Zdaniem wielu jest najdoskonalszym osiągnięciem europejskiego późnego baroku.

Na listę światowego dziedzictwa kulturowego UNESCO wpisana została w roku 1998, wraz z lwowskim Starym Miastem, Wysokim Zamkiem i Podzamczem.

Sobór św. Jura jest siedzibą archieparchii (archidiecezji) lwowskiej Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego. Do 2005 roku była siedzibą metropolii halickiej i zwierzchników Ukraińskiej Cerkwi Grekokatolickiej. Obecny arcybiskupem większym archidiecezji lwowskiej jest metropolita Ihor Woźniak.

W latach 1900–1944 metropolitą lwowskim i tym samym gospodarzem Soboru był arcybiskup Andrzej Szeptycki, duchowy przywódca Ukraińców, postać obrosła legendą także wśród Polaków (ciekawostka – po matce był Szeptycki wnukiem Aleksandra Fredry, jego brat Stanisław był generałem wojska polskiego i ministrem spraw wojskowych RP).



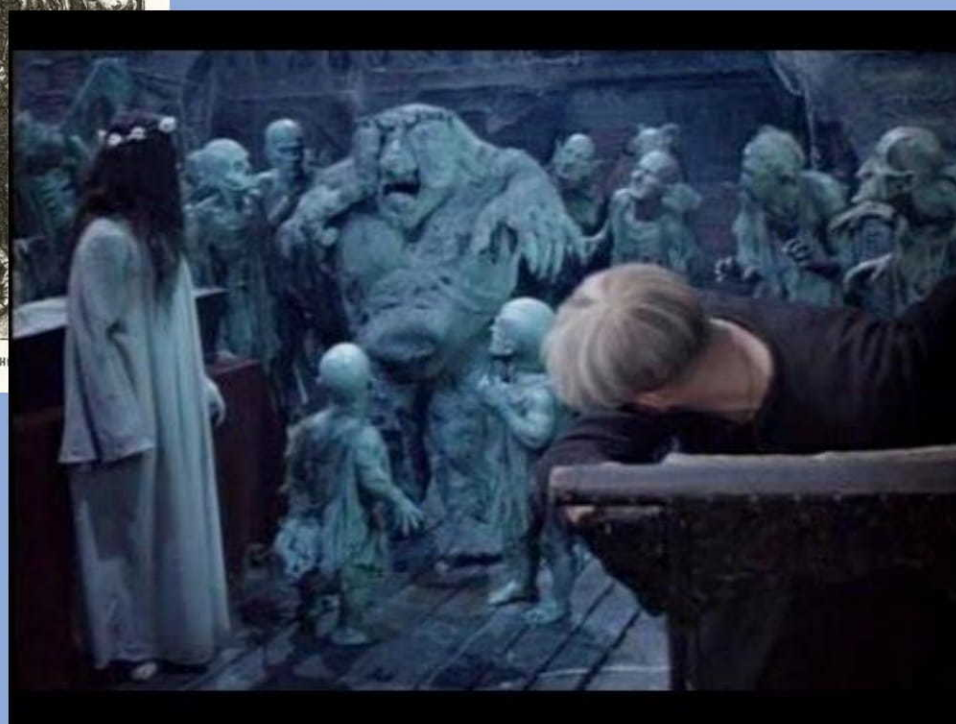
Архикатедральний собор Святого Юра у Львові
Archikatedralny sobór św. Jura we Lwowie

Микола Гоголь (ros. **Николай Гоголь**) / **Nikołaj Gogol**, 1809–1852. Na co dzień Polakom umyka fakt, że autor *Martwych dusz*, klasyk literatury rosyjskiej i światowej, był z pochodzenia Ukraińcem, a jego twórczość czerpie wiele z ukraińskiego folkloru, którego był miłośnikiem, znawcą i badaczem-etnografem. Urodził się w ziemi połtawskiej, w znanej szlacheckiej rodzinie Gogolów-Janowskich, herbu Jastrzębiec, wywodzących się ze starszyzny kozackiej. Pierwiastek ukraiński jest szczególnie wyraźnie widoczny we wczesnych jego utworach – zbiorach opowiadań *Wieczory na chutorze w pobliżu Dikańki* / *Вечори на хуторі біля Диканьки* (1831–32), *Mirgorod* / *Миргород* (1835), a także powieści *Taras Bulba* / *Тарас Бульба* (1835 / 1842).

Klasyk romantycznej opowieści grozy – *Wij* / *Вій* – ukazał się właśnie w *Mirgorodzie* i jest osnuty na ludowych wierzeniach ukraińskich.



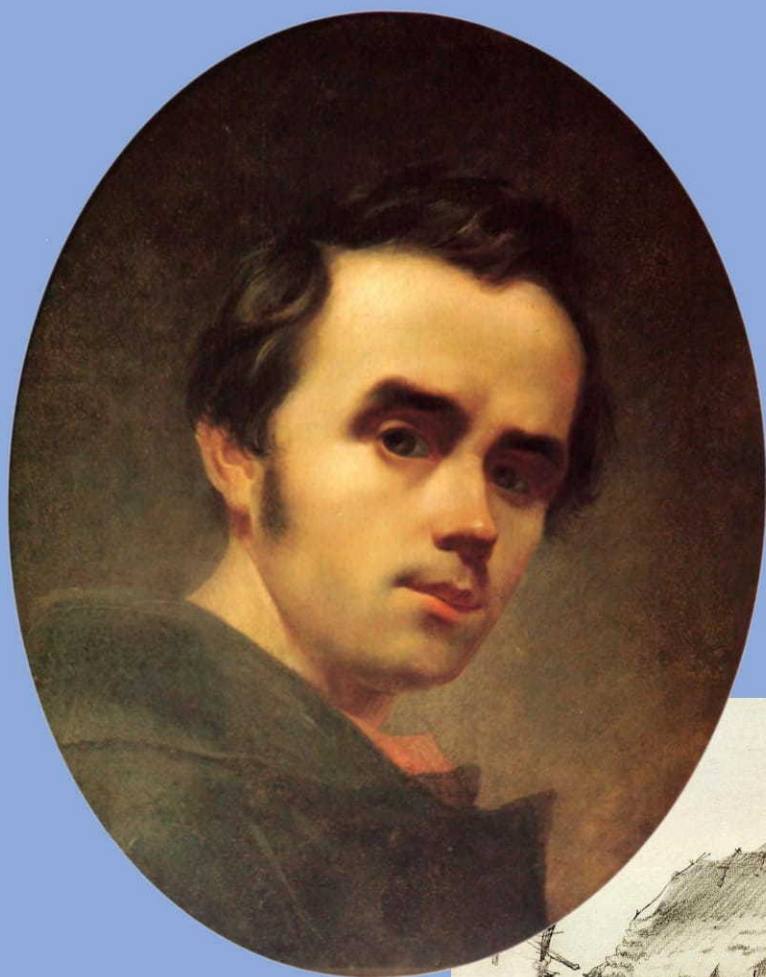
„Подымите мнѣ вѣки: не вижу.“ сказаль подземни (Стр. 75).



Wielka Trójca Poezji Ukraińskiej: Taras Szewczenko (Тарас Шевченко), Iwan Franko (Іван Франко), Łesia Ukrainka (Леся Українка)

Taras Szewczenko (1814–1861) to najwybitniejszy poeta romantyzmu ukraińskiego, bohater narodowy. Jako poeta pisał po ukraińsku, jako prozaik – po rosyjsku; był też uzdolnionym malarzem, folklorystą i działaczem politycznym, propagatorem niepodległości Ukrainy.

W całym swym czterdziestosiedmioletnim życiu wolnym człowiekiem był przez dziewięć lat. Urodził się jako niewolny chłop pańszczyźniany, dziesięć lat spędził na zesłaniach w karnych batalionach (m.in. nad Morzem Kaspijskim i Jeziorem Aralskim), trzy i pół roku żył pod nadzorem policji. Jego debiutancki tom poetycki *Kobziarż* (Кобзарь), uznawany za przełomowy dla poezji ukraińskiej, ukazał się w roku 1840. Jednym z najsłynniejszych wierszy Szewczenki są *Dumy moje*, *dumy moje* (Думи мої, думи мої) z 1839 lub 1840 r.



Тарас Шевченко, *Власний портрет*

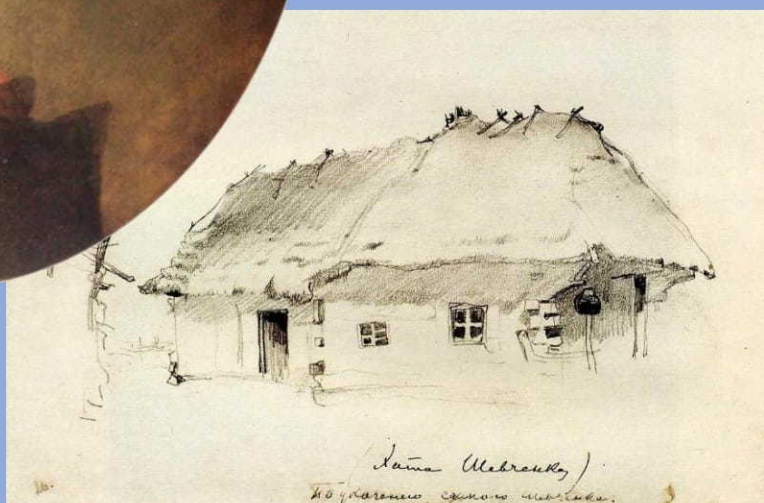
Taras Szewczenko, *Autorportret*

1840

Тарас Шевченко.,
Хата батьків у с. Кирилівці (1843)

Taras Szewczenko, *Dom rodziców
we wsi Kyryliwka*

1843



Думи мої, думи мої

Dumy moje, dumy moje

Переклад: Сидір Твердохліб / Przekład: Sydir Twerdochlib

DUMY MOJE...

*Wielce Zaczemu Panu Drowi Gyrylowi
Studyńskiemu przekład ten dedykuję. S. T.*

Dumy moje, dumy moje,
Jakże źle mi z wami!
Przecz stoicie na tych kartkach
Smutnymi rzędami?
Czemu wiatr was nie rozprószył
W stepie, hen po świecie,
Lub niedola nie uśpiła
Jako swoje dziecię?

Ta niedola was zrodziła w świat na pośmiewisko,
Łzy kapały... Czemuż łez tych topielisko
W morze was nie zniosło lub nie zmyło w polu?
Niktby mnie nie pytał, czemu cknę mi świat,
Niktby nie zapytał, skąd mi wątek bolu,
Czemu los przeklinam... „Pędziwiatrów brat!”
Nie rzekliby, szydząc.

Dzieci, moje kwiecie!

Pocom ja was tulił, was, swój drobny mak?
Czy choć jedno serce załka tak we świecie,
Jak jam z wami płakał? Może też to tak...

Może znajdzie się dziewczęce
Serce, zadrgnie w męce,
Łzami olśni ciemne oczy;
Ja nie pragnę więcej.
Jedna łza — i jam na chwilę
Mocarz nad mocarze!
Dumy moje, źle mi z wami,
Więc się wami skarzę...

O tych czarnych brwiach i oczach,
W noc bezsenną, czułą,
Serce — tęskne i radosne
Opowieści snuło;
Opiewało, jak umiało,
Sielskie noce ciemne,
Strojny w zieleń sad wiśniowy,
Pieszczoty tajemne.
O mogiłach i o stepach
Hen po Ukrainie, —
Serce śniło na obczyźnie,
Milcząc w śnień godzinie.
Nie chciałem ja pośród śniegów
Kozaczej gromady
Z buławami, z buńczukami
Zwoływać na rady.

Niechaj mi kozacze duchy
Bujają szeroko
W Ukrainie, tam, gdzie kresu
Nie odszuka oko;
Gdzie, — jak wolność, co minęła, —
Dniepru nurt rozlany,
Step i step bez końca, w stepie
Jak góry, kurhany.
Tam się legła, tam urosła
Ta kozacza WOLA,
Co wrogami, tatarami

Zasiewała pola;
Dżdżem przelanej krwi skrapiała,
Stepów żar chłodziła,
Aż spoczęła. Oto nad nią
Wyrosła mogiła.
Nad mogiłą Orzeł czarny
Zwiśł, sprawując strażę..
O mogile dobrym ludziom
Śpiewają kobzarze.
Ślepce — dzieje opiewają,
A ja... ja — niemowa:
Mam ja łzy o Ukrainie,
Ale nie mam słowa...
A o troskach — precz mi z troską!
Kogoż-to nie trudzi?!
Kto przez duszę na świat patrzy,
Przeze łzy na ludzi —
Piekło przejdzie na tym świecie
A w tamtym...

Troskami

Nie nakłonię sobie szczęścia,
Gdy mi nie łaskawe.
Życieź smutki czas niekrótki,
Skryte w sercu, krwawe.
W pierś je skryję, w serce wpiję
Wężową obręczą,
Aby nawet wróg nie przeczuł,
Jak one mnie męczą.

Niech myśl moja, jak kruk czarny,
Wciąż krąży i krąży,
A me serce w noc, jak słowik,
Jęknie i zapłacze
Cicho: ludzie nie wyszydzą
Pogardliwą zgrają...
Moich ran nie ocierajcie,
Niechaj krwią spływają!
Niech na cudze pola rzeką
Moja łza się toczy,
Aż na wieki mi zasypią
Cudzym piaskiem oczy...

Dumy moje, dzieci mojej!
Całe życie mroczne
Was tuliłem, — wychowałem,
Cóż ja z wami pocznę?
W Ukrainę idźcie, dzieci,
W naszą Ukrainę,
Popod płoty, sierotami,
A ja — tutaj zginę.
Tam znajdziecie szczerę serca
I słowa łaskawe,
Tam znajdziecie szczerą prawdę,
A może i sławę...

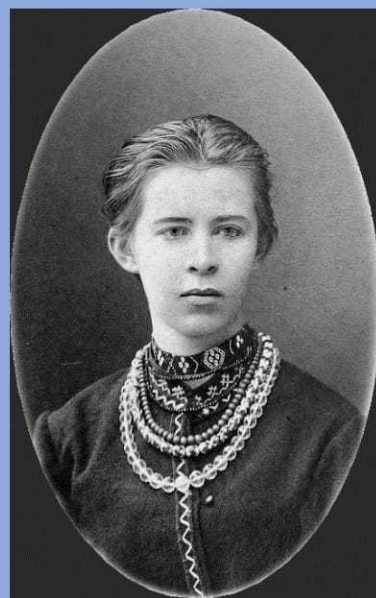
Przyjmij, matko Ukraino,
Te sieroce roje
Moich dzieci nierozumnych,
Jako dzieci swoje.

Iwan Franko (Іван Франко) 1856–1916. Poeta i prozaik, tłumacz, społecznik i polityk. Socjalista; na ławie sądowej zasiadał m.in. wspólnie z Bolesławem Limanowskim. Współpracował



z ukraińskimi i polskimi czasopismami socjalistycznymi i ludowymi. Studiował we Lwowie doktoryzował się w Wiedniu, z przyczyn politycznych nie dostał docenty na Uniwersytecie Lwowskim. Kandydował do Sejmu Krajowego Galicji. Był współzałożycielem pierwszej ukraińskiej partii socjalistycznej – Rusko-Ukraińskiej Partii Radykalnej (1893 r.), od 1899 roku związał się z prawicową Ukraińską Partią Narodowo-Demokratyczną. Pozostawił po sobie ponad pięć tysięcy publikacji (w tym poświęconych historii literatury polskiej). W dziejach zapisał się przede wszystkim jako jeden z najwybitniejszych poetów języka ukraińskiego.

Łesia Ukrainka (Леся Українка), właściwie Łarysa Kosacz-Kwitka (Лариса Косач-Квітка) 1871-1913. Poetka, dramatopisarka, krytyczka literacka. Reprezentantka symbolizmu we wczesnej literaturze modernistycznej Ukrainy. Z przekonań socjalistka, tłumaczka *Manifestu komunistycznego* na ukraiński. Podlegała za to represjom reżimu carskiego. Debiutowała jako poetka, ale za jej najdoskonalsze dzieło uchodzi dramat *Pieśń lasu* (*Лісова пісня*) z roku 1912.



Pieczęć Rządu Narodowego w powstaniu styczniowym (1863–1864). W trójdzielnym polu orzeł, litewska Pogoń oraz kijowski św. Michał, symbolizujący Ukrainę. W zamierzeniu powstańców symbolizować miała jedność polsko-litewsko-(litewsko-białorusko)-ukraińską i intencję włączenia Ukrainy jako trzeciego równoprawnego partnera w dotychczasowy duet Litwy i Korony, tworzący (formalnie do roku 1918, realnie – jedynie do 1795) Rzeczpospolitą.

Jak wiadomo, pomysłu nie udało się wcielić w życie. Po upadku powstania rozkwitły ruchy odrodzenia narodowego nie tylko w Ukrainie, ale także w Litwie i Białorusi. Rok 1918, powstanie samodzielnych państw narodowych i wkrótce potem starcie Ukrainy i Białorusi z mapą przez ZSRR, wzrost nacjonalizmu polskiego, złe relacje nie tylko z Litwą, ale także z mniejszościami ukraińską i białoruską na ziemiach II RP przekreśliły na długo szanse stworzenia od nowa harmonijnych relacji między narodami współtworzącymi niegdyś jeden polityczny organizm.



Symon Petlura / Симон Петлюра (1879–1926)



Przywódca i współtwórca państwa ukraińskiego po I wojnie światowej. Przewodniczący Dyrektoriatu Ukraińskiej Republiki Ludowej (Української Народної Республіки). URL istniała od 20 listopada 1917 r. do marca 1921, kiedy – po traktacie ryskim – przestała być uznawana na forum międzynarodowym. Swoją misję kontynuowała na wychodźstwie do roku 1992, kiedy ostatni emigracyjny przywódca URL Mykoła Pławiuk (Микола Плавюк) przekazał przydymentowi Ukrainy Leonidowi Krawczukowi (Леоніду Кравчуку) akt, stwierdzający, iż obecne państwo ukraińskie jest prawnym spadkobiercą URL.

22 stycznia 1918 r. URL proklamował pełną niepodległość Ukrainy. Usamodzielnianie się państwa od Rosji zintensyfikowało zbrojne interwencje bolszewików. W kwietniu roku 1920 w porozumieniu z URL wojsko polskie wzięło udział w tak zwanej wyprawie kijowskiej – ofensywie na Kijów. 9 maja na Chreszczatyku odbyła się wspólna defilada wojsk polskich i ukraińskich. W obliczu kontrofensywy Polska wycofała się jednak z Ukrainy już w lecie 1920 r.

Podpisany 18 marca 1921 r. między Polską, Rosją sowiecką i marionetkową Ukraińską Socjalistyczną Republiką Radziecką traktat pokojowy w Rydze definitywnie przekreślił szanse Ukrainy na niepodległość. Żołnierze i politycy URL w części udali się na emigrację (także do Polski). Sam Petlura kontynuował swoją misję w Paryżu, aż do maja 1926 r., kiedy zginął w zamachu, z dużą dozą prawdopodobieństwa inspirowanym przez OGPU (poprzednika KGB).

Голодомор / Wielki Głód na Ukrainie (Hołodomor) 1932–1933



Харків 1933 / Charków 1933 r.

Tym mianem określany jest akt ludobójstwa, jakiego u progu lat 30. XX wieku dokonał ZSRR na swoich obywatelach, przede wszystkim – Ukraińcach.

Ponieważ chłopcy niechętnie poddawali się kolektywizacji, prowadzonej na masową skalę od roku 1930, władze Kraju Rad za pomocą represyjnych pociągnięć politycznych i gospodarczych doprowadziły do tak gwałtownego zubożenia wsi, że przez wielki obszar państwa, szczególnie zaś przez tereny dzisiejszej środkowej i wschodniej Ukrainy, przetoczyła się fala głodu tak straszliwego, że zdarzały się przypadki kanibalizmu.

Liczba ofiar tej zaplanowanej operacji wyniszczenia wsi, wedle różnych źródeł, na samej Ukrainie wyniosła w latach 1932–33 od trzech do dziesięciu milionów ludzi.

Тіні забутих предків / Cienie zapomnianych przodków.

Powstały w 1964 roku film Siergieja Paradżanowa (Сергея Параджанова), działającego w Ukrainie reżysera pochodzenia ormiańskiego, jest ekranizacją powieści Mychajła Kociubynskiego (Михайла Коцюбинського), napisanej w roku 1911.

Obraz Paradżanowa to liryczno-epicki fresk z życia huculskich górali utrzymany w stylistyce, którą można by określić mianem realizmu magicznego. Odmalowujący człowieka i naturę z poetycką ekspresją, zastępujący dialogi obrazem i muzyką, obficie operujący zaczerpniętą z karpackiego folkloru symboliką i poetyką oniryczną, stał się swego czasu wydarzeniem w skali międzynarodowej.

Do dziś uważany jest za arcydzieło „ukraińskiego kina poetyckiego”.





Czarnobyl / Чернобыль. Katastrofa w Czarnobylskiej Elektrowni Jądrowej miała miejsce w nocy z 25 na 26 kwietnia 1986 r. Skutkiem źle przeprowadzanych prób doszło do przegrzania rdzenia reaktora atomowego w bloku energetycznym nr 4. Doprowadziło to do największej w dziejach katastrofy w energetyce jądrowej – wybuchu wodoru, pożaru, rozprzestrzenienia się substancji promieniotwórczych na tereny Ukrainy i sąsiadującej z nią Białorusi (elektrownia leży w obwodzie kijowskim, nad rzeką Prypeć, blisko granicy z Białorusią). Chmura radioaktywnych pyłów rozprzestrzeniła się po całej Europie.

Akcję gaśniczą prowadzili nieświadomi radioaktywnego zagrożenia strażacy, potem rzuceni w to miejsce żołnierze. Z poparzeń zmarły dwie osoby, skutkiem choroby popromiennej bezpośrednio po katastrofie – dwadzieścia osiem. W chaosie zginęła też załoga śmigłowca, który przelatując nad elektrownią zahaczył o liny dźwigu.

Z przyczyn propagandowych władze Związku Radzieckiego nie odwołały czterech etapów kolarskiego Wyścigu Pokoju, które w dniach 6-9 maja odbywały się w Kijowie. Doświadczeniem pokoleniowym polskich dzieci tego okresu stało się podawanie w szkołach jako środka zapobiegawczego tzw. płynu Lugola.

27 kwietnia ewakuowano całe miasto **Рыпець (Прип'ять;** ok. 50 000 ludzi) sąsiadujące z elektrownią. Zasadnicza część ewakuacji trwała ok. dwóch i pół godziny. Mieszkańcy musieli pozostawić cały dobytek. Prypeć stała się miastem-widmem.

Wojska rosyjskie zajęły tereny Prypeci i Czarnobylskiej Elektrowni Jądrowej 24 lutego 2022 r. w pierwszym dniu napaści na Ukrainę.

Lata 1990–1991. Odzyskanie niepodległości

Odzyskiwanie niepodległości przez Ukrainę następowało stopniowo, równoległe z procesem rozkładu wewnętrznego Rosji Radzieckiej.

W marcu 1990 roku odbyły się pierwsze częściowo wolne wybory do Rady Najwyższej wciąż istniejącej Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Ukraińska Partia Komunistyczna zdobyła 331 mandatów na 442 wybranych posłów. Mimo to między majem a lipcem jej popularność gwałtownie malała, a deputowanie opuszczali jej szeregi.

16 lipca 1990 roku Rada Najwyższa przyjęła deklarację o uznaniu suwerenności Ukrainy: stwierdzała ona prawo Ukrainy do posiadania własnych sił zbrojnych.

W październiku 1990 roku parlament odrzucił artykuł konstytucji mówiący o zwierzchniej roli Partii Komunistycznej.

19 listopada 1990 roku Ukraina podpisała z Rosją traktat o wzajemnym uznaniu suwerenności i przebiegu granicy.

24 sierpnia 1991 roku parlament ukraiński przyjął Deklarację niepodległości Ukrainy (Акт проголошення незалежності України).

2 grudnia 1991 roku dwa pierwsze państwa uznały niepodległość Ukrainy. Pierwszym z nich była Polska, drugim (pięć godzin później) – Kanada.

8 grudnia 1991 roku w Wiskulach (w białoruskiej części Puszczy Białowieskiej) prezydenci ZSRR – Borys Jelcyn, Ukrainy – Leonid Krawczuk (Леонід Кравчук) i przewodniczący Rady Najwyższej Białoruskiej SRR – Stanisław Szuszkiewicz (Станіслаў Шушкевіч) podpisali akt **rozwiązania Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.**

Wraz z upadkiem ZSRR Ukraina stała się członkiem Wspólnoty Niepodległych Państw, którą opuściła za prezydentury Petra Poroszenki 19 maja 2018 roku.



Przełom lat 2013–2014. Euromajdan – Rewolucja Godności

W roku 2013 pod naciskiem Rosji prezydent Ukrainy Wiktor Janukowycz odmówił podpisania wynegocjowanej wcześniej umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską. W odpowiedzi na to w wielu miastach Ukraińcy rozpoczęli trwające wiele miesięcy protesty, których sercem i symbolem stał się Plac (Majdan) Niepodległości w centrum Kijowa.

Manifestacje rozpoczęły się 21 listopada 2013 r. i początkowo przebiegały spokojnie. 30 listopada doszło do brutalnych prób pacyfikacji manifestantów przez jednostki specjalne policji „Berkut”. W odpowiedzi ruch stał się masowy – 1 grudnia w Kijowie było 800 tysięcy protestujących i mimo że potem liczba ich się zmniejszyła, pozostawała wciąż w granicach 50 do 200 tysięcy. Między grudniem a styczniem 2014 roku na majdanie wyrosło otoczone barykadami miasteczko, powstały spontanicznie organizowane sekcje aktywistów – m.in. samoobrona (potem Gwardia Narodowa) czy „kolumna transportowa” i zarazem zespół koordynujący patrole samochodowe – Automajdan.

W dniach 18–20 lutego 2014 roku Janukowycz po raz kolejny próbował stłumić protesty Euromajdanu siłą. Szturm na Majdan prowadziły jednostki specjalne „Berkut”, „Alfa”, „Omega” strzelcy wyborowi MSW (prawdopodobnie również rosyjskiego specnazu) oraz dowożeni do miasta płatni kryminaliści – „tituszki”, którzy dokonywali napadów na kijowian (w tym morderstw). Doszło do niezwykle krwawych starć ulicznych, w konsekwencji których zginęło kilkadziesiąt osób, a znacznie więcej odniosło rany. Równocześnie w wielu miastach Ukrainy wybuchały lokalne powstania, których celem było wymówienie posłuszeństwa władzy centralnej. Trwały także mediacje na szczeblu międzynarodowym.

Ostatecznie 21 lutego 2014 roku Wiktor Janukowycz ze współpracownikami zbiegł z Kijowa, by po kilku dniach odnaleźć się w rosyjskim Rostowie nad Donem. 22 lutego Rada Najwyższa usunęła Janukowycza z funkcji prezydenta, następnie uwolniono z więzienia byłą premier – prześladowaną politycznie Julię Tymoszenko. Milicja zniknęła z ulic Kijowa, wielu funkcjonariuszy „Berkutu” winnych okrucieństwa i zabójstw zbiegło na Krym lub do Rosji w ślad za Janukowiczem, od 24 lutego ściganego listem gończym.

Funkcje prezydenckie przejął Przewodniczący Rady Najwyższej Ołeksandr Turczynow (Олександр Турчинов). Pełnił je do momentu podjęcia obowiązków przez nowo wybranego prezydenta Petra Poroszenkę (Петра Порошенка).

Liczba osób zabitych przez służby podczas Rewolucji Godności na Majdanie między grudniem 2013 roku a lutym roku 2014 wyniosła sto dziesięć osób. Nazywani są oni **Niebiańską Sotnią (Небесною Сотню)** i mają status bohaterów narodowych.



Główna scena Majdanu,
21 lutego 2014 r.

Головна сцена Майдану,
21 лютого 2014 року



Obrońcy barykad na Majdanie,
19 lutego 2014 r.

Захисники барикад на Майдані,
19 лютого 2014 року



Starcia w Kijowie,
19 stycznia 2014 r.

Сутички в Києві,
19 січня 2014 року

Rok 2014. Okupacja Krymu

Żołnierze rosyjscy pojawili się na Krymie już 26 lutego 2014 r., bezpośrednio po klęsce krwawej konfrontacji Wiktora Janukowycza ze społeczeństwem obywatelskim Ukrainy. W pierwszych dniach napaści – łatwi do zidentyfikowania na podstawie umundurowania, sprzętu i wyposażenia – występowali bez dystynkcji wojskowych i bez znaków narodowych, skutkiem czego błyskawicznie przyjęła się dla nich nazwa „zielonych ludzików”. Szczytem rosyjskiej hipokryzji było określanie ich mianem „uprzejmych ludzi”.

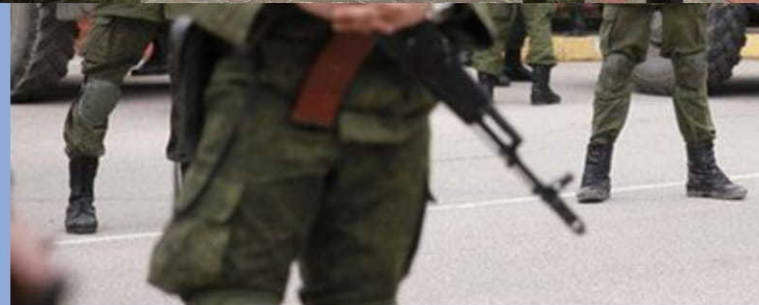
Polityczna słabość Ukrainy w tamtym momencie, działalność rosyjskiej piątej kolumny na terenie Krymu, obecność „zielonych ludzików” oraz Floty Czarnomorskiej w Sewastopolu, a także zdrada niektórych oficerów armii i marynarki sprawiły, że Krym przejęty został prawie bez walki. Już 1 marca 2014 r. podający się za premiera „Republiki Autonomicznej Krymu” (wcześniej jego partia w wyborach do parlamentu Krymu zdobyła trzy mandaty na sto) zwrócił się o wsparcie do Putina. Potem sprawy rozegrały się według sprawdzonego scenariusza. Dobrotliwa Rosja zapewniła „ochronę” obywatelom Krymu, a „zielone ludziki” okazały się oddziałami specjalnymi Federacji Rosyjskiej, które do końca marca w najlepsze panoszyły się po półwyspie, zajmując jednostki wojskowe i kluczowe elementy infrastruktury.

6 marca „Rada Najwyższa Republiki Autonomicznej Krymu” „jednogłośnie” zażądała przyłączenia Krymu do Federacji Rosyjskiej. Referendum miało odbyć się 16 marca (kolejność – znacząca). Przeciwno tej decyzji zagłosował Medżlis – parlament Tatarów Krymskich – wzywając do zbojkotowania referendum. Wkrótce Tatarzy mieli się przekonać po raz kolejny, co znaczy przeciwstawianie się rosyjskiej „demokracji”. W tym czasie na Krym nie dopuszczono obserwatorów ONZ i OBWE.

11 marca „Rada Najwyższa Autonomicznej Republiki Krymu” przyjęła deklarację niepodległości. „Referendum” odbyło się 6 marca, 7 marca doniesiono, że 97% głosujących opowiedziało się za przyłączeniem do Rosji. 21 marca Putin podpisał odnośne traktaty, przejmując kontrolę nad ukraińskim Krymem.

Pierwsze masowe wysiedlenia Tatarów Krymskich rozpoczęły się już 19 marca 2014 r.

Referendum w świetle ukraińskiej konstytucji było nielegalne. Nie zostało uznane przez wspólnotę międzynarodową. Wspólnota międzynarodowa tradycyjnie nie zareagowała – udzieliła tym samym pozwolenia na łamanie prawa międzynarodowego przez Rosjan.



„Zielone ludziki” na lotnisku w Symferopolu (marzec 2014 roku).

Medżlis – parlament Tatarów Krymskich, jeden z ostatnich bastionów lojalności obywateli Krymu w stosunku do Ukrainy (marzec roku 2014 – atak prorosyjskich prowokatorów)



Rok 2014. Okupacja Doniecka i Ługańska. Początek wojny w Donbasie

Po ucieczce Janukowycza z Ukrainy i zwycięstwie demokratycznych sił Euromajdanu, w kwietniu 2014 roku, we wschodnich obwodach Ukrainy – Donieckim i Ługańskim – wybuchły inspirowane przez rosyjską propagandę i działania agentur FSB i GRU protesty przeciwko Rewolucji Godności. Pojawiły się zorganizowane bojówki, które zajmowały budynki administracji publicznej.

6 kwietnia dowódca „Ługańskiej Gwardii” ogłosił się „ludowym gubernatorem” obwodu Ługańskiego. Tego samego dnia 150 osób okupujących budynek administracji obwodowej w Charkowie ogłosiło powstanie „Charkowskiej Republiki Ludowej”. 7 kwietnia jedna z bojówek – grupa licząca około 50 osób – „uchwaliła” powołanie „Donieckiej Republiki Ludowej”. W następnych dniach sytuacja w regionie eskalowała: w Łymanie na przykład obywatele miasta sami pogonili „separatystów”, natomiast w Doniecku ujawniły się „zielone ludziki”, a w Słowiańsku odnotowano udział w walkach oddziałów rosyjskiego specnazu i agentury GRU.

13 kwietnia Ukraina rozpoczęła operację antyterrorystyczną (z użyciem regularnej armii i ciężkiego sprzętu). Bitwa o Kramatorsk trwała już od 12 kwietnia, a skończyć się miała dopiero 5 lipca. Także z początkiem lipca zakończyła się bitwa o wyzwolenie Słowiańska. Obie operacje zaowocowały zwycięstwem Ukrainy, podobnie jak obrona Mariupola. Tymczasem 27 kwietnia „separatyści” ogłosili powstanie „Ługańskiej Republiki Ludowej”, która 12 maja wraz z „Doniecką Republiką Ludową” ogłosiła niepodległość i zaapelowała o uznanie i wsparcie przez Rosję.

W dniach 26–27 kwietnia rozegrała się obrośłą legendą prowadzona przez wojsko ukraińskie obrona lotniska w Doniecku. Atakującymi byli „separatyści” i najemnicy: weterani armii rosyjskiej oraz ochotnicy z Krymu i Czeczenii. Około 130 ukraińskich komandosów stawilo opór około 220 napastnikom; nie ponieśli strat, natomiast spośród rosyjskich „psów wojny”, obywateli FR, zginęło około 30. Lotnisko pozostało w rękach Ukraińskich. W ręce DRL przeszło dopiero po drugiej bitwie, trwającej od końca września 2014 r. do końca stycznia 2015 r. Przez cztery miesiące uporczywej obrony żołnierze 3 Pułku Sił Specjalnych, 93 Brygady Zmechanizowanej, 79 Brygady Powietrznodesantowej, 17 Brygady Czołgów oraz batalionu ochotniczego Prawego Sektora zyskali (najpierw wśród Rosjan, potem powszechnie) miano „cyborgów” (Киборги) – „Oni wytrzymali! Nie wytrzymał beton!”.

Od 6 do 31 sierpnia 2014 r. trwała bitwa o Iłowajsk („kocioł ilowajski”) w obwodzie donieckim, jedna z najbardziej krwawych w tej wojnie. Niepowodzenie było jedną przesłanek podpisania przez Ukrainę w Mińsku zawieszenia broni (5 września 2014 r.) oraz porozumień mających być wstępem do rozwiązania konfliktu (12 lutego 2015 r.).

W obwodach Donieckim i Ługańskim nigdy nie doszło do pełnego zawieszenia broni ani do wycofania ciężkiego sprzętu. Wojna w Ukrainie trwa od ośmiu lat, bestialska napaść federacji moskiewskiej na Ukrainę jest jej kontynuacją.



Żołnierze ukraińscy pod
Iłowajśkiem,
sierpień 2014 r.

Українські воїни під
Іловайськом,
серпень 2014 року.



Jeden z „Cyborgów”,
lotnisko w Doniecku,
przełom 2014 i 2015 r.

Один із « Кіборгів»,
Донецький аеропорт,
рубежі 2014/2015 років

Lotnisko w Doniecku,
Wigilia 2014 roku

Донецький аеропорт,
24 грудня 2014 року



Віталій Кличко (ros. Виталий Кличко) / **Witalij Kliczko (Kłyczko)**, ur. 1971.

Ukraiński bokser wagi ciężkiej, mistrz świata organizacji WBC (2004; od 2008 do 2013), mistrz świata WBO (1999-2000). Doktor nauk (2000, Uniwersytet Kijowski). Polityk, założyciel partii politycznej Ukraiński Demokratyczny Alians na rzecz Reform (UDAR), deputowany do Rady Najwyższej Ukrainy. Jedna z ważnych postaci ukraińskiej Rewolucji Godności (2013-14). Od maja 2014 roku mer Kijowa.

Obecnie – prócz sprawowania władzy administracyjnej w walczącej stolicy służy w Obronie Terytorialnej wraz z młodszym bratem – Wołodymyrem Kliczką.

Воłodымыр Кłyczко / **Włodimir Kliczko (Володимир Кличко** / ros. Владимир Кличко), ur. 1976

Ukraiński bokser wagi ciężkiej, były mistrz świata organizacji IBF, WBO, IBO oraz superczempion WBA. W swojej karierze pokonał 23 zawodników o tytuł mistrza świata wagi ciężkiej, najwięcej w historii boksu. Złoty medalista Igrzysk Olimpijskich w Atlancie. Młodszy brat Witalija Kłyczki. Wraz z nim walczy w Obronie Terytorialnej Ukrainy.





S.T.A.L.K.E.R.: Cień Czarnobyla (S.T.A.L.K.E.R.: Тінь Чорнобиля) to powstała w 2007 roku gra typu FPS („strzelanka” z perspektywy pierwszej osoby) osadzona w postapokaliptycznych realiach okolic elektrowni atomowej w Czarnobylu i miasta Prypeć.

Stworzyło ją założone w 1995 roku w Kijowie studio GSC Game World. *S.T.A.L.K.E.R.* szybko stał się międzynarodowym hitem, doczekał się dwóch kontynuacji i niezliczonych modyfikacji tworzonych przez fanów GSC, twórca nowatorskiego silnika programowego *X-Ray Engine* i kilku znanych cykli gier (jak *Kozacy / Козаки* – por. poniżej) w tych dniach wspiera zmagania Sił Zbrojnych Ukrainy i narodu z okupacją rosyjską.



Eurowizja

W konkursie piosenki Eurowizji Ukraina bierze udział od 2003 roku, kilkakrotnie odnosząc znaczące sukcesy.

W roku 2004 konkurs wygrała lwowianka **Rusłana (Łyżyczko) / Руслана (Лижичко)** piosenką *Wild Dances (Дикі танці)*. W latach 2006–2007 Rusłana była deputowaną do Rady Najwyższej. W roku 2013 brała udział w działaniach Euromajdanu.

W roku 2016 triumfowała w konkursie **Jamala (Джамала; po krymskotatarsku Camala)**, właściwie **Susana Dżamaładinowa (Сусана Джамаладінова, po krymskotatarsku Susana Camaladinova)**, urodzona na emigracji w Oszu, w Kirgistanie. Skala głosu Jamały wynosi cztery oktawy. Zwycięska piosenka *1944* dotyczyła dokonanej przez Stalina deportacji Tatarów z Krymu podczas II wojny światowej.

Charakterystyczną postacią konkursu była także **Wierka Serdiuczka (Верка Сердючка)**, właściwie **Andrij Danyłko (Андрій Данилко)** z Połtawy. Wierka jest komediowym wcieleniem Danyłki jako drag queen; w konkursie w 2007 roku Wierka Serdiuczka zdobyła 2. miejsce.



Wierka Serdiuczka

Верка Сердючка



Ruslana

Руслана



Jamala

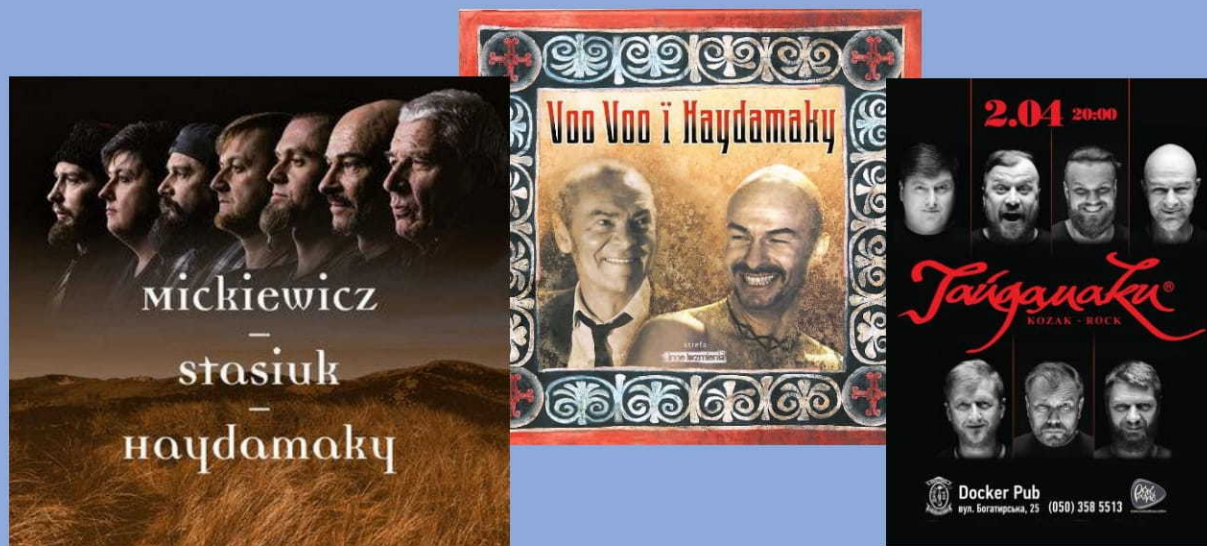
Джамала



Гайдамаки / Haydamaky to ukraińska grupa folk rockowa założona w roku 1991 w Kijowie jako Aktus. Sami swoją muzykę określają jako Hucuł-Punk, Karpatian-Ska i Kozak rock. Zespół wydał jak dotąd kilkanaście płyt długogrających. W 2009 roku razem z Voo Voo nagrali krążek *Voo Voo i Haydamaky*, w 2018 – wspólnie z Andrzejem Stasiukiem płytę *Mickiewicz – Stasiuk – Haydamaky*, zawierającą interpretacje *Sonetów krymskich* Adama Mickiewicza. W roku 2007 na płycie *Кобзар / Kobzar* gościnnie zagrali Pablopavo, Reggaenerator i Grabaż.

Гайдамаки grały koncert w pierwszym dniu wielkich protestów na kijowskim Euromajdanie w listopadzie 2013 roku. Na głównej scenie Majdanu zespół występował jeszcze wielokrotnie. Począwszy od lat 2014-15 grupa dawała liczne koncerty dla podtrzymania siły ducha armii Ukrainy, także w bezpośrednim sąsiedztwie stref walki z oddziałami rosyjskich separatystów.

W chwili obecnej w sieci można znaleźć ogłoszenia reklamujące występ Hajdamaków w oblężonym Kijowie. Ma się odbyć w Docker Pubie, 2 kwietnia 2022 r. o 20.00.





Океан Ельзи / Okean Elzy. Jedna z najbardziej rozpoznawalnych i popularnych grup rockowych z Ukrainy. Założona w 1994 roku we Lwowie. Ma na koncie dziewięć płyt studyjnych. W Polsce koncertowali czterokrotnie.



Krótkie historie dwóch najstarszych zespołów rockowych Ukrainy

Michał Zarecki

1. Enej (Еней)

Nie należy mylić go ze współcześnie działającym zespołem w Polsce. Nie udało mi się nigdzie ustalić dokładnej daty jego założenia, jednak wygląda na to, iż miało to miejsce w drugiej połowie lat 60. XX wieku. Jego twórcami byli uczniowie szkoły muzycznej im. Mykoły Łysenki w Kijowie. W początkowym składzie byli to: Kyryło Stecenko (gitara, skrzypce, flet, wokal), Taras Petrynenko (wokal, klawisze) – postać dobrze znana również w latach późniejszych z samodzielnej kariery estradowej, Ihor Szablowski (gitara rytmiczna, wokal, klawisze), Mykoła Kyrylin (gitara basowa) i Ołeksandr Blinow (perkusja, ksylofon).

W początkowej fazie twórczości mieszała ona ukraińską muzykę ludową z brzmieniami w stylu Beatlesów, później w ich twórczości dawało się odczuć wpływy funku, soulu, jazz-rocka, ale również muzyki klasycznej i węgierskiej. Ponadto na ich twórczość wpłynęły także poniekąd zespoły hard rockowe takie jak Deep Purple i Led Zeppelin

Pierwszy występ „Eneja” w telewizji miał miejsce w 1970 roku. W tym czasie zespół zjednał sobie dużą popularność, pojawiając się często w ukraińskim radio i TV. Niestety, już w roku 1972, w wyniku zmian na kierowniczych stanowiskach partii Ukraińskiej SRR i nowych rozporządzeń z tym związanych, działalność wszelkich muzyków rockowych została zakazana w obiegu oficjalnym, a zapisy zespołu w większości skasowano. „Enejowi” nie udało się do tego czasu wydać także żadnej płyty.

Po tych wydarzeniach zespół zszedł do podziemia, gdzie wykonywał swoje utwory jeszcze przez trzy lata. Poza tym, pod swoją dawną nazwą spotkał się również po raz ostatni w roku 1977. W międzyczasie, poszczególni członkowie zespołu pozakładali różne grupy wokально-instrumentalne (jedyne dopuszczalne wówczas w oficjalnym obiegu w ZSRR formacje uprawiające muzykę popularną), w tym „Wizerunki szlachy”, która wydała długogrającą płytę, zawierającą dwa utwory z repertuaru dawnego „Eneja”.

Obecnie, w mniej lub bardziej oficjalny sposób, udało mi się dotrzeć do zapisu siedmiu utworów granych przez zespół. Są one głównie w nie najlepszej jakości, jednak jest ona wystarczająca, by odczuć wyjątkowość ukraińskiej muzyki rockowej, stanowiącej mieszankę własnej tradycji ludowej z wpływami najnowszych wówczas zachodnich hitów.

2. Hucuły (Гуцули)

Ta formacja założona została w roku 1969 w karpackim mieście Kosów. Jej nazwa nie pozostaje przypadkowa, ponieważ członkowie zespołu podczas swoich koncertów ubierają się w tradycyjne huculskie stroje, a śpiewając – posługują się huculskim dialektem. Początkowo działali oni w Powiatowym Domu Kultury, jednak ze wspomnianych już wcześniej przyczyn politycznych, zostali z niego na początku lat 70. wyrzuceni. Podobnie jak „Enej”, zeszedli do podziemia i wykonywali koncerty w restauracjach i na weselach – utrzymując stałą „konspiracyjną” popularność na Ukrainie. W przeciwieństwie jednak do poprzedniej grupy, nie stworzyli żadnego zespołu wokalny-instrumentalnego ani też nie ulegli rozwiązaniu po kilku latach, mimo iż w pewnym momencie (choć również nie dotarłem do konkretnych dat) zawiesili swoją działalność na dłuższy okres.

Swoistą reaktywację zespołu stanowił ich występ na pierwszym festiwalu ukraińskiej muzyki popularnej Czerwona Ruta w Czerniowcach w 1989 roku (jednym z najważniejszych tego typu w kraju, odbywającym się po dzień dzisiejszy). Ich występ spotkał się z wielkim entuzjazmem, a utwór „Afyny” zdobył nagrodę za najlepszą piosenkę o ojczyźnie. W tym samym roku zespół dał również samodzielny koncert w Kołomyi i jest to (nie licząc jednej piosenki z Czerwonej Ruty) najstarszy udostępniony zapis gry „Huculów”. Można odsłuchać go na oficjalnej stronie grupy, huzulyrock.if.ua, jednak jego jakość pozostawia wiele do życzenia, a próba cyfrowego oczyszczenia dźwięku zdaje się jedynie pogarszać sprawę.

„Hucuły” funkcjonują do dziś i stanowią obecnie najstarszy wciąż działający zespół rockowy na Ukrainie. Jego skład ulegał licznym zmianom, a każdy członek zdawał się wkładać doń coś nowego. Niestety nie cieszą się oni zbyt dużą popularnością, nie wydali również nigdy w swej historii żadnego albumu. Wciąż jednak koncertują (występowali również w trakcie Euromajdanu w roku 2014), a zapisy niektórych z nich można odsłuchać za darmo na ich wspomnianej wcześniej stronie. Cały dostępny repertuar można zmieścić w stu minutach odsłuchu, a piosenki nie posiadają stałych tytułów.

Podobnie jak u „Eneja”, w brzmieniu „Huculów” również dochodzi do zderzenia ludowości ze światową klasyką rocka. Sam zespół za swoich idoli wskazuje „Deep Purple”, „Black Sabbath”, „Scorpions”, „Queen” oraz „Rainbow”. Jednak hard rockowe brzmienie okrasza także tradycyjnymi huculskimi dźwiękami oraz parodystyczno-ironicznymi, a nawet sarkastycznymi tekstami. Mimo to należy podkreślić, iż w jego repertuarze znajdują się także utwory poważne, takie jak np. muzyczna aranżacja wiersza Tarasa Szewczenki „Dumy moje”.

Przykłady obydwu tych zespołów stanowią kolejny dowód wyjątkowości, unikalności i wartości, jakie niesie ze sobą ukraińska kultura oraz mogą służyć za przykład, dlaczego warto, aby to właśnie nią zainteresował się świat, a przynajmniej najbliżsi sąsiedzi Ukrainy.



Еней. Енеј

Гуцули. Нусулу





WSPÓŁCZESNA LITERATURA UKRAIŃSKA



Анатолій Криволап, *Композиція*
Anatolij Krywolap, *Kompozycja*
2007

Оксана Забужко / Oksana Zabuzko

Польові дослідження з українського сексу [1996]

Badania terenowe nad ukraińskim seksem [fragmenty]

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

Wydawnictwo WAB

Warszawa 2008

1

...i zaczęłaś czytać, z urazy i rozpacz (powściekali się z tym swoim „Russian” już wtedy!) słuchając wyłącznie własnego tekstu, chowając się weń, jakbyś nocą wchodziła do oświetlonego domu i zamykała za sobą drzwi, i w pół drogi nagle zdałaś sobie sprawę, że rozbrzmiewasz w dzwoniącej, osłupiałej ciszy: język, nieważne, że niezrozumiały, na oczach publiczności zbierał się wokół ciebie w przezroczystą, mieniąco-migotliwą, jakby z płynnego szkła wytopioną kulę, w której, widzieli to, odprawiały się jakieś czary: coś żyło, pulsowało, prostowało się, wybuchało pęknięciami, wzbierało płomieniami i znów mętniało, jak powinno mętnieć szkło od zbyt bliskiego oddechu, rozumiałaś – otulona, promienna i bezpieczna, wtedy właśnie powinnaś była zrozumieć, że twój dom – język, który naprawdę porządnie zna może jeszcze z kilkaset osób na całym świecie – zawsze jest z tobą, jak u ślimaka, a inny, nieruchomy dom nie jest ci pisany, kobito, choćbyś na głowie stanęła – potem wszyscy ci pucłowaci, łysi, czarni i kędzierzawi, w turbanach i bez, długo i ze wzruszeniem potrzęsali twoją ręką, nie pozwalając ci, nawiasem mówiąc, pójść do łazienki (twój żołądek zdecydowanie odrzucał ich mdło-korzenną kuchnię i buczał basem dokładnie wtedy, kiedy wypadało pięknie dziękować); od tamtej pory żadna widownia nie zbijała cię z tropu – nawet kryminaliści! – ekshibicjonizm czy ie ekshibicjonizm – własny tekst bronił cię przed obelgami i poniżeniem, czytałaś tak, jak pisałaś – na głos, prowadzona przez władczą muzykę wiersza, proces, który na ogół odbywa się bez świadków, z wyjątkiem teatru – pewnie to właśnie tak porusza – i ta festiwalowa masa też przycichła gdzieś w połowie twojego występu – obiegła szklaną kulę i zgodnie odetchnęła unisono, i kiedy w końcu, odprężając się po brawach, już nie na estradzie, ale na dole, w półmroku, w jakimś zwartym przyjacielskim kółku: duszno, dym, ktoś nalewa, ktoś się śmieje, twarze migają pojedynczymi kadrami – wyciągałaś rękę czy to po dającego ulgę papierosa,

czy po kieliszek, ten facet na moment znalazł się obok, jakby niechcący się na ciebie natknął – z kocio świecącymi w półmroku oczami w zachwycie owionął wódczanym chuchem: „Byłaś ekstra!” – i tak samo mimochodem, w przelocie, spróbował uścisnąć ci rękę, przechwycić ją, sięgającą po papierosa...

2

...À propos, to właśnie jest parszywe w obcym kraju – przyczepiają się do człowieka, wpadają jak pyłki do nosa, złapane w locie cudze słówka i zwroty, zalepiają pory w mózgu, natrętnie pchają się pod rękę, nawet kiedy jesteś sam na sam ze sobą – i nawet nie zauważasz, jak zaczynasz mówić „circa z aboutem”, czyli powtarza się to samo, co było w domu (w domu? opamiętaj się, kobito, gdzie jest ten twój dom?), no dobra, w Kijowie, na Ukrainie, z rosyjskim: wsącza się po kropli z zewnątrz, zasycha, kamienieje i musisz albo bezustannie prowadzić w pamięci czyszczące tłumaczenie synchroniczne, co brzmi wymuszenie i nienaturalnie, albo przywyknąć, jak my wszyscy, samą intonacją brać obce słowa w cudzysłów, stawiać na nich jakiś taki prześmiewczo-ironiczny akcent, jak na nibycytatach (ot, choćby ten przykład, który można jutro przedstawić studentom na zajęciach: „Ty co, myślisz, że jesteś taka «pobieditielnica»?”).

A jeszcze można by powiedzieć – wygłaszając wykład na jakimś amerykańskim uniwersytecie, albo na konferencji „tripl-ej-dabl-es”, albo w Kennan Institute w Waszyngtonie, albo wszystko jedno gdzie cię jeszcze poniesie, sto, maksimum dwieście baksów honorarium plus zwrot kosztów podróży – i dziękuj grzecznie, nie jesteś Jewtuszenką ani Tatianą Tolstoj, żeby ci płacili po tysiącu za wystąpienie, i ktoś ty, waćpanna, taka, te, Ukrainian cholerna, dziecię kwaterunkowego bloczyska na kijowskim wygwizdowie, z którego przez całe życie bez skutku usiłujesz się wyrwać, Kopciuszek, który leci przez ocean, żeby ponarzekać przy kolacji u Sheffielda z parką noblistów (śląc uśmiechy na wszystkie strony, papłąc przy jednym stoliku w czterech językach naraz) na ideową pustkę współczesnej cywilizacji, po czym wraca do swojej kijowskiej kuchni o powierzchnię 6 m², klócić się z mamą i upokarzająco tłumaczyć kochanym redaktorom, że „gdzie ja, tam moja ojczyzna” z pewnością nie oznacza ubi bene, ibi patria – choćby dlatego, że przez też samą pieprzoną patria ani u Sheffielda, ani u Tiffany’ego, ani na Hawajach, ani na Florydzie, nigdzie i nigdy nie jest ci bene, bo ojczyzna to nie po prostu miejsce urodzenia, prawdziwa ojczyzna to ziemia zdolna cię zabijać nawet na odległość, podobnie jak matka powoli i nieodwracalnie zabija dorosłe dziecko, trzymając je przy sobie, krępując każdy jego ruch i myśl swoją omotującą obecnością – zresztą, co tu dużo gadać, tematem mojego dzisiejszego wystąpienia, ladies and gentlemen, są, jak zresztą napisano w programie, Badania terenowe nad ukraińskim seksem i zanim do nich przejdę, chciałabym wszystkim państwu podziękować, obecnym i nieobecnym, za niczym

nieumotywowane zainteresowanie moim krajem i moją skromną osobą – już czym jak czym, ale zainteresowaniem dotychczas nie byliśmy rozpieszczani: mówiąc wprost, zdychaliśmy, za cholere przez nikogo nie dostrzegani...

3

...bo niesmakowane, nieużywane, niedokarmiane energią idących na spotkanie myśli teksty powolutku stygną, i to jak! – jeśli tylko strumień uwagi czytelników w porę ich nie podchwyci i nie wyniesie na powierzchnię, idą na dno jak kamień i pokrywają się nieusuwalną warstwą omszałego brudu, jak twoje niesprzedane książki, które porastają gdzieś kurzem po księgarniach; to stało się z niemal całą ukraińską literaturą, na palcach można policzyć – nawet nie autorów, ale pojedyncze utwory, którym dopisało szczęście – z drzeniem palców i łzami w oczach czytałaś przysłany ci tu, w Ameryce, przekład Pieśni lasu Łesi Ukrainki, wersję autoryzowaną, przeznaczoną dla sceny na Broadwayu, zachłystywałaś się jak narkomanka jej przyspieszonym, gorącym oddechem: żyje! żyje, nie przepadło, po siedemdziesięciu latach, na innym kontynencie, w innym języku – popatrz, wypłynęło! – oczywiście, to co innego pisać po rosyjsku czy angielsku; na pierwszy twój wiersz, wydrukowany po angielsku, i to w zupełnie niedużym piśmie, zareagowało ekstatycznie, chyba gdzieś w Kansas, jakiegoś „The Review of Literary Journals”, coś takiego, i Macmillan zamierza włączyć go do antologii światowej poezji kobiecej dwudziestego wieku, You are a superb poet – mówią ci tutejsi wydawcy [nie spiesząc się jednak z wydaniem książki], dzięki, wiem, tym gorzej dla mnie – ale nie masz wyboru, złościutka, nie dlatego, że nie umiałabyś zmienić języka – doskonale byś umiała, gdybyś trochę się przyłożyła – ale dlatego, że jesteś skazana na wierność martwym, tym wszystkim, którzy równie dobrze mogliby pisać – po rosyjsku, po polsku, niektórzy nawet po niemiecku, i żyć zupełnie innym życiem, a jednak rzucali siebie jak drwa w dogasające ognisko ukraińszczyzny i gówno z tego mieli, oprócz zmarnowanych losów i nieczytanych książek, a jednak dziś istniejesz ty, która do pięt tym ludziom nie dorosłaś, nie dorosłaś i już, iskierki ich obecności niekiedy błyskają w popiele codzienności, i to właśnie jest twój ród, twoje drzewo genealogiczne, ty cholerna arystokratko...

4

Niespodziewany telefon z domu – od przyjaciółki, która już z rok temu zajęła się biznesem i jedyna spośród wszystkich kijowskich krewnych-i-znajomych może sobie pozwolić na dzwonienie do Ameryki: czy jesteś teraz w stanie wysłuchać naprawdę złej wiadomości, pyta. To znaczy? W słuchawce krótka pauza, potem głos ze ściśniętego gardła: Darka nie żyje. Natychmiast martwieją nogi, a potem całe ciało drętwieje, jak przy narkozie: nie! (A gdzieś na dnie świadomości

brzęczy, jak natrętna mucha między szybami, okropna myśl: szczęściara, koniec męki! – bo męczyła się przecież strasznie, taka ładna i mądra, och, jak jej było do twarzy w wiązanych pod brodą kwiecistych chustkach z końcami wypuszczonymi na kożuszek – na policzkach rumieńce jak rajskie jabłuszka – ostry, ruchliwy nosek, buzia w ciup, po prostu cytat z folkloru, żywa ilustracja do Nocy wigilijnej Gogoła, jej żarty też były gogolowskie, klasycznie ukraińskie: baję z najpoważniejszą na świecie miną, a słuchacze boki zrywają; i całą młodość się męczyła – z głupią matką, która poprzestawiała w głowach i mężowi, i dzieciom, z wrednymi chłopami: pierwszy mąż porzucił ją zaraz po dyplomie, jak tylko dostał meldunek w stolicy – wyszło na jaw, że po to się właśnie ożenił, historia z drugim skończyła się przerwaniem ciąży i po-oszło z ginekologami, na łeb, na szyję; przy trzecim, łagodnym jak ośróodka chleba i całe życie z głową w chmurach, harowała za dwóch, podczas gdy on, dobre i to, doglądał małej – korepetycje, gdzie się da, tłumaczenia, koczowała jak my wszyscy: z jednego wynajmowanego mieszkania do innego z rodziną na grzbiecie, kończyła doktorat i wreszcie, o dziwo, znalazła pracę w jakiejś nowej fundacji amerykańsko-ukraińskiej, stanęła na nogi, a trzy miesiące potem jechali samochodem z Boryspola, z przeciwka zaś, tym samym pasem, pijany w sztok facet ładą: cztery osoby, wszyscy, którzy byli w samochodzie – na miejscu, i cześć, i tylko wysoki, cienki głos – bez łez! – zawodzi w pustej przestrzeni poza kadrem: oj, gdybym wiedziała, że umierać pora, kazałabym sobie wyrąbać jawora, pobudować trumnę w cztery strony świata, żeby w kącie stała trzyjści cztery lata, stała trumna, stała, aż prawie spróchniała, i tak do dziewczyny trumna powiedziała: albo mnie porąbcie, albo w piecu spalcie, albo mnie porąbcie, albo ciało dajcie...). Stojąc na środku kuchni ze słuchawką w rękę, uczepiona głosu Sany, nie wiedzieć który raz powtarzającej: co teraz będzie z Talą, Tala piąty rok zaczęła, buzia okrągłutka, wykapaną mamą, tylko nos jak kartofel po tacie, kiedyś, jeszcze jako niemowlak, zaskoczyła cię nieprzytomnym, niepewnym, pytającym wzrokiem, który jakby szukał jakiegoś punktu zaczepienia – Darka przewijała ją i wykielkowało, jak naszeptane przez nieznaną wiatr: Jakie to dziwne – dziewczynka. Dziecko. / Wyraz niezadowolenia na buzi, jakby mówiła: / Najpierw zaprowadźcie porządek w tym życiu – / A potem mnie wezwijcie. / Laleczko, człowieczku, wybac / Światu, że jest niebielony / Od Bóg wie ilu lat, / I rodzicom, którzy cię tu cisnęli, byś rosła / Jak na śmierć tu szczerym polu – stojąc tak, wyraźnie słyszy ten inny głos, głos spoza kadru – nie Darki, nie, chociaż Darka śpiewała i właśnie ludowe piosenki fajnie jej wychodziły, miała, nie wiadomo skąd, tę naturalną, kobiecą, z piersi – jak z przepastnej studni – etniczną intonację, za diabła nie do podrobienia, i nawet do cna pijane towarzystwo miękło, spokojniało w fotelach jak zwiotczale worki, gdy tylko Darka, zaciągając się jeszcze papierosem, wesoło unosiła brew: „nikotyńka-witaminka” – i wyciągała nad podziw czysto, a jej twarz wyglądał łagodny smutek – opadały płatki tarninowych kwiatów, czyjś konik stał, czujnie strzygąc

uszami, kołysało się czóлно przy brzegu, i wciąż chlup-chlup-chlup, szeleściła trawa pod czyimiś krokami, spływały z wodą listeczki wierzbowe i wszystko, do końca świata, spływało z wodą, żyli na tej ziemi bezimienni ludzie, do czegoś dążyli, kochali, cierpieli, i pozostały po ich życiach tylko rozproszone mokre ślady głosów (lamentów?) – jeszcze można się napić z tego śladu, jeszcze można poczuć, że twoja męka, przez chwilę oświetlona późnym, na pół zachodzącym blaskiem sensu, nie jest osamotniona, nie jest pierwsza ani ostatnia, i tu przypomina sobie, że w tamtej balladzie trumna stała pusta właściwie nie trzyjści cztery, tylko dwajścia cztery lata: tamta kobieta, która wysokim, przenikliwym głosem wyśpiewała swoją śmierć (męża bym oddała, gdybym nie kochała, siebie bym oddała, a dziecinka mała; kładź się, miła, sama, jakoś życie pójdzie, dziecinę maleńką odchowają ludzie...), była jeszcze młodsza od nas, jeszcze zupełna dziewczynka – ej, oburza się Sana, coś ty, idiotko, całkiem ci się tam w głowie pomieszało, myślałby kto, tragedia, pieprzonko się nie udało? – nie, jeśli tak to ująć, to cóż za tragedia, wszystko zależy od interpretacji, tyle że Sana nie wie, i nikt nie wie, co Darka opowiedziała ci przed twoim wyjazdem – to był chyba pierwszy raz, kiedy naprawdę się przed tobą otworzyła, choć znałyście się jeszcze z uniwersytetu; rok wcześniej Darka pochowała ojca – był cenionym muzykiem, deputowanym, a swego czasu niemal członkiem KC, co prawda jego też trochę skarcili za nacjonalizm i zaczął grywać oficjalnych koncertach, a żona, przyzwyczajona do luksusów, suszyła mu głowę, gdy na bankietach upierał się wygłaszać toasty po ukraińsku – co z tego, że w błazeńskiej, chachłackiej manierze: złośliwe kalambury, zdoroweńki buły, to przedstawiciel KC – bryła betonu w szarym garniturze – milczał z niechęcią: żaden mięsień nawet nie drgnął na nieprzeniknionej, niby wodą nalanej twarzy, ojoj, co to będzie, „ty co, do Kanady się wybierałeś – dogadywała po rosyjsku matka, zdejmując w przedpokoju palto, podczas gdy ciężarna Darka, półprzytomna od toksykozy, meła w kuchni kawę dla taty – czy ty to masz dobrze w głowie?” – a stary wyszedł do kuchni, zapalił (łamiąc najpierw kilka zapalek) i powiedział do córki – tak samo po rosyjsku, ostro: „Wiem, jestem zaledwie społeczno-politycznym błaznem”; i zdanie to na zawsze zostało jej w głowie, jak niewyjęty ćwiek – pochowano go na Cmentarzu Bajkowym w Kijowie, z wszelkimi honorami, wszystkie gazety zamieściły nekrologi, a orkiestra, zgodnie z ostatnią wolą zmarłego, grała Kozaka niosą – „koń głowę chylił”, późne dziecko, Darka była późnym dzieckiem, ojcu wtedy minęła czterdziestka: przystojny, dojrzały mężczyzna u szczytu sławy, to jak inaczej można go było utrzymać, jeśli nie drugim dzieckiem? – dopiero teraz zrozumiałam matkę jak kobieta, mówiła Darka z bólem w oczach, zrozumiałam, że jestem tym ostatnim gościem, który przychodzi po przyjęciu i płaci za wszystko – tamtego wieczora nie śpiewała, przycupnęłyście obie na końcu stołu i słuchałaś, do reszty zmrożona tchnieniem jej szorstkiej odwagi wobec życia, przejmującym do kości powiewem nagle zrodzonej siostrzanej więzi: płacimy, dziewczyny, a jakże, płacimy za wszystko,

co do grosza! – potem jechaliście na łebka, stłoczeni jak śledzie w aucie, metalicznie szeleszcząc celofanem od kwiatków: były czyjeś urodziny, może właśnie Sany – ktoś wepchnął się między siedzenia, ktoś, w krępującym ruchy futrze, pakował się komuś na kolana, pojechali! – jak powiedział pierwszy radziecki kosmonauta – i – pojechaliśmy, poleciałyśmy, siostry-gołąbeczki: ty za ocean, a Darka jeszcze dalej, mlecznobiały cień startujący ze stosu sprasowanego złomu na którąś z najodleglejszych gwiazd – późne dziecko, urodzone przez matkę, żeby zatrzymać męża, a gdy już nie było kogo zatrzymać, życie się wyczerpało, rozwarła się Boża prawica, wypuszczając na wolność zboląłą duszę: pokój ci, męczennico, znajdź odpocznienie.

Darcu. Darcu, słyszysz mnie?

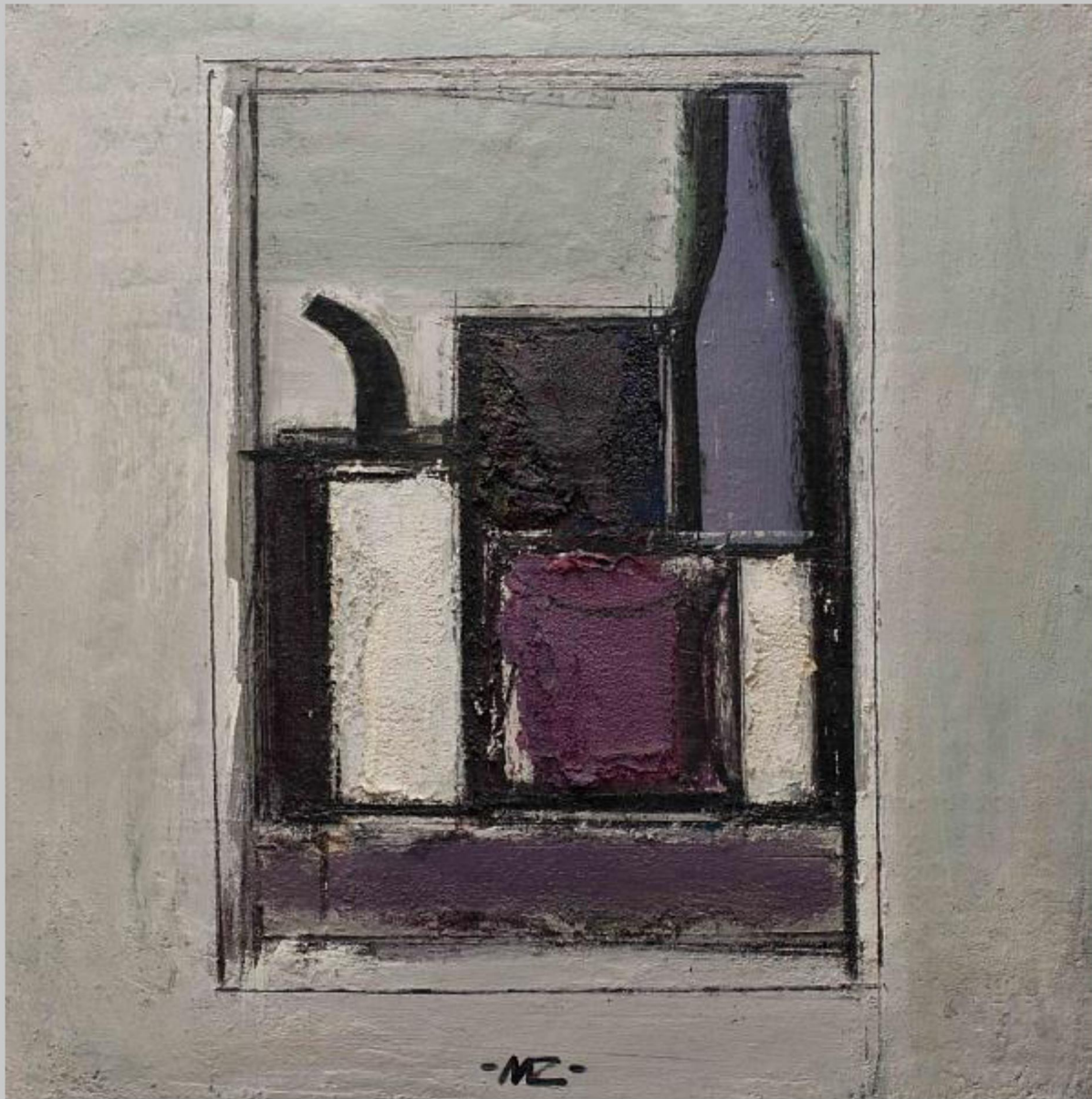
To nie twoja wina, że sprowadzono cię na ten świat bez miłości. Pomódl się tam, gdzie teraz jesteś, za nas wszystkich – nasze życie wciąż trwa.

5

Cóż ja ci mogę odpowiedzieć, Doneczko? Że wychowali nas mężczyźni, wyjebani jak się tylko dało, na wszystkie strony, że potem tacy sami faceci z nami spali i że w obu przypadkach robili z nami to, co inni, obcy faceci zrobili z nimi? I że przyjmowałyśmy ich i kochałyśmy takimi, jakimi byli, bo odrzucenie ich było równoznaczne z opowiedzeniem się po stronie tamtych obcych? Że jedyny wybór, jaki miałyśmy i mamy, to między ofiarą i katem: między nieistnieniem a istnieniem-które-zabija?

Pittsburgh 1994

[Wyboru dokonała Alicja Smaruj]



Марко Гейко, *Натюрморт на білому тлі*
Marko Gejko, *Martwa natura na białym tle*
1994

Сергій Жадан / Serhij Żadan

Big Mak [2003]

Big Mac [fragmenty]

Przełożył Michał Petryk

Wydawnictwo Czarne

Wołowiec 2005

Berlin, który straciliśmy

Nabraliśmy tyle różnej muzyki, że już nikomu nie chciało się jej słuchać. Jakieś serbskie orkiestry ludowe, stare soundtracki, do tego Sylva, jak zawsze, miała pełne kieszenie swojego porąbanego nu jazzu, który wszystkim polecała i którego nikt poza nią nie słuchał, bo nu jazzu po prostu nie da się słuchać. W ogóle wydaje mi się, że kiedy ktoś się nad czymś długo i z uporem rozwodzi, to zwykle oznacza, że ten ktoś sam to właśnie wymyślił, coś jak, powiedzmy, nowy jazz; myślę, że Sylva mogła wykopać te nagrania w jakimś studiu, u siebie w Pradze, popsuć płyty jak trzeba i teraz udawać, że to muzyka atonalna. Chociaż wcale nie musiała tego robić. Gdzieś między fotelami naszego renault, pomiędzy puszkami coli i przewodnikami, powinno się znaleźć parę albumów starego dobrego Lou Reeda z czasu jego największego rozkwitu i toksykacji, kasety też, a propos, były czeskie, firma Globus, szorując po świeżych śladach wielkiej europejskiej transformacji końca lat osiemdziesiątych, wygrzebywała złote zapasy muzyki pop, no i stary dobry Lou Reed, jak to się mówi, podszedł. Ale wątpię, czy przyjdzie kolej na niego - Sylva zbyt energicznie wystukuje na kierownicy rytm (jeśli można to nazwać rytmem) atonalnej papki, która, niby z maszynek do mielenia mięsa, sączy się z zachrypłych głośników wmontowanych w deskę rozdzielczą.

– Sylva, to jest po prostu jakiś koniec cywilizacji! – krzyczę z tylnego siedzenia. – Naprawdę słuchasz tego w wolnym czasie bez przymusu?

Sylva śmieje się, ale raczej nie rozumie mojego żartu, zresztą jaki to w dupę żart – tak, coś w rodzaju jej atonalnego jazzu. Nasz przyjaciel Gaspar, bezpośredni i jedyny właściciel samochodu, rozwalil się na przednim fotelu i ledwie śledzi przebieg wydarzeń dookoła siebie. Wczoraj

rozeszliśmy się w nocy, koło wpół do trzeciej, przedtem długo piliśmy, starając się ustalić, kiedy najlepiej wyjechać. Ostatnią zgrzewkę piwa kupowaliśmy już na stacji benzynowej, Gaspar pozwalał sobie na takie małe radości - nakupić piwa i pędzić przez zaspany Wiedeń, ścinając zakręty i trąbiąc do samotnych żandarmów. Możliwość sankcji nie przerażała go – u siebie w domu, w Lublanie, mógł kupić nowe prawo jazdy tak samo łatwo, jak zgrzewkę piwa na wiedeńskiej stacji benzynowej. Poza tym otwieraliśmy piwo zapalniczką, chociaż można je było po prostu odkręcić; w zjednoczonej Europie nawet z piwa zaczęto robić fast food, Amerykanie po prostu srają do głów całemu światu swoim know-how w rodzaju butelek do piwa z rzeźbieniami albo zimnej zielonej herbaty w puszkach. Pod koniec Gaspar opowiadał dowcipy o Bośniakach, potem się rozeszliśmy z postanowieniem, że już o dziewiątej rano zapakujemy rzeczy do bagażnika renault i wyruszymy z marcowego i chłodnego Wiednia w kierunku Berlina.

Usiąść znowu za kierownicą Gaspar się nie odważył, musiał jeszcze trochę odtajać, zrzekł się miejsca kierowcy na korzyść Sylvy, która, jak na młodą porządną Czeszkę przystało, piwa z nami na stacji nie piła i specjalnych objawów nie miała, siadła więc za kierownicą i zaczęła myszkować po porannych ulicach w poszukiwaniu trasy na Berlin, bo drogi żadne z nas, rzecz jasna, nie znało, chociaż właściwie Gaspar znał, ale nie w takim stanie.

Gaspar otwarcie odpał, ciężko wdychał powietrze i tak samo ciężko wydychał je na boczną szybę, przez co zachodziła ciepła, gęsta para. Sylva naiwnie włączała nawiew i nie mogła zrozumieć, czemu okna parują.

– Sylva, to przez zmianę ciśnienia – mówię jej. – Nawiew tu nie pomoże. Jazz, a propos, też nie.

Tak się składa, że mam pić sam. Pomiędzy Sylwą i Gasparem istnieje dżentelmeńska umowa, że gdzieś tam, po umownym przekroczeniu granicy austriacko-niemieckiej, zastąpi ją za kierownicą, a na autostradzie pić jednak się nie odważy, więc otwieram sobie kolejną puszkę, zrywając z niej zawleczkę, i staram się podtrzymać rozmowę. W ogóle to pierwsze sto kilometrów trasy znam, w zeszłym roku jechałem tędy stopem, zabrał mnie wtedy jakiś szalony punk, który przez cały czas nerwowo pił sprite'a, suszyło go, wyglądało jakby od upalenia, ale gnał na zachód, bo musiał, już nie wiem, co on tam miał, może mama czekała, jednak wyglądał na nieszczęśliwego. Kiedy wyjąłem z plecaka butelkę wody, spytał, czy to nie wódka, u was przecież, tam w Rosji, wszyscy piją wódkę, nie, nie wódka, mówię, a on wesoło się roześmiał. Ale tępy punk mi się przytrafił. Teraz próbuję opowiedzieć to Sylvie, wylawiając jej uwagę z atonalnych jazzowych dołów i jam, Sylva się zgadza – tak, naprawdę tępy punk, nie pogadasz, rozmowa się nie klei i otwieram następną puszkę, wszystko jedno, póki co nic ciekawego – gołe pastwiska, bezlistne pasma lasów, smutne marcowe Austro-Węgry, możliwe, że takimi je zapamiętali żołnierze rosyjskiej piechoty wiosną

czterdziestego piątego roku, dość depresyjny landszaft, kiedy rozpiardalali na prawo i lewo elitarne dywizje nieszczęsnych narodowych socjalistów. W tym czasie kasetka kończy się i zaczyna kręcić się w drugą stronę, nowy jazz znowu chwyta za gardło, zabieram się do szukania pod fotelami zapomnianego i przysypanego orzeszkami starego dobrego Lou Reeda. „Jazz to muzyka dla tłustych” – mówię Sylvie i zmieniam kasetę. [...]



Анатолій Криволап, *Вечір на озері*
Anatolij Krywołap, *Wieczór nad jeziorem*
2011

Юрій Андрухович / Jurij Andruchowycz

Московіада [1993]

Moscowiada. Powieść grozy [fragmenty]

Przełożył Przemysław Tomanek

Wydawnictwo Czarne

Wołowiec 2000

[...]

Półtora roku temu, późną jesienią, przewracałeś się w łóżku do trzeciej w nocy, w żaden sposób nie mogąc zasnąć, jednak nie przez jakieś tam poetyckie fanaberie, jak na przykład miłość, nostalgia, Weltschmerz, kosmiczna tęsknota, somnambulizm i temu podobne, ale z jakiegoś innego powodu, który nawet nie zasługuje na tę nazwę. Ale usłyszawszy delikatne stukanie do drzwi, pomyślałeś, że zupełnie słusznie uczyniłeś, nie zasypiając. Bo – jak cię kiedyś poinformowano – w tym akademiku, gdzie nawet ściany i krzesła przesiąkły tanią, oślizłą rozpustą, jest wiele takich wędrownych panienek, które nocami po prostu chodzą od drzwi do drzwi, szukając sobie ukochanego. Szczególnie przyciąga je szóste piętro, gdzie zamieszkują bogate członki. To znaczy członkowie bratnich związków pisarzy, zwłaszcza z republik Azji Środkowej i Zakaukazia, biegli w kamasutrze. A każdy z nich ma przy tym własny, osobny pokój, czyli żyje w surowej męskiej samotności. W nocy nie trzeba więc przelażać z łóżka do łóżka, aby wszystkich równo obdzielić miłością, jak to się zdarza na niższych piętrach, w pokojach studenckich. Prócz tego mieszkańcy szóstego piętra są zazwyczaj starzy i dobrzy, można u nich pomieszkać nawet z tydzień, jeżeli jest cienko z kasą albo szuka cię po wszystkich burdelach dzielnicowa milicja. Tak więc na szóstym piętrze pojawiały się epizodyczne dziewczyny z nieznanymi stron, poderwane w piwiarniach albo sklepach spożywczych, prawdziwe przyjaciółki i muzy bogatych południowych akynów¹, od których jednak pewnego tragicznego dnia odchodziły nagle, zabierając sobie coś konkretnego na pamiątkę.

¹ Akyn - lud. poeta-improwizator, wykonujący swe utwory przy akompaniamencie instrumentu muz. Twórczość akynów rozpowszechniona była wśród tur. narodów b. ZSRR.

Doszedłeś zatem, Ottonie von F., w swej bezsenności do wniosku, że przyszła kolej na ciebie i to stukanie o trzeciej w nocy oznacza, że za chwilę będziesz miał gościa, i bardzo prawdopodobne, że nawet już z francuską chorobą. Otworzywszy drzwi, ujrzałeś jednak nie młodą wędrowniczkę z tłustymi włosami i czerwonymi jak sztandar wargami, a dość miłego na oko, ale nie mniej pijanego chłopaczka.

– Kamandir – powiedział chłopaczek – wybaczone, że tak późno. Ale bardzo chcę mi się wódki.

– I to wszystko? – zapytałeś, Ottonie von F., zawiedziony w swoich oczekiwaniach.

– Kamandir, daj mi skończyć. Ja, na przykład, mam na imię Ruslan. A ty?

– Iwan – odpowiedziałeś, Ottonie von F.

– Wania, daj mi powiedzieć. Chcę pójść po wódkę do bazy taksówek. O, tu są pieniądze – pokazał zwitek banknotów, jakby mogło to mieć jakieś znaczenie. – Ale portiernia zamknięta. Obleciałem wszystkie piętra, tylko ty mnie wpuściłeś, kamandir. Tylko ty więc zostajesz.

– Ach, tak? – zapytałeś sceptycznie.

– Daj mi skończyć. Ja z twojego pokoju wyjdę do bazy taksówek.

– Ty z mojego pokoju to wyjdiesz w chuj – padła odpowiedź.

– Nie no, ty nic nie jarzysz, kamandir, bredzisz coś. Koło twojego okna wisi drabina przeciwpożarowa, kapujesz? I ja zejść – pokazał rękami i trochę nogami, jak będzie schodzić.

– Służyłem w desancie, kumasz? Tobie też mogę przynieść. Spoko.

Jeszcze przez chwilę się wahałeś, ale pewny siebie uśmiech i mocna postura Ruslana zrobiły swoje.

– Leż – zdobyłeś się na odwagę.

– Prawdziwy z ciebie mężczyzna, kamandir, od razu poznałem – stwierdził Ruslan.

Podszedł do okna, otworzył je na oścież i lodowate listopadowe powietrze, przesiąknięte zapachami jesiennych deszczy, martwych liści, zapuszczonych cmentarzy, wierszami Puszkina, słowem – zapachami późnej moskiewskiej jesieni, zalało pokój, sprawiając, że zacząłeś rozcierać zmarznięte ciało i dygotać.

– No, złaż już! – zawołałeś.

Ruslan wyprostował się na parapecie, machnął do ciebie ręką i zrobił szeroki krok w noc. Wyrzuciłeś w ślad za nim. Wisiał już na drabinie przeciwpożarowej, niczym pijany cyrkowy akrobata, który wypróbował nerwy głupkowanej publiczności, zawisł na prawo od twojego okna, jeszcze chwila - i stanął nogami na szczeblach.

– Hej, a jak zamierzasz wrócić? – przypomniałeś sobie.

– Czyś ty kompletnie nic nie zajarzył, kamandir? Oczywiście, że przez twoje okno! To długo nie potrwa, migiem tam i z powrotem...

Drabina zadudniła metalicznie pod jego butami. Wcale zręcznie jak na pijanego schodził po niej w dół. Widać, że w desancie nie należał do ostatnich. Ale ty w myślach przeklinałeś cały świat: bląkające się dziewczyny z ich niewczesnymi amatorami, swoją bezsenność i młodego obrońcę ojczyzny ze skłonnością do alkoholizmu, przez którego przyjdzie ci jeszcze co najmniej dwadzieścia minut tkwić przy oknie.

Noc, jak już wspominaliśmy, była oślizła i zimna. Gdzieś w podwórkach wyszcze kiwały swoją wściekłość proimperialne psy. Czas płynął powoli, z nudów nawet się ubrałeś, a potem wypaliłeś ze dwa papierosy. Gdzieś niżej niespodziewanie zabrzmiał wrzaskliwy kobiecy głos: „Suka ty pasledniaja!”. Potem brzęknęło rozbite szkło, dały się słyszeć głuche uderzenia, jakby ktoś czyjąś głową wbijał w ścianę gwoździe, a później niski męski głos poinformował: „Dura ty, Zinka, wied’ lublu ja tiebia!”. Potem wszystko ucichło.

Aż wreszcie usłyszałeś jeszcze raz dudnienie drabiny. Wracał Ruslan.



Марко Гейко, *Зима*
Marko Gejko, *Zima*
2002



UKRAINA POETÓW POLSKICH

Antoni Malczewski

Maria. Powieść ukraińska [fragment]

(1825)

Pieśń I

[...]

I

Ej! ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz, kozacze?
Czy zaoczył zająca, co na stepie skacze?
Czy rozigrasz się, chcesz użyć swobody
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?
Lub może do swej lubej, co czeka wśród niwy,
Nucąc żalną dumkę, lecisz niecierpliwie?
Bo i czapkęś nasunął, i rozpuścił wodze,
A długi tuman kurzu ciągnie się na drodze.
Zapał jakiś rozżarza twojej twarzy śniadość,
I jak światełko w polu błyszczą na niej radość,
Gdy koń, co jak ty, dziki, lecz posłuszny żyje,
Porze szumiący wichur wyciągnąwszy szyję.
Umykaj, Czarnomorcu, z swą małą skrzypiącą,
Bo ci synowie stepu twoją sól roztrącają.
A ty, czarna ptaszyno, co każdego witasz,
I krążysz, i zaglądasz, i o coś się pytasz,
Spiesz się swą tajemnicę odkryć kozakowi —
Nim skończysz swoje koło, oni ujść gotowi.

II

Pędzą — a wśród promieni zniżonego słońca,
Podobni do jakiego od Niebianów gońca —
I długo, i daleko, słycać kopyt brzmienie:
Bo na obszernych polach rozległe milczenie;
Ani wesołej szlachty, ni rycerstwa glosy,
Tylko wiatr szumi smutnie uginając klosy;
Tylko z mogli westchnienia i tych jęk spod trawy,
Co śpią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy.
Dzika muzyka — dzikszc jeszcze do niej słowa,
Którc Duch dawnej Polski potomności chowa —
A gdy cały ich zaszczyt, krzaczek polnej róży,
Ah! czyżc serce, czyje, w żalu się nie nuży?

III

Minął już kozak bezdnie i głębokie jary,
Gdzie się lubią ukrywać wilki i Tatary;
Przyleciał do figury (co jej wzgorek znany,
Bo pod nią już od dawna upior pochowany),
Uchylił przed nią czapki, żegnał się trzy razy
I jak wiatr świsnął stepem z pilnymi rozkazy.
I koń rzeski, żadnym się urokiem nie miesza,
Tylko parschnął, i wierzgnął, i dalej pospiesza.
Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje,
A śmiały, wierny kozak myśl pana zgaduje —
Szumi młyn na odnodze, i wróg w łozie szumi,
A żwawy wierny konik kozaka rozumie —
I przez kwieciste łąki, przez ostre bodiaki
Lżej się nie przesuwają pierszchliwe sumaki;
I jak strzała schylony na wysokiej kuli,
Czai się zwinny kozak, do konia się tuli;

I przez puste bezdroża król pustyni rusza —
A step — koń — kozak — ciemność — jedna dzika dusza.
O! któż mu tam przynajmniej pohulać zabroni?
Zginął — w rodzinnym stepie nicht go nie dogoni.

[...]

VIII

I ciche, puste pola — znikli już rycerze,
A jakby sercu brakli, żal za nimi bierze:
Włóczy się wzrok w przestrzeni, lecz gdzie tylko zajdzie,
Ni ruchu nie napotka, ni spocząć nie znajdzie:
Na rozciągnięte niwy słońce z kosa świeci
Czasem kracząc, i wrona i cień jej przeleci,
Czasem w bliskich burianach świerszcz polny zacwierka,
I głucho — tylko jakaś w powietrzu rozterka.
To jakże? Myśl przeszłości w tej całej krainie
Na żaden pomnik ojców łagodnie nie spłynię;
Gdzie by tęsknych uniesień złożyć mogła brzemię?
Nie — chyba lot zwinąwszy, zanurzy się w ziemię:
Tam znajdzie zbroje dawne, co zardzałe leżą,
I koście, co nie wiedzieć do kogo należą;
Tam znajdzie pełne ziarno w rodzajnym popiele,
Lub robactwo rozległe w świeżym jeszcze ciele;
Ale po polach błądzi nie spartłszy się na nic,
Jak Rozpacz — bez przytułku — bez celu — bez granic.

[...]

Pieśń II

IX

Dzielne było natarcie: tatarskie szwadrony,
Ich księżyce, bunczuki z końskimi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniada, wąsy zwiste a czarne jak kruki,
Ich nasępione rysy, przymrużone oczy,
W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy
Cały ten widok wreszcie, w dzikość okazały —
Pożar — stepy wokoło — świszczące już strzały —
Żadnego, albo raczej jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.
Pędem burzy lecieli; lecz nim przyszło z bliska
Ludziom ostrza się dotknąć, koniom — pyskiem pyska,
Gdy w półobręcz wpadali — wstawionym prawidłem
Skrzydło Tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem:
«Alla hu!» — wrzasty hordy i tysiączne roty
Na opasanych — strute wypuściły groty.
«Hura!» — krzyknęła wiara i lotem sokoła
Chmurę strzał przesywała — w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą — zbitym w rzędy tłumem —
Lasem dzid najeżonych — z hukiem, z trzaskiem, z szumem;
Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana
Przebitych Bisurmanów wali się złamana.
Tratują ludzi konie; koncyrze, kopije
Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije.
Zapał głowy ogarnął; stal błyska; krew broczy;
Śmierć trzusi się, zdmuchując wywrócone oczy!
Wszystko to chwilę trwało — bo z boków i w tyle
Barbarzyńcy nastają w niezliczonej sile.
Czas ginąć hufcom polskim; młody wódz je zbiera —

Zachęca ich — szykuje — obraca — naciera
Dopiero mieszanina — każdy obkoczony,
Wirem męstwa na wszystkie wywija się strony,
Rąbie, sili, morduje z nieprzebraną zgrają,
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają,
Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,
Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski!
[...]

XX

Na ukraińskiej cerkwi błyszczą się trzy wieże;
A ukraińskie baby szepczą swe pacierze.
Biją we dzwony żaki, i zysk sobie krzeszą;
Ludzie dobrzy — czy pogrzeb, czy to chrzciny — śpieszą:
Wewnątrz — kiry, katafalk, i truna — a w rzędy
Blado się palą świece — czarno, straszno wszędy.
Czyjaż tam wzniosła postać wśród ciekawych grona
Leży długim i martwym krzyżem rozścielona?
Czyjaż tam pierś rycerska w kurzawie się wala?
I z tą cichą pokorą, co się nie użala,
Choć i najsroższych kaźni ciężkie dźwiga brzemię,
W swej niemej pobożności jakby wbita w ziemię?
Blady — jak łysk od gromnic, co mu na twarz wbiega,
Smutny — jak śpiew umarłych, co się tam rozlega,
Z poziomego zniżenia, gdzie go wiara tłoczy,
Jak robak świętojański świecą jego oczy.
Ah! to Pana Miecznika siwa, nędzna głowa;
Niedawno żonę stracił — teraz córę chowa.
Na to huśtał kołyskę, by w trumnie uśpili,
Na to jej woził lamę, żeby całun szyli.
I dziwno — tak nieczułym zdał się na pogrzebie,
Jak by już dusza jego była z córką w niebie.

I takim był i potem — ni żalu, ni skargi,
Nikomu nie zwierzyły wypłowiате wargi;
Ni łzów w hardym spojrzeniu nie było oznaki;
Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, a zresztą — jednaki.
Co dzień on w jednej porze chodził po kryjomu;
Lecz nim wydano hasła, powracał do domu.
Raz, i północ minęła, a Miecznik nie wraca;
I gdy patrząca Czujność nadzieję utracą —
Gdy dziko grają trąby — a ze snu, jak z procy,
Rzucili się rycerze k'zemście lub pomocy —
Znaleźli go w cmentarzu; przy córki i żony
Przyległych dwóch mogiłach klęczał nachylony:
Taż sama w ustach słodycz, a w czole sędziwość —
Taż sama bladość twarzy, ale oczu żywość —
Czapka, wąsy, dla Polski straszycło na wrogi —
I żupan ten sam czarny — tylko że gdy trwogi
Odgłos z trąby wojennej dochodził daleki,
Nie porwał się do korda — już spał — spał na wieki.
I cicho — gdzie trzy mogił w posępnej drużynie;
I pusto — smutno — tęskno w bujnej Ukrainie.



Józef Brandt, *Zaloty. Kozak z dziewczyną przy studni* / Юзеф Брандт, *Залицяння. Козак з дівчиною біля криниці* (1875)

Adam Mickiewicz

Sonety krymskie [wybór]

(1826)

Stepy akermańskie

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu,
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi;
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu,
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi;
Tam z dala błyszczą obłok? tam jutrzeńka wschodzi?
To błyszczą Dniestr, to weszła lampa Akermanu.

Stójmy! – jak cicho! – słyszę ciągnące żurawie,
Których by nie dościgły Żrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,

Kędy wąż śliską pierśią dotyka się zioła.
W takiej ciszy! - tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy. – Jedźmy, nikt nie woła.

Bajdary

Wypuszczam na wiatr konia i nie szczędzę razów;
Lasy, doliny, głązy, w kolei, w natłoku
U nóg mych płyną, giną jak fale potoku;
Chcę odurzyć się, upić tym wirem obrazów.

A gdy spieniony rumak nie słucha rozkazów,
Gdy świat kolory traci pod całunem mroku,
Jak w rozbitym zwierciedle, tak w mym spiekłym oku
Snują się mary lasów i dolin, i głązów.

Ziemia śpi, mnie snu nie ma; skaczę w morskie łona,
Czarny, wydęty bałwan z hukiem na brzeg dąży,
Schylam ku niemu czoło, wyciągam ramiona,

Pęka nad głową fala, chaos mię okrąży;
Czekam, aż myśl, jak łódka wirami kręcona,
Zbłąka sie i na chwilę w niepamięć pogrąży.

Jan Stanisławski, *Bodiaki*

Ян Станіславський, *Бодяки*

1885



Seweryn Goszczyński

Zamek kaniowski [fragmenty]

(1828)

[...]

Część pierwsza

4.

A jeden Kozak na ustawnej straży
Niezgaśły ogień czasami rozżarzy
I na swą pikę wspiera się bezwładnie.
Słucha i patrzy. Nic w tym puszczy mroku
Nie ujdzie jego ni ucha, ni wzroku:
Niech strzępek szronu na uschły liść padnie,
Niechaj ptak kłaśnie gałęzią z daleka,
Niech pies w dalekim futorze zaszczeka —
Już on to schwycił w gwarnym borów szumie
I pochwycone wnet rozróżnić umie.
I znowu oko zwrócił do ogniska,
I znowu piką poprawił płomienia:
Kłębią się dymy, czerwony żar pryska,
Rośnie wał ognia, noc się zarumienia.
Pośród bijącej krwawej łuna fali,
Jak mgliste duchy, cienie drzew się kładą.
Dalej noc czarna; tylko w ciemnej dali,
Jakby zaklętą rozsiany gromadą,
Bezwładny obóz groźnym snem usypia:
Tam się błysk stosu ostrza piki czépia;
Tu wpół dobyty nóż czasem zabłyśka
Jak rozdrażnionej gadziny oczyska.
Gdzieniegdzie znowu spod burki kosmatej

Sen niespokojny wychylił pół twarzy
I przez sen widać, co każda z nich marzy,
To z brwi marszczonych, to z wargi wąsatej:
Na tej śmiech dziki, klnące słowa na tej.
A tam przyjaciel i wierny, choć panu,
Koń, ułożony tuż pod pana bokiem,
Strzeli niekiedy przebudzonym okiem
Niby kochanie wśród świata tumanu.
W samej cichości obraz niespokojny
Nadzieją mordów kotysanej wojny.
[...]

Część trzecia

[...]

2.

Niepomnych czasów nieznana mogiła
W cieniach gęstego lasu się ukryła.
Nad boki mszyste, nad jej szczyt okrągły
Odwiecznym cieniem sklepienia się sprzągły
Ze sklepem dębu, co z lasów zarośli
Strzelał swym szczytem widniej i wyniośle
Niż wieża ławry złotem błyskająca
Pośrodku dzwonnicy kijowskich tysiąca.
Starszy brat sławnej puszczy łebedyna,
Niejednej puszczy plemię on zaczyna;
Bo burza nieba i czasu wstrząśnienia
Tak się po jego przesuwają szczyty,
Jak tej piastunki, co chce uśpić dziecię,
Zmyślane groźby i głaszczące pienia.
Czy spiekłe lato piorunami sieje,
Czy płaszcz jesieni mgłami się odyma,
Czy w nagich borach mroźna iskrzy zima,

Korona jego ciągle zielenieje;
Niby mąż wieków w mogile tej leży.
Niby myśl jego, w kształt drzewa odziana
I bohaterską posoką podlana,
Piastuje wieniec chwały, zawsze świeży.
[...]

4.

Człowiek spokojnie siedział sobie z boku:
Z brody sędziwej lata widać mnogie,
A że nie widzi, z zapadłego wzroku.
Trzymał na nodze założoną nogę;
Na niej wsparł lirę i tonów próbował,
Niby przypomnieć piosnkę usiłował.
Kamrat, Nebabie nie bardzo przyjemny.
Więc z góry krzyknie, ku starcowi skoczy:
„Dziadu! Kto jesteś? Co robisz w tym borze?”
Z wolna, drwiąc prawie, odpowiedział ciemny:
„Jak mowa groźna, taka twarz być może;
Dziękuję Bogu, że mi wydarł oczy”
I znów spokojnie wziął się do brząkania,
Jakby wszystkiego zbył tą odpowiedzią.
„Nikt żartem nie zbył mojego pytania!
Bóg cię tu przyniósł, diabeł nie wyniesie!
Starcze, kto jesteś? Co robisz w tym lesie?”
I siłą starca pochwycił niedźwiedzią,
Ale w krwi zimnej lirnik jednakowy:
„Puść! Strunę urwiesz, a nie kupisz nowój.
Gdym już tak bardzo nieprzyjemny tobie,
Ty widzisz dobrze, jam ślepy na obie:
To zamiast gniewów i tego hałasu
Na trakt ubity wyprowadź mię z lasu

Albo mię przeproś, daj grosz jaki w rękę —
A na dobranoc usłyszysz piosenkę”. —
„Diabeł, nie ślepiec; w miejscu odpowiedzi,
Niezłękły groźbą, jak z kamienia siedzi” —
Pomyślał Kozak, skrycie się uśmiechnie,
Bo już i gniewu uniesienie cichnie.
„Czemu to, ślepcze, nie masz przewodnika?”
Już łagodniejszym zapytał się głosem.
Dziad się uśmiechnął. „Hm! — mruknął pod nosem —
U mnie to kostur, co u kogo pika.
W słotę, w pogodę, czy to dniem, czy nocą,
Całą Ruś przejdę za jego pomocą.
A od Kaniowa aż do samej Smiły
Wszystkie pod ręką poznam ci mogiły;
Pień tobie każdy poznam nad mą drogą.
Każdą murawkę, co nastąpię nogą.
Ale kiedym się odbił od kamratów
I tutaj blisko smacznie odpoczywał.
Ktoś mi dziadowskich pozazdrościł gratów
I skradł kostura. Prawda, był okuty,
Stanie za szablę. Czyś się już przegniewał?
Długi gniew grzechem. No, będę ci śpiewał
Na zgodę; tylko daj mi dwie minuty,
Że sobie lirę do głosu nastroję.
O! Wszędzie, wszędzie lubią pieśni moje”.
Nebaba ani zezwała, ni wzbrania.
Więc lirnik zaczął po chwili brząkania.
[...]

8.

Darmo Nebaba wodzi orlim wzrokiem
Nad różnolistnym gęstych puszc obłokiem,
Darmo okrąża po polu szerokiem.
Zawsze w pustynie czczości wzrok zapada:
Ani kurzawy po drożynie dziada.
Jak tylko zajrzeć, wokoło tumany,
Snują się jary, wstają w piątrach wzgórza;
Śród nich gdzieniegdzie lasek się zachmurza;
Błyszczą dnia resztą dach zamku blaszany;
Błyszczą na prawo Dniepr dołem rozlany.
W błędnej z tysiącznych węzłów plątaninie
Liczne się drogi na lewo rozbiegły:
To skrętnym węzłem pełzną po wyżynie,
To się jak wstęga snują po równinie,
To w paszczach jaru giną niespodzianie —
Aż razem znikną w dalekim tumanie.
Tak tu wyraźny ten widok rozległy,
Że zliczysz wszystkie przydrożne figury;
A oczy lepsze dostrzec nawet mogą:
Gdzie jaki żebrak ciągnie którą drogą,
Gdzie koło błyska pośród pyłu chmury.
A dnia ostatkiem zachód pozłocony,
Pocieniowany lotnymi obłoki,
Jest jak zwierciadło tej ponętnej strony,
Z każdym jej cieniem, z wszystkimi uroki!
[...]

11.

Inny Nebaba, bo z inną już duszą,
Pomiędzy borów majaczeje głuszą:
Grom namiętności mgłę spojrzeń rozświeca,

Szyderski uśmiech kazi hoże lica;
Wszystko kipiące, od serca poczawszy
Aż do rumaka, co go, gdzie chce, niesie;
Jak w duszy jego, posępno w tym lesie;
Jak żądze jego, kraj tu coraz nowszy.
Z piąter na piętra, z gór na góry drze się;
Za każdym krokiem rosną w nim tęsknice,
Im lasy głuchsze, wyższe okolice.
Aż oto nowa zajaśniała chwila
I cienie troski ciągle mu umila,
Jak noc wieczności zorza zmartwychwstania.
Cóż to za dziwna strona się odśłania?
Tu, pod nogami, na równi poziomój,
Moszen spojrzeniem policzone domy,
Irduń drzymiący w spleśniałej głębinie,
Wiecznie z wiatrami sporne oczerety;
Jak rozsypane zielone bukiety
Drzewa i sady, i gaje w dolinie.
Tam błyskający jasnymi zwierciadły,
Tu w gardła jaru jak w otchłań zapadły,
Dniepr tutaj całkiem skrył się w bór ponury,
A tu się znowu wylał z bioder góry.
Dalej — piaszczyste, pozłoczone morze;
Dalej bór spływa po spiczastym szczycie,
Podobny strzępnej narodowca kicie.
A jeszcze dalej i dalej, i bliżej
Góra po górze, bór idzie po borze;
Tysiącem węzłów, tysiącami krzyży
Plączą się, mącą, rozchodzą, zbiegają
Niepoliczoną, nieobjętą zgrają
Wioski i grody, pustynie i laski,
Jary i góry, i łąki, i piaski.

A coraz dalej stepy piasku bledsze,
A coraz dalej lasy błękitnawsze,
A coraz dalej dymniejsze powietrze
I nieba niższe — a mgły, a mgły zawsze.
Ileż uniesień, swobody rozwinie
Jeden tu widok w jednej tu godzinie!
Gdzie ten wiatr wieje, gdzie ten obłok dąży,
Co tam za strony! gdzie w tumany sinie,
Wiecznie drzemiące, fala Dniepru płynie?
Orzeł niech powie, co pod niebem krąży;
On wyżej buja i jego źrenice
Wyraźniej widzą tamtą okolicę;
O Zaporozu niechaj on opowie.
Jak tam rozległe panują koszowi;
Jakie tam wiecznie hulanki i wola;
To samo słońce jak tam rozpromienia
Porozsiewane gwarne ich kurzenia.
A tabun pędzi ze rżeniem na pola,
A Zaporozec na swobodnym koniu,
Jak jego myśli, uganiania po błoniu:
Jak wicher stepu jego pieśń tak dzika.
A tam, po Dnieprze, łódka się przemyka,
Lekka i chybka, i szybka jak fala
Leci za nurtem po szklanej równinie:
Wpadła na poroh; ze skał się przewala;
Zapadła w głębię... przepadła... aż z dala
Pęka wód kryształ, łódź jak łabędź płynie.
„Przeszło, co było! I co będzie, minie! —
Ockniony z myśli ataman zawoła —
A co być musi, niechaj się już staje!
Kozacy tęsknią i ogień goreje!”
Spuścił się z dębu na skrzydłach sokoła,

Na szumie wichru przemknął się przez knieje;

Już pod bajrakiem i już hasło daje.

[...]



Микола Івасюк, *Вершники в степу* / Mykoła Iwasiuk, *Jeźdźcy w stepie* (1924)

Józef Bohdan Zaleski

Poezye [wybór]

(przed 1831)

Czajki.

Spiew Zaporozców w powrocie z wyprawy morskiej Konaszewicza

OBJAŚNIENIE.

Piotr Konaszewicz trzynasty po Daszkiewiczzu Hetman sajdaczny obojej Ukrainy i Kosza zaporoskiego, czyli Koszowy, był istotnie, niewyłączając nawet Bogdana Chmielnickiego najświetniejszym wodzem polskich Kozaków. Dla wielu szacownych przymiotów, a mianowicie dla nieukroconego w boju męstwa i czujnej przezorności, prosty Kozak, dosiępił najwyższego dostojęństwa: po śmierci bowiem walecznego Romana księcia Rożyńskiego, od całej Ukrainy obwołany wodzem, otrzymał zaraz z rąk Zygmunta III. mniejszą hetmańską buławę. Od téj chwili dowodził w setnych wyprawach przeciw Tatarom i Turkom; najechał po dwa kroć Krym, zburzył Kaffę. Na wojnie moskiewskiej był postrachem nieprzyjaciela; a pod Chocimem wspierał Chodkiewicza znacznemi posiłkami Kozaków. Najcudowniejsze atoli wyprawy dokonywał na morzu czarnym. Na wątych łodziach zwanych czajki zapędzał się aż pod Carogrod, Trebizondę, Synopę; palił po kilka krotnie te ostatnie miasta, i spustoszył nieraz całe wybrzeża Turcyj azyatyckiej. Powrót z jednéj takowéj wyprawy posłużył za przedmiot ninniejszego spiewu.

Uczony nasz Starowolski w opisie życia Konaszewicza, przyznając mu wszystkie wysokie zalety, a nawet rzadką trzeźwość, niewiem skąd wyczerpał tę wiadomość że ten wódz w rok po wyprawie Chocimskiej umarł z rozpusty. Konaszewicz żył kilka lat dłużej; kroniki kijowskie naznaczają mu koniec zupełnie inny, zgodniejszy z duchem owego wieku, tudzież z mistycznym i surowym charakterem tego wojownika. Na schyłku sławnego życia, po wieloletnich mordach i pożogach, zapragnął Konaszewicz umrzeć w pokorze i skrusze. Jakoż dobrowolnie złożył hetmańską władzę, majątek rozrzucił już to na rzecz kościołów, już na założenie Akademij

w Kijowie, i przebywał aż do śmierci w klasztorze pieczarskim; są wszelako ślady w hystoryj, że i z tamtąd występował na bój z Tatarami.

Ura ho! ура ho! ура!
Limany! nasze limany!
W ogniach goreją kurhany,
I Czertomelik i Dura!
Okrzyk bracia! a wesóło
Aż rozgłośnie na około
Od Chortycy, do Tawani,
Zagrzmia progi i ostrowy!
Niech nam żyje, niech hetmani,
Konaszewicz nasz Koszowy!

Tóż się to z chmury na wody
Pełnia odbija miesięczna?
Nie — to Synopa płonąca,
Natolskie dymią to grody!
Przy wojennój téj pochodni,
Kiedy lekko wiatr zachodni
Pędzi z dymem i popiołem
Czajki nasze w kraj niżowy;
Bracia! rażny okrzyk społem,
Niech nam żyje nasz Koszowy!

Cieszmy się, póki widzimy
Z dymu chmur łunę tam jasną,
Lecz choć i łuny pogasną,
Chocia rozwieją się dymy;
Jak wyprawa w Krym Bohdanka
Gracka nasza pohulanka
Zabrzmi pieśnią w Ukrainie;

I do pokąd bratniej mowy,
W całej Polsce nam zastynie
Konaszewicz nasz Koszowy!

Pięknyż to wieziem podarek
Dla braci naszej na Niżu;
Działa błyszczące ze spiżu,
Krocie złocistych janczarek;
Zbroje, szable i kinżaty
Będą ludzki wzrok olśniaty,
Promieniące od kamieni, —
A gdy błysną w dzień godowy,
Hukniem razem w sto kurzeni
Niech nam żyje nasz Koszowy!

Poślem na ładan i świce,
Do świętej ławry pieczarskiej
Łupy ziemicy agarskiej
Złote z meczetów księżyce:
Niech poległej braci w boju,
Pieśń wiecznego brzmi pokoju!
A wśród wypraw, naszej młodzi,
W łasce Boga, żyw i zdrowy,
Niech w najdłuższy czas przewodzi
Konaszewicz nasz Koszowy!

Pod Ostrowami na przodzie,
Widzicie czajkę hetmana,
Jak chorągwiami owiana,
Lekko się ślizga po wodzie?
Tóż od naszych dum ucieka,
Że samotny, że z daleka

Wódz, nasz ojciec szuka ciszy?

Bracia! rażno okrzyk nowy!

Aż nogajska dzicz usłyszy,

Niech nam żyje nasz Koszowy!

Nasz Hetman w myślach jak niemy,

I wciąż na niebie źrenica,

I wciąż na sercu prawica,

Niewie skąd, dokąd płyniemy.

Jakiś zamach knowa w głowie...

Noweż boje nam zapowie?

Ura bracia! niechaj skinie,

Wnet ochoczo w taniec nowy,

Z czajek na koń! — i w pustynie...

Śród okrzyków; żyj Koszowy!

Ura ho! ojczyźnie hetmanie!

Oto na Siczy drużyna,

Z podarkiem chleba i wina,

Szerzy okolne wołanie!

I my okrzyk! a radośny,

Aż jak gromu huk rozgłośny,

Od Chortycy do Tawani,

Wstrząśnie progi i ostrowy!...

Niech nam żyje! niech hetmani!

Konaszewicz nasz Koszowy!

Dumka Mazepy

OBJAŚNIENIE.

Za panowania Zygmunta III. już, Kozacy zaporozcy, uciśnienie byli przez gwałty panów polskich i nietolerancją. Pod Władysławem IV. na przełożenia Porty rozbrojono ich zupełnie; chociaż wedle prawa odwetu bardzo sprawiedliwie łupieżyli Turków, za łupieztwa Tatarów. Takowa niewdzięczność Polaków za wielokrotne usługi i ofiary naturalnie musiała ich ku nim zniechęcić. Jakkolwiek atoli uciśnieni, długo tłumili nienawiść; majątniejsi nawet aby pokryć polityczną swoją nicość, poczęli wysyłać synów na dwór królewski. Między wielu takimi znajdował się Mazepa za pazia przy królu Janie Kazimierzu. W tamtoczesnym rękopiśmie niejakiego Paska zdarzyło mi się czytać niektóre o nim szczegóły. Młody i piękny, namiętny i śmiały, acz bogaty i żyjący na polerownym dworze zachował wiernie Mazepa dziki nieco charakter, i zwyczaje swego narodu. Kochał Polki, i nie lubił Polaków, śpiewał przy torbanie i tęsknił za wojną. Jakoż za zbliżeniem się Bohdana Chmielnickiego pod Zamość, natychmiast ze swemi umknął do rokoszanów: do tego to właśnie czasu i czynu ściąga się дума następna.

Mazepa żyjący następnie pod sześciami królami polskimi, w późnej starości został Hetmanem Ukraińskim. Śmiało o nim powiedzieć można, że żaden z bohaterów prawdziwych i zmyślonych, w dziejach i romansach, tyle lat się nie bił, tyle się razy nie kochał, tylu przygód nie doznał. Był on także i poetą, bo i któryż hetman ukraiński nim nie był? Chmielnicki tak dobrze układał dumy, jak dobrze ucierał się z Polakami i Wołoszą. Nie mogło być nawet inaczej w narodzie wojennym, i miłującym nadewszystko swych przodków. Sławić poległych ojczystych rycerzy i godnie ich naśladować, czyli być razem wojownikiem i poetą, był to jedyny rodzaj wyższości u Zaporozców cierpiany.

Słońce idzie jakby spało,
Dym połykam i kurzawę,
Ubieżałem mil dwie mało,
Wzdłuż i poprzek przez Warszawę,
Pożegnałem wszystkie kąty,
Raz, i drugi i dziesiąty.

Zawiślańskie przecież knieje
Już tumany snują mroczne,
Zimny pot się z czoła zleje,
Niech podumam i wypocznę;
Gdzieżeś, gdzieżeś mój torbanie?
Na zamkowej wiesz ścianie.

Zostań, zostań w poniewierce,
Zakurzony i pognioty.
Oh! wyskoczy z piersi serce
Gdy mi zagrzmią trąby, kotły;
I jak serce, szabla w dłoni
Po raz pierwszy w takt zadzwoni.

Polko piękna! Polko hoża!
Wstecz nie płyną wody, rzeki,
Twój kochanek z Zaporża!
Już nie wróci na wiek wieki:
Gdzieś daleko u Rusinek,
Znajdzie miłość i spoczynek!

Niechaj kole cierniem róża,
Niechaj parzy mnie pokrywa:
Ręka z wolą się przedłuża,
I co trudniej, śmieliej zrywa.
Cóż wam szkodzi wielkie pany
Że się kocham, żem kochany?

Każda piękna dla mnie równa,
Kiedym zdrowy, choży, młody,
Czy szlachcianka, czy królówna,
Czyli żona wojewody,

Czy Rusinka czy Czerkieska,
Wiśniowiecka czy Sobieska.

Grzmot nie piorun, krew nie woda,
Kto wojuje, zna co boje;
Darmo grozi wojewoda,
Darmo – groźby się nie boję!
Co to znaczą konie, stepy,
Stepy, konie dla Mazepy?

Chce coś począć szumno, dumnie,
Chce ukradkiem zejść mię nocą;
Szabla przy mnie, koń mój u mnie,
Czego siedzieć, czekać po co?
Po co tutaj bydź mi paziem,
Gdy gdzieindziej będę kniazem.

Tu i młodzież się popsuta,
Głos „do broni!” brzmi jak w boru,
Przecież lepszy Assawuła.
Niżli kanclerz wasz u dworu.
Každy chrzci się giermkim hucznym,
Nikt chorążym, nikt buńczucznym.

Niech mam Kudak i ostrowy,
Zaporożców pięć tysięcy,
W pasie kinżał, ostry, nowy,
Nie — nic w życiu niechcę więcej!
Wolę niżli panów panem,
Ukraińskim bydź hetmanem.

Zagram Lachom i potańczę,
Dajno Boże wyniść w pole!
Jak powietrze, jak szarańcze
Zbiegniem Litwę, Ruś, Podole;
Po staremu ogniem, mieczem,
Wytniem, spalim i ucieczem.

Niech husarze krzyczą, gonią,
Trąbią hańbę Nalewajki;
Wpadniem na nich z liczną bronią,
Potem w zamki i na czajki.
Nie zakuta w pancerz ręka,
Szablą w szablę mocniej szczęka.

Znał nas dobrze kraj wołyński,
Nadniemeńskie znały bory,
Gdy hetmanił nam Kosiński,
Gdy Łoboda żył Archory.
Czy Archory gracki młodzian?
Popytajcie Siedmiogrodzian.

I Czehryński zna starosta,
Jak od rusej stronić kosy
Dobrze Bohdan pierze, chłosta,
Gdy u Lachów na dół nosy:
Nie pomogła nic łacina,
Ni Pierzyna, ni Dziecina.

Rzy i parska koń mój gniady,
Ciszéj, ciszéj w mieście ludno,
Pełno sideł, pełno zdrady,
Trzeba przeleść, gdzie przejść trudno.

Jak staniemy u Piaseczny,
Wtedy hukniem rozbrat wieczny.

Myśmy Lachom byli wierni,
Przeciw hordom w każdej chwili,
Nim husarze, nim pancerni,
Nadciągnęli, my już zbili.
I cóż za to mamy w zysku,
Oprócz więzow i ucisku?

Król sejmuje z posły stanów,
Rada w radę, młodzi, starzy,
Klną Piławce, lżą hetmanów,
Wyprawiają rejmentarzy.
Jedni w drugich dobrze radzą,
Ale rady nam nie dadzą.

O pocieszne! krzyk, hałasy!
Już Bohdana rąbią, sieką,
Biją na pal, i drą pasy,
A on tuż, tuż nie daleko;
Już wyruszył z pod Zamościa,
I po jutrze ujrzą gościa.

I my za nim dalej w nogi!
Miesiąc wejdzie mi o milę,
Dzień zaświta o pół drogi,
Barwą dworską straż omylę,
A za dobę giermek króla
W innéj barwie znów pohula.

Daléj na koń, zmrok już dobry,
Trzy dziewiczych zorz zabłyśło,
I Woronicz brat mój chrobry
Daje hasło, gdzieś za Wisłą.
Bądź zdrów zamku Ujazdowa,
Piękna Polko bądź mi zdrowa!

Milsza koniu! ziemia nasza,
Niżli piaski tu Mazowska,
Oczakowska lepsza pasza,
I dniewrowa woda zdrowsza.
Nuże! znowu będzie w Siczy
Pełno łupów i zdobyczy!

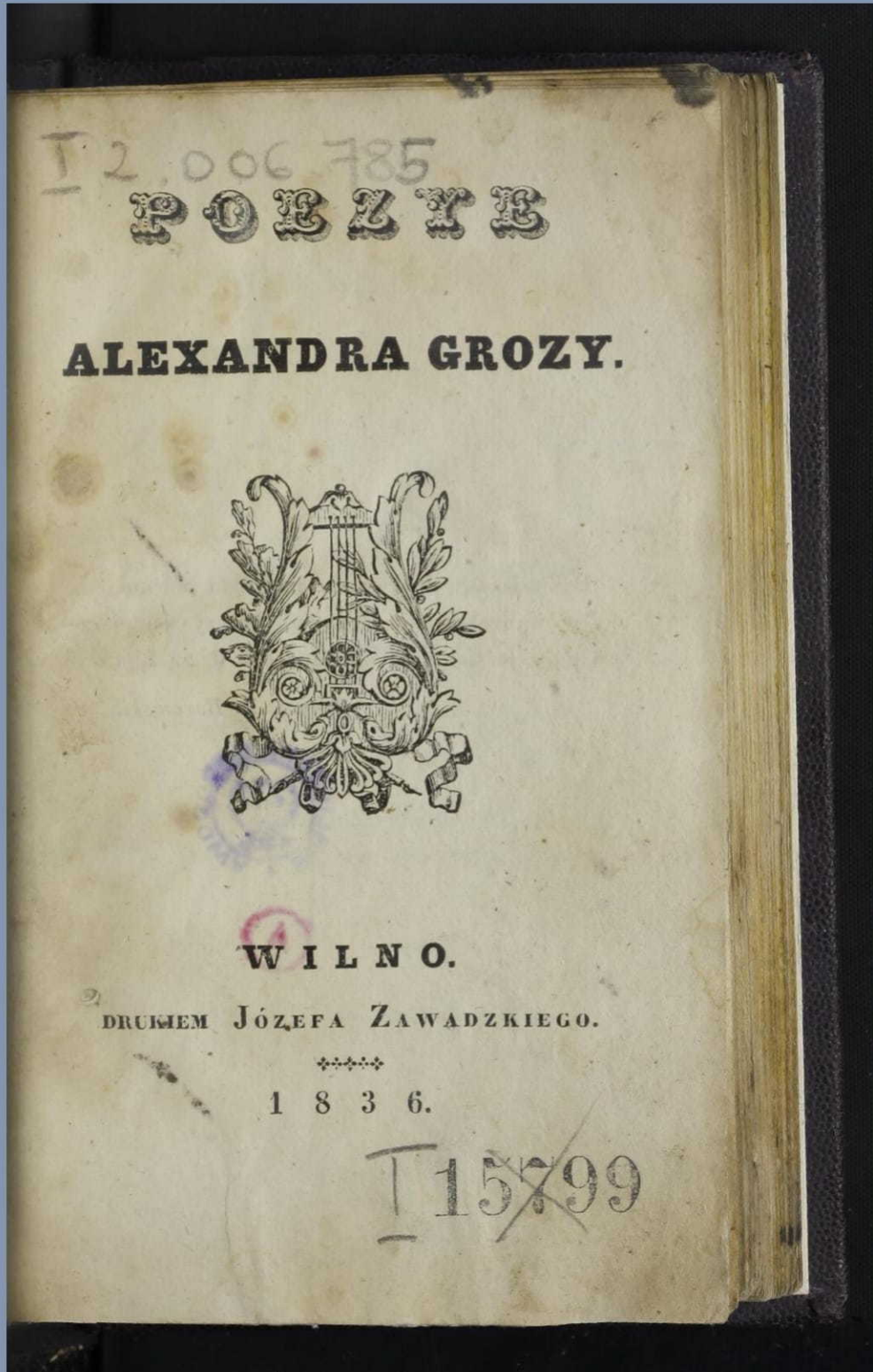


Артур Орльонов, *Козаки гетьмана Петра Сагайдачного здобувають Кафу. 1616 р.*
Artur Orłionow, *Kozacy hetmana Piotra Sahajdacznego zdobywają Kaffę w roku 1616*
przed 2010

Aleksander Groza

Poezye [wybór]

(przed 1836)



ZAPOROŻEC*myśl z pieśni gminnej.*

Gdzie białą chatę osłoniły drzewa
Stoi staruszka, łzami się zalewa.
Przy niej trzy córki, każda krasawica,
I każdój we łzach topi się zrzenica;
Przy niej wyniosły młody kozak stoi
Pierś i ramiona okute ma w zbroi;
Więc mu się wiejskie naprzykrzyło życie?
Więc to syn śmierci, wiecznej wojny dz cie?
Rzecz staruszka: „Synu mój sokole,
Ach czy ja ciebie sama nie karmiła,
Ach czy do serca megom nie tuliła?
Czy ja cię kiedy wyganiałam z chaty,
Ze się tak śpieszysz na czerwone pole?
Chcesz by do ciebie kruk przyleciał w swaty,
I wyswatał panienczkę
W czystém polu mogiieczkę?

Wyswata on zarazem i dla twojej matki
Smierć, córkę dębowej chatki."

— „O matko moja! o gołąbko siwa,
Czy ja twojego włosa nie uczciłem,
Czy ja ci wiernie jak syn nie służyłem?
Dosyć tej służby, Zaporozie wzywa."

Siostra najstarsza wywodzi konika,
Młodsza siodełko orzechowe wkłada,
Najmłodsza bramę odmyka
A odmykając, tak do brata gada:

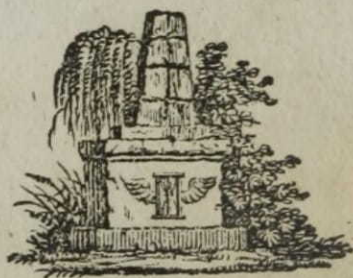
„Kiedy ty bracie wrócisz w nasze strony?
Czy gily jaskułki pokładną się w stawie,
Czy gdy na powrot przyciągną żurawie,
Czy ty przystaniesz do Kniazia rusina,
Czyli do pana Hana tatarzyna?"

— „Ni ja przystanę do Kniazia rusina,
Ani do pana Hana tatarzyna;
Ale na czajkach tam za sine morze,
Powiodę nasze sławne Zaporozie.
Gdy w polu będą wiatry a tumany,
Gdy kawki wrony obsiędą kurhany,

Gdy liście z siebie ostatni dąb zrzuci
Wówczas, wówczas do was brat powróci.”—

— „Już tylko w polu wiatry a tumany,
Już kawki, wrony obsiadły kurhany,
Już dąb ostatni, liście z siebie zrzucił,
Dla czegoż jeszcze brat nasz nie powrócił?”

Jak mu powrócić, kiedy on raniony,
Leży oparty głową na kępinie,
A z piersi jego czerwony zródź płynie,
A u nóg jego stoi konik wrony,
I dzwoni trzęzłą i odgania kruki
Co panu coraz zagładają w oczy;
Lecz przed wilkami wrony precz odskoczy
A oni Pana rozerwą na sztuki.



Juliusz Słowacki

Beniowski. Poema [fragmenty]

(1840-1841)

Pieśń trzecia

[...]

Atakowano więc Bar, gdy nad Barem
Beniowski się zatrzymał na wyżyni.
Na koniu stał jak posąg nad wiszarem
I patrzył i rozmyślał, co uczyni?
Bar jak na dłoni widział, lecz oparem
Wpół przesłonięty, blady; wojska w linii
Jak małe nitki mrówek, a na murze
Rozwijał się dym z harmat w białe róże.

I w tej girlandzie niby z róż śmiertelnych
Stało miasteczko w powietrznych błękitach,
Wyrzucając błysk do żądeł pszczelnych
Podobny... Kule szumiały po żytach,
Gwizdały do jędz podobne piekielnych;
Lub po moskiewskich trącając jelitach,
Przebiegłszy całe plutony po szarfie,
Na ludziach grały jękiem — jak na harfie.

I wystaw sobie, mości czytelniku.
Że na swój ganek wychodzisz spokojny;
I widzisz pszczoły w słonecznym promyku
Lecące do łąk... dalej — grodek zbrojny
O milę — na równinie; działa w szyku,
Ataki, słowem, krotochwilę wojny;
Wszystko się zwija, wre, kole i sieka:
A ty z krużganku patrzysz i z daleka...

Tam jakiś starzec stanął na okopach,
Wzniósł rękę, czapkę przekreślił na ucho;
I działa jak psy legły mu przy stopach,
On je pogładził i szcęknięty głucho.
Kule gruchnęły po moskiewskich chłopach,
Szczęsny! któremu to uszło na sucho,
Że pan Puławski jurysta ma ferie,
I zamiast pisać akt — stawia baterie.

Tam widać laski brzozowe i klony
Blade, z gałązek kulami owiane,
Jednym girlandy czarne robią wrony,
Z drugich unoszą się z wrzaskiem, wygnane.
Dalekie miejskie słychać gwary, dzwony,
Wszystko wkoło wre; tylko zadumane
Na szarym polu dwie maćkowe grusze
Jak wróżki pod swój liść chowają dusze.

Tu długim czarnym, mrówczanym łańcuchem
Zbliża się Moskal pieszy ku mieścinie,
Tu kawaleria się wężowym ruchem
Z jaru wywija, zbiera, szczęka, płynie,
Kłania się, kiedy kula ponad uchem
Gwiźnie — i znów się prostuje, gdy minie,
Tu garść Kozaków jakby oczeretów
Kępa — tu błyski szabel — tam, bagnetów.

[...]

Pieśń piąta

Przez ciemne, smutne gościńce kurhanów

Niesie go czarny koń dniami i nocą.

Pod ziemią tętna zakopanych dzbanów

Z prochem rycerzy, — na niebie łopocą

Kruki, jak stada posępne szatanów.

W czaharach zbroje rycerzy migocą,

I dzidy błyszczą krwawemi płomyki. —

Tam na kurhanach posępne lirniki

Siedzą i grają dumy dawnych czasów.

Dumy wychodzą na rozległe pola,

Wpadają smutne w szum dębowych lasów;

I stamtąd znowu, jak harfy Eola

Zmięszane z szumem liścianych hałasów

Wychodzą na step: a ludzka niedola

Leci wichrami płaczącemi wiana,

Jakby nie ludzi ustami śpiewana.

Tu siedzą wianki na polu czumaków,

I ogień palą wielki, jasny, chmurny;

Tam dalej wieńce podróżników ptaków,

A dróp na straży — albo sęp bezpieczny;

Podobni z dala do rzymskich orszaków,

Koło chorągwi albo koło urny,

Gdzie smętne wodza popioły złożone:

Odprawujące straż i zamyślone.

Beniowski przebył Dniepr [...]

Ej ty na szybkim koniu!... Dalej wiecie...
Wieszcz wielki sobie zapytanie czyni;
A drugi mu wieszcz w przyległym powiecie
Odpart: Skąd, powiedz, wracają Litwini?
That ist the question! Tu pytanie trzecie:
Komu ty jedziesz? jak mówią Żmudzini,
Które ja czynię, naśladowując metra
Galop w połowie pierwszej heksametra.

Komu ty jedziesz? Jadę księżycowi,
Aby się w konia przeglądał kopytach.
Wonnemu jadę na stepach kwiatowi,
Dziewannom, które w złotych stoją kitach;
Anioł mię srebrny, jasny w skrzydła łowi,
I leci za mną sen po błękitach,
Na koniu stojąc rycerskim, jak sława,
I goni mię w kurhany — mówi Sawa.

Tak mówiąc leciał. A zaś nimfa ładna
Złożyła złote skrzydełka powoli,
Potem usiadła, ale taka zradna,
Jak wrona, kiedy z wieśniakiem po roli
Chodzi szykowna i do lotu składna;
Widać, że z chłopa drwi, a z psem swawoli.
Usiadłszy, włosy zrzuciwszy na łono,
Dwie nożek w jedno włożyła strzemiono.

Kozak ustąpił i nie mówiąc słowa
Pędził do swego stepowego domu.
Była to grota podziemna, stepowa,
Mało widziana i wiadoma komu.
Koń się w niej mieści i trzoda się chowa,

Kiedy po niebie leją węże gromu.
Tam młody Sawa żył pośród burzanów.
Z nim koń, pies wierny i kilka baranów.

Pies pod niebytność Pana był pastuchem,
Wyganiał trzodę i wilki zagryzał,
Straszny pies czarny z obszarpanem uchem,
Gdzie krew zawrzała, jakby kto ponizał
Korale; szyja obtarta łańcuchem;
Bo pies swojego pana tylko lizał,
Gości zaś zębem przerażał i białością,
Sądząc się w Pana pałacu marszałkiem.

Sawa wracając raz znad Styru dolin —
(Jeździł albowiem nieraz w ziemię Łucką
Z atencjami do jednej z Podstolin),
Wracając... patrzy, pies z mordą kałmucką,
Siedzi przed samą grotą, jak Ugolin
Smutny, nad czaszką ogryzioną, ludzką,
I oblizuje się po krwawych chrapach,
Jako egipski Bóg na tylnych łapach.

Lecz czy ta czaszka zjedzonego trupa
Chodziła kiedy nogami szlachcica?
Czy była czaszką Rugieri biskupa?
Nie mogąc się od psa, ni od martwica
Dowiedzieć, przykuł brytana do słupa.
A pies zapatrzył się w oczy księżycy,
Nie jęczał, nie gryzł żelaza, nie skakał:
Ale zapatrzył się w księżyc — i płakał.

Kto widział w Rzymie posąg niewolnika
Germana, który w smutku, cicho stoi,
Wie co twarz, choćby zwierzęca i dzika
Zawiera bolu, gdy się uspokoi
I kraj przeszłości myślami odmyka,
I o wolności kiedyś dawnej roi...
Wie, co czuł Sawa, gdy na łańcuch schwytan
Nie wyrzucał mu nic — milczący brytan.

Więc go potrzymał tak, potem zmiękczony
Na wolność puścił znów antropofaga.
Lecz odtąd pies był dziwnie zamyślony,
I smutku wielka w nim była powaga.
Czy to dlatego, że był nakarmiony,
Amerykańskim zwyczajem Osaga?
I czuł dziwną czczość zjadłszy w parowie
Poetę może, z poematem w głowie?...

Nie wiem... i wolę nie dochodzić wcale.
Więc do powieści. Sawa wszedł do jamy.
Słońce wschodzące, przez burzanów fale,
Lało się w grotę ognistemi błamy,
Barany białe leżały na skale,
Nad grotą. — Obraz ten oprawić w ramy! —
Za Sawą wszedł koń w jamę wyłacaną
Słońcem i poszedł do żłobu po siano.

Za Sawą weszło dziewczę z gołębiami,
Pies łasił się, koń rżał, gołębnie gruchały.
Brylantowemi jedno źródło skrami
Padało z tętnem, lejąc się ze skały. —
Idyllę moją pies cokolwiek plami

Przeszłością, ale któż jest doskonały?
Pies więc i grotą, koń, gołębie, trzoda;
Spokojnie słońce wschodzi, mruży woda.
[...]

Boże! kto ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wiatrzonym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny,
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, zczerwieni i w niebie zatrzyma
Jak czarną tarczę z krwawymi oczyma...

Kto cię nie widział nigdy, wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywym,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnóże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym,
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze,
Mogły głosem wołają straszliwym,
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie i ginie —

Kto ciebie nie czuł w natury przestrachu,
Na wielkim stepie albo na Golgocie,
Ani wśród kolumn, które zamiast dachu
Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też w uczuć młodości zapachu
Uczuł, że jesteś, ani rwać stokrocie
Znalazł w stokrociach i niezapominkach;
A szuka w modłach i w dobrych uczynkach

Znajdzie — ja sądzę, że znajdzie [...]

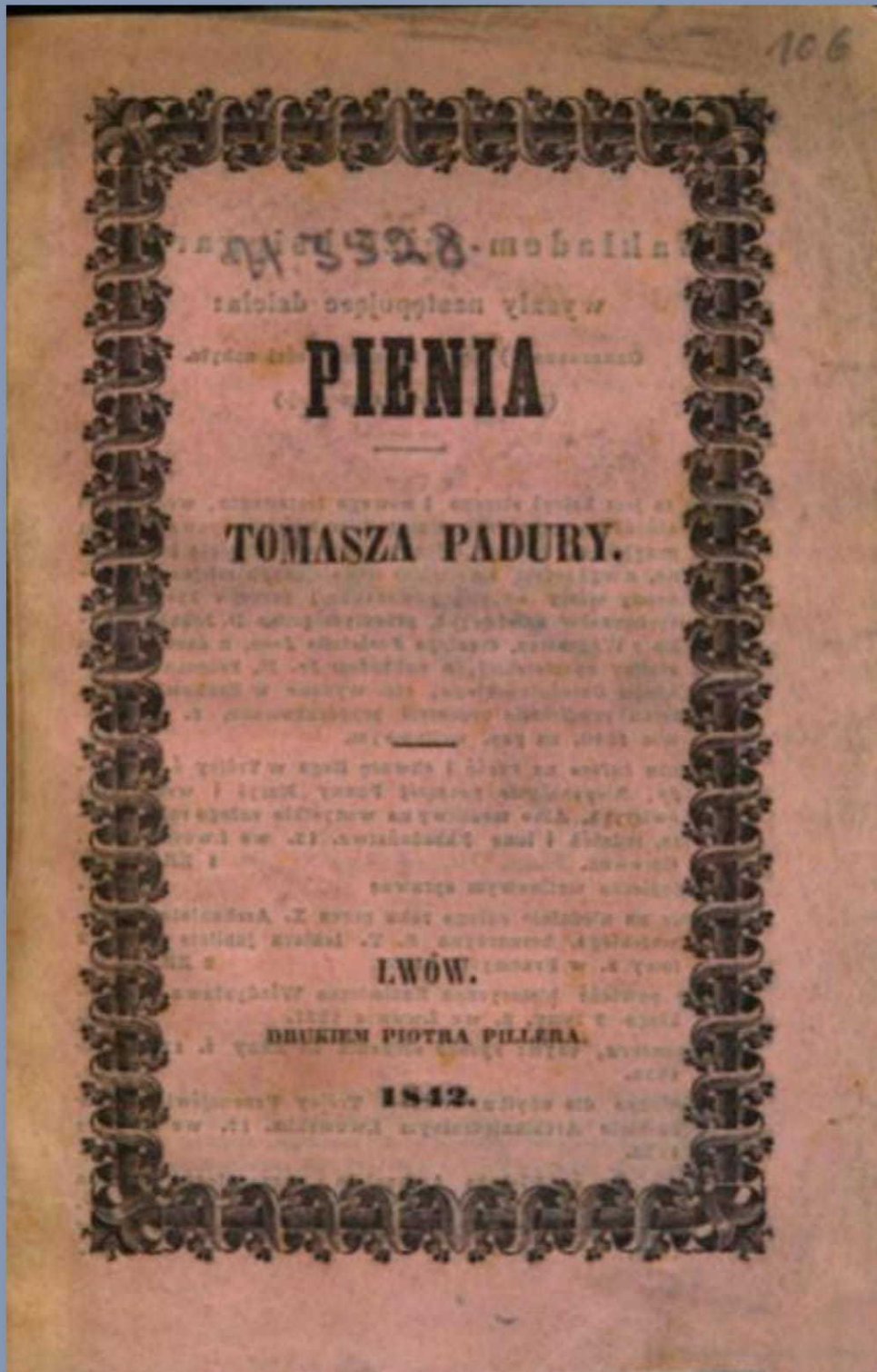


Jan Stanislawski, *Bodiaki* / Ян Станіславський, *Бодіакі* (ca. 1885)

Тимко Падура / Tomasz Padura

Pienia [wybór]

(1842)



KISZOWYJ. ^{o)}



Na dolyńi pry Czechryńi
Wid pancernych śiaje szlach;
Witrok tyszkom, honył łyszkom,
Po buńczukach szach, szach.

^{o)} Kisz, we właściwym znaczeniu kosz, w przenośnem obór (*propugnaculum*) po dawnemu tabor; Kiszowyj zatem jedno znaczy co obozowy. Kosz kozacki w polu, na wzór dawnych Skitów, sianowity wozy, ładowane rynszalunkiem wojennym, żywnością, a najczęściej złupioną na uciekających Tatarach zdobyczą. Nazywano później kozzami ukraińskie zamki (*castellum, chateau*), gdzie mieszkali Kozacy pod naczelnictwem assawułów, sołników, w celu bronienia ludu, po wsiach osiadającego, przed napadami Tatarów. Kosze te, czyli zamki, były zwyczajnie przy wielkich szlachach, jako to: Biała-Cerkiew, Umań, Sawran, Bar, Niemirów i t. d.; a za Dnieprem: Peryjasław, Żubnia, Samara, Horol (por. *Vol. Leg.*), gdzie nieprzebragany wróg i pogromca Chmielnickiego Bohdana, Jarema kulań Wiszniowiecki, hetmanił dwunastu tysięcy Zaporozców, którymi przepłazał hordy Krymu i Kibzaku, utrzymując ich na własnym koszcie. Sławoy był kosz w Trechtymirowie 1576, później nad Dnieprem w Kadaku naprzeciw Samary, założony 1655 przez Bopłana, za hełmaństwa Stan. Koniiecpolskiego, a zburzony przez Suli-

Czatuń Laszku, hlanu w plaszku,
 O! daleko iszcze deń:
 Hurra! w czarky, procz jarczarky,
 Pidkowoczky dzień, dzień.

Chody Dziubo, chody lubo,
 Se tanec nasz, se kozak!
 Tylky błyszczce, mylsze... wyszczce,
 Pid ruczeńku tak, tak.

Za toboju nad Worskloju
 Ja na czatach z żalu soch;
 Cili noczi, mokri oczci,
 A serdeńko tioch, tioch.

Nechaj skacze, nechaj płacze,
 Koły mylszyj sławy hłas;
 Łysz kwit sochne... serce lochne,
 Rwimoż poky czas, czas!

ma w czasie buntu Pawłuka. Najdawniejszy był w Czerkaszach, pamiętny oblężeniem hana i obroną w nim walecznego starosty i heimana Kozaków dneprowskich Ostafego Daszkiewiczza na początku XVI. wieku. W koszu dobrze zawarewanym mogło bronić się z kerzyscią, nawet w otwartem polu sto pieszych metodców, przeciwko natarciu tysiąca jazdy. (Przyp. aut.)

Iszcze poky, step szyroky,
 Nyosiaje Siczi stal;
 Hulaj Dziubo, hulaj lubo,
 Nim nadijde żal, żal.

Ilan jak zirku, pry Achtyrku,
 Zalywaje mracznyj dym...
 Hej! za Lachom*), czornym szlachom,
 Na polanacia w Krym, w Krym!

Naszczto mowa? naszczto słowa?
 W stepi zhubyt hlas jizdok:
 Podaj ruku — na rozluku,
 Na pamiatku — cmok, cmok.

*) Pamiętna droga wypadnięciem Tatarów do Ukrainy przed-
 dneprowskiej; można ją widać dokładnie oznaczoną na-
 kartach Zanoniego. Na tej drodze Bernard Pretwicki z Prze-
 cławem Lanckorońskim rozbili hordeę Nugaju w stepach Uzi-
 Kaia (Oczakowa). (*Przyp. aut.*)



KOSZOWY.^{e)}



Na dolinie, przy Czehrynie,
 Pancernymi błyszczą szlak;
 Wietrzyk z cicha dmie u licha
 Po buńczukach: szach, szach!

Czatuń Laszku, zajrzę w flaszkę,
 O! daleko jeszcze dzień!
 Hurra! w czarki! precz janczarki!
 W podkowieczki dzień, dzień!

Chodź ma dziuba! chodź ma luba!
 To nasz taniec, to kozak!
 Tylko bliżej, miliej, wyżej,
 Po pod ręce — tak, tak!

Jam na czatach, po nad Worską,
 Sechł za tobą z żalu! ... och!...
 Całe nocy mokre oczy,
 A serduszko tloch, tloch!

e) Tłomaczenie A. Pieńkiewicza.

Niechaj skacze, niechaj płacze,
 Kiedy miłszy sławy wrzask;
 Lecz kwiat więdnie, serce ziębnie,
 Korzystajmyż w czas, w czas!

Jeszcze poki step szeroki,
 Nie zrdzawieje siczy stal!
 Hulaj dziuba, hulaj luba,
 Nim nadejdzie żal, żal!

Spojrzyj tylko! nad Achtyrką,
 Zalał gwiazdy gęsty dym! ...
 Hej za Lachem, czarnym szlachem,
 Na pogańca w Krym, w Krym!

Po co mowa? po co słowa?
 Zgubię w stepie, gdy dam skok;
 Daj buziaka dla Kozaka,
 Na pamiątkę — cmok, cmok!



NYZOWEĆ.^{o)}



Schyłs zoro w czolo ehmar,
Myhi mylsza noczi huszcz;
Nad kipjaczyj wid obszar,
St'jahne kryla dyt'ja puszcz!

-
- ^{o)} Nyz, oznaczą dół; Nyzowec, dosłownie będzie dolnik, to jest mieszkający u dołu: tak nazywano Kozaków zaporużskich żyjących po wyspach Dniepra, poniżej jego porohów czyli katarakt. Niedostępne saraśle i bagna okrążające wodą Tomakówkę, Kochanło i t. p. wyspy, dawały bezpieczny przytułek tym w: gnańcom z równia, może w czasach wylewu na zachód groźnej potęgi następców Gingis-Hana (?) przed nieprzyjaciółmi, niemogącymi znaleźć drogi do miejsca ich pobytu. Tam ukryci wyrabiali swoje czajki, broń, proch strzelecki, trudnili się połowem ryb i wydzieraniem łupów u Tatarów na przeprawie przy Budyłskij Zabazze; w pieczarach zaś składali skarby i przechowywali się w czasach niepogody. Tam przed wycieczką na morze, obyczajem jeszcze swoich przodków Kaukazu, gotowali ulubioną potrawę jaglaną kaxę (pezonianuju kaxu); stąd może pozostło nazwisko Kiszowi zamiast Kaszowi. (?) Mahomet zwycięzca wystawił twierdzę w Kizyl-Kerman dla powściągnięcia ich napadów na brzegi azjatyckie, lecz to mało ich powstrzymywało. Nieraz ten sibiustier stawiański wyzywał przeciw sobie żywioły i wrogi, nieraz wśród rozpacznych wysiłków odwagi,

Nechaj w pusi stohne trus,
 Ja na chwylach choczu hrat'!
 Tilky dowhyj skruczu wus,
 Szwydsze budu Turka huat'.

Dalij czajko *) werchom pin!
 Rostynaty mora pływ,
 Wdaru wraham w smerty dzwin
 Spid bulata ostrych nyt.

Nypyszajšia Amurat;
 Nyzabjesz mnie hromom słow;

oblany potokami krwi i płomieni, szumowi fal rozigranych
 tworząc okrzykami hurra! zamieniał w jęki pobożny śpiew
 minaretów, lub ze skotataniej czajki zatkwit buńczuk zwy-
 ciężki na statku wyznawców proroka! (Przyp. aut.)

- *) *Cum mare ascendunt tempestate superveniente arundinis cu-
 mulor lntribus navigii undequaque alligant, quo fluctibus irati
 maris felicitus supernatent. Navigiis utuntur parvis, quae no-
 vem virorum cum justo comiteu capaces sunt; celoces aut
 schaphae dici possunt; velocissima sequuntur et fugiunt. Tur-
 cis damna inferunt, suburbana aliquando Constantinopolitana
 ineadunt; inde Amuratils Turcarum imperatoris dictum erat,
 (cum inter arma Principum in se conspirantium Constantino-
 poli degens in utramque dormitet aurem, solos Cosacos esse
 ejectamenta Polonorum, qui tanti Principis turbarent som-
 num) civitates et oppida Pontico litori proxima populantur.
 And. Mac. Fredro in Hist. Henrici, pag. 17 et seq. (Przy. aut.)*

Ny perszyna s carskich wrat,
Supostatiw laty krow. . . .

Nylakawsia żarkyj Lach*)
Na saraj twoich wart,
Mjachku duszu oblaw strach. . . .
Ały mij stalnyj hart!

Nuże d'ity pid kul hrat?
My to ptachy ostrych zym;
S krył lupeżi w Caryhrad
Pokotytsia krow i dym!

*) Ob. Poselstwo do Amurata Czwartego za panowania Wła
dystawa Wazy, przez Kwiatkowskiego. (Przyp. aut.)



NIZOWY.^{o)}



Schyl się gwiazdo w chmury szczyt,
 Dla mnie miłszy nocny mrak ;
 Nad kipiący morza płyt,
 Wzniesie skrzydła stepów ptak !

Niechaj gnuśnik szuka płas,
 Ja na falach wolę grać !
 Tylko długi skręcę wąs,
 Szparciej będę Turka gnać.

o) *Tłomaczenie A. Plehkielicza.*

Tak nazywano Kozaków Zaporoskich żyjących po wyspach Dniepru, po niżej jego porohów.—

Stuszenie i pięknie o Nizowcach wyraził się sam autor Ukrainek: »Nieraz ten ślubstier Sławiański wyżywał przeciw sobie żywioły i wrogi, nieraz wśród rozpacznych wysień odwagi, oblany potokami krwi i płomieni, szumowi fal rozigranych wtorując okrzykami hurra! zamieniał w jęki nabożny śpiew minaretów, lub ze skołatanej czarjki zatkwit buńczuk zwicięski na statku wyznawców proroka.«

Wierchem czajko pień się, goń!
 Tnij piersiami morski płyt!
 Zagrzmię wrogom w śmierci dzwon,
 Zpod bulata ostrych dzid!

Ty Amurat się nie dmij;
 Nie zabije mnie twój gniew!
 Nie pierwszyna z twoich drzwi,
 Niedowiarków rozlać krew!...

Nie zląkł się gorący Lach,
 Przy saraju twoich wart,
 Miękką duszę oblał strach . . .
 Ale naszej stalny hart!

Nuże dzieci pod kul grad!
 My to ptaki ostrych zim!
 Z skrzydeł łupu w Carygrad,
 Prysnie tylko krew i dym! —



ZAPOROŻEC.



Zakotyw sia miśiac w chmary —
 Swyszcze buria po horach,
 Posunulys' niczni mary
 Prospaty sia w czaharach.

T'jażko tepér lebediowy
 Zadrimaty z berehamy,
 Bjet sia sława na Dniprowy
 Pid żeliznymi stowpamy.*)

Ale nasz kozak ne trus,
 Schopyw szablu, czobit wzuw —
 Podywyw sia, skrutyw wus . . .
 Śiw na czajku, taj dmuchnuw.

*) Bolesław chrobry opanowawszy Ruś aż do Kijowa na znak swego rozległego panowania kazał zabić stup żelazny w Dnieprze przy ujściu Suty.

Na dalekie bereże
 Pina z wesła poletyt;
 Niech sia dobre stereże
 Koho ptach sej zahladyt!

Jeho słoža ne spiniaje,
 Win ne lubyt dowhych słow;
 Szczo tam w nebi... to nezaaje...
 A na zemli znaje krow!

Dowhi mora, temni huszczi
 Czuly hołos hurra — ha!
 Koly ridni dity puszczi
 Pidletily na wraha.

Kozak pana ne znaw z wika,
 Win zrodyw sia na stepach,
 Staw sia ptachom z czołowika
 Bo zris w kiłskich stremenach!

Koly czasom zmuczyw nohy,
 Pid medwediom w snihu spaw;
 Lysz na każdy hołos trwohy
 Sotniu Tatar nawiazaw.

U nas woroh nezaostyt,
 Nam worohom cilyj mir;

Nasza szabla ne zapostyt
 Wsihda maje św iżyj žyr.

Neraz żwawo my letily
 Rabowaty czużyj kraj,
 Wsi pomerty, nim uzdrily
 Konia, spysu i nahaj.

Oj radbym ja toje znaw,
 Czy na świti takij zris:
 Kotryb' zdala ne wtikaw
 Pered lisom naszych spys.

My ne lubym dowho żyty,
 Szabli sywyj wus ne znaw,
 Nam najlutsze tak kińczyty
 Jakby duszu czort schwataw.

Nam najlutsze u pryrody:
 Puszcza: liżko — nebo: strip;
 Kiń u boka na powodi
 Na janczarci wusiw snip.

A ataman*) skoro swysne,
 Uże kozak włuka dzwonyt,

*) Przetozonego nad kurzeniem kozackim zwano Atamanem;
 dzisiaj po wsiach znaczy dozorcę.

A jak konia w nohach stysne,
To wsi witry perehonyt.

Kole kozak z wrahom bjet sia —
Serce klacze jak kosa;
Lysz jak kozak zaśmijet sia —
To śmijut sia nebesa.

Nasz brat nihdy ne zatużył,
Chotiaj hołyj, weselenkij —
Czasom win Lacham posłużył
Za kozuszok koroteńkij.*)

Jeho tilky piśa sumuje
Zmerłych chłopciw od wik¹,
Koły pry nij zawtoruje
W żowtu strunu wid łuka.

Naszi diwki wsi motorni —
Kosa z dowhym wołosom,
Bili zubki, browy czorni
Lyce jak krow z mołokom.

*) Kozacy zaporozcy od króla polskiego Stefana Baterego w pał-
ki podzieleni i rejestrowymi zwani, otrzymali co rocznie ja-
ko łód jeden czerwony stoty i nowy kozuch.

Ale chtoż tu roskisz znaje
 Kotra tilky schodyt nam,
 Koly wona zaśpiwaje
 Na dorohu kozakam!

Oj! szeszastywyj chto zrodyw sia
 Na pustyni kozakom;
 Najszeszastywszaj, chto wlubyw sia
 W diwczynohel nad Dnipro.



ZAPOROŻEC.^{*)}



Miesiąc chmury pochłoneły,
 Burza w górach daje znać;
 Nocne duchy posunęły
 Na czachary dzikie spać.

*) *Tłómaczenie A. Pleńkiewicza.*

Dumą tę T. Padurry napisaną w narzeczu Wołyńsko-Ukraiń-
 skiem, powszechnie znaną z kilku jej strof śpiewanych po
 Wołyńsku i Ukrainie, i z tychże strof dawniej przezemnie prze-

192391

Biada ci labędziu biały!
 Rybom z ciebie będzie łup:
 Rozhukane Dniepru wały,
 O żelazny biją słup.

Kozak kolan swych nie ugnął:
 Nazuł bóty, chwycił nóż,
 Okiem strzelił, wąsem mrugnął,
 Skoczył w czajkę — zniknął już.

Na dalekie pobereże
 Z białej piany ściele szlak;
 Niechaj ten się dobrze strzeże,
 Kogo zoczy taki ptak!

Długie słowa nic mu po tém,
 Na łzy on nie wstrzyma gniew,
 Co na gwiazdach nie wie o tém,
 W stepach — zna on wrogów krew!?

łożoną, umieściłem był w tym tomie: *Wyboru Poezyj*.
 Przed kilką miesiącami, znalazwszy ją w *Gramatyce mato-
 ruskiej* P. Lewickiego, znacznie od spiewanej obszerniejszą,
 nie wstrzymałem się od chęci uzupełnienia jej przekładu,
 który tu ośmielam się przedstawić.

Wielkie morza, dzikie puszcze,
 Znają nasze hurra — ha!
 Gdy na cheiwych wrogów tłuszcze,
 Ćma Kozaków podlot da.

Kozak pana nie znał z wieka,
 Z ojców w krew swobodę wniósł;
 W ptaka zmienił się z człowieka,
 Bo w strzemionach końskich zrósł.

Czasem kiedy strudził nogi,
 Pod niedźwiedziem w śniegu spał;
 Lecz na każdy odgłos trwogi
 Sotnie Tatar w pęta brał.

Wróg tu do nas nie zagości,
 Nas się lęka cały świat!
 Nasza szabla nie zapości,
 Pastwę znajdzie jój nasz brat.

Nie raz w obcy kraj lecieli,
 Na rabunek wszérz i wzdłuż:
 Wprzód pomarli, nim ujrzeli
 Konia, spisę, bizun, nóż.

Radbym wiedzieć: jak świat cały,
 Czy się zrodził taki bis,

By mu nogi nie zadrżały,
Widząc las kozackich spis!

Za nic u nas długie lata,
Nie znał szabli siwy wąs;
Nasz brat młodcem schodzi z świata,
Gdy się dzielnie z wrogiem strząśł.

Nam najmiléj żyć w przyrodzie:
Stepy — łóżko; niebo strop;
Koń u boku na powodzie,
Na janczarce wąsów snop!

Nasz ataman skoro świcie,
Kozak z kółka chwyta broń;
A gdy konia w nogach ściśnie,
Pędem wiatru leci koń.

Serce klacze, gdyby kosa,
Gdy na wrogi mierzy cios!
A rozśmieją się niebiosa,
Gdy się kozak śmieje w głos!

Nasz brat nigdy nie bieduje,
Chociaż kabzę pustą ma:
Czasem z Lachem pożartuje,
Lach czumacki kozuch da.

U nas dziewczki wszystkie barne:
Czarne oko, czarna brew,
Kosy mają długie, czarne,
Lice gdyby z mlekiem krew!

Ach! nad bujną Ukrainę,
Któryż, któryż w świecie kraj!
Z krasą naszą znaj dziewczynę —
Syna stepów z męztwa znaj!

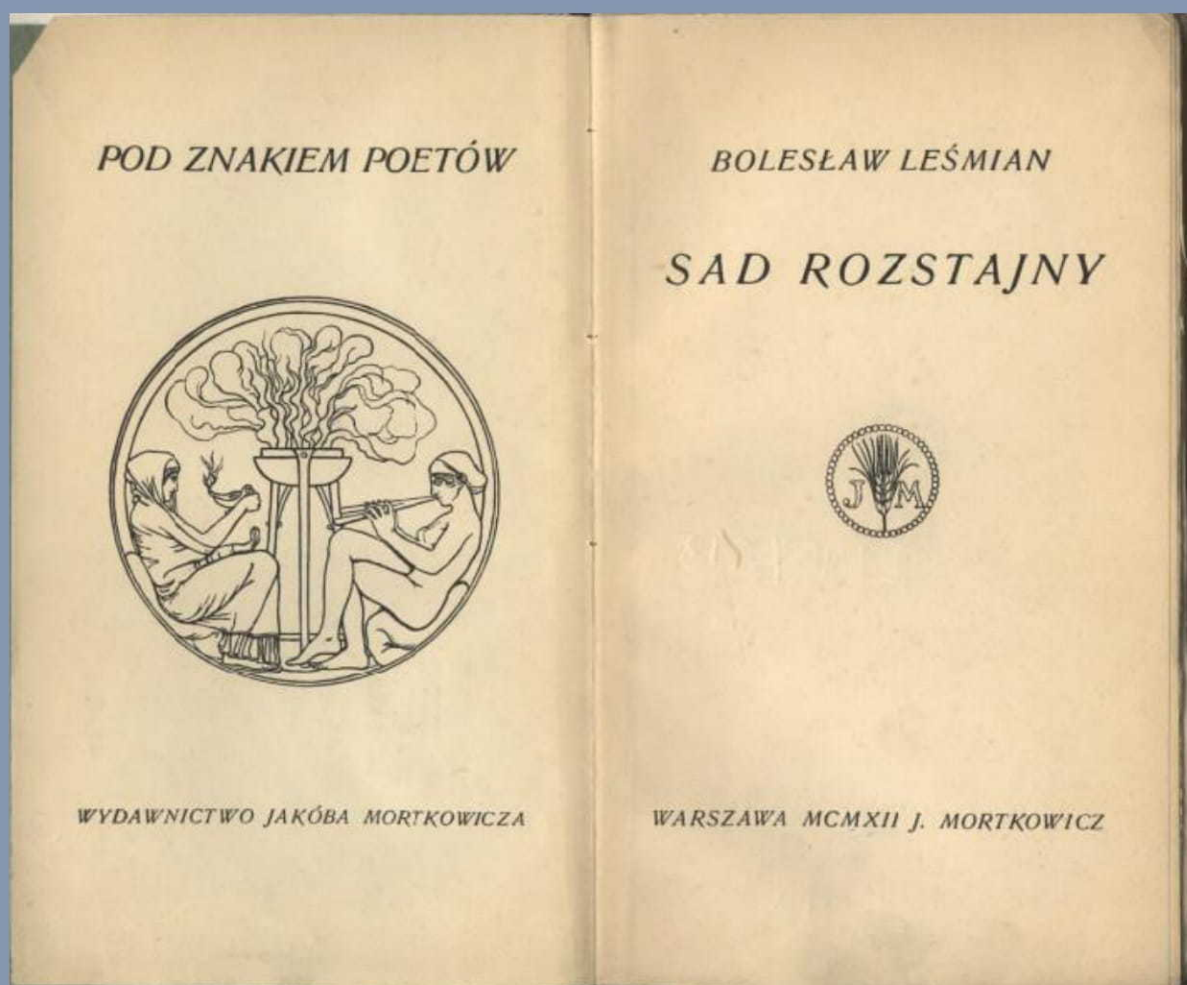


Józef Brandt, *Wesele kozackie* / Юзеф Брандт, *Козацьке весілля* (1893)

Bolesław Leśmian

Sad rozstajny [wybór]

(1912)



W POŁUDNIE.

*Wzdłuż chat, ponad strzechami
Południa żar zawzięty
Widomie drga i mami
Niepochwytnymi pręty...*

*Wpółśród zielonych muraw
Schną rosy ciemne ślady,
Samotnej studni żóraw
Patrzy w dalekie sady.*

*Na przeciwległe wzgórze
Głóg wpełzły i berberys
Poprzez słoneczne kurze
Gałęzi rzuca przerys.*

*Południe samo siebie
Roztrwania w oman senny...
Niebem prześwieca w niebie
Przezroczy księżyc dzienny.*

STEP.

*Wkoło mnie step, chłonący własne uciszenie,
Wicher — rzekłbyś — z księżycą wybiega z szelestem.
Zdaje mi się, że ziemskie zatracił istnienie,
Że step sni, a ja — stepu snem przelotnym jestem...*

*Lęk mię chwytą, że ocknie się mój dziw uśpiony,
I pierzchnę z jego oczu, ja — chwilowa mrzonka!
Lecz śpi mocno — a jego sen po nim się błąka,—
Błąkam się, jakbym wpełznąć pragnął w nieboskłony!*

*Cień za światłem, a światło sunie się za cieniem
Po ziemi, gdzie się w mroku zblękitnia zieloność,
A tam, do widnokręgów przykuta milczeniem,
Czai się rozszerzoną nową nieskończoność.*

IV

*Dziewczyno, nim się w mojej odbijesz trenicy,
Musisz przebrnąć splątane zieloności zwoje,
Co oddana mych oczu zaproszyły głąb.*

*Leśno tam i cieniście, jak w owej krynicy,
Gdzie drzew wierzchy tkwią na dnie.*

*Nie patrz w oczy moje,
Bo twą postać przesłoni pierwszy z brzegu dąb!...*

*Długo one — te oczy — zbląkane wśród jarów —
Zbierały kwiaty żywe i śmiertelne zioła,
Zważając na motyli dookołny tan.*

*Dzisiaj głąb ich — to leśny a widzący parów...
I nie wiem, czy śmierć kiedyś udźwignąć podola
Ducha — jagód purpurą przeciężony dzban!*

*Nieraz one — te oczy — wpatrzone gwiazdździe
W słońce, światłem rozprysłe po dębowych sękach,
Czuły, jak w nich dojrzewa i paproć i wrzos...*

*Więc im dano na miłość poglądać przez liście,
Nikłym cieniem na moich pełgające rękach,
Co za chwilę, dziewczyno, rozplotą twój włos.*

*Że też temi oczyma, gdzie las ma schronisko,
Zdołałem postrzedz ciebie — w twojej chacie za rzeką,
Gdy się wokół i dalej rozplomił czas!*

*Lecz, choćbyś do mej piersi przywarła się blisko,
Zawsze będę cię widział cudownie daleką —
Przez ukryty w mych oczach, nieznany ci las!*

V

*Czyliś światów tajemnych zjawionem przedmurzem,
Na które drzewa cień swój kładą nieprzytomnie?
Ciało moje — na brzegu, reszta — w mroku den.*

*Jam jest miejsce spotkania leż ze złotym kurzem
Słońca, ptakom widnego!... Oto bór sni o mnie
Sen, liśćmi zaproszony, gałęzisty sen!*

*Sni, że idę, nie wiedząc ni dokąd, ni za czem, —
Ku bezcelom, zapadłym w nieprzebytą ciszę,
Gdzie wszystko jest — bez nazwy, bez granic, bez tchu.*

*Na rękach niosę strumień, potrząsany płaczem,
I uśmiechem go koję i do snu kołyszę,
By go złożyć pod skalą — na trawie — na mchu.*

*Brzozy, nagle od ziemi oderwane łona,
Idą za mną, by drogę śpiewaniem mi skrócić
I — marzeń dźwigaczowi — leśnych przydać sił...*

*Wiedzą, że blady strumień na rękę mem kona,
Że go trzeba zdać kwiatem i ziemi przywrócić,
Że go trzeba pogrzebać, by dzwonił i żył.*

*I grzebiemy go wspólnie — i żyje i dzwoni,
Za kres boru wybiega, w nieskończoność polną,
By się sycić odbiciem najzieleńszych niw.*

*A brzozy z trwogą na mnie patrzą z swej ustroni,
Bo wiedzą, że mnie w ziemi pogrzebać nie wolno,
Żem inny, niepodobny, — odmieniec i dziw!*

VI

*W parowie, pod leszczyny rozchelstany cieniem
Spadły z nieba bezwolnie wraz z poranną rosą —
Drzemie Bóg, w macierzankach poległy na wznak.*

*Dno parowu rozkwita pod jego brzemieniem.
Biegnę tam, mokre trawy czesząc stopą bosą,
Schylam się nad drzemiącym i mówię doń tak:*

— **Zbudź się, ty — ptaku senny!
Ty — cmo wielkanocna,
Co zmartwychwstajesz pilnie, by lecieć w ślepotę
Światła gwiazdnych,
gdzie w mroku spala się twój czar!*

*Zbudź się! Słońce już wstało!
Niech twa dłoń wszechmocna
Zrywa kwiaty te same, com we włosy złote
Mej dziewczynie zaplatał, jak twój z nieba dar!*

*Zbudź się! Pierwszego szczygła zapytaj o drogę
Do chaty, gdzie po nocach przez okienic szpary
Śmiech mój i me nadzieje patrzą w wonny świat!*

*Pójdziem razem! Ramieniem własnem cię wspomogę!
Pokażę ci sny nasze i nasze moczary —
I słońce w oczach ptaków, zapatrzonych w sad!...«*

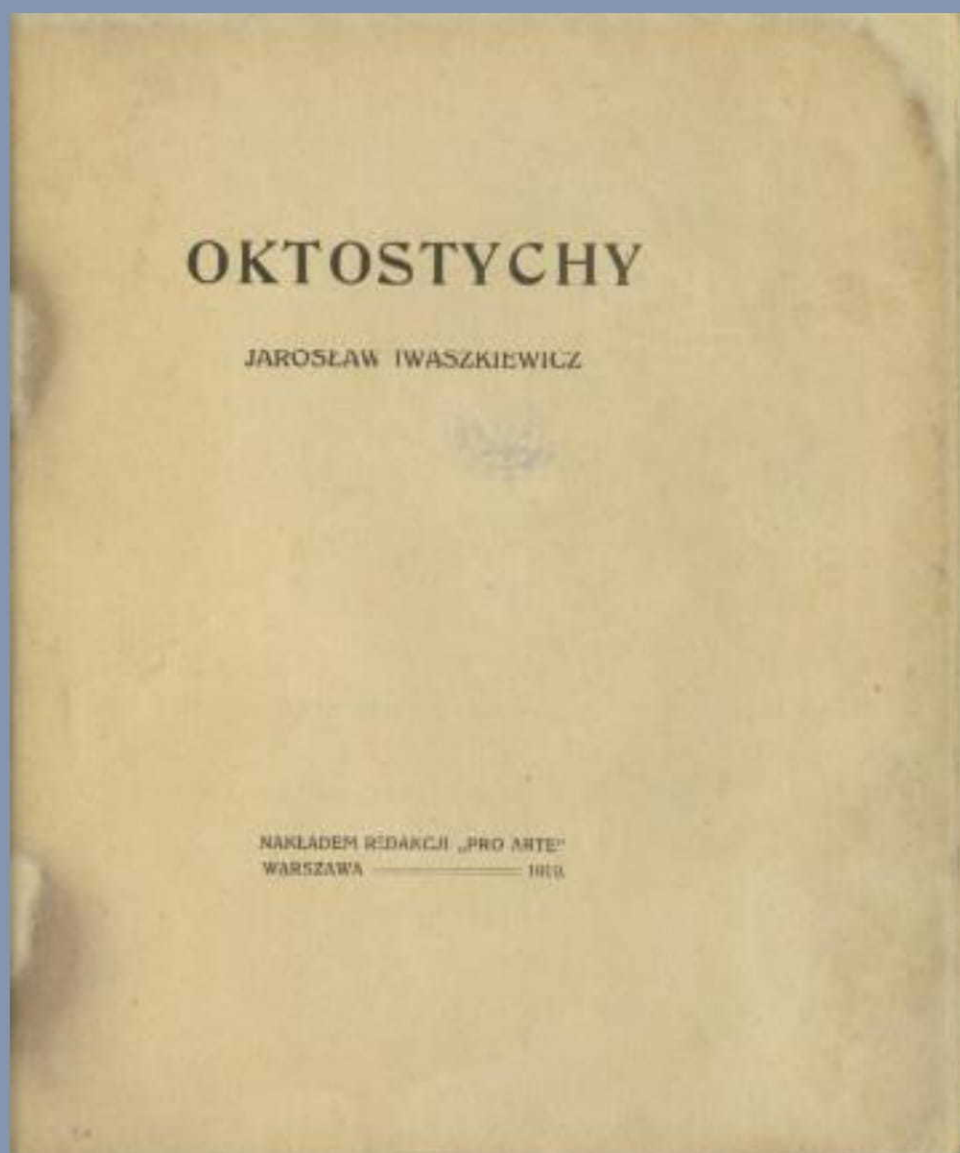
*Tak doń mówię — i dłonią, wyciągniętą mężnie
Nad nim, jak nad zwaloną od uderzeń bramą,
Trafiam na jego ku mnie wyciągniętą dłoń!*

*I zgaduję — oczyma wodząc widnokrężnie —
Że on do mnie z parowu modlił się tak samo,
Jak i ja — nad parowem — modliłem się doń!...*

Jarosław Iwaszkiewicz

Oktostychy [wybór]

(1919)



ODDECH ZIEMI.

Rozsunie wiatr różowe brzoskwiniowe pędy,
Bym patrzył na obłoków po lazurze pędy.

Lub przez złocistych kłosów falujące siatki
Ukaże, jak muśnięciem całuje bławatki.

I oddechem lipcowym poruszając liście,
Odśłoni, jak gwiazdami płonie noc wieczyste.

A w wirujących liści harmonijnym chrzęście
Przyjdzie jak wiew mówiący, że mija mnie szczęście.

SERENADA.

O zmierzchu wszystkie farby stają się liljowe,
Kremowe róże w urnach pochylają głowy.

Na nieskończonych drogach wielkich topól rzędy
Szeptem liści wieczorne sprawują obrzędy.

Wejdiesz w nie przez schyloną lipową arkadę,
By czekać, mówiąc szeptem północną balladę.

Aż cieniem czarnej łąki jasność pełzająca
Da znać, że wstaje z lasu blada tarcz miesiąca.

2. Pachną dziewanny,
Bławatki dzieciństwa snem.
Dzieciństwem (psstl...) pstrem.

(W wodzie dziewiczej pstrągi)
Dziedzictwem idę swem.

p. Janinie Kimajerowanie

CHWILA W JESIENI.

Po cytrynowem niebie idą białe żagle.
(Lepsza jest tafła stawu, niż morze unlesień).

Wypłowiały bukiety, co uwiędły nagle...
(Lepsza od pjanej wiosny zadumana jesteń).

Desente purpurowe liści winogrodu,
Dojrzała jabłoń złotem swoich jader świeci —

Pójdziemy dziś do sadu i jutro do sadu.
(Najlepsi przyjaciele to są psy i dzieci).



UKRAINA W OCZACH PIŚNARZY POLSKICH

Jędrzej Kitowicz

(1728–1804)

Opis obyczajów za panowania Augusta III [fragmenty]

(koniec wieku XVIII)

[Od redakcji. Kitowicz jest autorem bardzo kozaczyźnie zaporoskiej nieprzychylnym. Kozaków siczowych przedstawia jako rozbójników, w dodatku pozostających na służbie carycy Katarzyny. Z równą satysfakcją wspomina i zniszczenie Siczki przez Rosję w 1775 roku (porównajmy daty zaborów polski i aneksji Chanatu Krymskiego w roku 1783), jak i opisuje okrutną śmierć na palu zadawaną kozakom przez wojsko i włodarzy Rzeczypospolitej. Niemniej – nawet między wierszami wyczytać można w jego relacji podziw dla organizacji, męstwa i fantazji kozaków. To obraz, który w relacjach polskich znajdziemy często w książkach późniejszych – lęk i niechęć miesza się w nich z fascynacją i podziwem. Przywołane tu fragmenty mocno ocenzurowałem, wycinając te uwagi Kitowicza, które w uszach Ukrainek i Ukraińców musiałyby zabrzmieć jako uwłaczające i obraźliwe. Miejsca ingerencji zaznaczyłem. Pozostawiam to, co tworzy barwny, awanturniczy i egzotyczny obraz Siczki Zaporoskiej w ostatnich latach jej istnienia. MD]

Від редакції. Китович — автор, який дуже не прихильно ставиться до Запорозжців. Він представляє сичових козаків як розбійників, до того ж на службі у цариці Катерини. З однаковим задоволенням він повідомляє про знищення Січі Росією в 1775 р. (порівняймо дати поділів Речі Посполитої і анексії Кримського ханства в 1783 р.) і описує жорстоку смерть на колі, нанесену козакам військом і польською владою. Тим не менш – навіть між рядків у його оповіді можна побачити захват ефективністю організації, хоробрістю та фантазією козаків. Це образ, який ми часто зустрічаємо в польських описах у пізніших книгах — страх і огида змішані із захопленням. Я жорстко піддав цензурі цитовані тут фрагменти, вирізавши ті зауваження Китовича, які у вухах Українок та Українців звучали б принизливо й образливо. Я позначив вилучені місця. Залишаю те, що створює колоритний, авантюрний та екзотичний образ Запорізької Січі в останні роки її існування. MD]

Chwała Ukrainie! / Слава Україні!

Sicz jest to miasto albo raczej obóz kozaków zaporoskich w [...] szczyrych polach, na kilkadziesiąt mil ciągłych, pustych. Kto w nim dawniej siedział i kiedy go kozacy zaporoscy osiedli, o których mam pisać, nie mogłem pewnej od nikogo powziąć wiadomości; zaczem, nie sięgając początku, będę o końcu pisał pomienionych kozaków.

Było w Siczy kozaków, ich terminem zowiąc, czterdzieści kureni, po polsku korzeni. Każdy kureń zamykał w sobie dziesięć chorągwi, a każda chorągiew sto kompaniówczyków czyli po naszemu towarzyszków, co czyniło czterdzieści tysięcy wojska, gotowego na każdy rozkaz [...] Mieli ci kozacy nad sobą hetmana jednego [...] i zwał się terminem kozackim: koszowy. Ten był wodzem a raczej sędzią we wszystkich sprawach ostatecznym i najwyższym [...]. Religiji był schizmatyckiej greckiej; mieli swoją cerkiew i popa; i to było dosyć nabożeństwa dla hultajów. Żon nie mieli ani kobiety żadnej pomiędzy sobą nie cierpieli [...].

Rolnictwa bardzo mało traktowali; najwięcej bawili się rybołówstwem i chowaniem stad wielkich rozmaitego bydła i koni. Bydło ich rogate różniło się siercią od bydła naszej Ukrainy, było bowiem czerwone; bawili się także handlem ryb suszonych, soli, skór, futer i rozmaitych rzeczy, zdobytych na rozboju, który był celniejszem ich rzemiosłem.

Każdy kompaniówczyk był zapisany w regester, składający owę liczbę wojska czterdzieści tysięcy.

Miał każdy swój dom i kram do towarów, które tam przybywającym kupcom sprzedawali albo za zboża i gorzałkę zamieniali, nie wychodząc nigdy dla potrzeby z siedliska swego.

Kompaniówczyk miał swoich wyzwoleńców czyli sług kilku: 5, 6, 7 i więcej; podług tego, jak się który miał. Kiedy kompaniówczyk podchodził w lata sędziwe, wybierał spośród swojej czeladzi jednego, który mu był najmilszy, prowadził go do kancelaryji i tam uroczyście mianował go swoim następcą. A ten po śmierci takiego ojca swego ogarniał wszystek majątek, reszta zaś czeladzi przy nim zostawała albo się do innych kompaniówczyków rozchodziła; chcąc tedy zostać sukcesorem, trzeba było przyłgnąć do jednego kompaniówczyka i służyć mu jak najwierniej aż do śmierci.

[...] rozbój był drogą krótszą i chwalebniejszą do dosłużenia się rangi kompaniówczyka niż inne usługi przy boku swego pryncypała. Jeżeli siedm lat szczęśliwie rozbijał, już miał w rękę ascens na pierwsze miejsce wakującego kompaniówczykostwa; lubo się tego szczęścia niewielom dostawało, bo ich od polskich podjazdów dużo ginęło, jako się niżej da widzieć lepiej.

Drugą zasługą jeszcze krótszą od rozboju, acz nie tak estymowaną, było kucharstwo. To przez dwa roki bez nagany odbyte czyniło kucharza kompaniówczykiem. Ale praca ledwo znośna: każdy kureń to jest chorągiew miała swego kucharza; ten dzień i noc musiał mieć gotowe jadlo dla przybywających w różne godzinyienne i nocne od różnych zabaw kozaków. Był razem kucharzem i szafarzem; powinien był wcześniej starać się u starszego chorągwi o to, czego mu do

kuchni brakowało. Nie gotował tam żadnych wymyślnych potraw ani rozmaitych, tylko dwie raz na raz, całym traktamentem kozackim będące, z skarbu szafowane: kasza jagłanna, rzadko w mięsne dni słonina, w postne olejem okraszona, i bigos z ryb suszonych bez wielkiej przyprawy. Nalewał i nakładał tych potraw w koryta podług miary, jak ich ubywało. Kozak przyszedłszy bądź jeden, bądź więcej, siadał w czubki przy korytku, dobył łyżki od pasa i jadł tego i owego, póki mu się podobało; gotowały się te potrawy w kociołkach miedzianych, na trzech kijach nad ogniem zawieszonych. Tenże kucharz miał w dozorze swoim tytuń, który także, jak strawę wyżej opisaną, z skarbu na kurenie rozdawano. W każdym kureniu niedaleko korytek stało kilka hulki wielkich glinianych, mających dokoła po kilka dymników, czopkami, na sznurkach przywiązanemi, pozatykanych; kiedy który kozak nie chciał ekspensować swego tytoniu, siadał do generalnej hulki, wyjął czopek i założył swój cybuch w dymnik, ciągnął, póki mu się podobało; kucharz zaś dawał baczenie na hulki i nakładał raz za razem tytoniem, skoro były wypróżnione; do jednej hulki mogło się zmieścić i ośmiu kozaków, jeżeli mieli cybuchy długie; podług długości tychże robił się cyrkuł obszerniejszy, a tem samem do przyjęcia i pomieszczenia więcej palaczyów sposobniejszy. Odchodząc od hulki, każdy kozak zatknął swój dymnik czopkiem, na sznurku przy hulce wiszącym.

Jeżeli kucharz był ospały i nie pilnował swojej powinności w tych dwóch artykułach, każdy kozak, nieznajdujący dla siebie jadła lub tytoniu, miał prawo wykropić mu skórę batogiem, a oprócz tej kary częste skargi, na niego zachodzące, sprawiały mu degradację.

Że tedy takie były publiczne stoły i tytonie z skarbu przeto żaden kompaniczek swoim wyzwolencom nie dawał wikt, tym, którzy dla niego w rybołówstwie, myślistwie, pasieniu trzód lub w rolnictwie pracowali, wyjąwszy tych, którzy przy boku pańskim na zawołanie być musieli. Jurgieltu też pewnego żaden wyzwoleniec nie brał; należało do szczodrobliwości kompaniczka udzielić mu co z tych pożytków, około których dla kompaniczka wyzwoleniec pracował.

Trunki w szynkowniach były przedawane: miód, wino i gorzalka; ta ostatnia kozakom najlubsza i najpospolitsza. Wolno było każdemu za swój grosz pić tyle, ile się podobało, byle swojej powinności nie opuścił i hałasu nie robił; bo za te występki surowo karano. Dla czego, choć w Siczy mieszkali najgorsi z całego świata ludzie, apostatowie od wiary i innych zakonów, infamisowie, zbiegowie kryminalni z rozmaitych stron, skromność atoli wielka tam panowała i bezpieczeństwo tak wielkie, iż żadnemu podróżnemu z towarem, po towar, lub w innym jakim interesie do Siczy przybywającemu, włos z głowy nie spadł; pieniędzy, nawet gdyby na środku ulicy położonych, nikt nie ruszył. Albowiem naruszenie osoby lub majątku cudzego, bądź tamtejszego mieszkańca, bądź gościa, śmiercią natychmiast karano, na kogo tylko padła suspycja, dla którego rygору wszyscy zaraz starali się o wysledzenie winowajcy, skoro się w tych dwóch przypadkach jaki występok pokazał. Takie prawo ludzkości rozciągali aż do granicy swojej, dalej zaś nie służyło, tylko

tym, którzy, pozbywszy lub nabywszy w Siczy towarów, powracali z niemi do domów z paszportem od koszowego. Jadącym zaś do Siczy i prowadzącym towary było wszelkie bezpieczeństwo zaraz od mety zaczynającej step siczowy, to jest puste pole, które do Siczy prowadziło z osiadłej Ukrainy.

[..]

W ziemię tatarską, jako sąsiedztwem bliższą, wpadali rozmaitemi czasy. Tam pospolicie tylko zajmowali z pastwisk stada koni i bydła rogatego, z którym co prędzej wplaw uchodzili przez rzekę na swoją stronę, za którą Tatarowie nigdy ich gonić nie śmieli, widząc odpór gotowy, od swoich sił mocniejszy, i kontentując się tem, co przed rzeką odbili i którego hajdamakę zatłukli. Głęboko w Tatarczyznę nie wkraczali ani siedlisk tatarskich nie plądrowali, ponieważ Tatarowie, będąc takimiż rabusiami, jak i hajdamacy, zawsze wsieść na konia i skupić się na swoich najezdniczkach gotowymi byli; a tylko nad brzegiem dawali baczenie, gdzie Tatarowie z swojemi stadami koczują; ukradkiem tedy napadłszy na Tatara mniej ostrożnego albo drzymiącego, wpadli na niego zniemacka, co w polach dzikich, wielkimi trawami zarosłych, uczynić im nietrudno było [...] i co prędzej zawinęli się około stada; jeżeli mieli zajmować konie, tedy uważali, który ogier wodzi stado; na tego złapanego wsiadłszy, jeden hajdamak krzyknął i co tchu do rzeki pędził, a stado zhukane za nim drudzy hajdamacy z tyłu na innych koniach schwytyanych poganiali. Lub jeżeli im czas nie pozwolił ująć żadnego konia, pieszo się w owych trawach do rzeki zmykali, bydło zaś rogate, jak najciszej zająwszy, takimże cichaczem, pospieszając ile możności, w rzekę wpędzili, gdzie na nich czekali inni kozacy w czólnach, tak dla przewiezienia swoich, jako też dla odparcia pogoni tatarskiej.

Na Ukrainę polską wychodzili zawsze na wiosnę, a powracali przed zimą; wyszedłszy z Siczy w sto, dwieście lub trzysta koni, rozdzielali się na partyje, co czynili najprzód dla tego, żeby więcej kraju zasięgnąć mogli; druga: żeby komendom polskim, ściągającym się za nimi, łatwiejsze roztargnienie uczynić mogli; trzecia: żeby razem wszyscy, gdyby zostali pokonani, nie zginęli; czwarta: żeby się łatwiej w małych partyjach ukrywać mogli. Formowali z siebie dwojaki kupy, nigdy z sobą nierozłączne, ale osobno szczęścia szukające: jedni plądrowali konno, drudzy pieszo. Jak jazda, tak piechota innej nie zażywali broni, tylko spis i samopałów; piechota, sposobniejsza do ukrycia się w wielkich trawach ukraińskich, trudniejsza była naszym do zniesienia niżeli jazda, razła bowiem naszych z samopałów, nie będąc widziana; a jeżeli była dokoła obstąpiona, broniła się do upadłej tak, iż często nasi, wzięwszy mocną plagę, odstąpić ich musieli; albo też oni sami, doczekawszy się nocy, z pośrodku nich wymknąć się potrafili. Gdy już tak blisko podjazd polski natarł na hajdamaków, że już dalej uchodzić nie mogli, stanęli w szyku i, zdjawszy czapki, uczynili Polakom pokłon, a dopiero zaczęli się bronić, co czynili częścią przez zuchwalstwo, częścią dodając sobie serca.

[...]

Ci, którzy szczęśliwie powrócili do Siczy, połowę zdobyczy oddawali swoim kompaniczynom, a kompaniczynowie dziesiątą część tej połowy koszowemu; takiż podział był koni i bydła, Tatarom zabranego.

[...]

Na pięćdziesiąt hajdamaków trzeba było naszych dwieście, trzysta i więcej, aby ich zwyciężyli; równej lub mało większej liczbie nigdy się pobić nie dali. To już wszystko, co mogłem w pamięci utrzymać i com słyszał pewnego o wojsku autoramentu polskiego i regularnym nieprzyjacielu Ukrainy, hajdamakach. Jako zaś celem moim jest pisać o obyczajach polskich za Augusta III, tak nie mogę pominąć tego, lubo mam za bajki i gusła, że Polacy wierzyli mocno, iż między hajdamakami wielu znajdowało się charakterników, których się kule nie imaly. Powiadali nieraz z przysięgą, że widzieli hajdamaków, zmiatających z siebie kule, które w ich twarz albo piersi trafiły, że, wyjmując takie kule z za pazuchy, nazad na Polaków odrzucali. Dla czego nasi, ten zabobon przemagając, robiąc kule na hajdamaków, lali je na pszenicę święconą, to już ta kula miała się chwycić hajdamaka.



Ilja Riepin, *Kozacy pişu list do sultana*
Ілля Рєпін, *Запорожці пишуть листа турецькому султану*
1880–1891

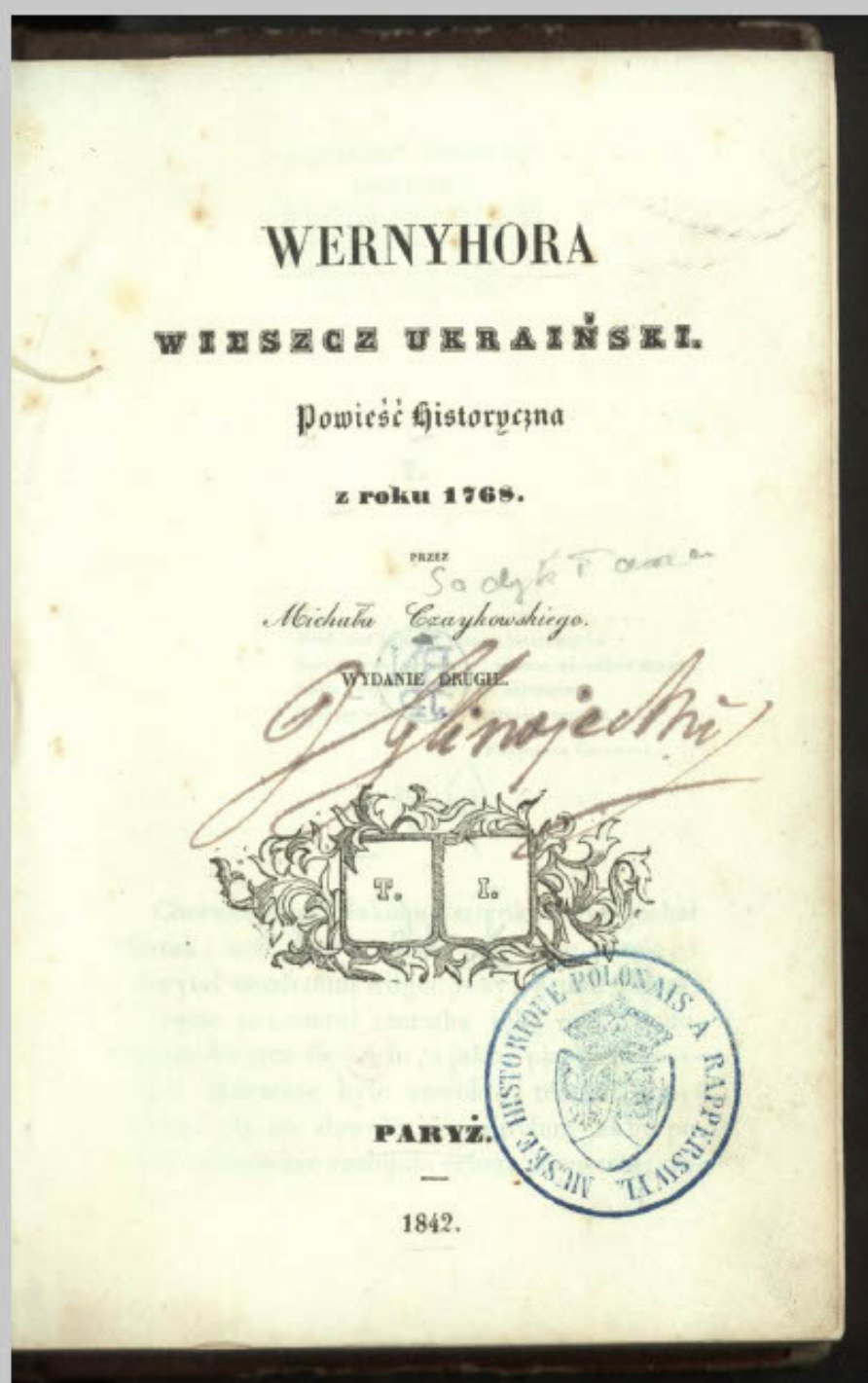
Michał Czaykowski (Sadyk Pasza)

(1804–1886)

Wernyhora, wieszcz ukraiński.

Powieść historyczna z roku 1768 [fragmenty]

(1838)



I.

.....
Brzęk czar zagłusza wrzawę biesiadników ;
Śmiech pusty w mowie , w sercu wściekłość wrząca ;
Radzą i piją — a z pośród okrzyków
Mysł się wykrada krwi bratniej pragnąca. . . .

FRANCISZEK GRZYMAŁA.

Chersońskim szlakiem, szeroką stępą jechał
Kozak; koń jego wnurzył głowę w ziemię, i
chwycił nozdrzami wilgoć rosy; Kozak dumiał,
i często przecierał szorstką ręką oczy, nade-
dnem klejące się snem, i jakby piaskiem zasy-
pane. Milczenie było szerokie, tentent kopyt
słyszeć się nie dawał; ziemia pyłem jakby pu-
chem usłana nie rozbijała echem powietrza; cza-

sami tylko brzęknął pałasz o strzemię, czasami ręka mimowolnie klasnęła nahajką po tebinkach siodła, i koń głucho podzwaniał wędzidłem za każdym kiwnięciem głowy. W tém słońce rzucało na świat jasne promienie, lekkie jak myśli dziecięcia, urocze jak spojrzenia młodej dziewczyny; i pluskało je w kroplach bujnej rosy, zawieszonych na bujniejszych jeszcze burzanach; a kiedy promienie wzniosły się w górę; oświeciły zawiędlą twarz Kozaka, i czepiały się po szpakowatym wąsie, po baraniiej czapce, i kraśnym kołpaku, a jak nadobna i zalotna niewiasta w zwierciedle, z takim zalotem przezierały się w stalowej pochwie i rękojeści krzywój szabli; strzepnął się koń i rzeświejszym chodem zaczął kroczyć; strzepnął się Kozak na siodle i rzeświejszym wzrokiem zaczął wodzić do koła.

W prawo ku wschodowi, gdzie się obłoki zdają przytykać ku ziemi, malowały się w dali wierzchołki stuletnich dębów; na tém ciemném tle, plamki białawe rozmaitych kształtów, nieporządnie rzucone, ale zgromadzone w jedną kupę; to był Czehryn. W lewo po równinach ciągnących się ku czarnemu szlakowi hula oko, jak po stepie koń ukraiński bez wędzidła; nie ma tam kresu jego władzy i obłok nawet nie stanął na granicy przestrzeni; gdzie niegdzie tylko sterczą mogiły, zabytki sławy kozackiej, albo

slady szlaków tatarskich; drożyny jak wąż kręte snują się i przecinają po zielonych polach, a tuman oparu wznoszącej się rosy, wiał nad żyznymi niwami zboża: po nad brzegami Tiasłyka dwa szeregi kiciastych oczeretów, potrząsają swe głowy, biją pokłony wschodzącemu słońcu; dzikie tabuny koni bez stróza hasają i krzyżują się po nieornym stepie, a stada siwych wołów spieszą na paszę i rykiem napęniają powietrze. Kiedy niekiedy doleci do ucha dzika nóta dzikiej dumki młodźców, nucących pierwiastkową swobodę, wojenne czyny mieszkańców Zapo-
 • roża. Wszystko tu czarowne. O luba kraino! któżby cię widział a nie pokochał, a pokochawszy nie chciał żyć i umierać na twojej błogiej ziemi.

Niedojeżdżając do łysiej mogiły, Kozak rzucił się w lewo, a skręciwszy kilka razy w zygzak po nad głębokim jarem, ujrzał w dolinie stare olchy i białe brzozy, co tak drobnym liściem drgały, jakby gęste łąy ronily. Z pomiędzy nich wyciera biała chata i obszerne zabudowanie pokryte słomą, dalej wystawiały czoła stogi jeszcze zaprzyszłorocznego zboża; tam Tiasłyk wpadał do Tiasminy, jak brat w objęcia czulej siostry; to był futor Hołowatego, tu kres drogi Kozaka.

Zatrzymał się przed wrotami, zsiadł z konia, przeciągnął się parę razy, podniósł ramiona ku

niebu, ziewnął, otarł pył i rosę z czoła i włosów, zdjął siodło, uzdeczkę, potarł grzbiet koński suchym kłapciem siana, a świadomy miejsca, otworzył boczne wrota wiodące do pastownia, i puścił tam brata konia; koń parsknął, i uszedłszy kilka kroków, stanął, grzebał nogami, a potem zwałił się na ziemię, i ziemia stęknęła i on stęknął, a wytarzawszy się, świsnął między inne konie gryść trawę, przeplataną koniczyną i pstrém kwieciem. Kozak rad że koń zdrow, zabierał się do otwierania wrót, kiedy wybiegł przeciw niemu silny parobek i począł go witać uprzejmie. Podróżny rzekł: « Jak się masz Iwanie? a jest Hołowaty?

— Jest ojcie Dudarze i gości niemało.

— Kto i zkąd?

— Błahoczynny z Czehryna i drugi Pop: musito być Protopop, bo go bardzo poważają; kilku ze starszyny zaporozkiéj, nierejestrowców siła i jakiś niby to Kozak, niby to graf z Petersburga.

— No Iwanie weź kulbakę, złóż pod szopą, ja pójdę zajrzeć w oczy tym kawkom co się zlatują na kozaczyznę, jakby to ona była już ścierwem.

Przewiesił kołpak, skrzył wąż do góry, poprawił szablę i żwawym ale poważnym krokiem zmierzał ku chacie. Na twarzy jego choć dobrze

wiekiem przyradlonój, iskrzył się zapal, który co chwila jak proch wybuchnąć gotów; psy nie-szczekały, ale obijając boki ogonami, kładąc uszy po sobie, z łaszczącym się wzrokiem, biegły witać dawnego znajomego, a dzieci grzebiące w piasku, powyskakiwały i plaskały w dłonie wrzeszcząc.

— Dudar! Dudar! to to nam bajki będzie pra-wił!

Lubił Dudar dzieci, bo miał serce czułe, a choć bezzenny bo Zaporozec, dusza się w nim rozrzewniała na widok niemowlęstwa, niewin-ności, ten wizerunek najswobodniejszej chwili życia ludzkiego; lgnął do nich i przywiązywał się, jak się przywiązuje stary koń do małego zrzebięcia; jednak teraz powitał je tylko okiem, z lekka odegnał skaczące psy koło niego i kro-czył dalej do pasieczyska, bo mu pilno, a tam zajrzał starego Hołowatego.

Wszedł i niezważał na oberemek spīs opar-tych o strzechę stebnika, na kupę kulbak, na rozrzucone czapki i na ludzi przeciągających się we śnie pod szopą.

W rogu pasieczyska stał starzec; broda bla-do-żółtawa spadała na piersi, wąs biały zwieszo-ny dwóma strzępami w dół, łączył się z brodą; płócienne szerokie szarawary; koszula ściągnię-ta sinią zaściężką, krótka świtka, krągła czapka

z siwych baranów, wtłoczona na głowę, składały jego ubior. Coś dumiał, coś rozważał, i poglądał niby na gęste rzędy ulów; ale w téj chwili było to raczej z nałogu jak z chęci, bo niewiedział jak obfitą korzyść niosły pszczoły, ani wnioskował który rój zdolny będzie przetrwać zimę; wszystko to brzęczało w uszach, migotało złocistemi skrzydełkami przed okiem, niezatrzymując uwagi; inne tam myśli zagnieździły się w jego głowie. Jakby ze snu męczącego nasuwaniem czarnych mar, ocucił się Hołowaty przyjściem Dudara. Dawna przyjaźń i otwartość jaka panowała między nimi, spędziły tę chmurę posępnych myśli.... może ją tylko stłumiły na czas jakiś. Powitali się wzajem szczerém uściśnięciem, każdy złożył radośny pocałunek na ustach przyjaciela.

—Cóż tam u was słyhać panie Hołowaty, może chrzciny u której z córek, bo są i popy; może wnukę wydajecie za rażnego nierejestrowca, a może?.... może coś knujecie o czém my nie wiemy?

— Oj nie chrzciny to, nie wesele kumie Dudarze. Laccy pankowie się rozegrali, zawiązali konfederacyą w Barze, i do reszty chcą wleść na karki naszym; ale Bóg się zmiłował i natchnął Carycę Moskwy, aby nam pomoc przysłała....

Na imie Moskwy wszystkie żyły wstrzę-

sły się w Dudarze, jakgdyby miała go napaść wielka choroba : ale wkrótce ostygł, bo gniew rozpałił, a rozważa ochłodziła.

— Słuchaj Hołowaty, złe to przymierze z Carycą, ona jak wilk chce włożyć łapę na wóz, aby potem i nas zdusić i wóz opanować. Lach się wyszumi i przyjdzie do rozumu : jak trwoga to do Boga; naciśnie Moskwa, napłoszy Tatarzyn, zaraz z nami Lach się brata, połączymy się razem, wypędzimy wroga, a potem z sobą po bratersku się porachujemy.

— Oj wy tam za porohami niewiecie co się tu dzieje. Lud Ukrainy we łzach i nędzy brodzi, wśród bujnych niw z głodu umiera; a swawola szlachty znęca się nad wstydem żon i córek nie rejestrowców : a ktokolwiek śmie wspomnieć o swobodzie, to konać musi w męczarniach pod chłostą nieludzkich gubernatorów i ekonomów.

— Toć prawda, ale na to jest lekarstwo; alboć to u nas niéma mołodźców, co wysuną na poskromienie tego nieładu, nauczymy ich nie tylko jak żyć u nas, ale jak mają się sprawować u siebie. Znajdą się w kureniach Pawlukii, Nalewajki; ale niech nas Bóg broni od związków z Moskwą. Lach nagrzeszył, to niechaj i odpokutuje, ale wolę z nim jak z Carycą. Bezpieczniejszy ten pies co szczeka, jak ten co potajem chwyta,

na tamtego nahajka, a tego i sam djabeł się nieustrzeże.

— Wszystko to dobre co ty mówisz kumie, ale trzeba aby się krew lacka poląła. Nie taka to Caryca zła, jak się wam zdaje; ona nam swobodę i grecką wiarę, a Lachy niewolę i nawrócenie na ich przeklętą łacinę obiecują.

— Hołowaty! patrz na wschód, widzisz jak kopuła blaszana cerkwi Sobotowskiej kąpie się w obłokach; jak świeci na tém Niebie jakby jasna gwiazdka, takby jaśniał nasz Chmielnicki na kozaczyźnie, gdyby się był niezwiązał z Moskwą. Ciężko on odpokutował za swój grzech. Na śmiertelném łożu wyrzekł te słowa: « Zawiniłem przed Bogiem i przed wami, oddając « kozaczyznę w opiekę Cara Alexego; lepszym « byłby sprzymierzeńcem Bisurmanin carogrodzki, albo Tatar perekopski jak Moskwa, « Wracajcie do Lachów i trzymajcie się z nimi. » I wyżto pod okiem miejsca gdzie się urodził i zrosł pokutujący Ataman, będziecie robić haniebne układy, co zniszczą do szczętu naszą wolność?.... Wierzcie mi, skarćmy Lachów, ale niezrywajmy z nimi; dopótyśmy cali, dopóki razem; brat bratu wszystko przebaczy, ale jak obcego wprowadzimy między nasze swary, to i dziegiem go potem nie wykurzymy; wolałbym ja słuchać dumkę grobową pa moim bułanym,

jak chytre słowa posłanników Carycy. O! one jak pieprzyca miodem posmarowana; pożałujecie kiedyś, ale może zapóźno żeście ją w usta wzięli.

Przybycie trzeciój osoby przerwało rozmowę; był to Błahoczynny Czebryński, w czarnej rasie długiej za kostki; włos ciemny gładko zamuskany nad środkiem czoła dzieląc się na dwie równe części spadał na plecy i tył ramion; na twarzy nosił wyraz Judasza, wtenczas kiedy zaprzedał Chrystusa, a chciał łudzić jeszcze Mistrza udaną gorliwością o wiarę i jego osobę. Hołowaty z całą pokorą powitał, całując go w rękę, Dudar skłonił głowę nisko, ale z tak niecierpliwym ruchem jak koń kiedy go ubodzie w podniebienie ostra szubienica munsztuka: wziął się w boki i przechylił na szablę, a po skrzywieniu wargi widać że mu nie do smaku osoba ojca Bazylego.

— Niechaj Bóg zsyła błogosławieństwo, » rzekł Błahoczynny Bazyli zegnając znakiem krzyża świętego, « na wiernych synów przeczystej wiary. Jakież to anioł sprowadził was Asawuło Serykowskiego kurenia w te progi, gdzie wybrani radzą o wybawieniu Izraela z niewoli Egipskiej? czy Duch święty zesłał promień opamiętania na waszego Atamana kurennego, czy

Henryk Rzewuski

(1791–1866)

Pamiętki JPana Seweryna Soplicy, cześnika parnawskiego

[fragmenty]

(1839–1841)

Sicz Zaporoska

Chociaż urodziłem się Litwinem, ziemianinem nowogródzkim i to mam sobie za zaszczyt, przy tem wzdłuż i wszerz, i nie raz poznałem całą Polskę, muszę przyznać, że Ukraina jest najpiękniejszą naszą dzierzawą. Tam ziemia prawie bez pracy obdarza rolnika, bydło tuczy się bez dozoru, mnóstwo koni i owiec okrywa pastwiska, a śpiewy wieśniaków i uroda wieśniaczek dowodzą, jak błogie jest ich życie. Słyszałem, że od czasu zaboru, gdy ogromne majątki naszych dawnych panów, rozdrobiły się między przychodniów różnego gatunku, którzy częstokroć za kradziony grosz ponabywali swoje dziedzictwa, namnożyło się podpanków, a tych nieludzkość do smutniejszego stanu przyprowadziła rolników tamecznych niż gdzie indziej niewdzięczność roli. Wszystko to być może; ale mówię tylko o tem co było za moich czasów i na com patrzył.

Pierwszy raz, kiedym poznał Ukrainę, nie była pora po temu zastanawiać się nad jej pięknnością. Było to w roku 1763, gdy po przegranej naszej z Podgoryczaninem, ze szczątkami konfederacji litewskiej, szybkim przechodem i ledwo nie co dzień bijąc się, przebiegaliśmy cały ten kraj szeroki, żeby czem prędzej dostać się na Wołoszczyznę [...].

Ale w lat kilka potem miałem lepszą sposobność przypatrzeć się Ukrainie, kiedy po zawiązaniu się konfederacyi barskiej JW. Ogiński, wojewoda witebski, wysłał pana Azulewicza, Tatara, ale obywatela zacnie urodzonego, co był później pułkownikiem lekkiego pułku w wojskach Rzeczypospolitej, a ze mną sąsiedował aż do śmierci w wiosce swojej dziedzicznej. Otóż z rozporządzenia jeneralności JW. Ogiński wysłał go do Islam Giraja, chana krymskiego, aby przy nim prowadził interesa konfederacyi i do niej się zgłaszał, o każdej rzeczy donosząc. Dla przesyłania wiadomości, które tylko ustnie mogły przechodzić, bo nie było sposobu w papierki się wdawać, wyprawiono z nim nas czterech młodzieży, na których spuścić się można było. [...] Trzeba było nam udać się naprzód do Siczy Zaporoskiej. Semen Kozyra, koszowy zaporoski, co zostawał w ścisłych stosunkach z konfederacyją barską, skończył był dopiero życie, jakeśmy się o tem dowiedzieli w Humaniu, i nadchodziły wybory na jego następcę. Ta strata była dla nas

bolesną, bo on nam był przyrzekł przyłączyć się do nas z wojskiem, którego więcej trzydziestu tysięcy mógł zebrać. Tym sposobem konfederacja wzmocniłaby się na Ukrainie, której większa część była własnością panów bądź nami dowodzących, bądź przynajmniej nam przychylnych, a przy tem wojska tureckie i Tatarów krymskich jak by weszły, niezawodnie cała Ruś zostałaby oswobodzoną. Szło nam o to, aby nowy koszowy był nam przyjazny, a mieliśmy po sobie Dzumdzuryka, pisarza Siczy, który tem mocniej nam pomagał, że był podobno rodowitym szlachcicem polskim. On to skłonił ku nam Semena Kozyrę, bo miał być człowiekiem odczytanym, bardzo przebiegłym i wielką miał wziętość w całym Zaporozu. Byłby sam teraz wyniesiony na stopień koszowego, co by dla nas było bardzo pomyslnie, ale że wedle ich praw koszowy nie powinien był umieć ni czytać, ni pisać, więc musiał poprzestać na pisaniu, która była drugim stopniem dostojęństwa. Pan Władanowicz wyprawił nas do Siczy z gorzałką swojego skarbu jako niby należących do ekonomii humańskiej. Z batogami w rękę, idąc przy podwodach wołowych, raz tylko byliśmy zatrzymani przez Dońców, ale za okazaniem świadectwa ekonomii puścili nas natychmiast. Dodał nam był pan Władanowicz kilku doświadczonych Kozaków humańskich, co już nieraz gościli w Siczy, a my dawaliśmy się im powodować tem chętniej, żeśmy widzieli ich szczerze przywiązanymi do wspólnej naszej ojczyzny. Przybywszy do Kahorlika, miasteczka do włości humańskiej należącego, gdzie właśnie kończyła się Rzeczpospolita, trafiliśmy na czas jarmarku. Lubo miasteczko składało się tylko z wielkiej karczmy skarbowej nad samą Siniuchą i z kilku domostw żydowskich, zjechały się na jarmark tłumy Tatarów, Kozaków, chłopów i Żydów dla kupna lub przedaży koni, bydła, łoju, ryby suszonej, smoły i innych tamecznych towarów. My z podwodami stanąwszy przy karczmie, a woły na paszę puściwszy, weszliśmy do izby szynkowej i zastaliśmy w niej mieszaninę różnych narodów. Wieśniaczki ukraińskie uderzyły nas wykwinnością swoich ubiorów. Widać było, że bogatszy kraj niż Litwa nasza. Na każdym prawie żupanie galony błyszcząły, a co tam było koralu! Na jednej szyi czasem na kilka tysięcy. Kiedyśmy weszli, wszyscy wtedy słuchali z największą uwagą ślepego bajarza, co grając na lirze, śpiewał im różne wypadki, bądź z Pisma Świętego, bądź z dziejów ukraińskich. Jedna pieśń jego opowiadała dokładnie najdrobniejsze okoliczności porwania księżniczki Ostrogskiej przez kniazia Dymitra Sanguszkę. Uważałem, że najwięcej zajmowało Ukraińców, kiedy wyliczał dobra Kniazia Dymitra, szlachtę i Kozaków jego dworu, jako też dobra księżny Ostrogskiej i sług jej płci obojej, wszystkich nazywając po imieniu. To jak wymieni jakie imię, co je nosi który z parobków lub która z dziewczek przytomnych, zaraz powstaje śmiech i palcami pokazują tego, kto wymieniony. My ubrani jak chłopcy ukraińskie nie zwracaliśmy na siebie oczu. [...] pan Michał ciągle z litewska coś plół pięknej dziewczynie i mógł tem nas wszystkich w niebezpieczeństwo wprowadzić, bośmy mogli natrafić jeszcze na moskiewską komendę; dopiero byłaby bieda! Nic wszakże nie mogło pana Michała

oderwać od Ukrainki, która choć czasem naśmiewała się z jego mowy, okazywała jednak, iż mu rada. Ja, lubo nie starszy od niego, tylko śpiewem bazarza byłem zajęty. Z tego śpiewu dowiedziałem się, że Artur Jełowicki, dziedzic czternastu wsi, był marszałkiem dworu księżny Ostrogskiej, że na czele jej ludzi nadwornych tak się był wstawił pod Suczawą przeciw Wołochom, że mu król Zygmunt ofiarował chorągwo nadworne litewskie; ale on nie przyjął tego zaszczytu z powodu, iżby księżna Ostrogska bez niego swemu dworowi rady nie dała; on zaś wzrósłszy na usługach u kniazia Ilii, miał sobie za obowiązek nie opuszczać jego wdowy, a według Ewangielii dwóm panom służyć nie można. Jakoż dopiero po jego śmierci kniaz Dymitr najechał zamek ostrogski. Dowiedziałem się także, że kniaz Czetwertynski, dziedzic Kitajgradu, który Kniazom Dymitrowi i Wasilowi towarzyszył w tym najeździe, był synem Ostafieja, co swoim kosztem utrzymywał pułk Kozaków dla Rzeczypospolitej i wielce się jej zasłużył. Bardzo mu się chciało kasztelanii braclawskiej, którą miał już sobie obiecaną od króla; ale panowie rada nie dopuszczali spełnić tej obietnicy, żądając, aby wprzód na wiarę rzymską przeszedł i dał dobry przykład innej szlachcie ruskiej. Gdy więc będąc szymatykiem twardym i mówić sobie o tem nie pozwalał, a z powodu niedotrzymania słowa był nieco rozjątrzony. Patrijarcha moskiewski dowiedziawszy się o tem, wyprawił do niego jakiegoś ihumena z propozycją, aby do cara przylgnął, za co nie kasztelanem, ale kniazem udzielnym braclawskim zostanie, i będzie miał porę pomścić się nad Rzeczpospolitą, która krzywdą odpłaca jego zasługi; a on mu na to odpowiedział: „Skaży temu, kto tebe przysłał, szczo kniaz Jewstafij Czetwertynskij didycz Kitajgorodu, a połkownyk korola i Riczypospolitoj Polskoj tobi skazaw, szczo maty persze pobje, a potim pomyłuje, a matczycha persze pomyłuje, a potim pobje”. I z tem go odprawił. Jak skończył bazarz śpiewać, a czapkę nadstawił, piętaki w nią padały, że aż się przepełniła.

Potem młodzież wzięła się do pląsów: pierwszy raz widziałem jak kozaka tańczą. Osobliwie jeden młodzian prześlicznej urody, z niewypowiedzianą zgrabnością tańczył przysiuady, jak oni nazywają, przy samej ziemi robił, do góry skakał i znowu spadał, hołubce bijąc; a to wszystko grając na bandurce, po naszymu teorbanie, i śpiewając ukraińskie miłosne piosenki. Dziewki ledwo go oczami nie zjadły. Ale co nas uderzało najwięcej, to kilku Kozaków, których strój przepychem znacznie się różnił od wszystkich innych. Mieli szarawary granatowe z galonem złotym szerokim, półkontusze paşowe z wiszącymi wylotami, żupaniki z białego atlasu, pasy jedwabne z fręzlami złotymi i czapki wysokie z siwego baranka, na wierzchu których wisiał jakoby worek paşowy z kutasem złotym. Od kobiet widocznie stronili i usuwali się skwapliwie, kiedy przypadkiem która się do nich przybliżyła; ale wszystkich mężczyzn znajomych i nieznajomych gorzałką i miodem traktowali, obowiązywali do picia, i sami tego pili. Żyd arendarz wiadrami na ich rozkaz trunki nosił; a co przyniesie wiadro, natychmiast już próżne. I nas także częstowali

z prostą, ale uprzejmą grzecznością, tak, żeśmy nie mogli im odmówić spełnienia pary szklanek miodu. Tu mnie wzięła taka ciekawość, że lubom postanowił sobie ust nie otwierać, zapytałem Żyda, co to są za ludzie tak bogato ubrani. A on mnie: „Co to wy cudze, że nie znacie zaporoskich Kozaków? Oni w dziesięć podwód z rybą chodzili do Humania i rybę przedali; ale że dowiedzieli się, że ich koszowy pomarł, nie mieli czasu tam zarobku swego przepić, bo spieszą nowego wybierać. Teraz z próżnemi furami na Kahorlik wracając do Siczy, tu wozy i woły poprzędawali; to moje szczęście! Wszystko przepiją u mnie i goli do siebie powrócą. Te bogate żupany oni w Humaniu sobie posprawiali, bo na Siczy nie godzi się im tak się stroić. Nim słonko zajdzie, to wy ich zobaczycie tak, jak chodzą u siebie”. Odpowiedź Żyda jeszcze więcej zaostrzyła moją ciekawość i niecierpliwie wyglądałem wieczora, gdyż dopiero przed samym zachodem słońca mieliśmy dalej ruszać dla nieznośnego w dzień upału. Ale nie miałem potrzeby tak długo czekać: ledwo parę godzin upłynęło, zaczął Żyd ich rachować i zabrał im wszystkie pieniądze, że każdemu po kilka piąтакów tylko się zostało. Naówczas kazali podać sobie kadkę napelnioną dziegciem: i jeden po drugim w pięknej swojej odzieży w nią włożył, i zanurzwszy się po szyję, wylał z kadzi, rozbierał się i cały ubiór, jakby gardząc marnościami świata, na ulicę rzucał, razem z czapką równie powalaną, aby to wszystko zabrał kto zechce. Potem wdziawszy koszule w łoju zmazane i siermięgi brudne, w których wyjechali byli z Siczy, wzięli w ręce batogi i wyszli dobrze pjeni, nikomu nie mówiąc bywaj zdrów. [...]

Dwa dni jeszcześmy szli gołym stepem: ani pagórka ani drzewka nigdzie nie było widać; tylko ogromna przestrzeń podobna do spokojnego morza, rozciągała się przed nami. Gdzieniegdzie sterczały mogiły oddalone jedna od drugiej w pewnym wyrachowanym porządku; mogiły te służą Kozakom do stawienia czatów i do poznania drogi w czasie zimowych zamieci. Często także spotykaliśmy błakające się, w pół zdziczałe trzody, które zimą i latem pasą się pod gołym niebem. Tak bezludną przestrzeń przebywszy, stanęliśmy w Gardzie nad Bohem, gdzie się zaczynały posiadłości siczowych Kozaków. Tam między skałami były porobione jazy, czyli tamy do łowienia ryb, i tam zastaliśmy assaulę, przy którym w niebytności pułkownika będącego w Siczy na wyborach zostawało dowództwo pułku korsuńskiego, stojącego w Gardzie na straży. Gdy nasi Kozacy zameldowali nas assaulę, przyjął on cały nasz orszak uprzejmie i dodał nam dla konwoju jednego towarzysza siczowego z buzdyganem żelaznym, wielkim, najeżonym kolcami. Dowiedzieliśmy się od naszych Kozaków, że widok tego buzdyganu jest dostateczną zasłoną od wszelkiej przykrości, mimo zwyczajną skłonność Zaporozców do rozboju; i lubo przechodząc przez ich zimowliki, będziemy często nawiedzani od towarzyszów i ich czeladzi, a każdy będzie pił gorzałkę z podwód, ile mu się podoba, ekonomia humańska na tem nic nie straci, bo byle kufę, choć próżną, przywieźć do Siczy, koszowy za świadectwem konwojującego towarzysza,

iż wypróżniona została po drodze przez Zaporozców, zapłaci za nią jak gdyby była pełna. Ale że Zaporozie dzieli się na 40 pułków, z których każdy nosi nazwisko jakiegoś miasteczka ukraińskiego, jeżeliby przypadkiem konwojowane podwoje jaką szkodę poniosły, pułk, w którego obwodzie to by się stało, całkowitą szkodę winien jest wynagrodzić. [...] Bundur Mamałyg, co był natenczas koszowym, zawarł z ekonomią humańską i smilańską wieczny traktat, przysięgłszy, że już odtąd Zaporozcy rabunków w Polsce popełniać nie będą, byleby za świadectwem władzy swojej mieli wolność przybywać dla handlu do Humania, Smiły i innych dzierżaw domów Potockich i Lubomirskich; nawzajem zaś poddani tych włości opatrzeni w świadectwa officialistów, będą mogli bezpiecznie udawać się do Siczy, jechać przez Gardę. Jeżeli jaki Zaporozec przeciw temu traktatowi wykroczył i choć najmniejszej kradzieży dopuścił się, bądź we włościach pomienionych, bądź na podwodach buzdyganem konwojowanych, koszowy karał go śmiercią po osądzeniu sprawy przez sędziego Siczy, a napisaniu dekretu przez pisarza. Śmierć była zadawana następnym sposobem. Winnego przywiązywano u słupa, stawiono obok niego kadz gorki, a przy niej kładziono stos kijów: każdy Kozak, przechodząc koło niego, gorki się napił i kijem go uderzył, i póty pili i bili, póki mu życia nie odebrali. Takową śmierć niedawno poniósł Tymosz Podkujko, sołowej, ataman i poeta zaporoski, którego pieśni w obu Ukrainach śpiewają: a to z powodu, że gdy koszowy Semen Kozyra (ten sam co dopiero stał się dla nas nieodżałowaną stratą), przyjmując u stołu swojego oficerów moskiewskich przybyłych w interesach carowej, jak u nich we zwyczaju było, przy końcu obiadu kazał sołowejowi grać na bandurze i śpiewać, on, chcąc się gościom przymilić, ułożył naprędce piosnkę, w której między innymi rzeczami było: że Lachy ubodzy, bo choć sami żonki mają, dla ich popów żonek nie wystarcza; Zaporozcy jeszcze ubożsi, bo choć popom dają żonki, sami bez nich obchodzić się muszą; a Moskale najbogatsi, bo mają żonki i dla siebie i dla swoich popów. Otóż po odprawieniu oficerów, koszowy oddał pod sąd Tymosza Podkujkę sołoweja, że ważył się przyganiać ustawom siczowym, i jako przekonany o tę zbrodnię był kijmi ubity, pomimo że i względy u koszowego i wielką miłość miał w całym Zaporozu. Tak wielkie jest u nich uszanowanie dla swoich praw. Rzeczywiście oprócz popów nikt tam nie mógł mieć żony. Popów tych (najczęściej z rozstrzyżonych w Moskwie za hultajstwo) było wszystkiego czterdziestu, to jest po jednym na każdy pułk, i niektórzy z nich tylko byli żonaci, zresztą żadnej kobiety nie było w całej Siczy i żadnej nie wolno było nogą na jej posiadłości stanąć. Ludność zaporoska utrzymywała się to przyjmowaniem zbiegów z Polski, z Moskwy i z innych krajów, to hodowaniem chłopczyków za granicą Siczy kradzionych, których Kozacy przysposabiali za synów i dziedziców swego majątku. Jeżeli Kozak umierał, nie zostawując przysposobionych synów, natenczas jego majątek na dwie części był dzielony; połowę brał koszowy, a druga połowa dostawała się cerkwi pułku, z którego był nieboszczyk. Tym sposobem cerkwie ich przychodziły

do znacznego bogactwa. Koszowy oprócz tego miał wielką wyspę na Dnieprze, gdzie w kilku wsiach osadzeni chłopci żonaci czynsz mu płacili i wyszynk gorzałki do niego należał. Często Kozacy synów tych chłopów przysposabiali. Koszowy i urzędnicy, których tylko było dwóch: pisarz i sędzia, ubogiem odzieniem swoim nie różnili się od prostych Kozaków, a ich skromne mieszkania odznaczały się tylko obszernością sadów. Dziesięcina pszczelna składała dochód pisarza i sędziego. Każden pułkownik pobierał małą jakąś opłatę od koni, bydła i owiec na utrzymanie w każdym kureniu Kozaków, co chleb piekli, jeść warzyli i gorzałkę szafowali dla wszystkich, bądź rejestrowych towarzyszy, bądź ich czeladzi, komu się podobało w kureniu hulać.

Tak rozmawialiśmy [...] o ustawach i obyczajach tego osobliwszego narodu, przechodząc pięknym krajem, co był jego siedliskiem. Bo już nie goły step, ale gdzieś tam okazywały się gaje, a jary zieleniały olszyną i wierzbina, smutno było tylko, że śladu rolnictwa nie widać; żadnej pracy nie chciał znosić Zaporoziec, rolnictwem się brzydził, a nawet sadem rzadko który się bawił: próżniactwo było ich jedyną pociechą. Przybyliśmy do miasta Siczy. Że pułków było czterdzieści, a każdy pułk miał swoją karczmę drewnianą i długą, te czterdzieści karczem składały rynek i to było całe miasto, doliczywszy tylko cerkiew i chałupy protopopa, koszowego, pisarza i sędziego; chałupy obszerne, przy nich wielkie sady, szczególnie koszowego, którego mieszkanie tem jeszcze się odznaczało, że on jeden miał wielką murowaną stajnię, w której trzymał do sześćdziesiąt koni, co było całym jego zbytkiem. Stanąwszy na rynku, poszliśmy prosto do pisarza, któregośmy zastali siedzącego przed chałupą na zydlu i z fajką w gębie. Był to człowiek przynajmniej siedemdziesiąt letni, ale czerstwy. Rysy jego twarzy okazywały coś niepospolitego. Uprzedzony o naszym przybyciu, przyjął nas grzecznie i z panem Azulewiczem rozmawiał jak z poufałym przyjacielem, lubo pierwszy raz go widział. Zaprosił potem nas wszystkich na kwatere do siebie i wprowadziwszy do chałupy, rozmawiał z nami czystą polszczyzną, nawet nieco z litewską. Powiedział nam: „Żle się stało; tylko co obrali koszowym Jura Majborodę. Intryga popów Moskwie zaprzędanych jego wyniosła. Jest to fanatyk, uroił sobie, że jak Polska pozbędzie się Moskali, to zmusi Sicz do unii: z tego powodu owładł nim nasz protopop, zawzięty nieprzyjaciół Polaków, że jego siostrzeńca, jakiegoś czernca motryniańskiego monasteru, co był watażką hajdamaków i w domach szlacheckich okrucieństwa popełniał, wbito na pal w Żytomierzu. Pokąd będzie koszowym Majboroda, nie możecie się spodziewać od nas pomocy. Ja jeszcze przez jutrzejszy dzień wszystko lepiej wybadam; a potem niech który z panów nazad pospiesza do konfederacji z tem, co wypadnie jej donieść. Teraz muszę iść na ceremonię wzięcia koszowego w swój obowiązek, co długo trwać nie będzie; a wy, z daleka stojąc, możecie się temu przypatrzeć: potem wróćcie do mojej chałupy i na mnie zaczekajcie. Będzie ucztą wielką u koszowego, daje on wieczerzę dla całej Siczy: wszyscy się na śmierć popiją oprócz mnie; bo w dzień wyboru koszowego i obchodu jego rocznicy pisarz

żadnego mocnego trunku do ust wziąć nie może wedle praw naszych. Przy nim zostaje władza i prawo chce, aby choć jeden przynajmniej był trzeźwy”. To rzekłszy, wyszedł z papierem i kałamarzem w rękę, a z piórem za uchem, dla spisania aktu inauguracji.

Po niejakiem czasie i my poszliśmy na rynek, gdzie już było mnóstwo Kozactwa przed karczmą pułku czehryńskiego, w której siedział nowy koszowy, niegdyś assaula tegoż pułku. Z wielkimi okrzykami prowadziła go tłuszcza z karczmy do domu koszowego, na dziedzińcu którego leżały cztery wozy przewrócone. Kozactwo natychmiast te wozy ziemią zasypało, tak że się wzniosł kurhanek dość wysoki. Na wierzchołku tego kurhanku siadł nowo obrany koszowy, a czterdziestu towarzyszy rejestrowych, z każdego pułku po jednym, weszli do izby i porządnie zamiótłszy całą chałupę, wszystkie śmiecia w ogromny kosz zebrali, tak że się nappełnił, potem zanieśli go na kurhanek i z trudnością dźwignąwszy w górę, wywrócili na głowę nowego koszowego, który zupełnie został obsypany, a pisarz głośno wyrzekł: „Jak widzisz się okrytym tem śmieciem, tak w każdej potrzebie znajdziesz nas wszystkich koło siebie”. Na tem skończyła się cała ceremonia inauguracji naczelnika Siczy, który też od owego zwyczaju przewracania na nim kosza, nosił nazwanie koszowego. Zstąpiwszy z kurhanka wszedł on zaraz do domu swojego i odtąd zaczynała się jego władza. Pierwszą jego czynnością było, iż odbił piwnicę swojego poprzednika, skąd natychmiast wszystek miód, wiszniak i gorzałkę Kozactwo wytoczyło, zostawując loch próżniuteńki. Wszyscy usiedli na ziemi, tak koszowy jak Kozacy, około kotłów napelnionych barszczem, kaszą, kluskami i pieczeniami z różnego mięsiwa. Każdy łyżką drewnianą brał z kotła na swoją misę, ile mu się podobało, i wszyscy poczęli zajądać z wielkim żarłocstwem, co kilka kęsów popijając szklankami wiszniak lub gorzałkę. Pisarz siedział osobno i to jadł, co oni, ale prócz dzbanka wody nie miał innego napoju. Przybyłym kupcom i innym ludziom nienależącym do Siczy, między którymi byliśmy i my, koszowy bardzo gościnnie rozsyłał trunki i w misach jadła, lubo niewymyślne, jednak dość smaczne. Gdyśmy spostrzegli, że mózgownice tak Kozaków, jak i przybyłych zaczynają się zagrzewać spirytusem, wycofaliśmy się z tej zgrai i wróciliśmy do domu Dżumdżuryka, gdzie było nasze *locum standi*.

Nie doczekawszy się gospodarza, około północy poszliśmy na spoczynek. Z rana pan Azulewicz oświadczył mnie, że tylko przez ten dzień wypocznę w Siczy, a nazajutrz o świtaniu z próżnemi podwodami udam się na powrót do Humania i stamtąd mam jak najprędzej spieszyć do jeneralności z doniesieniem, że tu nic wskórać nie mogliśmy, a on sam puścił się do Bakczyseraju, bo cała nadzieja na Tatarach, gdyż od Kozaków siczowych pod Majborodą ledwo tyle spodziewać się można, że na nas nie uderzą. Zaręczył to nam Dżumdżuryk, dodając, iż prości Kozacy sprzyjają Polsce z obawy, aby Moskwa, utwierdziwszy nad nią swoje panowanie, nie ukróciła ich swobód; ale starszyzna prawie cała już zepsuta: popi jej wmawiają, że carowa jak

Polskę zabierze, to starostwa czehryńskie i czerkaskie podzieli między Kozaków na własność, a koszowego, jeśli nakłoni Kozactwo do zaprzysiężenia poddaństwa Rossyi, zrobi hetmanem kozackim i całkowitą osiadłość Siczy da mu dziedzictwem. Tak to ci ludzie spodleni chcieli sprzedać wolność za dostatki, któremi się nie mieli cieszyć, bo Moskwa nigdy nie zwykła usłużnym sobie zdrajcom dotrzymywać obietnicy. [...]



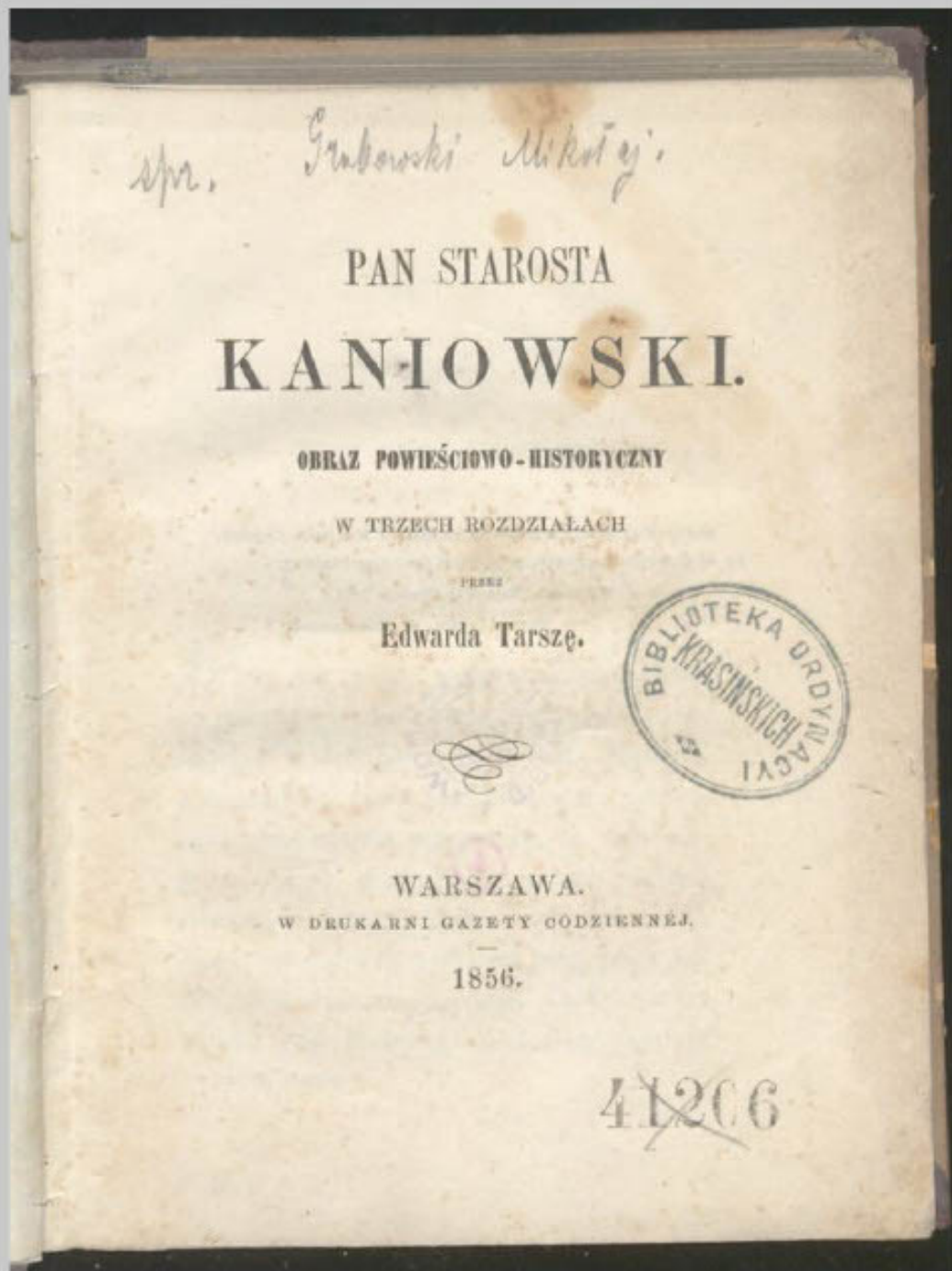
Józef Brandt, *Obóz Zaporozców*
Юзеф Брандт, Запорізький табір
ca. 1880

Michał Grabowski

(1804–1863)

Pan starosta Kaniowski [fragmenty]

(1856)



ści stepu, zbiegało się teraz na jednym jego punkcie. Wieźli swoje ziarna rolnicy, mąkę młynarze, czumacy sól, majdannicy saletrę, wolarze pędzili zgony wołów, czabany olary owiec; a wszystkie te żywe i nieżywe płody całego stepu, miały obok siebie jak na pokaz stanąć.

Już więc z daleka grzmiał hałas wychodzący ze środkowego miejsca tego zbiegowiska, z głębokiej kotliny, w której ogólnym zwyczajem leżał Kahorlik. Był to hałas głuchy i nierozwikłany, jak brzęczącego roju, a naokoło tylko hukanie pasterzy i hajdajów na swoje trzody, miało jakieś podobieństwo do krzyków oblegającego miasto wojska. Sam nawet pozór sceny, którą mamy przed oczami, nie był bez pewnej wojennej cechy: rojenie się ludu na wszystkich drogach i przystępach miasteczka, bieg przyspieszony niektórej części, mianowicie konnej,

ku jednemu celowi, zdawały się objawiać jakiś ważniejszy zamiar niż był nim istotny. Ogromne zgony z różnych dróg idące, a zawsze poważnie i niejako regularnie, były jak ławy piechoty zachodzące sobie w oczy lub starające się nawzajem oskrzydlić; a złudzenie to bardziej się jeszcze powiększało, że wojarze i ich pomocnicy, zwyczajnie konni, z długimi żerdziami lub nawet spisami w ręku, wywijając je górą i promieniując na słońcu, mieli postać prawdziwych wodzów tych postępujących pułków.

Około godziny dwunastej południowej, jarmark Kahorlicki był w całej okazałości, bo główna część przybyłych już weń wpłynęła. Kahorlik dowodzący swoim nazwiskiem odległej starożytności początków, bo sięgający napastniczego władania temi pustyniami Tatarów, był zwyczajna ukraińska miescina. Niedawno zdarzyło nam się czytać w powie-

ści jednego Warszawianina, opis miasteczka Pobereskiego, które składać się miało z kilku nędznych lepianek, a dwóch kościołów katolickich i trzech cerkwi ruskich i to o *pozłocistych wieżach*, to jest z większej liczby świątyni jak chat; nie mówiąc już o ogromnym zamku dziedzica, a pod nim głębokich lochach dla męczenia w nich poddanych. Wszystkie te wymysły bujnej fantazyi, których szczerze zazdrościmy, nie mogą zdać się dla miejscowego powieściopisarza, któregooby zaraz o kłamstwo ktoś pomówił. My więc w skromnym opisie Kahorlika, nic innego położyć nie możemy, tylko, że osada ciągnęła się dość rozlegle po dwu brzegach rzeki dążącej ku Dnieprowi; miała po obu stronach, po jednej cerkwi, ale obiedwie bez *pozłocistych szczytów*, a tylko z pięcią drewnianemi wieżyczkami, pomalowanemi biało, czerwono, błękitno; jednym kolorem ściany,

drugim zęby okapów, trzecim daszki; z drzwiami i framugami, zapelnionemi wizerunkami świętych w ryzach kwiecistych i ze światłościami około głów tyle złotemi, ile dobra żółta *ochra* udać złoto może. Właściwe miasteczko składało kilka karczem i domostw żydowskich; dwór zaś pański nazywany dość pospolicie *zamkiem*, zwyczajna rezydencya gubernatora, a przygodnia starostów, otoczony rowem, uzbrojony lichą palisadą, z bramą o piętrze i *kozarnią*, stał na wątpliwem miejscu, które zarówno wieś jak miasto mogły przywłaszczać sobie. Jednakże w dniu, w którym zwiedzamy sławne miasto Kahorlik, najuważniejszy podróżny nie łatwo by dostrzegł skromnego jego stanu. Wszystko pozorniejszym robiła tłumna ludność, zalewająca nietylko rynek, ale wszystkie na około wygony. Zdawało się nawet zabudowaniem jak w istocie, bo tworzyły rodzaj ulic

i domów, ponapinane szafasze przyjezdnych, budy i kramy kupców, a nawet ogromne kryte wozy Karaimów i Tatarów, które z ładunkiem winogrodu i innych produktów krymskich, toczyły konie lub wielbłądy, jak istotne przewoźne domy. Miejscowe nawet władze przyczyniły się do pomnożenia okazałości miasta, wzniesionym dla okoliczności budynkiem. Był to na czterech słupach dach z tarcic, osłaniający ekonomiczne miary i wagi, na które wszyscy zmuszeni byli kupczyć, a czego przestrzegali dorodni, uzbrojeni w pałki dziesiętnicy. Ten rodzaj greckiego portyku, był prawdziwym sercem jarmarku, zaraz obok zasiedli całym rzędem żydzi wexlarze, a niemniej blisko był szynk uprzywilejowanego Izraelity, nieodzownie potrzebny dla zapijania *mohoryczu*, po skończonym u wag i miar interesie. Kramiki niby bławatnych towarów zajmowały też jeden ze środ-

kowych punktów jarmarku, a obwieszane z niepospolitą zalotnością wieńcami paciorek, koralu i wstążek, nie przestawały ani na chwilę być otoczone gromadnym tłumem kobiet i dziewcząt.

Oprócz tych kramów obfitych we wszelkie zapasy dla stroju, równa tylko była liczba przekupniów wiktuałami; nie mówimy tu o sklepach korzennych i bakalijskich, ale o rodzaju odkrytych garkuchni i handlów owocami; wszystkie bowiem mieszczanki Kahorlickie, tem się jedynie trudniły i na tem jedynie prawa swe do mieszczaństwa opierały, że na doroczny jarmark, napiekały stopy palenic, bułek, obwarzanków, nagotowywały mięsiwa z juską i bez juszki, wystawiały na bazarze (jak mówi sławna дума o *heasiu Konowczenku*) *med solodeńki*, a w miejscu owoców, których pora nie przyszła i których mało było nawet w lecie, kusily smak

przechodzących, wiśniami i jabłkami z pod wódki, czosnkiem, spiczakami i *lonurdą*. Stosy tej zieloności leżały na radnach i straganach.

Opisaliśmy same ogaisko jarmarku, tłum zbity siedzących i przechodzących, gdzie mało kto co mógł widzieć i słyszeć, a jedni drugim chodzili prawie po głowach. Oprócz tego cały jarmark składał się z tysiąca kup oddzielnych, bo każdy przybyły z towarami swej miejscowości, lub swego rzemiosła, stawał się środkiem skupienia tłumy; każdy nawet wóz pojedynczy z końmi lub wołami uwiązany do drabiny, z rodziną i własnością złożoną na wierzchu, był jakby stacją, przy której jarmarkujący mieli powód zatrzymać się a przynajmniej spojrzeć. Właściwa tylko targowica końska i wołowa, były oddalone i zajmowały końce od pól, które potrzebne dla paszy wołów i dla wyścigów końmi;

w tych zaś ćwiczeniach, z daleka nawet czerwone i żółte kontusze, a roztrzepane czarne kudły, przemagającą liczbę jeźdźców egipskich rozpoznać dozwalały.

Zresztą między tem cośmy nazwali ogniskiem jarmarku, to jest sklepikami i straganami przekupek, a żydewskimi domami tworzącemi rodzaj rynku, był pewien wolniejszy przestwór, właściwa ulica, gdzie też zgromadzonej ludności najswobodniej można się było przypatrzyć. Nie trzeba mówić, że lud okoliczny tworzył większość ruchomego tłumu; bliższych nawet mieszkańców, łatwiej było rozeznąć od dalszych; dla tamtych jarmark był zabawą demową, wystąpili więc nani w strojach świątecznych, świeżych jeszcze i całych. Chłopi przechodzili poważnie, w baranich czapkach, siwych i zielonych żupanach, żółtych i czerwonych butach; wieśniaczki w zielonych z czerwonymi ogonka-

mi, naksztalt gronostajów, jubkach i białych namitkach. Dobry byt znać było ze strojów, swobodę z zuchwalej i wyniosłej postawy.

Parochowie wiejscy w dość znacznej się liczbie zjechali, i prowadzili się pod ręce, stukając laskami naprzód, lub targowali przy sklepach. Ich wózki odznaczały się pokryciem kilimkowem, konie uprzężą; szczególnież żony i córki płcią delikatniejszą i wyszukaniem strojem; córy obwieszane były koralami, małżonki w chustkach jedwabnych w złote kwiaty na głowie i w szubkach z popielic. Oprócz rozmaitych zagranicznych przybyszów, pospolitych gości jarmarkowych, jako to: ruskich kupców z Kijowa, wspomnianych już Tatarów i Karaimów, Moldawian skrzypiącemi karocami i wielbłądzim zaprzęgiem znacznych, a nawet Turków sprzedających tu konie, a skupujących miody i masła, zastanawiała znaczniejsza jak kiedykolwiek

liczba znajdujących się na jarmarku Zaporozców. Ci pospolicie swobodnie bywali w kraju, bądź na mocy prywatnych traktatów handlowych z dominiami, bądź nawet bez traktatów; w takich rzeczach byli to nie tylko niebezpieczni, ale owszem bardzo korzystni goście; bo niezmiernem było prawidłem Zaporozca, przy najpierwszej zrzeczności, stracić wszystko i przehulać do koszu. Teraz jeszcze jako w początku jarmarku, widziano ich najwięcej przed kramami, kupujących bez braku różne rzeczy niepotrzebne, które wkrótce rozdarują, lub za bezcen na wódkę przemieniają; drudzy jednak już się wodzili z muzyką, a inni wcześniej zacząwszy, już widocznie ostatkami zaczynaali gonić. Pomiędzy najbardziej okazującymi, zauważać należało starców siwych jak gołębie i może stuletnich. Ci byli w drodze do Kijowa, gdzie w przyległym *Meżyhorskim* monasterze, du-

chownej stolicy Zaporozża, szli postrzygać się na Czernców. Żegnali oni świat takim sposobem, i już nie kończą tych zapust, póki przed drzwiami klasztorami nie staną; od rana do nocy brzmia w koło nich skrzypce i cymbały; piją i poją kogo się spotka, rozrzucają pieniądze, śpiewają, tańczą ile nogi zmogą, aż dopiero pod Meżyhorami, kiedy wyjdą przeciw przyszłemu *bratu* wcześniej zawiadomieni Czerncy, wtedy huki ustają. Zaporoziec zrzuci swoje karmazynowe suknie, złote pasy, safliany, drogi oręż rozdaruje przytomnym, a sam wdzieje czarną ryzę i drzwi się zamkną za mnichem i pustelnikiem. Można było dostrzedz, że jeżeli tą razą niepospolita była liczba Zaporozców na jarmarku, prawie równie zadziwiająca była mnogość przybyłej szlachty. Niktby się nie spodziewał, że jej tyle było w tej odludnej części Ukrainy. Nieprzeliczona liczba wóz-

ków i skarbniczek, wyjeżdżała wioząc szlachtę i szlachcianki. Mnóstwo się uwijało niebieskich i zielonych kontuszów, błyskało czupryn podgolonych, wąsów sumiastych, a wszystko to przy karabelach, najuboższy pouczał przynajmniej rzemyki, na pamiątkę służącego sobie prawa noszenia szabli, której mu tą razą niedostawało. Tak zaś Zaporozce jak szlachta, kupowali ołów, prochy, siodła, konie, a często zetknąwszy się z sobą przy takim kupnie, wzajemnie siebie podejrzliwym okiem mierzyli. Oprócz przejeżdżających i przechodzących, znajdowali się już wcześniej przybyli, lub znakomitsi, rozlokowani po gospodach. Ci z okien lub poddaszów, przypatrywali się jarmarkowi, z kądemy rzuciliśmy na niego okiem.

Zwyczajny zgiewk takiego mnóstwa ludzi i wszelkiego rodzaju stworzeń, był niejako uśpiwniony; to było właściwością ukraiń-



Józef Brandt, *Potyczka Kozaków z Tatarami*
Юзеф Брандт, *Сутичка між козаками та татарами*
ca. 1890

Henryk Sienkiewicz

(1846–1916)

Ogniem i mieczem [fragmenty]

(1884–1888)

[Od redakcji. Henryk Sienkiewicz i jego *Ogniem i mieczem* nie budzą sympatii Ukraińców i trudno się temu dziwić: konflikt polsko-ukraiński oraz powstanie Chmielnickiego zarysował on w sposób jednostronny, w polskiej wyobraźni utrwalając obraz kozaka-hajdamaki i akcentując okrucieństwo powstańców kosztem racji, jakie im przyświecały. Nie był jednak wrogiem Ukrainy – ostatnie zdanie powieści brzmi przecież „Nienawiść wrosła w serca i zatrula krew pobratymczą [...]”. Jego portrety kozackich dowódców-charakterników i wspaniałe opisy krajobrazów naddnieprzańskiego stepu do dziś rozbudzają fantazję czytelników. I można dodać (jako anegdotę), że przynajmniej w moim pokoleniu młode czytelniczki kochały się raczej w Sienkiewiczowskim Bohunie, niż w Janie Skrzetuskim. 😊 Bo to i barwniejsza, i bardziej wielowymiarowa postać.

Tu przytaczamy początkowy rozdział powieści: wspaniałą panoramę Dzikich Pól i pierwsze spotkanie Skrzetuskiego z Bohdanem Chmielnickim. MD

Від редакції. Генрик Сенкевич і його *Вогнем і мечем* не викликають симпатій Українців і це не дивно: він однобоко окреслив польсько-український конфлікт і повстання Хмельницького, увічнивши образ козака-гайдамака в польській уяві та підкреслюючи жорстокість повстанців за рахунок їхніх причин. Проте він не був ворогом України — адже останнє речення роману — «Ненависть приросла в серцях і отруїла братську кров [...]». Його портрети козацьких полководців-персонажів та чудові описи краєвидів придніпровського степу викликають уяву читачів донині. І можна додати (як анекдот), що, принаймні в моєму поколінні, дівчата полюбили не Яна Скретуського, а Богуна. 😊 Тому що це і більш барвистий, і багатовимірний персонаж.

Тут ми представляємо початкову главу роману: чудову панораму Дикого поля і першу зустріч Скретуського з Богданом Хмельницьким. MD]

Tom I

Rozdział I

Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia.

Współcześni kronikarze wspominają, iż z wiosny szarańcza w niesłychanej ilości wyroiła się z Dzikich Pól i zniszczyła zasiewy i trawy, co było przepowiednią napadów tatarskich. Latem zdarzyło się wielkie zaćmienie słońca, a wkrótce potem kometa pojawiła się na niebie. W Warszawie widywano też nad miastem mogiłę i krzyż ognisty w obłokach; odprawiano więc posty i dawano jałmużny, gdyż niektórzy twierdzili, że zaraza spadnie na kraj i wygubi rodzaj ludzki. Nareszcie zima nastąpiła tak lekka, że najstarsi ludzie nie pamiętali podobnej. W południowych województwach lody nie popętały wcale wód, które podsycane topniejącym każdego ranka śniegiem wystąpiły z łożysk i pozalewały brzegi. Padały częste deszcze. Step rozmókł i zmienił się w wielką kałużę, słońce zaś w południe dogrzewało tak mocno, że — dziw nad dziwy! — w województwie braclawskim i na Dzikich Polach zielona ruń okryła stepy i rozłogi już w połowie grudnia. Roje po pasiekach poczęły się burzyć i huczeć, bydło ryczało po zagrodach. Gdy więc tak porządek przyrodzenia zdawał się być wcale odwróconym, wszyscy na Rusi, oczekując niezwykłych zdarzeń, zwracali niespokojny umysł i oczy szczególnie ku Dzikim Polom, od których łatwiej niżli skądinąd mogło się ukazać niebezpieczeństwo.

Tymczasem na Polach nie działo się nic nadzwyczajnego i nie było innych walk i potyczek jak te, które się odbywały tam zwykle, a o których wiedziały tylko orły, jastrzębie, kruki i zwierz polny.

Bo takie to już były te Pola. Ostatnie ślady osiadłego życia kończyły się, idąc ku południowi, niedaleko za Czehrynem od Dniepru, a od Dniestr — niedaleko za Humanem, a potem już hen, ku limanom i morzu, step i step, w dwie rzeki jakby w ramę ujęty. Na łuku Dnieprowym, na Niżu, wrzało jeszcze kozackie życie za porohami, ale w samych Polach nikt nie mieszkał i chyba po brzegach tkwiły gdzieś „polanki” jakoby wyspy wśród morza. Ziemia była *de nomine* Rzeczypospolitej, ale pustynna, na której pastwisk Rzeczpospolita Tatarom pozwalała, wszakże gdy Kozacy często bronili, więc to pastwisko było i pobojuwiskiem zarazem.

Ile tam walk stoczono, ilu ludzi legło, nikt nie zliczył, nikt nie spamiętał. Orły, jastrzębie i kruki jedne wiedziały, a kto z daleka dosłyszał szum skrzydeł i krakanie, kto ujrzał wiry ptasie nad jednym kołującym miejscem, to wiedział, że tam trupy lub kości niepogrzebione leżą... Polowano w trawach na ludzi jakby na wilki lub suhaki. Polował, kto chciał. Człek prawem ścigany chronił się w dzikie stepy, orężny pasterz trzód strzegł, rycerz przygód tam szukał, łotrzyk łupu. Kozak

Tatara, Tatar Kozaka. Bywało, że i całe watahy broniły trzód przed tłumami napastników. Step to był pusty i pełny zarazem, cichy i groźny, spokojny i pełen zasadzek, dziki od Dzikich Pól, ale i od dzikich dusz.

Czasem też napelniała go wielka wojna. Wówczas płynęły po nim jak fale czambuły tatarskie, pułki kozackie, to chorągwie polskie lub wołoskie; nocami rzenie koni wtórowało wyciom wilków, głos kotłów i trąb mosiężnych leciał aż do Owidowego jeziora i ku morzu, a na Czarnym Szlaku, na Kuczmańskim — rzekłbyś: powódź ludzka. Granic Rzeczypospolitej strzegły od Kamieńca aż do Dniepru stаницe, „polanki” i — gdy szlaki miały się zaroić, poznawano właśnie po niezliczonych stadach ptactwa, które, płoszone przez czambuły, leciały na północ. Ale Tatar, byle wychylił się z Czarnego Lasu lub Dniestr przebył od strony wołoskiej, to stepem równo z ptakami stawał w południowych województwach.

Wszelako zimy owej ptactwo nie ciągnęło z wrzaskiem ku Rzeczypospolitej. Na stepie było ciszej niż zwykle. W chwili gdy rozpoczyna się powieść nasza, słońce zachodziło właśnie, a czerwone jego promienie rozświecały okolicę pustą zupełnie. Na północnym krańcu Dzikich Pól, nad Omelniczkiem, aż do jego ujścia, najbystrzejszy wzrok nie mógłby odkryć jednej żywej duszy ani nawet żadnego ruchu w ciemnych, zeschniętych i zwiędłych burzanach. Słońce połową tylko tarczy wyglądało jeszcze zza widnokregu. Niebo było już ciemne, a potem i step z wolna mroczył się coraz bardziej. Na lewym brzegu, na niewielkiej wyniosłości podobniejszej do mogiły niż do wzgórza, świeciły tylko resztki murowanej stаницy, którą niegdyś jeszcze Teodoryk Buczacki wystawił, a którą potem napady starły. Od ruiny owej padał długi cień. Opodal świeciły wody szeroko rozlanego Omelniczka, który w tym miejscu skręca się ku Dnieprowi. Ale blaski gasły coraz bardziej na niebie i na ziemi. Z nieba dochodziły tylko klangory żurawi ciągnących ku morzu; zresztą ciszy nie przerywał żaden głos.

Noc zapadła nad pustynią, a z nią nastąpiła godzina duchów. Czuwający w stanicach rycerze opowiadali sobie w owych czasach, że nocami wstają na Dzikich Polach cienie poległych, którzy zeszedli tam nagłą śmiercią w grzechu, i odprawują swoje korowody, w czym im żaden krzyż ani kościół nie przeszkadza. Toteż gdy sznury wskazujące północ poczynały się dopalać, odmawiano po stanicach modlitwy za umarłych. Mówiono także, że one cienie jeźdźców, snując się po pustyni, zastępują drogę podróżnym, jęcząc i prosząc o znak krzyża świętego. Między nimi trafiały się upiory, które goniły za ludźmi, wyjąc. Wprawne ucho z daleka już rozeznawało wycie upiorów od wilczego. Widywano również całe wojska cieniów, które czasem przybliżały się tak do stanic, że strażę grały larum. Zapowiadało to zwykle wielką wojnę. Spotkanie pojedynczych cieniów nie znaczyło również nic dobrego, ale nie zawsze należało sobie złe wróżyć, bo i człek żywy zjawiał

się nieraz i niknął jak cień przed podróżnymi, dlatego często i snadnie za ducha mógł być poczytany.

Skoro więc noc zapadła nad Omelniczkiem, nie było w tym nic dziwnego, że zaraz koło opustoszałej stancyi pojawił się duch czy człowiek. Miesiąc wychynał właśnie zza Dniepru i obielił pustkę, głowy bodiaków i dal stepową. Wtem niżej na stepie ukazały się inne jakieś nocne istoty. Przelatujące chmurki przesłaniały co chwila blask księżyca, więc owe postacie to wyblyskiwały z cienia, to znowu gasły. Chwilami nikły zupełnie i zdawały się topnieć w cieniu. Posuwając się ku wyniosłości, na której stał pierwszy jeździec, skradały się cicho, ostrożnie, z wolna, zatrzymując się co chwila.

W ruchach ich było coś przerażającego, jak i w całym tym stepie, tak spokojnym na pozór. Wiatr chwilami podmuchiwał od Dniepru sprawując żaloszny szelest w zeschniętych bodiakach, które pochylały się i trzęsły, jakby przerażone. Na koniec postacie znikły, schroniły się w cień ruiny. W bladym świetle nocy widać było tylko jednego jeźdźcę stojącego na wyniosłości.

Wreszcie szelest ów zwrócił jego uwagę. Zbliżywszy się do skraju wzgórza począł wpatrywać się w step uważnie. W tej chwili wiatr przestał wiać, szelest ustał i zrobiła się cisza zupełna.

Nagle dał się słyszeć przeraźliwy świst. Zmieszane głosy poczęły wrzeszczeć przeraźliwie: „Ha! ha! Ha! ha! Jezu Chryste! ratuj! bij!” Rozległ się huk samopalów, czerwone światła rozdarły ciemności. Tętent koni zmieszał się ze szczękiem żelaza. Nowi jacyś jeźdźce wyrosli jakby spod ziemi na stepie. Rzekłbyś: burza zawrzała nagle w tej cichej, złowrogiej pustyni. Potem jęki ludzkie zawtórowały wrzaskom strasznym, wreszcie ucichło wszystko: walka była skończona.

Widocznie rozegrywała się jedna ze zwykłych scen na Dzikich Polach.

Jeźdźcy zgrupowali się na wyniosłości, niektórzy posiadali z koni, przypatrując się czemuś pilnie.

Wtem w ciemnościach ozwał się silny i rozkazujący głos:

— Hej tam! skrzesać ognia i zapalić!

Po chwili posypały się naprzód iskry, a potem buchnął płomień suchych oczeretów i łuczywa, które podróżujący przez Dzikie Pola wozili zawsze ze sobą.

Wnet wbito w ziemię drag od kaganka i jaskrawe, padające z góry światło oświetliło wyraźnie kilkunastu ludzi pochylonych nad jakąś postacią leżącą bez ruchu na ziemi.

Byli to żołnierze ubrani w barwę czerwoną, dworską, i w wilcze kapuzy. Z tych jeden, siedzący na dzielnym koniu, zdawał się reszcie przewodzić. Zsiadłszy z konia zbliżył się do owej leżącej postaci i spytał:

— A co, wachmistrzu? żyje czy nie żyje?

— Żyje, panie namiestniku, ale charcze; arkan go zdławił.

— Co zacz jest?

— Nie Tatar, znaczny ktoś.

— To i Bogu dziękować.

Tu namiestnik popatrzył uważnie na leżącego męża.

— Coś jakby hetman — rzekł.

— I koń pod nim tatar zacny, jak lepszego u chana nie znaleźć — odpowiedział wachmistrz.

— A ot, tam go trzymają.

Porucznik spojrział i twarz mu się rozjaśniła. Obok dwóch szeregowych trzymało rzeczywiście dzielnego rumaka, który tuląc uszy i rozdymając chrapy wyciągał głowę i poglądał przerażonymi oczyma na swego pana.

— Ale koń, panie namiestniku, będzie nasz? — wtrącił tonem pytania wachmistrz.

— A ty, psawiario, chciałbyś chrześcijanowi konia w stepie odjąć?

— Bo zdobyczny...

Dalszą rozmowę przerwało silniejsze chrapanie zduszonego męża.

— Włać mu gorzałki w gębę — rzekł pan namiestnik — pas odpiąć.

— Czy zostaniemy tu na nocleg?

— Tak jest, konie rozkulbaczyć, stos zapalić.

Żołnierze skoczyli co żywo. Jedni poczęli cucić i rozcierać leżącego, drudzy ruszyli po oczerety, inni rozesłali na ziemi skóry wielbłądzie i niedźwiedzie na nocleg.

Pan namiestnik, nie troszcząc się więcej o zduszonego męża, odpiął pas i rozciągnął się na burce przy ognisku. Był to młody jeszcze bardzo człowiek, suchy, czarniawy, wielce przystojny, ze szczupłą twarzą i wydatnym orlim nosem. W oczach jego malowała się okrutna fantazja i zadzierzystość, ale w obliczu miał wyraz uczciwy. Wąs dość obfity i niegolona widocznie od dawna broda dodawały mu nad wiek powagi.

Tymczasem dwaj pachołkowie zajęli się przyrządzaniem wieczery. Położono na ogniu gotowe ćwierci baranie; zdjęto też z koni kilka dropiów upolowanych w czasie dnia, kilka pardew i jednego suhaka, którego pachoł wnet zaczął obłupywać ze skóry. Stos płonął, rzucając na step ogromne, czerwone koło światła. Zduszony człowiek począł z wolna przychodzić do siebie.

Przez czas jakiś wodził nabiegłymi krwią oczyma po obcych, badając ich twarze; następnie usiłował powstać. Żołnierz, który poprzednio rozmawiał z namiestnikiem, dźwignął go w górę pod pachy, drugi włożył mu obuszek w dłoń, na którym nieznajomy wsparł się z całej siły. Twarz jego była jeszcze czerwona, żyły jej nabrzmiące. Na koniec przyduszonym głosem wykrztusił pierwszy wyraz:

— Wody!

Podano mu gorzalki, którą pił i pił, co mu widocznie dobrze zrobiło, bo odjąwszy wreszcie flaszę od ust, czystszym już głosem spytał:

— W czyich jestem ręku?

Namiestnik powstał i zbliżył się ku niemu.

— W ręku tych, co waści salwowali.

— Przeto nie waszmościowie schwycili mnie na arkan?

— Mosanie, nasza rzecz szabla, nie arkan. Krzywdzisz waść dobrych żołnierzów podejrzeniem. Złapali cię jakowis łotrzykowie udający Tatarów, których jeślis ciekaw, oglądać możesz, bo oto leżą tam porżnięci jak barany.

To mówiąc wskazał ręką na kilka ciemnych ciał leżących poniżej wyniosłości.

A nieznajomy na to:

— To pozwólcie mi spocząć.

Podłożono mu wojłokową kulbakę, na której siadł i pogrążył się w milczeniu.

Był to mąż w sile wieku, średniego wzrostu, szerokich ramion, prawie olbrzymiej budowy ciała i uderzających rysów. Głowę miał ogromną, cerę zawiędłą, bardzo ogorzałą, oczy czarne i nieco ukośne jak u Tatarów, a nad wąskimi ustami zwieszał mu się cienki wąs rozchodzący się dopiero przy końcach w dwie szerokie kiście. Twarz jego potężna zwiastowała odwagę i dumę. Było w niej coś pociągającego i odpychającego zarazem — powaga hetmańska ożeniona z tatarską chytrą, dobroć i dzikość.

Posiedziawszy nieco na kulbace, wstał i nad wszelkie spodziewanie, zamiast dziękować, poszedł oglądać trupy.

— Prostack! — mruknął namiestnik.

Nieznajomy tymczasem przypatrywał się uważnie każdej twarzy kiwając głową jak człowiek, który odgadł wszystko, po czym wracał z wolna do namiestnika, klepiąc się po bokach i szukając mimowolnie pasa, za który widocznie chciał zatknąć rękę.

Nie podobała się młodemu namiestnikowi ta powaga w czleku oderżniętym przed chwilą od powroza, więc rzekł z przekąsem:

— Rzekłby kto, że wasze znajomych szukasz między owymi łotrzykami albo że pacierz za ich duszę odmawiasz.

Nieznajomy odparł z powagą:

— I nie mylisz się waść, i mylisz: nie mylisz się, bom szukał znajomych, a mylisz się, bo to nie łotrzykowie, jeno słudzy pewnego szlachcica, mego sąsiada.

— Tedy widocznie nie z jednej studni pijacie z onym sąsiadem.

Dziwny jakiś uśmiech przeleciał po cienkich wargach nieznajomego.

— I w tym się waść mylisz — mruknął przez zęby.

Po chwili dodał głośniej:

— Ale wybacz waszmość pan, żem mu naprzód powinnej nie złożył dzięki za *auxilium* i skuteczny ratunek, który mnie od tak nagłej śmierci wybawił. Waści męstwo stanęło za moją nieostrożność, bom się od ludzi swoich odłączył, ale też wdzięczność moja dorównywa waszmościnej ochnocie.

To rzekłszy wyciągnął ku namiestnikowi rękę.

Ale butny młodzieńczyk nie ruszył się z miejsca i nie spieszył z podaniem swojej; natomiast rzekł:

— Chciałbym naprzód wiedzieć, jeżeli ze szlachcicem mam sprawę, bo chociaż o tym nie wątpię, jednakże bezimiennych podzięków przyjmować mi się nie godzi.

— Widzę w waszmości prawdziwie kawalerską fantazję — i słusznie mówisz. Powinienem był zacząć od nazwiska mój dyskurs i moją podziękę. Jestem Zenobi Abdank, herbu Abdank z krzyżykiem, szlachcic z województwa kijowskiego, osiadły i pułkownik kozackiej chorągwi księcia Dominika Zasławskiego.

— A ja Jan Skrzetuski, namiestnik chorągwi pancernej J. O. księcia Jeremiego Wiśniowieckiego.

— Pod sławnym wojownikiem waść służysz. Przyjmże teraz moją wdzięczność i rękę.

Namiestnik nie wahał się dłużej. Towarzysze pancerni z góry wprawdzie patrzyli na żołnierzy spod innych chorągwi, ale pan Skrzetuski był na stepie, na Dzikich Polach, gdzie takie rzeczy mniej szły pod uwagę. Zresztą miał do czynienia z pułkownikiem, o czym zaraz naocznie się przekonał, bo gdy jego żołnierze przynieśli panu Abdankowi pas i szablę, i krótki buzdycan, z których go rozpasano dla cucenia, podali mu zarazem i krótką buławę o osadzie z kości, o głowie ze ślinowatego rogu, jakich zażywali zwykle pułkownicy kozaccy. Przy tym ubiór imci Zenobiego Abdanka był dostatni, a mowa kształtna znamionowała umysł bystry i otarcie się w świecie.

Więc pan Skrzetuski zaprosił go do kompanii. Zapach pieczonych mięs jał właśnie rozchodzić się od stosu, lehcąc nozdrza i podniebienie. Pachół wydobył je z żaru i podał na latercynowej misie. Poczeli jeść, a gdy przyniesiono spory worek mołdawskiego wina uszyty z kozłej skóry, wnet zawiązała się żywa rozmowa.

— Oby nam się szczęśliwie do domu wróciło! — rzekł pan Skrzetuski.

— To waszmość wracasz? skądże, proszę? — spytał Abdank.

— Z daleka, bo z Krymu.

— A cóżeś waszmość tam robił? z wykupnym jeździłeś?

— Nie, mości pułkownik; jeździłem do samego chana.

Abdank nastawił ciekawie ucha.

— Ano to, proszę, w piękną waść wszedłeś komitywę! I z czymże do chana jeździłeś?

— Z listem J. O. księcia Jeremiego.

— To waść posłował! O cóż jegomość ksiązę do chana pisał?

Namiestnik popatrzył bystro na towarzysza.

— Mości pułkownik — rzekł — zaglądałeś w oczy lotrzykom, którzy cię na arkan ujeli — to twoja sprawa, ale co ksiązę do chana pisał, to ani twoja, ani moja, jeno ich obydwóch.

— Dziwiłem się przed chwilą — odparł chytrze Abdank — że jegomość ksiązę tak młodego człowieka posłem sobie do chana obrał, ale po waścinej odpowiedzi już się nie dziwię, bo widzę, żeś młody luty, ale stary eksperiencją i rozumem.

Namiestnik połknął gładko pochlebne słówko, pokręcił tylko młodego węża i pytał:

— A powiedzże mi waszmość, co porabiasz nad Omelniczkiem i jakieś się tu wzięł sam jeden?

— Nie jestem sam jeden, jenom ludzi zostawił po drodze, a jadę do Kudaku, do pana Grodzickiego, któren tam jest przełożonym nad prezydium i do którego jegomość hetman wielki wysłał mnie z listami.

— A czemu waść nie bajdakiem, wodą?

— Taki był ordynans, od którego odstąpić mi się nie godzi.

— To dziw, że jegomość hetman taki wydał ordynans, gdyż właśnie na stepie w tak ciężkie popadłeś terminy, których wodą jadąc, pewno byłbyś uniknął.

— Mosanie, stepy teraz spokojne; znam ja się z nimi nie od dziś, a to, co mnie spotkało, to jest złość ludzka i *invidia*.

— I któż to na jegomości tak nastaje?

— Długo by gadać. Sąsiad to zły, mości namiestniku, który substancję mi zniszczył, z włości mnie ruguje, syna mi zbił — i ot — widziałeś waść, tu jeszcze na szyję moją nastawał.

— A to waść nie nosisz szabli przy boku?

W potężnej twarzy Abdanka zabłysła nienawiść, oczy zaświeciły mu posepnie i odrzekł z wolna a dobitnie:

— Noszę, i tak mi dopomóż Bóg, jako innych rekursów przeciw wrogom moim szukać już nie będę.

Porucznik chciał coś mówić, gdy nagle na stepie rozległ się tętent koni, a raczej pośpieszne chlupotanie końskich nóg po rozmięklej trawie. Wnet też i czeladnik namiestnika, trzymający straż, nadbiegł z wieścią, że jakowis ludzie się zbliżają.

— To pewnie moi — rzekł Abdank — którzy zaraz za Taśminą zostali. Jam też, nie spodziewając się zdrady, tu na nich czekać obiecał.

Jakoż po chwili gromada jeźdźców otoczyła półokręgiem wzgórze. Przy blasku ognia ukazały się głowy końskie z otwartymi chrapami, prychające ze zmęczenia, a nad nimi pochylone twarze jeźdźców, którzy przysłaniając rękoma od blasku oczy patrzyli bystro w światło.

— Hej, ludzie! kto wy? — spytał Abdank.

— Raby boże! — odpowiedziały głosy z ciemności.

— Tak, to moi mołojce — powtórzył Abdank zwracając się do namiestnika.
— Bywajcie! bywajcie!

Niektórzy zeszli z koni i zbliżyli się do ognia.

— A my śpieszyli, śpieszyli, bat'ku. Szczo z toboju?

— Zasadzka była. Chwedko, zdrajca, wiedział o miejscu i tu już czekał z innymi. Musiał podążyć dobrze przede mną. Na arkan mnie ujeli!

— Spasi Bih! spasi Bih! A to co za Laszek koło ciebie?

Tak mówiąc spoglądali groźnie na pana Skrzetuskiego i jego towarzyszków.

— To druhy dobre — rzekł Abdank. — Sława Bogu, całym i żyw. Zaraz będziemy ruszać dalej.

— Sława Bogu! my gotowi.

Nowo przybyli poczęli rozgrzewać dłonie nad ogniem, bo noc była zimna, choć pogodna. Było ich do czterdziestu ludzi roslých i dobrze zbrojnych. Nie wyglądali wcale na Kozaków rejestrowych, co nie pomалу zdziwiło pana Skrzetuskiego, zwłaszcza że była ich garść tak spora. Wszystko to wydało się namiestnikowi mocno podejrzanę. Gdyby hetman wielki wysłał imci Abdanka do Kudaku, dałby mu przecie strażę z rejestrowych, a po wtóre, z jakiejże by racji kazał mu iść stepem od Czehryna, nie wodą? Konieczność przeprowiania się przez wszystkie rzeki idące Dzikimi Polami do Dniepru mogła tylko pochód opóźnić. Wyglądało to raczej tak, jakby imć pan Abdank chciał właśnie Kudak ominąć.

Ale zarówno i sama osoba pana Abdanka zastanawiała wielce młodego namiestnika. Zauważył wraz, że Kozacy, którzy ze swymi pułkownikami obchodzili się dość poufale, jego otaczali wciąż niezwykają, jakby prawego hetmana. Musiał to być jakiś rycerz dużej ręki, co tym dziwniejsze było panu Skrzetuskiemu, że znając Ukrainę i z tej, i z tamtej strony Dniepru, o takim przesławnym Abdanku nic nie słyszał. Było przy tym w twarzy tego męża coś szczególnego — jakaś moc utajona, która tak biła z oblicza, jak żar od płomienia, jakaś wola nieugięta, znamionująca, że człek ten przed nikim i niczym się nie cofnie. Taką właśnie wolę w obliczu miał książe Jeremi

Wiśniowiecki, ale co w księciu było przyrodzonym natury darem, właściwym wielkiemu urodzeniu i władzy, to mogło zastanowić w mężu nieznanego nazwiska, zabłąkanym w głuchym stepie.

Pan Skrzetuski długo deliberował. Chodziło mu po głowie, że to może jakiś potężny banita, który, wyrokiem ścigany, chronił się w Dzikie Pola — to znów, że to watażka watahy zbójckiej; ale to ostatnie nie było prawdopodobne. I ubiór, i mowa tego człowieka pokazywały co innego. Zgoła więc nie wiedział namiestnik, czego się trzymać, miał się tylko na bacności, a tymczasem Abdank kazał konia sobie podawać.

— Mości namiestniku — rzekł — komu w drogę, temu czas. Pozwólże podziękować sobie raz jeszcze za ratunek. Oby Bóg pozwolił mi odplacić ci równą usługą!

— Nie wiedziałem, kogo ratuję, przeto i na wdzięczność nie zasłużył.

— Modestia to twoja tak mówi, która jest męstwu równa. Przyjmijże ode mnie ten pierścień.

Namiestnik zmarszczył się i krok w tył odstąpił mierząc oczyma Abdanka, ten zaś mówił dalej z ojcowską niemal powagą w głosie i postawie:

— Spójrzj jeno. Nie bogactwo tego pierścienia, ale inne cnoty ci zalecam. Za młodych jeszcze lat w bisurmańskiej niewoli będąc dostałem go od pątnika, który z Ziemi Świętej powracał. W tym oczku zamknięty jest proch z grobu Chrystusa. Takiego daru odmawiać się nie godzi, choćby i z osądzonych rąk pochodził. Jesteś waść młodym człowiekiem i żołnierzem, a gdy nawet i starość bliska grobu nie wie, co ją przed ostateczną godziną spotkać może, cóż dopiero adolescencja, która mając przed sobą wiek długi, na większą liczbę przygód trafić musi! Pierścień ten ustrzeże cię od przygody i obroni, gdy dzień sądu nadejdzie, a to ci powiadam, że dzień ten idzie już przez Dzikie Pola.

Nastała chwila ciszy; słychać było tylko syczenie płomienia i parskanie koni.

Z dalekich oczeretów dochodziło żalodne wycie wilków. Nagle Abdank powtórzył raz jeszcze, jakby do siebie:

— Dzień sądu idzie już przez Dzikie Pola, a gdy nadejdzie — zadywysia wsij swit bożyj...

Namiestnik przyjął pierścień machinalnie, tak był zdumiony słowami tego dziwnego męża.

A ten zapatrzył się w dal stepową, ciemną.

Potem zwrócił się z wolna i siadł na koni. Mołojcy jego czekali już u stóp wzgórza.

— W drogę! w drogę!... Bywaj zdrów, druhu żołnierzu! — rzekł do namiestnika. — Czasy teraz takie, że brat bratu nie ufa, przeto i nie wiesz, kogoś ocalił, bom ci nazwiska swego nie powiedział.

— Więc waść nie Abdank?

— To klejnot mój...

— A nazwisko?

— Bohdan Zenobi Chmielnicki.

To rzekłszy zjechał ze wzgórza, a za nim ruszyli molojcy. Wkrótce okryły ich tuman i noc. Dopiero gdy odjechali już z pół stajania, wiatr przyniósł od nich słowa kozackiej pieśni:

Oj wyzwoly, Boże, nas wsich, bidnych newilnykiw,

Z tiazkoj newoli,

Z wiry bisurmanskoj —

Na jasni zori,

Na tychi wody,

U kraj weselyj,

U mir chreszczennyj —

Wysłuchaj, Boże, u prośbach naszych,

U nieszczasnnych mołytwach,

Nas bidnych newilnykiw.

Głosy cichły z wolna, potem stopiły się z powiewem szumiącym po oczeretach.



Ogniem i mieczem, reż. Jerzy Hoffman; Maciej Kozłowski w roli Maksyma Krzywonosa
Вогнем і мечем, реж. Єжи Гоффман; Мацей Козловський у ролі Максима Кривоніса
1999

Józef Wittlin

(1896–1976)

Sól ziemi [fragmenty]

(1935)

ROZDZIAŁ I

W głuche zakątki huculskiej ziemi, pachnące miętą w letnie wieczory, w sennie wioski, przylepione do cichych połonin, gdzie pasterze grają na długich trombitach — wdziera się kolej żelazna. Ona jedna łączy ze światem te ustronia zabite od niego deskami. Ona rzuca w ciemną noc barwne światła semaforów i gwałci ciszę, i gwałci dziewiczość wielkiego nocnego spokoju. Wrzaskiem oświetlonych wagonów rozdziera błonę mroku, przeciągłym gwizdem budzi ze snu zające i uspioną ludzką ciekawość. Jak olbrzymia żelazna drabina, przybita gwoździami do kamienistej ziemi — z nieskończoności w nieskończoność ciągną się na drewnianych progach czarne, połyskliwe szyny. Białe domki stacyjne, ujęte w żywopłoty, ogródki, altany i kłomby z kolorowymi, szklanymi kulami na ubielonych drążkach, liczne mostki żelazne nad strumykami i gęsto rozsiane budki dróżników zadają kłam pozorom, jakoby na tej ziemi diabeł mówił: dobranoc!

Na małej stacji Topory—Czernielica od lat dwudziestu ładuje zboże, drzewo, kartofle oraz beczki ze spirytusem, pędzonym w okolicznych gorzelniach — człowiek, który wyszedł z ciemności. Ciemność była jego ojczyzną i żywiołem, jak żywiołem ryby jest woda, a żywiołem kreta — ziemia. Jak kret przebijał się Piotr przez ciemność i żłobił w niej podziemne korytarze, niezbędne do życia. Jak ryba wyrzucona na ląd rozpaczliwie łapał ustami łaskawe powietrze.

Czyścił lampy stacyjne, nalewał naftę i zamiatał tak zwaną poczekalnię. Gdy trzeba było, pomagał przy naprawianiu toru, usuwał spod szyn przegniłe podkłady, sypał żwir, niekiedy jeździł nawet z inżynierem drezyną. Pośpieszne pociągi nie raczyły zaszczyścić stacji Topory—Czernielica nawet zwolnieniem biegu. Omijały ją z lekceważeniem, ciskając jej w twarz wzdargliwą chmurę dymu. Letnią porą jednak zdarzało się, że wysiadali tutaj jacyś państwo z miasta. Jacyś gimnazjaliści przyjeżdżali z kuferkami, których sami nie mogli udźwignąć. Pociąg stał w Toporach zaledwie trzy minuty, a nieporadni panicze, chcąc ukryć strach, wołali rozkazującym tonem jak doświadczeni podróżni: — Pakier! — Wówczas Piotr, chociaż nie był żadnym pakierem i nie miał czapki kolejowej, i nie nosił nawet mosiężnej pakierskiej blachy na piersi, rzucał się do wagonu, chwytając kuferki i zanosił je do czekających za budynkiem stacyjnym „koni”. Czasem ruski paroch jeździł do miasta i trzeba mu było pomóc przy wsiadaniu, czasem w dużych lasach odbywało się polowanie i niektórzy hrabiowie, żeby nie trudzić własnych koni, woleli jechać koleją. Zarobiło się wówczas coś niecoś i kilka hrabskich papierosów można było schować pod czapkę. To były czasy!

Albo po żniwach: a to worki z owsem, a to z kukurydzą. W takich wypadkach można było niekiedy wyciąć dziurę w worku, a w razie czego powiedzieć, że worki „same” były dziurawe. Zresztą worki nie były plombowane.

Naczelnik — ludzki był człowiek: po mordzie — ma się rozumieć — bił, ale ze służby nie wydalął. Gdy pan naczelnik dał w mordę, trzeba go było zaraz pocałować w rękę, stuknąć się w pierś i powiedzieć: — Bih me! Słowo czestne daju, to ostatnij raz! — ale kradzionego oddawać nie musiało się. To było życie!

Całe życie Piotra wypełnione było noszeniem. Już jako dziecko nosił w sobie skutki owej sławnej huculskiej choroby, którą ludzkość zawdzięcza pono Francji. Skutki te

można było poznać po typowym nosie oraz po pewnych mankamentach zmysłu wzrokowego, które jednak w późniejszym wieku nie rozwinęły się. Niezależnie od wpływów francuskich działały w dziecięcym organizmie Piotra również i wpływy angielskie. I tak: Francja i Anglia, te dwa wrogie elementy, zwalczające się na arenie dziejowej w ciągu tylu stuleci, podały sobie ręce w ciele huculskiego dziecka. Do końca życia zachował Piotr krzywe nogi.

Nosił ponadto barani kozuch po ojcu oraz nazwisko. Ojca swego nie znał. Matka była Huculką i do późnej starości kurzyła fajkę. Trzymała się prosto, miała drobne stopy, kilka pięknych wyszywanych koszul i serdaków oraz mnóstwo dzieci, które umierały prawie natychmiast po urodzeniu. Uchował się tylko Piotr i ta Paraszka, co, zdaniem wielu poważnych ludzi, lepiej by zrobiła, gdyby się nie uchowała.

Legendarny ojciec był pono Polakiem i nazywał się Niewiadomski. Nazwisko to — bez urazy panów szlachty — nadawano dzieciom, których pater incertus est. Ale Piotr był dzieckiem prawego łoża. Łoże to mieściło się w chałupie, dziś już na pół rozwalonej, na samym końcu gminy Topory. Dla tej to chałupy, pokrytej słomą, siedział Piotr w Toporach przez całe życie i ani razu nie skusiły go saksy, chociaż go nieraz kusily. Do chałupy należało pół morgi sadu. Z dwóch jabłoni jedna od dawna już nie rodziła.

Naturalnie, była ona własnością Paraszki, co pojechała do miasta i „gniła”, jak mówił ksiądz proboszcz, w pewnym publicznym zakładzie.

Za to śliwkami Piotra z sześciu śliw co jesień obzerały się dzieci sąsiadów. Gruntu własnego Piotr nie posiadał. Otrzymał wszakże w lenno od kolei działkę tuż przy torze. Sadził na niej kartofle, bób, kukurydzę, kapustę oraz kilka słoneczników. Właściwie nie on je sadził, tylko pewna sierota, Magda. Miała ona słabość do słoneczników. Po śmierci starej Niewiadomskiej w roku Pańskim 1910 zaczęła się

kręcić koło chałupy Piotra. Złe baby we wsi gadały, że nieraz, jak mu wieczorem zanosila mleko, to wracała od niego dopiero o świcie, akurat do rannego udoju. Bo krowy własnej Piotr też nie posiadał. W młodości pasał wprawdzie mamina krowę i mamine gęsi, ale ledwo mamę pochowali, sprzedał krowę na jarmarku, połowę pieniędzy posłał Paraszcze, bo tak się należało, a swoją przepił. Gęsi zaniósł na stację dla pani naczelnikowej, tyle tylko, że sobie przedtem trochę pierza naskubał.

Zamiast całej chudoby miał psa. I jakiego psa! Taki pies to już nie pies, to anioł. Mleka co prawda nie dawał, ale za to był dobry pies, to znaczy zły. Kundel po matce, po ojcu wilk. (Piotr nie dbał o rasę, zresztą sam był mieszańcem.) Pies nazywał się — Bas, niby że głos miał potężny. Gdy się nieco zestarzał, nie tyle złagodniał, ile zobojętniał i w całej wsi nikt się już tego Basa nie bał. Był on jedyną i prawdziwą miłością tragarza Piotra Niewiadomskiego.

Czemu Piotr nie żenił się z Magdą? To pytanie nieraz zadawali sobie ludzie sprzyjający sakramentowi małżeństwa, a raz zadał je nawet samemu Piotrowi ruski ksiądz, z konfesjonału, podczas wielkanocnej spowiedzi.

— Dzieci ja z nią nie miał — tłumaczył się Piotr — tak i nie będę miał.

I nie bacząc na straszne konsekwencje w życiu zagrobowym, jakimi groził paroch, skłonny wyjątkowo, gdy szło o ocalenie duszy zatwardziałego grzesznika, obniżyć nawet taksę za ślub, oświadczył Piotr kategorycznie:

— Ja się z nią żenić nie będę, bo ona nie jest prawiczka.

Były jednakże jeszcze inne powody, dla których Piotr, przynajmniej na razie, w ogóle nie chciał ozdabiać swej głowy koroną ze złoczonej blachy, jaką greckokatolicki rytuał zwykł wkładać podczas ceremonii ślubnej na głowy oblubieńców. Piotr Niewiadomski był fantastą. Marzył o całkiem innym nakryciu głowy. Było ono może nie takie błyszczące jak godowa korona, ale za to mógłby je nosić do

końca życia, a nie tylko podczas ślubu. A jeśli szło już o to, aby zewnętrznie upodobnić się do możliwych tego świata, był Piotr znacznie bliższy prawdy, gdy życzył sobie pewnej, ściśle określonej czapki z sukna zamiast wątpliwej wartości symbolu z blachy, który w godzinie ślubu miał go królom równym uczynić. Zresztą był zdania, że w złotych koronach chodzą tylko królowie z kart, a na kartach znał się dobrze.

W zamierzonych czasach, może w Metternichowskich jeszcze, jakiś mądry hofrat we Wiedniu wymyślił austriacko-węgierskie kepi. Skomponował kształt, ustalił wymiary, wymyślił krój i ozdoby i uzyskawszy najwyższą aprobatę, narzucił je wszystkim głowom, co służyć chciały cesarzowi. Nosił kepi dla przykładu sam cesarz, który samemu sobie służył, nosili je krewni cesarza, jego ministrowie, marszałkowie i generałowie, nosiły je hofraty i komisarze, nosili oficerowie i kanceliści, żandarmi (poza służbą) i muzykanci wojskowi, paradowali w nim woźni, listonosze, pedele gimnazjów, dozorca więźniów i kolejarze od ministra do ostatniego dróżnika. Była to czapka cesarska. W niej Najjaśniejszy Pan pokazywał się z balkonu lub w powozie, do jej czarnego, błyszczącego daszka przykładał drżącą dłoń w białej rękawiczce, ilekroć go witali poddani, których tyłu posiadał przez sześćdziesiąt sześć lat najmiłościwszego panowania. Naturalnie, że krój i ornament czapki w ciągu tak wielu lat najrozmaitsze przechodził koleje. Na cesarskiej czapce ślad swój wycisnęła niejedna klęska i niejedno zwycięstwo habsburskie. Również ze względu na rodzaj służby oraz na stopień w hierarchii przewidzieli mądrzy wynalazcy i odnowiciele kepi — różne subtelne odcienie, nie zawsze dostrzegalne oku laika. I tak na przykład czapka oficerska uszyta była z czarnego sukna i obwiedziona u spodu złotym sznurem, w którym delikatnym zygzakiem wiła się czarna nitka. Niżsi funkcjonariusze natomiast mieli nie złoty, lecz żółty sznurek. Jedna tylko rzecz wspólna była dla wszystkich: monogram cesarza. Musiał być wyhaftowany

lub wytłoczony na honorowym miejscu. Cesarscy ludzie byli nim znaczeni jak cesarskie chusteczki do nosa, jak cesarskie widelce i łyżki. Żeby ich nikt nie ukradł, nie sprzedał lub nie zastawił.

Piotr też był cesarski. Nigdy nie opuszczała go świadomość, komu służył. Pozornie tylko dźwigał ciężary dziedzicom, pozornie usługiwał Żydom, którzy handlowali w tych stronach zbożem i kartoflami. W rzeczywistości dźwigał to wszystko dla cesarza. Za to cesarz mu płacił i chronił wyjątkowymi prawami. Niechby tylko jakiś kupiec odważył się uderzyć Piotra podczas służby! Byłaby to obraza cesarsko-królewskiej osoby, a wtedy nie ma żartu: za taką obrazę idzie się do kryminału.

A jednak nieraz Piotra ogarniało zwątpienie, ba, nawet czarna gorycz wpełzała mu do serca. Bo właściwie: czemu nie miał nosić cesarskiej czapki jak inni kolejarze! Czemu nie miał budzić respektu? Dlaczego mimo tylu lat wiernej służby wyglądał jak pierwszy lepszy cywil? Dlaczego nie awansował? Byłżeby tylko nadliczbowym luzakiem, którego w każdej chwili można zastąpić? Byłżeby tylko ordynarną łyżką kuchenną, której nie zaliczono do wielkiego, skarbowego serwisu?

W takich chwilach Piotr Niewiadomski rozczulał się nad sobą i dochodził do przekonania, że lepiej cisnąć wszystko, całą tę służbę na kolei, z której ma się tylko zgarbione plecy, lecz niewiele pociechy. Może jednak lepiej będzie sprzedać dom (naturalnie, za zgodą Paraszki, która i tak już nie wróci), sprzedać sad i pojechać na saksy?

Niedługo wszakże nurtowały go te gorzkie myśli. Rychło na miejsce zwątpienia wracała wiara, że jeszcze nie wszystko stracone, że cesarz jest dobry, Pan Bóg — sprawiedliwy, i krzywdy swoim ludziom nie zrobią. Należy tylko cierpliwie czekać, cierpliwie harować, cierpliwie dźwigać ciężary i cierpliwie znosić obelgi konduktorów i starszych dróżników. Należy nawet znosić gniew naczelnika. Cesarski

człowiek cesarskiego człowieka miał prawo bić po mordzie, bo bił w imieniu Jego Cesarskiej Mości. Tylko cywilom — wara!

I tak przez wiele lat spodziewał się Piotr, że kiedyś przyjdzie dzień, w którym doczeka się, dosłuży, dodźwiga i awansu, i podwyżki, i czapki. Może na dnie tego snu o cesarskiej czapce zachowały się resztki smutnego dzieciństwa, kiedy to stary, na śmietnik wyrzucony garnek służył za wojskowe czako. I zapewne ta dziecięca pozostałość w czterdziestoletniej duszy Piotra usprawiedliwi nam fakt, którego nie należy taić, fakt, iż Piotr Niewiadomski bardzo by się cieszył, gdyby zamiast klaniać się po cywilnemu mógł salutować.

Najchętniej zostałby dróżnikiem lub pomocnikiem na towarówce. Służba na kolei, już choćby przez sam kontakt z wagonami, które odchodzą w dalekie miejsca przeznaczeń, nie była dla Piotra pozbawiona uroku. Wraz z wagonami przejeżdżał przez stację Topory—Czernielica cały ów wielki świat, znany z opowiadań ludzi, którzy wędrowali. Piotr widział już takie wagony, gdzie można spać pod koldrą, wygodnie i miękko jak w łóżku, i widział takie wagony, w których panowie siedzieli przy stołach zastłanych białym obrusem i jedli, i pili, i byli bardzo zadowoleni. Nieraz jak błyskawica przelatywał przed osłupiałym Piotrem pociąg-salon z firankami w oknach i kwiatami w doniczkach. Oparty o błyszczące okucia stał w oknie duży, biały kucharz w białej czapce i coś wylewał z mosiężnej patelni.

I widział Piotr takie wagony, co przychodziły aż z Turcji, gdzie jest morze i gdzie są poganie, którym wolno mieć po kilka żon naraz, i widział wagony wracające z Wiednia, gdzie jest sam cesarz. Prawda, że z takimi wagonami osobiście mało się stykał (nie zatrzymywały się przecież na stacji Topory—Czernielica), ale nieraz przyszło mu opukiwać młotkiem koła, które toczyły się po zagranicznych



Teodor Axentowicz, *Kołomyjka*
Теодор Аксентович, *Коломийка*
1895

Stanisław Vincenz

(1888–1971)

Na wysokiej połoninie. Cz. 1 Prawda starowieku [fragmenty]

(1938)

[..]

Rozdział 1. ROZŁĄCZENIE

1

Było to w roku 1887, jesienią, na połoninie Kiziej pod Czarnohorą. Wiatr dobrze wiał, dał, wył, buszował przez kilka dni, chłostał, hulał i trzaskał po lasach, nałamał drzew i gałęzi, aż wreszcie wymiółł i wyczyścił niebo z chmurzysk. Pogoda złota stanęła na niebie – cicho, łagodnie, ciepło.

Trembity grały na „rozłączenie”. Gazdów i ludzi z dolin było dużo, a połonina rozbrzmiewając okrzykami zmieniała się. Radosne nawoływania szły z góry na górę, z połoniny na połoninę, od staj do staj, od koliby do koliby, od kosziery do kosziery. Daleko rozchodziło się donośne „wiwkanie”, jeden drugiemu odhukiwały okrzyki śpiewne i przeciągłe naśladowania głosu trembity. Latały te głosy z Kiziej na Pohoriwkę, z Pohoriwki na Gadżynę, z Gadżyny na Maryszeską, z Maryszeskiej na Młaki i Psariwkę, z Psariwki na Oziernyj i Kostrycz. Cały świat połoniński się nawoływał. Zdawało się, że te ogromne przestrzenie są jakoś połączone ze sobą na ten jeden dzień, a za głosem myśl ludzka polatywała z połoniny na połoninę, przeskakując nieprzystępne bory, puszcę wielkodrzewną i dziedziny staroniedźwiedzie, a także gęstwiny młododrzewu, jary, przepaście i berda. Tam to gdzieś siedzi niedźwiedź, który tego lata upolował sobie niejedną jałowkę, ale uszedł zręcznie rohatyny lub strzału. Siedzi w przepaściach leśnych, w syhłach albo gaurach, słyszy te głosy, szczurzy uszy albo śwista i dmucha z podniecenia. A wilk podnosi nos do góry i węszy. I nadal grają trembity, a starowieczne pistolety i króciice, błyskające ogniem, strzelają rozgłośnie i nadal głosy nawołują się z połoniny na połoninę.

Rano, raniutko słońce wstało. Skaliste żebra, oszronione leciutko pyłem śnieżnym, jak twarda zbroja lub kolczuga z lekka posrebrzana. Połonina faluje łagodnie, a potok Kizia, rodząc się na żebrach skalnych, spienionymi wodami skacze i hula wśród kiedrowego lasu. I wyśpiewuje. Na połoninie wykute w skale krzesło. Tam to siadywał przed laty najsłynniejszy z rycerzy-opryszków – Dobosz.

Na Doboszowym krześle, nad starym lasem kiedrowym, zakędzierzawionym, gdzie widać to prościutkie zielone i strzeliste, skupione w sobie drzewa, to znów wielkodrzewy rozczapierzone wężowo, nieraz wichrem i mrozem spalone do żółtości, tam siedzi sobie dobry gazda z Jasienowa, Foka Szumejowy, o którym pieśni do dziś dnia przetrwały. Kurzy fajkę i słucha, jak szumi puszcza w dole. Tam w dole, to prabór jak kościół uprzątnięty, przejrzysty, o potężnych kolumnach, to znów jakby wertep piekielny zavalony wiatrolomami, wywrotami potwornych korzeni, z ziemi wyrwanych wraz ze złomami skał, zarosły gąszczami, maliniakami, poryty dołami i pieczarami po wyrwanych korzeniach, zalany moczarami. Dobry las, Boży las, Bóg go sadził, a leśni duchowie lub niauki – wodnice z jezior podszczytowych – piastują go, przysłuchują mu się. I chyba Bóg jeden ścinać go będzie wichrami, gromami, choć zowie się, że to pańska własność.

Foka w swym życiu dużo gęstwien leśnych wyciął, wykarczował, niemało połonin z nich wyrobił. Niejedną carynkę sianokośną zagroził tam, gdzie przedtem wilki się gnieździły. Niejedno i dla siebie i dla pana-sąsiada zrobił, a także gazdom sąsiadom pomagał, doradzał. Ale teraz pomyślał: no, tutaj naszym sztukom koniec, amen! Ten las zostanie i wiecznie mu być! Ani ja, ani sam pan, ani cesarskie „felwartery” nie dadzą mu rady. Nie damy i koniec. Bo nawet, gdybyś go ściał, na dół nie ściągniesz, nie wywieziesz i zgnije ci ścięte drzewo. Niech zostanie! Tak potrzeba, bo gdzie mu być, jak nie tutaj, gdzie się ta chudoba leśna i Boża podzieje.

Foka ma odebrać swoją trzodę na połoninie i nalezną mu bryndzę. Ma także sprawdzić stan trzód dziedzica z Krzyworówni i odbiór bryndzy dla niego. Ale nie myślcie, by w kraju rozległych dolin, długich stoków górskich, ktoś, jedynie dla wełny i dla bryndzy, wiele razy z dołu w górę i z góry w dół mozolił nogi końskie czy swoje. Powiadają przecie: „nie dla bryndzy bryndza, nie dla wełny wełna, ani pieniądz nie dla pieniądza”. Od dawna bowiem osiedla na Wierchowinie odosobnione jak wysepki w puszczy, choć poddane temu odosobnieniu, tak jakoś napięte są tułą-tęsknotą do samego ludzkiego obcowania, jak naciągnięta do strzału cięciwa. Łączą je właściwie tylko *plaje*, szlaki dalekobieżne, niepozorne, lecz trwałe, co prawda dla wozów i kół nieprzydatne, lecz dla jazdy konnej dogodne. Te płaje ukryte, to kościec społeczeństwa i mapa dawności. Ale to wiedźcie, krajanie, i opowiedźcie w świecie wynalazcom, że na płajach tych taka tęsknota zatula oczy i nagle je otwiera, że widać od razu na zakręcie nie tylko tych ludzi, do których zajdzie się w ciągu dnia, ale i tych, którzy są całkiem daleko. Cóż dziwnego, że jeden z junaków starowieku, złotokędziorny pan watażko Dmytro z płaju pod Kremenystym na Hołowach, dojrzał starego cesarza chrześcijańskiego, który tak troskał się o nasz lud. A tamtemu drugiemu, staremu kudłaczowi, co się zwał Andrijko, z płaju na Dancerskim, poprzez skały otworzyła się od razu droga do Rzymu – tam gdzie pępek ziemi – a na jej końcu zaświecił bielutką głowiną główny chrześcijanin, sam papa-rymski, dziadek najmiłszy, co wciąż dostępu do nieba pilnuje. Ach, na tych

płajach tak samotnie, cicho, aż głucho pustynnie, że napada z lotu – jak na jagnię sęp, co zalatuje do nas z Siedmiogrodu, czarny z żałobnymi wisiorami u lotek – taka sama tęsknota, co zaraz porywa i niesie wszystkie życzenia, co zaledwie kwilą. I zaraz zjawi się nie tylko papa-rymski i cesarz chrześcijański, to już ławizna, ale ci wszyscy, których na żadnych płajach ziemskich nie spotkacie. Kości ich gdzieś nad Amurem albo w Alpach włoskich, w Londynie albo w Nowym Jorku, a te osoby same nie gdzie indziej, lecz po naszych płajach właśnie się przechadzają. Dawność obecna cieleśnie na płajach dniem, a nocą jeszcze bardziej. To nie przywidzenie żadne, i dawność, to nie przeszłość. Bo tak już jest, że im dawniejszy płaj, im więcej pokoleń po nim dreptało – lasem czy grzbietem, brzegiem czy stokiem, w opłotkach czy połoniną – tym pewniejszy, bo tak wydrażony a gładki, że nawet w noc ciemną nie wypuści człowieka ani konia. Ośrodki gazdowskie bywają zresztą samowystarczalne, a choć odległe, nawet zawiane – nie śniegiem koniecznie, lecz samą dałą, puszcza, a także gdzieś wysoko mgłami – wcale nie są bezprawne, jakby u jakichś Cyklopów. To niewątpliwe, że każdy na swoim własnym, osobnym prawie, bo powiada się: „Co pagórek, to insza ustanowa”, lecz w tym rzecz, że prawa i ustanowy każdego zakątka bez sprzeciwu poddały się jednemu powszechnemu prawu gościnności, gdyż mieszkańcy zakątków, rodziny samotne i ludzie samotni, czy wiedzą czy nie wiedzą o tym, tęsknią do obcowania, do ludzi. Dawniej więcej niż dziś, bo ze wzrostem ludności zbliżyli się przestrzennie. Lecz w owe czasy same spotkania, tak rzadkie w niektóre pory roku, nawet jeśli kierowały się podług gospodarstwa, były świętem. Więcej jeszcze niż wełny i bryndzy szukano nowin, słów, spojrzeń. [...]



Kazimierz
Sichulski,
Wesele huculskie

Казимир
Сіхульський,
*Гуцульське
весілля*

1909

Włodzimierz Odojewski

(1930–2016)

Zasypie wszystko, zawieje... [fragmenty]

(1973)

[...]

I potem był, pamiętał, w drodze. Prędziej, o wiele prędziej, niżby wcześniej przypuszczał, tym bardziej że chodziło jedynie o doręczenie listu, gnał konie do Czupryni Czerestwiewskich, wpierw tą rozmieloną przez suszę i wozy drogą między żywopłotami zakwitającego derenia, bo chciał jeszcze we wsi sam się temu przyjrzeć, o czym mówili chłopci, a co rzucić miał zamiar w twarz kuzynowi, i zobaczył: fury ustawione na poboczu, zawalone przypadkowym, zgarbniałym pośpiesznie w ucieczce czy wydobytym z popiołów dobytkiem, i fury, na których nie było nic prócz przykrytych byle czym trupów, i że niektóre sterczące spomiędzy słomy nogi miały nadpalone stopy, a nawet poczuł przez krótki moment, bo gnał, na ile pozwalał na to zbyt lekki koczobryk, tę mdlącą słodkawość i się zdziwił, dlaczego nie zabrano się do grzebania od razu, ale zaraz sobie odpowiedział, że widać niewielu zdatnych do łopaty ocalało, chłopci zaś z Gleb wyszli pewnie wszyscy z rana w pole, „Jest właśnie poniedziałek”, przypomniał sobie; już jednak koczobryk

miotął się na wyboistej drodze między polami i nie zobaczył nikogo, aż dech zapierało, taka pustka, a przecież słońce stało dość wysoko, powinien zobaczyć, jak pracowali od paru już godzin, wszystkich przygiętych ku ziemi, ale nawet nie zastanawiał się nad tym dziwołagiem natury (jeżeli bowiem był poniedziałek i pora, mierząc od wschodu słońca, tak późna, brak tych jak zwierzęta z ziemią zrosniętych ludzi musiał być dziwołagiem nie lada), gdyż gnając na złamanie karku konie, znajdował się już daleko od domu i podjeżdżał do niezamieszkałej teraz, przypisanej przez Kreislandwirta do Gleb slobódki, gdzie nadżarte ogniem albo jedynie mrozem, deszczem, upałem i czasem chałupy straszyły pustymi oczodolami okien, do slobódki otoczonej spękana, wystepowiałą ziemią, przez którą ciągnące się mocniejsze pasma zieleni znaczyły linie dawnego podziału gruntów należących do chłopów wywiezionych przez Sowieców w głąb Wschodu w czterdziestym roku, owe linie, owe miedze, pomiędzy którymi leżała cierpliwa gleba czekająca na koniec wojny, powrót ludzi i nowy ich trud; a potem był wreszcie naprawdę step, to znaczy to, co on, Paweł Woynowicz – którego zrodziła ta ziemia, jak zrodziła jego dziadów i pradziadów, jak daleko tylko sięgnąć w pomrokę jej dziejów, bo zawsze byli na tej ziemi, znikąd nie przyszli – zwał stepem, jak wszyscy tutejsi, choć gdzie indziej zwą poloniną, pastwiskiem, dziką laka, ugorem, wertepem, obojętnie zresztą jak, o to samo przecież chodzi: burzan, ostnica, miódunka, byliny, piołuny, mięty, rumian gdzieśniedzie, gdzieśniedzie osty i soczyste trawy, sypiące nasiennym puchem i pyłem w swym ustawicznym falowaniu, a tylko z rzadka tu i ówdzie wśród pustkowia futor osamotniony i dlatego solidny, prawie że obronny, skąd powinien był z komina bić o tej porze w niebo tęgi dym wskazujący, że gospodyni warzy wcześniejszy posilek dla rodziny zajętej na roli (bo był przecież poniedziałek); ale nawet dymów, tych tak nikłych, lecz jakże dodających otuchy oznak życia, nie ujrzał ani nie

ujrzał suszącej się bielizny na sznurach rozciągniętych między płotami, ani dzieciarni kłusującej po obejściach, ani koni drepających monotennie za stodołami w kieratach, tych koni poganianych zbyt długim biczyskiem przez ospałych wyrostków, ani zrosniętych ze sobą, nieporuszonych, jeśli patrzeć z pędzącego pojazdu, powszednich symboli tego kraju: podpartych kijem, zapatrzonych w bezkres pastuszków z psem u nogi, obok smutnie przeżuwających stad brunatnoczerwonych, jak ta ziemia, krów, choć gnał te swoje konie bezlitośnie, nie dając im przejść na jedną chwilę w stępa nawet wtedy, gdy z głównego gościńca prowadzącego dalej ku Nikoryczy zбочył na bezdroże, a potem ciągnął jakiś czas na podkrojonej dróżką pasterską krawędzi współzalesionego parowu, chcąc skrótem objechać Mohylną Dolinę oraz wieś Tuczapsk w jej pobliżu, i dlatego dużo wcześniej, niż gdyby jechał tamtędy, gdzie zwykle jeździł, udając się do Czupryni, dotarł do pasma Motrenieńskiego Boru i przejechał przezeń w tym samym szalonym tempie, choć wcale nie musiał, chodziło przecież li tylko o list do Katarzyny tkwiący w jego kieszeni, o którym dawno już nie pamiętał; i dopiero kiedy z boru się wydostał, wypadł nagle (tak nagle, że aż trudno mu przyszło zrazu w to uwierzyć i że nawet w zdumieniu powściągnął wreszcie nieco te swoje biedne, zabiegane do ostateczności konie), ujrzał gdzieś dość daleko jeszcze, w pobliżu Czupryni, dwa woły sprzęgnięte w jarzmie, ciągnące wzdłuż pola pług, za pługiem zaś podorywającego nim ugór, kroczącego miarowo człowieka, pierwszego, jeśli go pamięć nie myliła (ani teraz, ani wtedy), człowieka od wyjazdu z Gleb.

Suchy ciepły wiatr wionął z tyłu od lasu, sponad jego wierzchołków, i uderzył go w plecy. Już był w Czupryni. Zostawił na boku wieś, bo jechał w dalszym ciągu skrótem, ale dostatecznie blisko, żeby zobaczyć, że tutaj roboczy dzień toczy się normalnie. Widział ludzi, zwierzęta, dymy z kominów, obracanie się kieratów, kiwnięcie się w dół jakiegoś

żurawia zanurzającego w otchłani studziennej cebrzyk i już po chwili paru wyrostków sterczących na kamieniach przy moście, każdego z wędką między kolanami. Potem przeto-
czył się przez most na potoku, z ostrym trzaskaniem pod-
ków konie wwiozły go na dziedziniec i jakiś chłopiec sta-
jenny (dostrzegł go kątem oka, rzucając lejce) podbiegł
odprowadzić pojazd, a on, Paweł, patrzył przez chwilę bez-
myślnie, chwiał się, czując od długiej jazdy, od tego przedzie-
rania się przez przestrzeń, kurcze w nogach, i próbując ro-
zetrzeć łydki, potknął się, ciągle jeszcze nie mogąc pojąć,
po co tak się śpieszył, bo wprawdzie list tkwiący w kiesze-
ni przypomniał sobie wreszcie, natychmiast go jednak po-
minął, niejako powtórnie wyrzucił z pamięci, aż w końcu
znowu nawiedziła go myśl, że przyczyną pośpiechu jest ku-
zyn Czerestwienski. Ale to już później.

Idąc przez dziedziniec, słyszał własne obcasy uderzające
zbyt silnie w kamienną kostkę i był skupiony i czujny, i na-
gle w szczelinie, jaka tworzyła się między drzewami na skra-
ju parku, gdzie staczał się on w dół prawie do potoku, zo-
baczył nieruchome sylwetki Teodora Czerestwienskiego,
stryja Piotra, i opiekunki Piotra siostry, panny Spang, Niemi-
ki zadomowionej tutaj od przedwojennych jeszcze lat (oby-
dwoje zajętych łowieniem ryb), wyżej zaś, tam właśnie, gdzie
ta szczelina między drzewami otwierała widok na ową pa-
rę wędkarzy, stojącą bez ruchu swą bratową Katarzynę. (Do-
piero teraz przyszło mu do głowy, że może ten jej bezruch
wtedy był tylko jego chwilowym złudzeniem. Prawdopo-
dobnie w tym miejscu przechadzała się po ścieżce i przysta-
nęła, kiedy go spostrzegła. Zrobiła poza tym ruch ręką, jak-
by witający albo przywołujący, będący być może dalszym
ciągiem jakiegoś poprzedniego ruchu.) I to była ta chwila,
kiedy pomyślał: „Może śpieszyłem się tylko z powodu Pio-
tra”. Nie zwolnił jednak kroku, a szedł dalej, nie oglądając
się więcej. I minął główną bramę. I okrążył przed pałacem
gazon z wodotryskiem w środku, i już wstępował po ka-

miennych schodach, już był w drzwiach, bo przypomniał sobie znowu, co miał kuzynowi do powiedzenia o masakrze w Stoczku, i znalazł się był w tym obszernym hallu, w którym przed wojną pod ścianami stały kalekie rzeźby zwiezione z przeróżnych wykopalisk archeologicznych przez Teodora Czerestwińskiego, teraz zbyt pustym, przez to bardziej niż dawniej smutnym, i już ów list dla Katarzyny trzymał w ręku, jak gdyby z kieszeni go wyjął dużo wcześniej, być może wtedy, kiedy bratową zobaczył na skraju parku. Tylko że nawet nie musiał zostawiać listu na stole czy dawać komuś ze służby. Z piętra schodził właśnie, nie podpierając się laską, rześkim krokiem senior Czerestwiński, Mikołaj Fiodorowicz, który ze wstrzemięźliwym acz przyjaznym uśmiechem odpowiedział na jego, Pawła Woynowicza, krótkie „dzień dobry”: „Dzień dobry, mój chłopcze. Cieszę się, że cię znowu u nas widzę”, i Paweł nie powiedział na to, że cieszy się również czy że jest mu miło lub cokolwiek podobnego, ale ten trzymany list, jakby chciał się go czym prędzej pozbyć, wcisnął starcowi w dłoń przemocą, mówiąc: „To dla Katarzyny”, i jednym tchem: „A Piotr? Gdzie Piotr?”, na co z twarzy Mikołaja Fiodorowicza nie spelzł wprawdzie cały uśmiech, jej rysy jedynie poczęły pokrywać się zwyczajną, codzienną maską nieprzystępności, odpowiedź zaś, że: „Piotr śpi jeszcze. Nie zszedł wcale na śniadanie”, była chłodna, to jednak oczy spoglądające na list, na czarny nadruk Czerwonego Krzyża na kopercie, nie potrafiły ukryć osłupienia. Ale już szedł, biegł po schodach na piętro i, stanąwszy przed znajomymi sobie drzwiami, zapukał, naciskając równocześnie klamkę, gdyż był absolutnie pewny, że tylko po to, po nic więcej, tylko po to przyjechał, żeby kuzynowi powiedzieć, co zrobił tej nocy Semen Gawryluk w Stoczku, Hajnie i Suchym.

Potem stał nad Piotrem, trzęsąc jego ramieniem. Kuzyn spał twardo i nawet kiedy zaczął trzeźwieć i wreszcie siadł na łóżku, nie otwierając oczu, to jeszcze instynktownie bronił się

przed zupełnym rozbudzeniem. I wtedy Paweł mu to powiedział. A potem było przedłużające się milczenie (jeszcze teraz dokładnie je pamiętał) i nic się nie stało, i dopiero po jakimś czasie, kiedy Piotr odburknął zaczepnie: „No to co?“, a on podjął ten sam wątek i mówił, mówił długo, pojął, że kuzyn – z trudem powstrzymujący powieki, żeby na powrót nie opadły, choć była godzina dziesiąta albo dalej – zaraz się roześmieje, i aby temu zapobiec, krzyknął: „To przecież Gawryluk, rozumiesz? Gawryluk i jego Ukraińcy urządzili tę masakrę“, i posłyszał słowo: „Drań!“, i od razu pojął również, że ów dziwny grymas na twarzy kuzyna to żaden śmiech, na pewno zaś nie sam śmiech, ale coś znacznie więcej niż śmianie się tylko, bo słowo, które przed chwilą kuzyn powiedział w owym skrzywieniu, grymasie czy skurczu mięśni twarzy, z którymi – jak widać – nie może sobie poradzić, jakkolwiek trze policzki dłońmi i wykonuje ustami ruchy, jakby chciał coś mówić bez słów albo jakby oddychał; że owo słowo, pojął, miało więcej znaczeń, czuło się je dotkliwiej, niż gdyby określało wyłącznie to, co zrobił Gawryluk, bo wydobyło się ono z ust Piotra z trudem, jak z dna głębokiej studni. Lecz wreszcie to wszystko minęło i wtedy Piotr powiedział, wykrztusił: „Wiem, że to mój brat, wiem...“ A potem już szybko i coraz szybciej: „Wiem teraz wszystko. Choć tyle lat to przede mną tajono. Jeszcze przed pierwszą wojną, kiedy dziadek dowodził garnizonem w Mohylewie czy może w Czehryniu, mój ojciec miał go z jakąś tamtejszą Ukrainką. Dziadekłożył na jego wychowanie i szkoły. Wiem wszystko, nie musisz mi świecić nim w oczy. Sprawa między nim a moją rodziną nie ma nic wspólnego z tym, co on teraz tutaj robi. Z jego krwawą robotą. To sprawa między Polakami a Ukraińcami. Ale jeśli myślisz... Jeśli mnie winisz...“, i po chwili zamilknięcia: „Czy po to tylko przyjechałeś?“, a on, Paweł, na to: „Mówisz, jakbyś sam nie był Polakiem“, bo zrazu nic lepszego nie umiał powiedzieć, a Piotr: „To zupełnie inna sprawa. Więc

co? Przyjechałeś po to, żeby mi powiedzieć, że to mój brat?”, a że milczał, Piotr zapytał jeszcze raz. Jednakże wtedy już wiedział.

Cały czas czuł na sobie uporczywy, obserwujący, pełen domysłów wzrok Piotra, wzrok, w którym nic nawet nie drgnęło, w którym nie widać było żadnej popędliwości ani zaskoczenia, ani zdumienia czy zawodu, w ogóle nic. Więc wtedy on, Paweł (zanim jeszcze spróbował wyjaśnić, że przywiózł list do bratowej), zrozumiał, że naprawdę przywiodła go do Czupryni Katarzyna i jego własna o nią zazdrość, gdy tymczasem przedtem wciąż myślał coś innego i mówił coś innego. Zrozumiał, że chodziło mu o nią, o tę bliską, równocześnie daleką i niezawisłą kobietę, która była żoną brata. I dlatego prędko powiedział słabo: „Nie chciałem cię urazić”, a kuzyn, jakby mu przerwał ledwo napoczęty wątek myśli, zmarszczył się, spojrzal przytomniej i odrzekł: „Sam sobie z Gawrylukiem poradzę. Lepiej niż ci wasi polscy partyzanci, którzy nie potrafią załatwić jednego niemieckiego lokaja. Ze mną on na pewno zechce gadać”, a on na to zaskoczony, sądząc, że się przesłyszał: „Co ty chcesz zrobić, Piotrze?”, a kuzyn krótko, twardo: „Pójdę do niego na wabia”. I wtedy, czując, że nim też coś takiego jak tamtym zaczyna wstrząsać, ale żeby to powstrzymać, bo mogło być śmiechem, lecz także czymś więcej, w każdym razie byłoby fatalnie, gdyby się uzewnętrzniło, powiedział, krzyknął prawie: „Jesteś szczeniak! Myślałem, że rozmawiam z dojrzałym mężczyzną, ty zaś jesteś szczeniak jeszcze. Trzeba by przestrzec Mikołaja Fiodorowicza, ażeby cię pilnował przed nabiciem sobie guza”, zresztą krzycząc wcale nie dlatego, że był zdumiony, osłupiały czy nawet (przyznawał się teraz skrycie) zawiedziony, nie zdolawszy Piotra upokorzyć, ale dlatego, że rozumiał, iż to, co właśnie powiedział, a w co przedtem mimo wszystko wierzył święcie, nie jest prawdziwe: jego kuzyn przestał być chłopakiem, choć był nim przed paroma dniami czy tygodniami zaledwie, a on, Paweł,

dobrze zrobił, że przyjechał, bo najwyższy czas, żeby Katarzynę stąd zabrać, aby nie zapomniała, że mimo iż Aleksego nie ma już od trzech z górą lat, ona ciągle jeszcze jest jego żoną. Tylko że nie zdołał owej myśli dokończyć, Piotr bowiem powiedział doń: „Wyjdz. Proszę cię, wyjdz”, stając, patrząc obraźliwie i zaciskając pięść; powtarzał być może tylko to, co powiedział dużo wcześniej, a czego on, Paweł, nie dosłyszał, zajęty tak bardzo swoim odkryciem.

Więc wtedy podniósł się z krzesła i już był za drzwiami. Ale jeszcze na dole w hallu żuł półgłosem, przeżuwał ze złością to słowo: „Szczeniak”. I to było wszystko. Nie klął, nie musiał. To słowo było daleko dosadniejsze niż przekleństwo, i myślał: „Po co on wrócił z Wielkopolski, gdzie miał jak u Pana Boga za piecem. Do czego on się tutaj pcha, szczeniak”, tylko że znowu wiedział, iż nie chodzi mu wcale o kuzyna (i że już nawet własne myśli mu kłamią), natomiast jedynie o Katarzynę, że to po nią przyjechał z Gleb, a potem coś się w nim nagle przelamało i postanowił, i był pewny, że zaraz ją stąd zabierze, żeby nie stało się coś, czego by później nie mógł odżalować, gdyż wciąż wierzył, że ma tę możliwość, tę moc zapobieżenia (było to przecież wczoraj przed południem, teraz jednak zdawało mu się, że całe lata temu); i powtarzając prawie że głośno: „Szczeniak”, słysząc wściekłość i udręczenie w swym głosie, że ledwo go rozpoznawał, spostrzegł w amfiladzie otwartych na przestrzał drzwi prawego skrzydła palacu starą panią Czerestwienką, babkę Piotra, jak siedziała pochylona przy sekretarce i coś pisała, drugą ręką ocierając chusteczką oczy z łez, i to dopiero zamknęło mu usta. Pomyślał: „Ona jest za stara. Za stara, żeby znieść nowy rodzinny skandal. Ona nie musi wcale wiedzieć, o co posądzam jej jedynego wnuka”, i równocześnie przestraszył się, że go zauważy, przywoła i on się nie wykręci, jeżeli ona naprawdę płacze. Bo jakakolwiek mogła być przyczyna tego płaczu, nie chciał (a nawet wiedział, że nie mógłby) skrzyżować swego wzroku z tym zim-

nym, jasnoniebieskim, przejrzystością przypominającym lęę spojrzeniem tej kobiety. Przynajmniej nie teraz. I nie mogąc wytłumaczyć sobie swego lęku, tknięty nagłym impulsem (w tej chwili oczywiście wiedział, że proroczym, ale przecież także już wtedy miał mgliste przeczucie, że jest sprawcą wydostawania się na światło czegoś, co może pozostać winno w ciemności) pomyślał, że coś widać tutaj zaszło, coś takiego, co również dotyczyło rodziny Czerestwienkich, i szybko ruszył do wyjścia. A potem był w parku i poczuł, jak w twarz smagnął go wiatr, który nawet za osłoną drzew wiał z siłą, i że bardzo jest nagrzanym. Szedł więc aleją przez ten wiatr, rozglądał się, pragnąc odszukać Katarzynę i od niej czym prędzej dowiedzieć się wszystkiego, skoro bowiem zaszło coś, co dotyczyło nie tylko jej, to ona mu to niewątpliwie powie (tak myślał), aż przypomniał sobie list, o którym, nawet mając go w kieszeni, nie chciał jeszcze niedawno pamiętać. I poprzedni nieokreślony lęek sprecyzował się nagle.

Ale byli już prawie w połowie powrotnej drogi do Gleb, minęli las, a dopiero wtedy Katarzyna mu powiedziała. Chociaż wprawdzie musiał zapytać, bo sama nie odezwała się przedtem ani razu. Ani kiedy zaszedłszy na opustoszały o tamtej porze folwark Czerestwienkich, żeby się przekonać, czy zadbanym o jego konie, zastał je na powrót zaprzężone, bratową zaś w koczobryku, jakby od dawna czekała na niego, siedzącą w tępych, niemym skupieniu z bezwładnie założonymi na kolanach dłońmi, których palce pełne odrębnego życia kurczyły się, to znów prostowały i znowu kurczyły, że zdanie, którym chciał wyrazić swe zdziwienie (bo przecież to on miał zamiar stąd ją zabrać, tymczasem ona go uprzedziła), zanim jeszcze był je wypowiedział, już samo wtłoczyło mu się na powrót do gardła i od razu siadł obok niej i ruszyli; ani podczas jazdy wzdłuż poprzerastanej sadami wsi i dalej rozjeżdżonym czupryńsko-nikoryckim gościńcem, kiedy musieli zmagać się z tą duszną, wysuszającą,

drobnozlocistą nawałnicą aż do samego lasu, gdzie dopiero od biedy można było odetchnąć, kiedy skręcili w przetarty chłopskimi furami dukt, po którego bokach skudłona gęstwina tonęła w cieniu i wilgoci, choć i tu w każdą wyrwę wdzierało się z góry oślepiające światło owego przedpołudnia, a gdzie spostrzegł był, że powieki Katarzyny ciężą ku dołowi wcale nie w rytm uderzeń smug światła, ale kierowane jakimś innym, wewnętrznym chyba rytmem, być może rytmem jej myśli, ze światłem natomiast nie ma to nic wspólnego; ani też nie odezwała się, gdy się wreszcie z lasu znowu wynurzyli na spopielalą od suszy równinę, gdzie wściekle kłębił się wiatr, którego nie było jeszcze z rana; ani nie odezwała się później, mimo że połowę drogi mieli za sobą, z prawa bowiem, z Mohylnej Doliny wychynał samotny futor starego Poczajewa, z lewa za rybnymi stawami zaścianek rusiński Łoszakowskich, a potem prędko ukazały się postrzelane jak sito chaty parcelantów, bo tym razem prowadził konie drogą, jaką jeździło się zawsze, a nie skrótem, i jechali przecież dość długo, żeby odezwała się choć jednym drobnym słowem, że zaczął utwierdzać się w przekonaniu, iż coś, co pragnie zataić przed nim, jednak zaszło, nawet przyłapał się był na złośliwym przypuszczeniu: „Poróżniła się z Piotrem. Otóż to: ona ucieka po jakiejś swojej porażce”, i ledwo kryjąc opanowujące go zadowolenie, ale jeszcze niezbyt pewny, raczej nawet mniej pewny niż z początku (kiedy ujrzał ją w tym skupieniu czekającą nań na dziedzińcu folwarcznym), zapytał, zadał w końcu to pytanie, które tak dawno miał na ustach, a wówczas odpowiedziała trzema słowami: „Aleksy nie żyje”, nic więcej, bardzo wolno je wymawiając, z ociąganiem, zdziwiona jak gdyby samym ich brzmieniem, a może nie tyle zdziwiona, ile w krótkim porywie lęku (później zrozumiał, że lęk mógł być reakcją nie na fakt, że Aleksy, jej mąż, nie żyje, lecz na samo przeobleczenie się tego faktu w dźwięki), a on, Paweł, przypomniawszy sobie list, który wiózł, owo urzędowe za-

wiadomienie, nie uświadamiając sobie tylko zrazu, co powtarza, podobnie jak ona bezbarwnie, wolno powtórzył: „Aleksy nie żyje”, słysząc swój głos umykający w wichurze i po chwili, wciąż patrząc na jej bezwładnie leżące na kolanach dłonie, nie na twarz, właśnie na dłonie, jak palce o różanosinych paznokciach wyglądających niby płomyki gazowe kurczą się i zaciskają, „Mój Boże, mój ty Boże”, dodał silniej, jakby to, co od niej usłyszał, dopiero do niego dotarło, zmuszone wpierw pokonać jakąś wielką odległość i czas, a dopiero wtedy pojął wszystko naprawdę.

Właściwie jednak powinien był wiedzieć przedtem. Wiózł przecież list z nadrukiem Czerwonego Krzyża na kopercie, gnając na złamanie karku do Czupryni, gdzie od paru dni gościła u Czerestwieskich, cały czas nie myśląc o nim, nie chcąc, a potem nie znalazł w sobie dość odwagi, ażeby go osobiście jej doręczyć, więc może istotnie wiedział, wiedząc zaś, wolał chwilę, kiedy będzie musiał fakt śmierci brata przyjąć i uprzytomnić sobie konsekwencje tego faktu, tę chwilę, której oczekiwał przecież od dawna skrycie, dławiąc się wstydem, i której, oczekując, bał się, tę chwilę wolał odsunąć od siebie w czas przyszły, nieokreślony, bo wstyd i ból były dotychczas w nim silniejsze. Ale teraz wszystko stało się od razu jasne. Były to słowa Katarzyny. I jego własne słowa też. Potwierdzały. Powtarzał je wielokrotnie w myślach, prócz tego w głowie nie znajdując nic, podcinając bitem konie, żeby zmusić je do prędszego biegu i patrząc wciąż na ręce bratowej zaciśnięte na kolanach brązowych od słońca, obnażonych z sukni przez wiatr i pęd, i na palce, jeszcze naprężone, wpijające się paznokciami w skórę, ale znieruchomiałe. Potem spojrział jej w twarz. To było w tej sytuacji ohydne, aż nim wstrząsnęło, poczuł bowiem fizyczną bliskość kobiety i wydało mu się, że przywierają do siebie w namiętym uścisku (gdzieś z białego niby piana morska nieba runął strącony wiatrem czarny ptak), i: „On nie żyje, a ja przeżyłem”, przeleciało mu przez myśl, choć nie, nie

trzymali się nawet za ręce, ich ręce się tylko przypadkowo zetknęły i Katarzyna nie wiedziała o tym wcale, to on jedynie doznał krótkiego szoku pod wpływem prądu, jaki przeniknął mu przez skórę, docierając ostro aż w głąb serca. I zaraz: „Ona też żyje”, pojawiła się myśl następna. Tryumfująca, zwycięska, bo wciąż patrzył w jej twarz. I sformułowania jasne, logicznie złożone w zdania: „Zdawało się, że przywykła, że pogodziła się przez lata. Czyż teraz, po otrzymaniu urzędowego potwierdzenia, że wygrzebali go w Katyniu, musi zmierzyć się z faktem tym na nowo? Może to dla niej tak, jakby haniebnego mordy na Aleksym dokonano po raz drugi?” I po chwili już nie czuł twardego napięcia nawałnicy. Ani gorącego powietrza, pełnego mialkich drobin wciskanych wiatrem we wszystkie pory skóry i w oczy, aż do lez, coś w nim raptem przycichło, więc następne zdania poczęły układać się w głowie jeszcze bardziej logicznie, bez poprzedniego trudu: „Nie chodziło mi o masakrę w Stoczku ani o bat'kę Gawryluka. Nie miałem nic Piotrowi do powiedzenia. Chodziło mi jedynie o tę kobietę. Żeby jej Piotr nie zdobył. Chodziło mi o to, żeby ją mieć dla siebie. A wciąż była jeszcze żoną brata. Lecz teraz jest naprawdę wolna. Ciebie Aleksego nie idzie więcej za nią. Teraz wreszcie mogę. Chcę”.

I zaraz przypomniał sobie pierwszą okupacyjną zimę w Krzyżtopolu. Jak bardzo potrzebowała jego opieki i jak od jego opieki była zależna. Te puste pokoje po Ormianach sobie przypominał, gdzie ukrywali się podczas najgorszych wywózek. Jak bała się duchów pomordowanych i warkotu ciężarówek w opustoszałych ulicach, kiedy nocą uzbrojeni po zęby enkawudyści wygarniali ludzi z domów. I jak trzymała go za ręce wpatrzona w ciemność w napiętym oczekiwaniu, że to się wkrótce i z nimi stanie, też sobie przypominał, a potem, jak rano z radości płakała na jego ramieniu, kiedy się nie stało. I wyciągając rękę, już świadomie dotykając jej dłoni, chciał to wszystko powiedzieć, na-

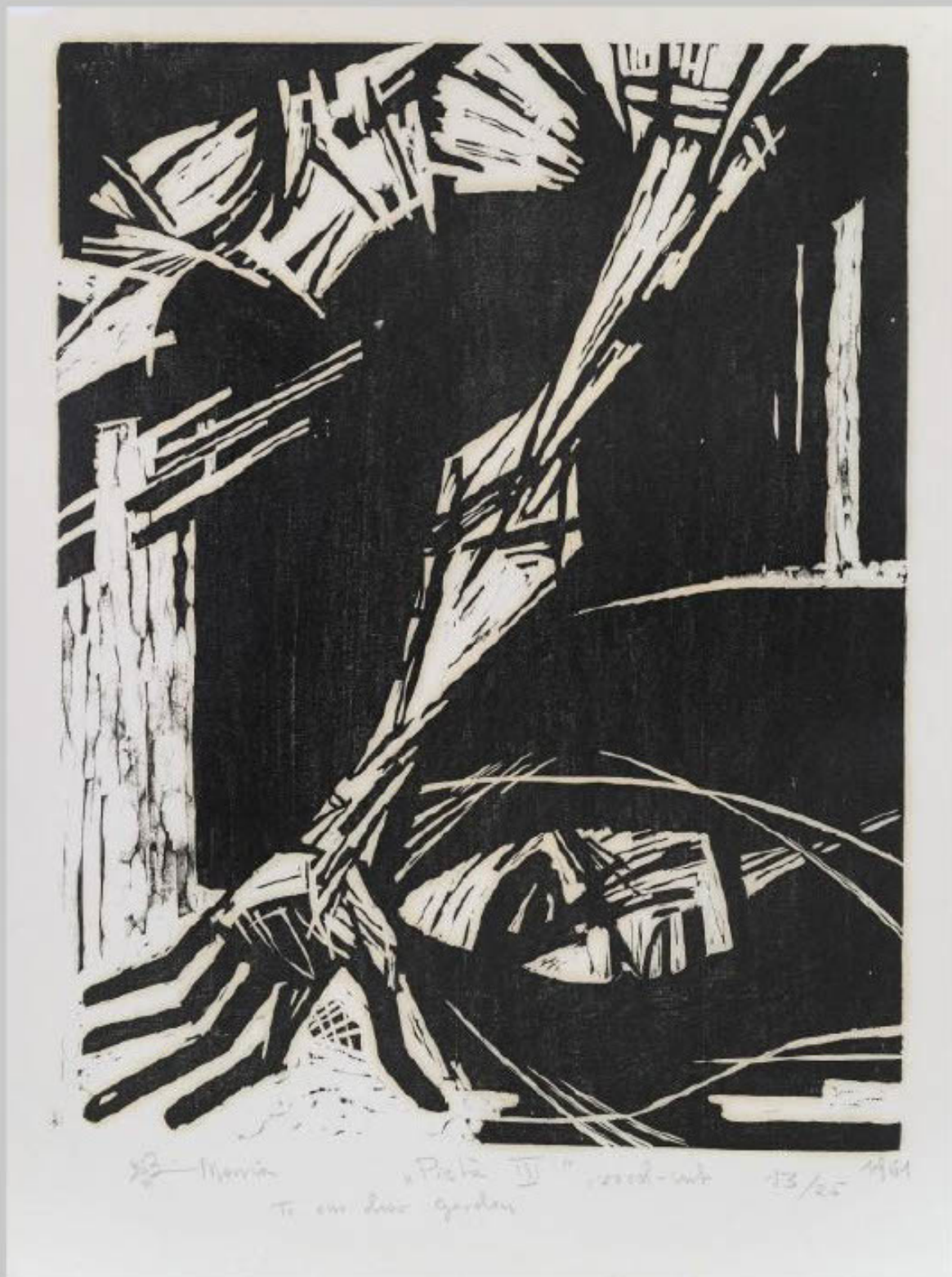
wet zdawało mu się, że mówi albo że dawno powiedział, lecz naprawdę syknął jedynie na konie, bo zauważył w oczach Katarzyny znajome, szczególne światło, które zawsze go przerażało i nakazywało milczeć, gdy powiedzieć chciał więcej niż to, czego oczekiwała, światło zwrócone jak gdyby do środka czaszki (niby ponuro odpychający odbłask świec płonących u wezglowia zmarłych), i ogarnął go paniczny lęk, że jak kiedyś – kiedy wyrwawszy ją z rąk napastujących ją sowieckich żołnierzy, powiedział słowo, jakiego na pewno nie chciała usłyszeć wtedy – obróci się ono, owo światło jej oczu, na zewnątrz i padnie wprost na niego. Odezwał się dopiero, gdy zgasło: „Coś musimy zrobić ze zwłokami Aleksego. Nie powinny zostać tak daleko. W obcej ziemi”, wcale nie słysząc odpowiedzi kobiety, a jedynie własny szept i jak rozmielił go od razu na pył stukot kół, rozgniótl głuchy tupot kopyt, a to, co z niego jeszcze pozostało, nędzną tę resztkę rozniosło wniwecz rozfalowane ciepłem południa powietrze. I myśląc, wiedząc, że Katarzyna myśli, iż on myśli: „Chciałem tego. Żeby to się wreszcie potwierdziło. Żeby Aleksey wreszcie umarł naprawdę”, powiedział, krzyknął: „Nie! Nie możemy go tam zostawić”. A wtedy dłoń, której dotykał, ona oderwała raptem od jego dłoni i ruchem krótkim, ale ostrym otarła o kraj sukni, i choć otarła tylko raz, kładąc zaraz z powrotem na kolanie, zanim dłoń jej znowu znieruchomiała, wykonywała jeszcze przez chwilę niekontrolowane świadomością konwulsyjne ruchy, jak gdyby chciała z siebie zrzucić, wymiotować jego dotyk.

I natychmiast jej słowa, że Aleksey nie żyje, powróciły do niego w zupełnie innym znaczeniu. W związku ze wszystkim, co Katarzynę łączyło przez kilka miesięcy z jego bratem, kiedy byli ze sobą razem, a co w jego, Pawła, umyśle zdołało się w końcu zatrzeć czy nawet znikło bez śladu świadomie zamordowane, jak gdyby Aleksey nie istniał nigdy (jak być może w umyśle mordercy znikają bez śladu

charakterystyczne cechy ofiary, szczegóły jej życia, obraz twarzy, widok miejsca zajmowanego wśród żywych), ale że Aleksy istniał i ona wiedziała o tym najlepiej, jej słowa, owe trzy słowa powróciły do niego, jakby je powiedziała po raz wtóry. Mając jeszcze w oczach ten strząsający z siebie jego dotyk ruch jej ręki, pojął, że jakaś część świadomości tej kobiety z tamtego okresu, kiedy mąż jej żył, pozostała do dzisiaj nieporuszona. Pojął również, że jego ręka jest dla niej, jak gdyby nie było między nimi oboma, Aleksym i nim, żadnej różnicy, ręką tamtego, ręką trupa. Wtedy zapragnął znaleźć się jak najprędzej w domu. Sam. Ale dopiero gdzieś po kwadransie trawiaste zbocza urwały się, opadając w dolinę i na tle wzdętych wiatrem obłoków, za futorami braci Czartoriusów, zamajaczyły niepewnie, wśród szczytów drzew, kominy Gleb. I nagle poczuł, że Katarzyna drży. Mimo że nie dotykali się nawet ramionami. Jej ręce, jej kolana, na których przytrzymywała kurczowo dłońmi skraj sukni zdmuchiwanej przez wiatr, w ogóle cała była nieruchoma, a jednak to drżenie czuł cały czas wskroś roztrzęsionego podskakiwania koczobryku na wybojach, aż do miejsca, gdzie skończył się gwałtowny spadek, dolina zaś rozszerzała się lejowato i konie jak zwykle spłoszyły się, gdyż były tam zbiorowe mogiły z wiosennej pacyfikacji Żydów i późniejsze partyzantów. Tam wreszcie to drżenie ustało, jakby w niej zaszła jakaś nowa przemiana. Bo i ona patrzyła na wynurzające się spomiędzy zieleni Gleby. Więc pomyślał, iż ona myśli, że teraz nie jest to już dom jej męża, ale jego, Pawła, i zaraz posłyszał swój chropawy, chrypiący głos, jak z wysuszonego, pełnego kurzu gardła dobywa się z trudem, próbujący przedrzeć się przez łoskot kół, stukot kopyt, i przekonywający bratową, że: „Trwało to zbyt długo przestań ani małżeństwo ani wdowieństwo wiesz teraz co i jak oni zawsze mordowali jeńców to się ułoży jakoś przestań o śmierci Aleksiego myśleć nie ma sensu wiedziałas od paru miesięcy jak przestań och przestań rozkopano te doły nad którymi ich

z całą pewnością wiedziałaś jaką śmiercią przestań nic się nie zmieni mamy jeszcze ten dom przestań” ale wkrótce pojął, że jego słowa, jeśli nie były tylko szeptem, w ogóle do niej nie docierają, zresztą podejrzewał, że nawet gdyby dotarły, nie usłyszałaby, tak była daleko. Jej szyja prężyła się, skroń pulsowała, usta zaś, dawniej wciąż pełne, wilgotne, były teraz rozchylone, suche, prawie bez koloru. Przyszło mu wtedy do głowy, że ona nie myśli o tym, co się stało. „Skoro wiedziała nie od dzisiaj, nie mogło to jej dzisiaj tak zaskoczyć. To nieprawda, że jest tak przejęta”, i na chwilę poczuł gniew. Ale jej palce znowu splotły się i rozplotły i ten jego gniew od razu wygasł.

Powściągnął ostro konie. W perspektywie alei ukazał się nieocieniony drzewami, zamazany, bez konturów, roztarty dokładnie w jaskrawym słońcu dwór. W nozdrza uderzył duszny zapach igliwia i kory. Od wyniosłych jodeł wystających ponad gęstwinę i od świerków poniósł się szeleszcząco-syczący szum, jednostajnym swym szeptem obejmując ich oboje, a także zszarzały od kurzu koczobryk i spienione konie. Jednakże oddech kobiety, który Paweł usłyszał przed chwilą, był dużo głośniejszy niż ów szum. Zmrożony podejrzeniem, że to nie potwierdzenie śmierci Aleksego tak bratową przejęło, uprzytomnił sobie, że nigdy jeszcze, nawet w czterdziestym pierwszym roku, kiedy po ucieczce Rosjan powrócili tutaj, nie wydał mu się dom rodzinny aż tak nierealny, zamilkły i osamotniony. Wciąż powstrzymując rwące się do stajni konie wciągnął w płuca gorzki, cierpki zapach parku i zaraz, czując, jak nie może go więcej znieść, przytając w sobie ze wstrętem oddech, powiedział: „Najgorzej ze zwłokami. To bardzo daleko”. Ale świerki i jodły ustąpiły włoskim topolom po obu stronach alei, więc ten zapach się rozwił. Koczobryk wtoczył się ze chrzęstem na rozległe, wyźwirowane podejście do ganku, nad którym unosiła się tylko, jak zwykle, zgęszczona woń nagrzaných dachów, i Paweł mógł o tamtym przerażającym zapachu zapomnieć.



Małgorzata Hiszpańska-Neumann, *Pieta III*
Марія Іспанська-Нейман, *П'єта III*
1961

Jarosław Iwaszkiewicz

(1894–1980)

Ogrody [fragmenty]

(1974)

Mama sadziła w ogrodzie takie małe czarne ziarenka i wyrastał z tego po niewielu tygodniach dosyć duży krzak, jakich się teraz nie widuje. Krzak ten okrywał się kwiatami, które otwierały się przed wieczorem, jak kolorowe wywieszki dla zmierzchnic. Były to drobne kieliszki, czerwone, żółte albo takie jak perkaliki, malinowe w białe paski, a pachniały bardzo mocno. Kwiat ten nazywał się „nocna ozdoba”. Już go nie widuję więcej, nigdzie nie widuję. A był inny kwiat, na odmianę granatowy z białym. Siało się go na wiosnę prosto do gruntu. Otwierał swoje powojowate kielichy z rana, około jedenastej, a zamykał je przy zachodzie słońca. Kwiat ten był w owych czasach pospolity, choć nie znam jego polskiej nazwy, mówiło się o nim „belle de jour”. Bardzo polubiłem owe beldeżurki i zrosły się całkowicie z moim dzieciństwem, i jeżeli kiedy myślę lub śnię o tych kwiatach, to potem cały dzień mam jak gdyby rozjaśniony.

Ale to były wszystko kwiaty sadzone przed domem. Cały zaś ogród dosyć dziwaczny rozciągał się za domem i wkoło domu. Tylne okna sypialni mojej matki, które były także oknami mojej sypialni, wychodziły bezpośrednio na wielkie krzewy bzów. Takich wielkich krzewów bzowych już później nigdy nie widziałem, dla bardzo prostej przyczyny: podrosłem już sam – i wszystko wydawało mi się później znacznie mniejsze.

Główny ogród rozciągał się za domem. Ale przed domem roztaczało się szerokie koło obsadzone irysami i ogrodzone żywopłotem. Irysy tu były albo te najwcześniejsze ciemnofioletkowe, które w Rzymie widzimy kwitnące nawet zimą, albo późniejsze, szaroniebieskie. Te dwa gatunki pozostały mi w pamięci i przez długi czas nie wiedziałem, że mogą istnieć inne odmiany. I teraz nawet, gdy mówię słowo irys, gdy słyszę na przykład imię angielskiej pisarki Iris, wyobrażam sobie tylko jeden z tych dwóch rodzajów *Iris germanica*: albo ten niski fiołkowy, albo wysoki szaroniebieski. To koło przed domem było jeszcze otoczone żywopłotem – stawałem tutaj zachwycony, bo z tego miejsca rozciągał się widok na groblę nad stawem, wysadzoną starymi wierzbami, na błyski słońca igrające w tym stawie i na ową wodę, która mnie zawsze zachwycała. Było to miejsce pamiętne dla mnie i z innych względów. Ten ogród, to ogrodzenie żywopłotowe i ten rząd bladych liści irysów otaczały plac, na którym w najwcześniejszym dzieciństwie widziały mi się jakieś zmysłowe widziadła, jakieś nagie ciała i jakieś piekielne męczarnie wyciągane z ilustracji Dorégo do wielkich ksiąg Biblii, które oglądałem u sąsiadów. Mieszkali oni w ten sposób, że dach ich domu wynurzał

się z tych zarośli licjum i berberysu, z zarośli i burzanów, z tych malinowych krzaków, które zaczynały się tuż za irysami. Dom ten z pozoru nie miał nic w sobie ciekawego, ale jakoś się łączył w moich wyobrażeniach z tymi jasnymi i ciemnymi irysami i zarysami ciemnych diabelskich ciał, którymi francuski rysownik zaludniał swoje piekła, a które wydawały mi się nie straszne, tylko bardzo piękne.

Do tego dalszego ogrodu, położonego za naszym domem, szło się furtką obok ganku. Ganek ten, drzwi i parę kamiennych stopni, schodzących ku dołowi, to była też jak gdyby część ogrodu, część wiejskiego życia, część pełna marzeń, błahych, na pół dla dziecka zrozumiałych rozmów i dalekiego rechotania żab, które było tutaj tak doskonale słychać. Mój ojciec siadywał tu wieczorami i nasłuchiwał tego wiosennego i letniego rechotania.

Już wtedy – choć byłem bardzo jeszcze mały – interesowało mnie to, o czym ojciec mógł rozmyślać. Ojciec był surowym człowiekiem, wszyscy go się w domu bali. Jak to było z tym powstaniem, nic nie wiedziałem, ale wiem, że chyba ojciec myślał o tym, jak to siedział w więzieniu, jak groziło mu wywiezienie na Sybir i jak tego wszystkiego uniknął. Dlaczego? Nigdy nie będę o tym wiedział.

Dlaczego stryj Zygmunt, o tyle od ojca młodszy (to znaczy miał osiemnaście lat), musiał uciekać za kordon galicyjski i tam już nigdy nie mógł się wylizać z powstaniowych... ran? chorób? zaziębień? i w parę lat po powstaniu umarł. Wiem tylko, że – jak mówiła matka – pisywało się do nie go do Galicji jako do „kuzynki Zosi”. I tak mnie to uderzyło, że musiał bytować pod nazwiskiem „kuzynki Zosi”. Miałem głęboki pociąg do tego stryja.

Z ganku schodziło się furtką do ogrodu. Tutaj były piwonie. Rosły czerwone i różowe. Ale nie wtedy były najpiękniejsze, kiedy kwitły, ale wtedy, kiedy na bardzo wczesną wiosnę poczynały się wydobywać z ziemi. Sterczały z niej jak czerwone kleszcze ugotowanego raka i powoli się podnosiły w górę. Codziennie na nie patrzyłem i nie widziałem, żeby się powiększały, żeby wyrastały, a jednak po tygodniu były już zielone, zatracaly podobieństwo do kleszczy i ich czerwony kolor zmieniał się w połyskliwą zieleń.

A obok piwonii były krzaki agrestu. Były tak wielkie jak krzaki bzu, no, może trochę mniejsze, i także bardzo wcześnie zaczynały się pokrywać zieloną mgiełką listków. Ale to na wiosnę, a ta strona ogrodu była jednak domeną lata. Tutaj się przebywało latem, tutaj stała stara, kratkowana altana, cała zarośnięta dzikim winem, w altance tańczyły zawsze plamy słoneczne i pachniało wilgocią i jakimiś zapleśniałymi owocami. Koło altanki siedziała kiedyś babunia Czekierska. I teraz siedzi dla mnie już na zawsze. Przecież byłem w tym miejscu niedawno. Nie ma tam ani domu, ani ganku, ani ogrodu, ani krzaków bzu, ani agrestu, ani w ogóle nic nie ma, ale kiedy pomyślę sobie o tym miejscu ogrodu, to zawsze tam siedzi babunia Czekierska. [...]



Józef Mehoffer, *Dziwny ogród*
Юзеф Мегоффер, *Дивний сад*
1903

Andrzej Kuśniewicz

(1904–1993)

Lekcja martwego języka [fragmenty]

(1977)

[...]

Zaś, gdy minąwszy już garb leśny, porośnięty, po wyrębie sprzed trzech lat, gęstą młodą buczyną, przemieszaną z pojedynczymi jaworami czy też świerkami zieleniącymi się w tym morzu barw jesiennych — od ciemnego karminu, poprzez wszystkie odcienie czerwieni, jak rafy koralowe, i rudych, i nakrapianych rudzieleni, aż po cytrynową czy też siarkową żółtość — zaczął iść po niemal równej ścieżce zmierzającej wzdłuż szczytu gdzieś ku wsi Ilnik, usłyszał w krzakach szelest i myśląc, że zaskoczył jelenia, samę czy może dzika, przystanął za popielatym, gładkim pniem sporego buka i cicho, ostrożnie, by zwierza nie spłoszyć, zaczął ściągać przez ramię rzemień karabinka. Ucichło i tylko gdzieś daleko, na następnym wzgórzu łagodnie spływającym ku dolinom, śpiewał ptak. O tej porze roku? — zdziwił się porucznik i czekał nadal. I wówczas gdzieś niżej, o wiele niżej, na zboczu góry ukazał mu się kształt jakiś, który jakby pod jego wzrokiem zatrzymał się, a nawet przykucnął nisko. Wnet jednak podniósł się. Wtedy porucznik Kiekeritz poznał młodego jeńca rosyjskiego, którego widywał wielokrotnie przy tartaku nad potokiem. Nazywał się, jeśli porucznik dobrze zapamiętał, Mychajło i, zdaje się, pochodził z Mołdawii. Porucznik uniósł bezszelestnie sztucer i patrzył przez zeissowską lunetę na uciekiniera. Bo nie było najmniejszych wątpliwości, że Mychajło uciekł z obozu przy tartaku, może w trakcie roboty przy wyrębie, i ma zamiar udać się lasami i górami w swoje strony, jak wielu innych jego towarzyszy. Ten — pomyślał porucznik Kiekeritz, poszukując zbiega przez lunetę, bo go na moment zgubił w czerwieni liści — ma przynajmniej realne szanse, by dotrzeć do siebie przed wielkimi śnieżycami i mrozem. Mołdawia? Besarabia? To nie tak znów daleko, zwłaszcza przy takiej pogodzie jak dziś. — Ujrzał Mychajłę, jak się nachyla nad nurtem potoku płynącego meandrami w ciasnej, cienistej kotlinie. Ale tam gdzie stał — przez jakiś prześwit między wysokimi smrekami — było jasno od słonecznych promieni. Cały ich snop padał na jeńca, podobnie jak na dawnych obrazach malarze średniowieczni pokazywali skierowaną na świętego patrona świetlistą strzałę. Jeniec był bez wątpienia młody i piękny. Teraz, gdy ściągnąwszy przez głowę koszulę barwy brunatnozielonkawej, jakich dostarczały dla jeńców wojskowe zakłady umundurowania, zaśnieił w słońcu nagim białym torse, pochylony, nie wiedząc, że go obserwują z zainteresowaniem

oraz podziwem, lecz i rodzącą się gdzieś pasją o nie sprecyzowanym jeszcze charakterze — by, zaczerpnąwszy w obie garście wody, oblać nią nagie ramiona i piersi. W jakimś momencie (a porucznik Kiekeritz wciąż patrzył przez światło lunety w narastającej fascynacji) chłopak wyprostował się i odwrócił twarzą ku wzgórzom, na którym za grubym bukiem o lśniącej popielatej korze stał porucznik z kolbą karabinka przyciśniętą do ramienia (odczuwał fizycznie ten nacisk i zwiększał wciąż jego siłę), z lufą poniżej lunety, wycelowaną w białą, bezwłosą chłopięcą pierś. Kiekeritz kierował lufę wraz z lunetą nieznacznymi ruchami, patrząc nieprzerwanie w okrągły otwór, którego gumowy ochraniacz w kształcie pierścienia uciskał mu czoło między brwiami, poruszając to w prawo, to w lewo mannlicherem. W okrągłym świetle jak w ramach przesuwiał się jednocześnie krzyż z dwu cienkich drucików, niby najcieńszy metalowy włos. Mijał powoli widzianą w dużym zbliżeniu to lewą, to znów prawą jasnoróżową sutkę na tle białej skóry. Można było sądzić, iż podgląda nie chłopaka, lecz dziewczynę. Tam, pod lewą, kryło się serce. Obserwującemu żarliwie i z naprężoną do bólu uwagą zdawało się, że widzi, jak skóra porusza się w rytmie bicia serca. Tak, mój młody przyjacielu, wolałbym w tej chwili, gdyby dano mi tę możliwość, zamiast mierzyć do ciebie z daleka, przytknąć spragnione wargi do nagości twych pleców, wyczuć ruchy łopatek kurczących się od zaznawanej pieszczoty, przesuwając powoli usta po bruździe kręgosłupa lub ucałować w pokorze twoje młodzieńcze piersi, by poczuć smak twojej skóry i twego młodego potu. Szkoda! Po stokroć szkoda! Obejrzałeś się nieopatrznie, dostrzegając mnie za pnem buka, i na swe nieszczęście, jak Akteon, gdy ujrzał kąpiącą się w strumieniu Dianę, wydałeś na siebie wyrok. — Porucznik Kiekeritz poczuł w sobie napięcie narastające niemal do bólu, aż zacisnął zęby i w tym momencie jego wzrok napotkał oczy tamtego, który wyprostowawszy się, znieruchomiał trzymając koszulę w opuszczonych rękach. Wiatr tylko poruszał kosmyk jasnobłond włosów nad jego czołem. Wtedy padł strzał i porucznik Kiekeritz natychmiast doznał ulgi. Jakby się uchyliła ciemna i ciężka powieka i nagle do wewnątrz zajrzało światło. Zarepetował karabinek i odrzucił końcem buta pustą błyszczącą łuskę. Po czym zawrócił i zaczął iść w dół po stoku w stronę miasteczka i tartaku. Gdzieś niedaleko w leszczynach odezwał się znowu tamten ptak.

Lecz idąc zbłądził (a zaczynało szybko mrocznieć, góra rzuciła długi cień w dolinę) czy też celowo, pragnąc jeszcze dla zdrowia przejść się, niesyty świeżego powietrza, które za każdym oddechem napelniało mu płuca, jakby łyknął gwałtownie zimnej źródlanej wody. Idąc na ukos zbocza, potykając się o korzenie, pomyślał sobie, przypominając jakiś czytany czy zasłyszany werset: „L'assassinat est, c'est connu, l'un des beaux-arts” — i wzruszył ramionami: znane? dlaczego? skąd znane to powiedzenie o cechach sztuki tkwiących w akcie zabójstwa, ba — gorzej — morderstwa?

I co w czasie działań wojennych można uznawać za zabójstwo nieodłączne od każdej walki zbrojnej, a co już za morderstwo? Arcydzieło śmierci? Nonsens? Bóg to raczej wie! Jest w tym jakiś smak, który nazwałbym cierpkim, a ton określiłbym jako złowieszczy, co zresztą nie tylko nie obniża, lecz mocno podwyższa skalę doznań. Równocześnie poczuł się nagle, mimo tego wokół bogactwa jesieni, tej gamy barw, istnej wystawy kompozycji kolorystycznej porozwieszanej po górach, stokach, rozpadlinach, połaciach gołych połonin, wysoko i daleko, rozległe, dokąd okiem sięgnąć — bardzo obco w tym krajobrazie pełnym jesiennego piękna, absurdalnie wyrzuconym na pusty brzeg. Oto widzi siebie, jak zmierza po pustej plaży, brzegu morza, które jednocześnie jest posępne i skrzące się milionami drobnych świetlnych odprysków, rojem maleńkich gwiazdeczek. Oddala się, widzi samego siebie ginącego w perspektywie wieczoru: jest coraz niniejszy, coraz bardziej samotny, w końcu znika. Tylko fala łagodnym szelestem zgarnia piany i rozmywa jego ślady na piasku. Rodzinny Adriatyk? A już właśnie słońce ukryło się za górskim garbem i w doliny padł mrok. Daleko, w wycięciu utworzonym przez dwa stoki nachylone ku rozpadlinie potoku, ukazała się zielona duża gwiazda. Porucznik Kiekeritz, poczuwszy nagłą słabość, aż się schwytał pnia świerka, patrzył w tamtą stronę, stojąc naprzeciw gwiazdy: pojazd Diany? wóz czy raczej może ptak Diany, bogini śmierci? Czy istnieje w ogóle gwiazda, a może cała konstelacja jej poświęcona? — Nie wiedział, nie potrafił sobie przypomnieć, a przecież już w szkołach był znany z tego, że umiał wymienić na każde zawołanie wszystkie planety, wszystkie większe konstelacje, a także systemy planetarne. A teraz całkowita pustka w głowie. Poczuł tego wieczora tak mocne wrażenie osamotnienia, że niemal rozpacz. Wrócić najprędzej do matki, do Grazu, zaszyć się tam jak zwierzę w norze, wpełznąć i dyszeć w ciszy i poczuciu bezpieczeństwa.

Idąc teraz w dół po chwili odpoczynku, już niemal w zupełnym mroku, zszedł prosto na nasyp kolejowy naprzeciw budki dróżnika numer dwa. A więc jednak nie zgubiłem drogi — pomyślał przekraczając nasyp i tor kolejowy. Rozejrzał się dokoła, trzymając mannlicera w rękę, zapomniał go przerzucić na rzemyku przez ramię. Było cicho, tylko jak zwykle dźwięczały pasma drutów łączących nastawnię na stacji z najbliższą rampą kolejową; cichutki brzęk, jakby pszczoły czy trzmiele wyroiły się z gniazda. Niedaleko, w lewo, wysoko na niebie, obok tamtej gwiazdy poświęconej bogini Dianie, drugi zielony punkt: semafor wskazujący wolny przejazd. Niedługo pewnie przejedzie tędy jakiś pociąg — pomyślał Kiekeritz i spojrział na zegarek, ale było za ciemno, żeby sprawdzić. Wtedy przyszło mu na myśl, że może zielona gwiazda i zielone oko semaforu to jedno, że mu się tylko wydało, iż widzi gwiazdę. Jedno i drugie wskazuje w każdym razie wolny przejazd — pytanie: dokąd?

W budce świeciło się, dróżniczka Liza Kut, nachylona nad dużą blaszaną miednicą ustawioną na krześle, prała bieliznę. Zerknęła w okno i poznała schodzącego z nasypu wprost ku niej porucznika, boga wojny Marsa, a może tylko któregoś z antycznych herosów. Liza czytała coś na ten temat, gdy jeszcze w ogóle przez pewien czas czytywała książki wypożyczone od nauczyciela ze wsi Felitzienthal. Uznała teraz porucznika Kiekeritza za istotę niemal boską, w każdym razie o ileś pięter wyżej w hierarchii męskich bóstw od innych przedstawicieli sił zbrojnych, na przykład porucznika Valaška. Kiekeritz był, należy przyznać, mężczyzną istotnie bardzo urodziwym i bardzo męskim, ale nie to tak zafascynowało Lizę. Wiedziała, zdawała sobie znakomicie z tego sprawę, że ktoś taki jak on nie jest i nigdy nie będzie dla niej. Mogła zostać — a i to byłaby duża, niezasłużona łaska Opatrzności — najwyżej jego pokorną służebnicą, podnóżkiem, niewolnicą czekającą z wytęsknieniem na każdy rozkaz. Wyobrażała sobie — a nawet parokrotnie ostatnio widywała we śnie bardzo dokładnie — jak pierze bielizny porucznika, a potem ją prasuje, ostrożnie, żeby nie przypalić. Zamiast tej tutaj bielizny wachmistrza żandarmerii, Iwana Pełechatego, który jej ostatnio stale oddaje, co tam ma zabrudzonego, do wyprania. Dwie, trzy mundurowe koszule, dwie, trzy pary ciepłych, długich, również komiśnych kalesonów. Teraz to namakało w miednicy, a Liza Kut szybko wycierała swe wielkie mokre, kościste dłonie o własne spodnie, jakie ostatnio nosiła do służby, nie zdając sobie z tego sprawy, że jest jedyną na przestrzeni paru powiatów kobietą w spodniach i że nawet jest to temat uwag, a także zgorszenia niektórych. Wyskoczyła z budki i stanęła na baczność przed nadchodzącym po nasypie, jakby objawił się jej archanioł Gabriel mający obwieścić nowinę, której treści nie potrafiła nawet w wyobraźni odgadnąć. Może jakieś niepokalane poczęcie z samego tylko jej mocnego pragnienia i jego wzroku, który spoczął na niej. Stała wyprężona i poważna, ze zmarszczonymi brwiami, patrząc zstępującemu ku niej bóstwu wiernie w oczy. A on, zbliżywszy się na krok, nagle się zachwiał, może potknął w ciemności o jakiś wystający kamień, do tego stopnia tracą równowagę, iż był zmuszony oprzeć się całym ciężarem ciała o czekającą nań w ciemności. Kolba mannlichera uderzyła ją boleśnie w podbrzusze przy tej okazji, ale ona nawet tego nie zauważyła. Nie śmiała objąć go, nie wiedziała, co ma począć, czując, że on słabnie, że się zatacza, a w końcu zwisa uczepiony jej i że charcze na głos, a powieki ma zaciśnięte. Więc szybko zdecydowała się i schwywszy w pół słaniającego się, zawlokła go do budki; ostrożnie złożyła bezwładnego na swym wąskim polowym łóżku nakrytym burym kocem z emblematami kolei żelaznych. Paliła się tam tylko świeca ustawiona na podłodze, było mroczno, przez niedomknięte drzwi wiało lodowatym przeciągiem. Widać stąd było również zawieszany wysoko zielony sygnał semaforu. Więc Liza Kut, wysuwając ręce spod pleców porucznika, pomyślała w panice, że musi się bardzo śpieszyć, żeby zdążyć wyskoczyć przed drzwi, ustawić jak należy wraz ze swą latarką, bo za minutę, a może i mniej, przeleci tędy pociąg specjalny, o którym powiadomiono ją ze stacji. Jej wytresowany słuch, łowiący każdy dźwięk i szelest, już wyczuł dygot szyn i zbliżający się stłumiony loskot. Przecież i żandarm Pełechaty,

gdy oddawał bieliznę do prania, zwierzył się, że to szczególnie ważny pociąg, że jadą w nim wyżsi oficerowie, chyba nawet jakiś niemiecki sztab. I Pelechaty, powiedziawszy to, czego właściwie nie powinien był zdradzać byle komu, zrobił do Lizy oko, a potem położył palec na ustach: — Ale tss!... To tajemnica służbowa, słyszysz? Ani mru, mru, bo cię każe powiesić zaraz tutaj, na pierwszej z brzegu gałęzi, głową na dół, rozumiesz? — i roześmiał się z dobrego dowcipu, a potem poklepał Lizę po łopacie. Liza stała z naręczem brudów w obu rękach w swej przekrzywionej na bakier kolejarskiej czapce i patrzyła na Pelechatego kiwając głową ze zrozumieniem, że wie i nikomu nie powtórzy, żeby ją mieli przypiekać żywcem. Taka już jest, twarda i wierna, a także należycie czujna. No i teraz niewiele brakowało, a byłaby nie zdążyła na czas. Co za wstyd! Więc zapomniawszy na chwilę o swym niezwykłym gościu, wyskoczyła pędem przez niedomknięte drzwi niemal w momencie, gdy lokomotywa przelatowała przed budką numer dwa wzniesając podmuch, który dziewczynie zerwał z głowy czapkę i zwiął na bok kosmyk włosów. Okna wagonów oświetlonych jasno, częściowo zakryte firankami, w niektórych jednak twarze wojskowych, ktoś przeciskający się przez korytarzyk w kierunku przeciwnym do biegu pociągu, patrzący na Lizę, jakby jej nie chciał stracić z oczu, potem ostatni służbowy wagon z latarką kołyszącą się na końcu pociągu już właśnie mijał perony stacji, zagwizdał, znajomy Lizie ten gwizd, ten anons rzucony przez maszynistę, ten meldunek dźwiękowy czy pozdrowienie w przelocie, więc odruchowo, jak zawsze to czyniła, stuliła wargi do gwizdania, akompaniuje i towarzyszy mu jednocześnie, a potem, przypomniawszy sobie, kto leży na jej palowym żelaznym łóżku, wraca w pośpiechu, zapomniawszy zamknąć za sobą oszklone drzwi.

A tam, w na pół mrocznym wnętrzu, spoczywając na wznak na burym kocu z emblematami kolei żelaznych, kona po prostu w tej chwili niezwykły gość Lizy Kut, dróżnika w budce Tu-2. [...]



Олександр Животков,
Oleksandr Żywotkow, *Без назви*
2006

Eustachy Rylski

(ur. 1944)

Stankiewicz. Powrót

(1984)

Powrót [fragmenty]

I

Ukraina, lato 1919 roku. Armie stoją do siebie skosem. Między nimi wije się Dniepr, ale ich nie przedziela. Zasadniczo skos południowo-wschodni to biali, północno-zachodni – czerwoni, ale to nie jest ani tak klarowne, ani tak oczywiste, ani tak proste jak dwie równoległe wykreślone na mapie. Sztabowcy jednych i drugich rysują to niepewną ręką, jakby świadomi iluzoryczności i nierealności tych wszystkich kółeczek, kresek, linii ciągłych i przerywanych, wybrzuszeń i wklęsłości, pozycji i kontrpozycji, tych misternych rysunków nanoszonych kolorowymi ołówkami na płachty szeleszczącego pergaminu.

Środek walca wojny domowej toczy się na wschód od Dniepru i od kilku miesięcy nicubłaganie na północ w kierunku Moskwy. Zdaniem niektórych posuwa się za wolno. Zdaniem innych niebezpiecznie szybko. Lewe skrzydło białych zrzuca czerwonych, jak ramię pługa śnieżnego, na zachód. Tam na ich pokrwawione strzępy czekają hajdamacy Wyszywanego, Skoropadskiego, Petlury i wszystkich lepszych i gorszych, wybranych i samozwańczych atamanów. Południem przeciągnął właśnie w jedną i drugą stronę potok żelaza, układając przed sobą linie kolejowe, mosty, drogi. Stał, organizacja, chciwość i perfekcja. Szczupli, artretyczni generałowie z orlimi nosami, wysoko wygoleni, nierzadko z monoklem w oku, i cieniutcy oficerowie o twarzach rumianych jak jabłuszka, takich jakie mają ludzie o jasnej skórze, lnianych włosach, odbywający regularne ćwiczenia fizyczne na powietrzu, a rano po wstaniu z łóżka nacierający całe

ciało mokrą rękawicą. Apodyktyczni gefrajtry i żołnierze, szarozielona, trochę głodna i trochę zmęczona, zdyscyplinowana, karna masa, i jeźdźcy w pikielhaubach na rostrych, tłustych koniach – to Niemcy, przyszli i poszli, grabiąc, co się dało. Grabiąc legalnie, nazywając to kontrybucją, pożegnani uczuciem nienawiści, ulgi, ale i żalu czasami. Pozostały po nich – tu działo wbite lufą w ziemię, tam przewrócony wóz z kołami na gumach, ówdzie amfibia z pierwszą, jeszcze nieśmiałą rdzą, jakieś tory prowadzące donikąd, urywające się nagle gdzieś w stepie, i fragmenty wysadzonego w powietrze mostu, i pikielhauba poniewierająca się przy zakurczonym trakcie. A traktem tym wali hajdamaczyzna w hajdawerach, z czubami wysmarowanymi masłem, wali tłumnie, ławą, jeden przy drugim, nierzadko z harmonią, często ze śpiewem, i gdy mijają się z całą tą wymyślną, a teraz bezużyteczną, jak gdyby unieruchomioną nagłym paraliżem techniką –

to tak jak gdyby spotkały się dwie epoki, ta, co była, z tą, co dopiero nadejdzie.

A Nestor Machno, wódz armii chłopskiej, otoczony sztabem swych ideologów, wśród których są ludzie tyleż mądzy, co okrutni, i tyleż żarliwi, co cyniczni, szaleje między armiami, szarpiąc białych i kasając niekiedy czerwonych szablami swych kilkunastu tysięcy mołojców, przemieszczających się po rozległościach tego kraju wierzchem, w bryczkach, landach, karetach, przemieszczających się z ogromną szybkością i lisim sprytem, zawsze przez kogoś ścigani i ścigający innych. Nestor Machno szaleje, bo dla niego wolność nie ma granic, bo w tej bezgraniczności może dać upust swej chłopskiej potrzebie bezrozumnego i bezideowego odwetu, bo może utopić swój niepokój w przelanej krwi – pańskiej, niemieckiej, żołnierskiej i jaka się tylko nadarzy, i im większa jest jego dzikość i zuchwalstwo, tym bardziej kochają go za to

kamraci i ani on, ani oni już naprawdę nie wiedzą, gdzie jest początek tego wszystkiego, a gdzie koniec i czy wolność to jest coś, czy właśnie brak tego czegoś.

Jak za dawnych lat, ciepła, pachnąca lipami i czereśniowymi sadami nocą przeleci też wataha jeźdźców na małych, kudłatych konikach, których tętent jest inny niż tętent pańskiej kawalerii, hajdamackich kureni, machnowskiej jazdy czy ciężkich hanowerów niemieckich ułanów – to tętent, który tym ludziom zatykał od wieków dech w piersiach, od którego tężała z trwogi ta piękna i bogata ziemia. I mołodycia, unosząc się na białym ramieniu, odgarniając ciemny, gruby warkocz zapleciony na noc na szerokie, równe plecy z wypalonym przez słońce trójkątem między łopatkami, zbudzona nagle, z kropelkami potu nad górną wargą, nasłuchuje uważnie tego głosu, jeszcze zaspana, ale już czujna, jak gdyby odróżniała go od wszystkich innych zmysłem, którego istnienia w sobie nawet nie

podejrzewała, tak jak nasłuchiwały jej protoplastki, i gdy tętent się oddalał, szepcze splekanymi od upału ustami: – No, chwałał Boh, proizdyły.

Od wschodu też przesączać się zaczęło tutaj wojsko u jednych budzące nadzieję, u innych niechęć, u jeszcze innych – nienawiść. Jacyś młodzi ludzie, ironiczni, z uśmiechem wzgardy na bladych, delikatnych twarzach, mimo upału w długich sukienkach płaszczach, wciętym w pasie, narzuconym na ramiona, walczący spokojnie, z perfekcją wykluczającą wszelki entuzjazm. Bezwzględni, ale nie okrutni, pewni siebie, ale nie zuchowaci, odarci z nadziei, ale dumni i niezależni. Chłopi, patrząc na nich, wzruszali ramionami, a inteligenci, jacy się jeszcze uchowali, ciepło, a nierzadko z rozrzewnieniem szepotali między sobą, że ta młodzież wygląda tak, jak gdyby wyszła z wierszy symbolistów albo wręcz romansów Wertyńskiego, a panie i panny mimowolnie rozglądały się za pianinem lub fortepianem, by

dodać do tego muzyczny komentarz. Tak bywało w nielicznych miastach.

I razem z nawałą wojsk przeciwstawnych sobie lub obojętnych, wyrzynających się z dziką determinacją lub obchodzących się i obwąchujących ostrożnie, szła nawała emocji, nadziei, pragnień i złudzeń. Święta sprawa mas pracujących i *Boże, chroń cara...*, anarchistyczne „niszcz, śmieć się i żyj” i liberalny program ostrożnych reform, łakome polskie spojrzenie na wschód i nostalgiczne „Haj żywe istynna Ukraina”, a temu wszystkiemu przyglądało się takie samo upalne, letnie nicbo z zawieszonymi w górze myślołowami, jak wtedy gdy niebieskoocy brodacze w smukłych łodziach z tarczami po bokach przestraszyli wojowników kipczackich, umykających na włochatych konikach między kurhanami.

Takiego właśnie letniego dnia w końcu lipca, około czwartej po południu w chutorze Wieriwka major Maksymilian Rogoyski wbiegł

na kamienne schodki, porośnięte gdzieś mchem, i wszedł do niewielkiego pomieszczenia, wypełnionego mężczyznami siedzącymi przy samowarze.

Rozejrzał się po wnętrzu i zwrócił się do opalonego człowieka pod czterdziestkę, w rozpiętym mundurze generalskim, o trochę wschodniej, szerokiej twarzy i siwych oczach z zaskakująco impertynenckim wyrazem.

- Ekscelencjo!

- Słucham - odpowiedział generał.

Chudy blondyn, z nogą zadartą w górę, opartą kostką o kolano drugiej, skrzywił się, jak gdyby rozmowa, jak na jego gust, zaczynała się zbyt głośnie i była dysonansem w tej popołudniowej, sennej ciszy, uchwyconej w kleszcze upału.

- Nazywam się Rogoyski.

- To pięknie - odpowiedział generał, a na jego grubych, zmysłowych wargach pojawił się uśmiech, chociaż siwe oczy, tkwiące głęboko w brunatnej twarzy, patrzyły zimno i ostro.

[...]



Тарас Шевченко,
*Богданові руїни
в Суботіві*

Taras Szewczenko,
*Bogdanowe ruiny
w Sobotowie*

1845

Olga Tokarczuk

(ur. 1962)

Księgi Jakubowe

(2014)

1

1752, Rohatyn

Jest koniec października, wczesnie rano. Ksiądz dziekan stoi na ganku plebanii i czeka na powóz. Przywykł wstawać o świcie, ale tym razem czuje się na wpół przytomny i właściwie nie wie, jak się tu znalazł – sam w obliczu morza mgły. Nie pamięta ani jak wstał, ani jak się ubrał, ani czy już jadł. Patrzy ze zdziwieniem na swoje solidne buty, które wystają spod sutanny, i na nieco obszarpane poły wypłowiałego wełnianego płaszcza, i na rękawiczki, które trzyma w dłoni. Wsuwa lewą; w środku wydaje się ciepła i doskonale pasuje do ręki, jakby dłoń i rękawiczka znały się od lat. Oddycha z ulgą. Dotyka przewieszanej przez ramię torby, mechanicznie obmacuje prostokątne kanty, twarde, pogrubiałe jak blizny pod skórą, i powoli przypomina sobie, co jest w środku – ciężki, znajomy, przyjemny kształt. Coś dobrego, coś, co go tu przywiodło, jakieś słowa, jakieś znaki – wszystko to ma głęboki związek z jego życiem. O tak, wie już, co tam jest, i ta świadomość powoli zaczyna mu rozgrzewać ciało, a mgła staje się przez to jakby bardziej przezroczysta. Za nim ciemny otwór drzwi, jedno skrzydło zamknięte, prawdopodobnie musiały już nastać chłody, może nawet przymrozek zwarzył śliwki w sadzie. Nad drzwiami niewyraźny napis – widzi go, nie patrząc, bo przecież wie, co tam napisano, sam to przecież zlecił; dwóch rzemieślników z Podhajec wyrzynało litery w drewnie przez cały tydzień, kazał je bowiem wykonać ozdobnie:

DZIŚ CO BYŁO, JUTRO PO NIM.

CO UCIEKŁO, NIE DOGONIM

W słowie „dogonim”, co go bardzo denerwuje, litera „N” jest napisana odwrotnie, jak jej lustrzane odbicie.

Poirytowany tym po raz nie wiadomo który, ksiądz kręci gwałtownie głową – i to budzi go ostatecznie. Owa odwrócona litera to „H”... Co za niedbalość! Trzeba im ciągle patrzeć na ręce, pilnować ich na każdym kroku. A że owi rzemieślnicy to Żydzi, wobec tego napis zrobili jakiś taki żydowski, litery są zbyt kręcone, chwiejne. I jeszcze się jeden z nich wyklócał, że takie „N” też może być, jest nawet ładniejsze, bo poprzeczka idzie z dołu do góry i z lewej do prawej, po chrześcijańsku, a odwrotnie to byłoby właśnie po żydowsku. Drobną irytacją przywraca mu zmysły i teraz ksiądz Benedykt

Chmielowski, dziekan rohatyński, widzi, skąd miał to poczucie, że jeszcze śpi – stoi w mgle, która ma kolor jego pościeli, szarawy; złamana biel, którą już dopadł brud, ogromne zasoby szarości, które są podszewką świata. Mgła jest nieruchoma, szczelnie wypełnia całe podwórko, mającą za nią znajome kształty wielkiej gruszy, murku, a dalej – wiklinowego wozu. To zwykły obłok niebieski, który upadł na ziemię i przywarł do niej brzuchem. Czytał o tym wczoraj u Comeniusa.

Teraz słyszy znajome skrzywienie i turkot, nieuchronnie wprowadzające go w czasie każdej podróży w stan twórczej medytacji. Dopiero za dźwiękiem wyłaniają się z mgły Roszko, który prowadzi konia za uzdę, i kolaska księdza dziekana. Na jej widok ksiądz czuje przyływ energii, uderza rękawiczką o dłoń i gramoli się na siedzenie. Roszko, jak zwykle milczący, poprawia uprząż i rzuca księdzu długie spojrzenie. Mgła poszarza jego twarz i sprawia, że wydaje się księdzu starszy niż kiedykolwiek, jakby postarzał się w ciągu nocy, a przecież to młody chłopak.

W końcu ruszają, ale jest tak, jakby stali w miejscu, o ruchu zaświadcza tylko kołysanie pojazdu i uspokajające skrzywienie. Tyle razy jeździli tą drogą, przez tak wiele lat, że nie trzeba już oglądać widoków i żadne punkty orientacyjne nie będą potrzebne. Ksiądz wie, że teraz wyjechali na drogę, która idzie skrajem lasu, i tak będą się posuwać aż do krzyżówki, gdzie wznosi się kapliczka, postawiona zresztą przez księdza przed laty, gdy objął probostwo w Firlejowie. Długo zastanawiał się nad tym, kogo by w tej kapliczce umieścić, i do głowy przychodził mu święty Benedykt, jego patron, albo Onufriusz, eremita, którego na pustyni cudownie karmiła daktylami palma, a aniołowie każdego ósmego dnia przynosili mu z nieba Ciało Chrystusa. Bo też i Firlejów miał być dla księdza taką pustynią, kiedy tu zjechał po latach edukowania syna Jego Wysokości pana Jabłonowskiego, Dymitra. Po przemyśleniu jednak sprawy ksiądz uznał, że kapliczka nie ma być zbudowana dla niego i zaspokojenia jego własnej próżności, lecz prostemu ludowi, żeby na skrzyżowaniu dróg miał gdzie spocząć i skąd zanieść swe myśli do nieba. Stała więc na murowanym pobielonym cokole Matka Boska Królowa Świata z koroną na głowie. Pod jej małym spiczastym pantofelkiem wił się wąż.

Lecz dziś i ona niknie we mgle, i kapliczka, i krzyżówka. Widać tylko czubki drzew, znak, że mgła zaczyna opadać.

– Patrzcież, dobrodzieju, Kaśka nie chce iść – mówi ponuro Roszko, gdy kolaska się zatrzymuje. Roszko schodzi z kozła i żegna się kilka razy zamasyście.

Potem nachyla się i zagląda w mgłę, jakby patrzył do wody. Spod jego odświętnego czerwonego, acz trochę już wypłowiałego kubraka wychodzi koszula.

– Nie wiem, gdzie jechać – mówi.

– Jak to nie wiesz? Przecież już jesteśmy na rohatyńskim gościńcu – mówi zdziwiony ksiądz.

A jednak! Wysiada z kolaski i podąża za sługą, obchodzą bezradnie powóz, wyteżając oczy w biel. Wydaje im się, że coś widzą, ale oczy, które nie mogą zaczepić się na niczym, zaczynają stroić sobie żarty. Że też im się coś podobnego przydarzyło! Przecież to tak, jakby zgubić się we własnej kieszeni.

– Cicho! – mówi nagle ksiądz i podnosi palec do góry, nad słuchując. I rzeczywiście, gdzieś z lewej strony, z kłębow mgły, dochodzi słaby szum wody.

– Jedźmy za tym szumem. To woda płynie – decyduje ksiądz.

Będą wlec się teraz powolutku wzdłuż rzeki zwanej Gniłą Lipą. Woda ich poprowadzi.

Wkrótce ksiądz rozluźnia się w kolasce, wyciąga przed siebie nogi i pozwala oczom wędrować po morzu mgły. Natychmiast popada w podrózne zamyślenie, bo człowiekowi najlepiej myśli się w ruchu. Wolno, z ociąganiem ożywa mechanizm jego umysłu, zaskakują tryby i przekładki, wprawiając w ruch koła napędowe, zupełnie jak w zegarze, który stoi u niego na plebanii w sieni, zakupiony we Lwowie; słono za niego zapłacił. Za chwilę odezwie się bim-bom. Czy aby świat nie wziął się z takiej mgły, zaczyna się zastanawiać. Przecież historyk żydowski Józef Flawiusz utrzymuje, że świat został stworzony jesienią, podczas aequinoctium jesiennego. Można tak sądzić, bo przecież w raju były owoce; skoro jabłko wisiało na drzewie, musiała to być jesień... Jest w tym jakaś racja. Ale zaraz przychodzi mu do głowy myśl inna: Cóż to za argument? Czyż wszechmocny Bóg takich marnych fruktów nie mógłby stworzyć ekstra, w jakiegokolwiek porze roku?

Gdy dojeżdżają do głównej drogi prowadzącej do Rohatyna, włączają się w strumień pieszych, konnych i wozów wszelakiego rodzaju, które wylaniają się z mgły, niby figurki z chleba lepiące na Boże Narodzenie. Jest środa, targ w Rohatynie, jadą chłopskie wozy obciążone workami z ziarnem, klatkami z drobiem, wszelakimi płodami rolnymi. Między nimi żwawym krokiem maszerują handlarze z każdym możliwym towarem – ich kramiki, sprytnie teraz złożone, dają się nieść na plecach niczym koromysła, a za chwilę staną się stołami pełnymi barwnych materiałów, drewnianych zabawek, jajek skupowanych po wsiach za jedną czwartą ceny... Chłopi prowadzą też kozy i krowy na sprzedaż – zwierzęta, przerażone zgiełkiem, zapierają się w kałużach. Mija ich rozpędzona fura przykryta dziurawą plandeką, pełna hałaśliwych Żydów, którzy

ściągają na jarmark do Rohatyna z całej okolicy, a za nimi przedziera się bogata kareta, której we mgle i tłoku na drodze trudno zachować dostojeństwo – jasne lakierowane drzwiczki są czarne od błota, a mina stangreta w niebieskiej pelerynie wydaje się nietęga, nie spodziewał się widać takiego zamieszania i teraz rozpaczliwie szuka wzrokiem okazji, żeby zjechać z tej diabelskiej drogi.

Roszko jest zawzięty i nie da się zepchnąć na pole, trzyma się prawej strony i jadąc jednym kołem po trawie, drugim po drodze, posuwa się sprawnie do przodu. Jego smutna pociągła twarz dostaje rumieńców i spływa na nią jakiś potępieńczy grymas. Ksiądz rzuca na niego okiem i przypomina mu się rycina, którą oglądał nie dalej jak wczoraj – widnieli na niej piekielnicy i mieli takie same grymasy na twarzy jak teraz Roszko.

– Przepuścić jegomościa księdza dobrodzieja. Nu, poszli! Na bok, ludyny! – krzyczy Roszko.

Wyrastają przed nimi pierwsze zabudowania, nagle, bez ostrzeżenia. Widać mgłą zmienia poczucie odległości, bo zaskoczona tym wydaje się sama Kaśka. Nagle skacze, szarpiąc dyszlem, i gdyby nie stanowcza reakcja Roszka i jego bat, wyróciłaby kolaskę. Może Kaśkę wystraszyły iskry, które sypią się z paleniska, albo niepokój koni czekających na swoją kolej do podkuwania...

Dalej znajduje się karczma, marna i biedna, podobna do wiejskiej chałupy. Jak szubienica sterczy nad nią żuraw od studni, przebija się w górę przez mgłę, a jego koniec znika gdzieś wysoko. Ksiądz widzi, że zatrzymała się tu zakurzona kareta, zmęczony stangret opuścił głowę prawie do kolan i nie zeskakuje z kozła, nikt też nie wychodzi ze środka. A już stoi przed nią wysoki, chudy Żyd, a obok małe dziewczynki o potarganych włosach. Tyle tylko widzi ksiądz dziekan, bo mgła pochłania każdy mijany widok; przepada on gdzieś, wsiąka jak roztopiony płatek śniegu.

Oto i Rohatyn.

Zaczyna się od lepianek, domków z gliny krytych słomianymi strzechami, które wydają się przyciskać budynki do ziemi; im bliżej rynku jednak, tym domki coraz bardziej smukleją, strzechy stają się delikatniejsze, a w końcu przechodzą w drewniany gont kamieniczek z gliniastej niewypalanej cegły. Są tu też fara, klasztor Dominikanów, kościół Świętej Barbary przy rynku, a dalej dwie synagogi i pięć cerkwi. Wokół rynku tkwią jak grzyby małe domy, a w każdym jakiś interes. Krawiec, powroźnik, kuśnierz,

wszyscy Żydzi, a obok piekarz o nazwisku Bochenek, co zawsze cieszy księdza dziekana, bo ukazuje jakiś ukryty porządek, który mógłby być bardziej widoczny i konsekwentny, a wtedy ludzie żyliby cnotliwiej. Obok zakład miecznika zwanego Lubą; fasada wyróżnia się zasobnością, ściany świeżo pomalowane na niebiesko, a nad wejściem wisi wielki zardzewiały miecz – widocznie dobry rzemieślnik z tego Luby i pełne są kieszenie jego klientów. Dalej siodlarz, który wystawił przed drzwi drewniany kozioł, na nim zaś piękne siodło, strzemiona chyba srebrzone, bo tak lśnią.

Wszędzie czuć mdły zapach słoju, przenika każdy towar wystawiony do sprzedaży. Można się nim najeść jak chlebem. Na przedmieściach Rohatyna, w Babińcach, jest kilka małych browarów, to stamtąd roznosi się na całą okolicę ten sycący zapach. Wiele kramików sprzedaje tu piwo, a lepsze sklepy mają na składzie i gorzałkę, i miód pitny, głównie trójniak. Skład żydowskiego kupca Wakszula oferuje wino, prawdziwego węgryzyna i prawdziwe reńskie, i takie trochę kwaskowate, które przywożą tu aż z Wołoszczyzny.

Ksiądz posuwa się wzdłuż straganów skonstruowanych z wszelkiej możliwej materii – desek, kawałków grubo tkanego płótna, koszy wiklinowych, a nawet liści. Jakaś dobra kobieta w białej chustce na głowie sprzedaje dynie z wózka i ich jaskrawy pomarańczowy kolor przyciąga dzieci. Obok inna zachwala gomółki sera ułożone na liściach chrzanu. Dalej stoi wiele innych kramarek, które trudnią się handlem, bo owdowiały albo mają mężów opojów: olejarki, solarki, płótniarki. Wyroby tej paszтетniczki ksiądz zwykle kupuje i teraz śle handlarce miły uśmiech. Za nią są dwa stragany ozdobione zieloną gałęzią, co znaczy, że sprzedaje się tam świeże warzone piwo. A tu bogaty kram ormiańskich kupców – piękne, lekkie materie, noże w zdobionych pochwach, i zaraz – wizina, czyli suszone ryby, których mdły zapach przenika wełniane tureckie makaty. Dalej z pudła zawieszzonego na chudych ramionach człowiek w zakurzonym chałacie sprzedaje jajka zapakowane tuzinami w koszyki uplecione z trawy. Drugi oferuje jaja na kopy, w dużych koszach, po konkurencyjnej, prawie hurtowej cenie. Bajgle obwieszają cały kram piekarza – jeden upadł komuś w błoto i teraz zjada go z apetytem mały pies.

Handlują tu czym się da. Także kwiecistymi materiałami, chustkami i szalami prosto z bazaru w Stambule, bucikami dla dzieci, owocami, orzechami. Mężczyzna pod płótnem ma plug i gwoździe w różnych wielkościach, od takich jak szpilka aż po wielkie, do budowy domu. Obok dorodna kobieta w nakrochmalonym czepcu na głowie rozłożyła kołatki dla nocnych stróżów: małe – takie, co to ich dźwięk przypomina raczej

nocne granie świerszczy niż nawoływanie do snu, i duże – te, przeciwnie, obudziłyby umarłego.

Ile to razy zakazywano Żydom handlowania rzeczami związanymi z Kościołem. Grzmieli w tej sprawie i księża, i rabini, ale nic to nie dało. Są tu więc piękne modlitewniki, ze wstążeczką między stronami, z wytłoczonymi na okładce cudnie srebrzonymi literami, które gdy po nich przesunąć opuszką palca, wydają się ciepłe i żywe. Czysty, prawie elegancki mężczyzna w futrzanej czapie trzyma je jak jakieś relikwie – poowijane w cienki papier, kremową bibułkę, żeby ten brudny, mglisty dzień nie splamił ich niewinnych, chrześcijańskich, pachnących farbą drukarską stron. Ma także woskowe świece, a nawet obrazki świętych z aureolami.

Ksiądz podchodzi do jednego z wędrownych sprzedawców książek, mając nadzieję, że znajdzie coś po łacinie. Wszystkie są jednak żydowskie, bo obok nich leżą rzeczy, których przeznaczenia ksiądz nie zna.

Im dalej zapuści się wzrok w boczne uliczki, tym większa nędza wychodzi na wierzch, jak brudny palec z podartego buta; bieda zgrzebna, cicha, przygięta do ziemi. To już nie sklepy, nie kramy, ale budy jak dla psów, sklecone z cienkich desek uzbieranych gdzieś po śmietniskach. W jednej z nich szewc naprawia buty wiele razy już szyte, zelowane i łatanne. W innej, całej obwieszanej żelaznymi garnkami, zasiadł druciarz. Twarz ma chudą i zapadłą, czapka przykrywa czoło pełne jakichś brązowych wybroczyn. Bałby się ksiądz dziekan naprawiać u niego garnki, żeby z dotykiem palców tego nieszczęśnika jaka straszna choroba nie przeszła na innych. Obok stary człowiek ostrzy noże oraz wszelkiego rodzaju sierpy i kosy. Jego warsztat składa się z kamiennego koła uwiązanego u szyi. Gdy dostanie rzecz do ostrzenia, ustawia na ziemi prymitywny drewniany stelaż – kilka skórzanych rzemieni czyni z tego prostą maszynę, której koło wprawiane w ruch ręką liże metalowe ostrza. Czasem z tej maszyny polecą kilka najprawdziwszych iskier, wpadając w błoto, z czego szczególnie cieszą się brudne, zaświerzbione dzieci. Na fachu swoim zarobi grosze. Może się z pomocą tego koła utopić w rzece, taka jeszcze jest korzyść z tego zawodu.

Kobiety w łachmanach zbierają na ulicy wióry i łajno na opał. Trudno po tych łachach rozróżnić, czy to bieda żydowska, czy cerkiewna, czy katolicka. Tak, bieda nie ma ani wiary, ani narodowości.

Si est, ubi est? – pyta sam siebie ksiądz, myśląc o raj. Na pewno nie tutaj w Rohatynie, ani – jak mu się zdaje – nigdzie na podolskiej ziemi. A jeśli by kto pomyślał, że w dużych miastach jest lepiej, to grubo się pomyli. Wprawdzie ksiądz do

Warszawy czy Krakowa nigdy w życiu nie dotarł, ale wie to i owo z opowieści bernardyna Pikulskiego, bardziej bywałego niż on, albo z tego, co zasłyszysz gdzieś po dworach.

Raj, czyli ogród rozkoszy, w piękne i nieznanne miejsce jest przeniesiony przez Boga. I jak napisane jest w Arce Noe, raj jest gdzieś w kraju Ormian, wysoko w górach, a znowu Brunus twierdzi, że sub polo antarctico, pod biegunem południowym. Znakiem bliskości rajów są cztery rzeki: Gebon, Philon, Euphrates i Tygris. I są tacy autorzy, co na ziemi rajowi nie mogąc znaleźć miejsca, lokują go w powietrzu, nad górami z piętnaście lokci. Ale to się akurat księdzu wydaje dość niemądre. Bo jak to? Czy żyjący na ziemi pod rajem widzieliby go od spodu? Czy oglądaliby pięty świętych?

Z drugiej wszakże strony nie można zgodzić się z tymi, co próbują rozgłaszać nieprawdziwe sady, że tekst święty o rajach ma mieć tylko mistyczne znaczenie, to znaczy ma być brany w sensie duchowym albo alegorycznym. Ksiądz – nie tylko dlatego, że jest księdzem, ale z własnego głębokiego przekonania – uważa, że Pismo Święte brać trzeba dosłownie.

Wie o rajach prawie wszystko, bo nie dalej jak w zeszłym tygodniu kończył rozdział swej książki wielce ambitnej, rozdział skompilowany ze wszystkich ksiąg, jakie ma w Firlejowie, a ma ich sto trzydzieści. Po niektóre jeździł i do Lwowa, a nawet do Lublina.

Oto jest dom narożny, skromny – tu idzie. Tak mu poradził ksiądz Pikulski. Dwuskrzydłowe niskie drzwi są szeroko otwarte; bije stamtąd zapach korzenny, niespotykany wśród tego smrodu końskich gównien i jesiennej wilgoci, i jeszcze inna drażniąca woń, znana już księdzu dziekanowi – kaffi. Ksiądz kaffi nie pija, ale musi w końcu wejść z nią w bliższą znajomość.

Ksiądz ogląda się za siebie, szukając wzrokiem Roszka; widzi go, jak przerzuca kozuchy z ponurą uwagą, a dalej – cały targ zajęty sam sobą. Nikt nie patrzy na księdza, wszyscy pochłonięci frymarkiem. Hałas i zgiełk.

Nad wejściem do budynku widnieje dość nieudolnie wykonany szyld:

SZOR SKŁAD TOWARÓW



Józef Chełmoński, *Czwórka*
Юзеф Хелмонський, *Четвірка*
1881



Leon Wyczółkowski, *Orka na Ukrainie*
Леон Вичулковський, *Оранка в Україні.*
1892



NOTY BIOGRAFICZNE

Jednogłośnie zdecydowaliśmy się nie publikować tym razem not autorskich z wyjątkiem biogramów ukraińskich (i białoruskich).

Aby uhonorować Autorki i Autorów polskich bieżącego numeru, notki o nich dodamy jako osobny blok w najbliższym regularnym numerze AX-u. Dziękujemy Wam za wszystko!

Анастасія Вакарчук (Anastazja Wakarczuk), mieszkanka Odessy, autorka fotografii zamieszczonych w dziale „Fotoreportaż”.

Міра Гаврилюк (Mira Hawryliuk), pochodząca z Czarnomorska. Zdjęcia pochodzą z czasów, gdy studiowała na wydziale projektowania w Odeskiej Szkole Artystycznej im. M.B. Hrekowa. Obecnie kontynuuje te studia na Południowoukraińskim Narodowym Uniwersytecie Pedagogicznym imienia K.D. Uszinskiego, a ponadto studiuje psychologię na Międzyregionalnej Akademii Zarządzania Personalem w Kijowie. Wolny czas spędza na robieniu zdjęć, które uwielbia całym sercem. Pociągają ją równoległe światy, które otaczają nas na co dzień: w kałużach, we wzorach chmur na niebie, w rytmie okien budynków mieszkalnych...

Юрій Завадський (Jurij Zawadski), rocznik 1981. Doktor nauk, literaturoznawca, adiunkt w Narodowym Uniwersytecie Pedagogicznym w Tarnopolu. Jest znanym (także w Polsce) poetą ukraińskim, autorem wielu tomików poetyckich, założycielem grupy „Studia 87”, redaktorem naczelnym wydawnictwa „Krok”. Jest także tłumaczem i wydawcą. Pochodzi z Tarnopola, gdzie przebywa w tej chwili.

W numerze publikujemy jego wiersz *Schron* w przekładzie Janusza Radwańskiego.

Валерія Лесик (Walerija Lesyk) urodziła się w roku 1998 w Berdyczowie w rodzinie lekarzy. W okresie szkolnym uczęszczała do szkoły plastycznej i fotograficznej. Po jej ukończeniu wstąpiła do Kijowskiego Państwowego Instytutu Sztuki Dekoracyjnej i Użytkowej im. Mychajły Bojczuka, gdzie ukończyła projektowanie graficzne. Uwielbia poezję ukraińską oraz swój kraj. Z zamiłowania zajmuje się fotografią, głównie uliczną.

Марина Лопушін (Maryna Lopuszin), absolwentka reżyserii filmowej na Kijowskim Uniwersytecie Teatru Kina i Telewizji im. Iwana Karpenki-Karego, mieszkanka Kijowa.

Аляксандра Мурашка (Aliaksandra Muraszka), pochodząca z Mińska fotografka niezależnych mediów, która jesienią 2020 roku musiała

opuścić Białoruś z powodu ostrych represji wobec dziennikarzy. Od tego czasu mieszka i pracuje w Kijowie, podróżuje po całej Ukrainie i dokumentuje życie różnych ukraińskich miast.

Станіслав Новицький (Stanisław Nowycki), rocznik 2000, poeta ukraiński, Student Narodowej Akademii Gwardii Narodowej Ukrainy w Charkowie. Obecnie na froncie.

W numerze publikujemy jego wiersz napisany w Charkowie, podczas oblężenia, 6 marca 2022 r., w przekładzie Tadeusz Karabowicza.

Остап Ножак (Ostap Nożak), rocznik 1983, urodzony w Czortkowie koło Tarnopola, poeta, prozaik, publicysta, tłumacz, przede wszystkim z języka polskiego i białoruskiego. Na ukraiński przekładał i Chotomska, i *Lokomotywę* Tuwima, i Szymborską, i Podsiadłę, i Różyckiego. Jego wiersze ukazywały się w przekładach portugalskich, węgierskich, białoruskich, polskich. Obecnie walczy w Siłach Zbrojnych Ukrainy.

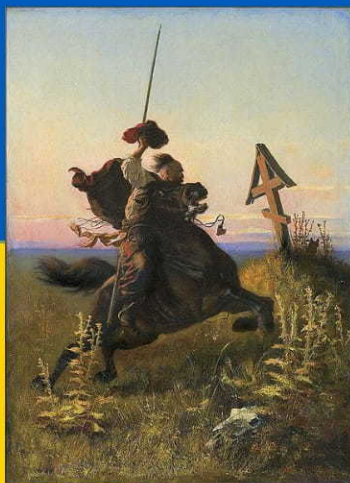
W niniejszym numerze publikujemy jego przekład wiersza Radosława Wiśniewskiego *HYMN 2022*.

ALMANAX

ALMANACH TWÓRCZOŚCI ARTYSTYCZNEJ STUDENTÓW UG

KOŁO NAUKOWE TEORETYKÓW LITERATURY UG

VOL. 2 (2022), ZS 3 UKRAINA



PATRONAT:

WYDZIAŁ FILOLOGICZNY UG

INSTYTUT FILOLOGII POLSKIEJ UG

